

ŚLADY



ZBRODNI

TANGREN

Wyrafinowana powieść
igrająca z konwencją **kryminału**

MAES TRO

**GEIR
TANGEN**

MAESTRO

Przełożył z norweskiego
Marcin Mortka



WROCŁAW 2017

Tytuł oryginału
Maestro

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Redakcja
IWONA GAWRYŚ

Korekta
IWONA HUCHLA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © Geir Tangen 2016

Polish edition © Publicat S.A. MMXVII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved.

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-271-5666-0



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Publicat S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Dedykacja

Redakcja „Haugesunds Avis”

Cztery dni później. Stemmen, Haugesund

Cztery lata później. Redakcja „Haugesunds Avis”

Requiem – Introitus

Fjellvegen, Haugesund

Redakcja „Haugesunds Avis”

Cztery lata wcześniej. Dom modlitwy w Ådland, Karmøy

Fjellvegen, Haugesund

Mieszkanie Rity Lothe, Haugesund

Redakcja „Haugesunds Avis”

Requiem – Kyrie

Komenda policji w Haugesund

Nabrzeże wewnętrzne, Haugesund

Norheimskogen, Karmøy

Pięć lat wcześniej. Eivindsvatnet, Haugesund

Bleikemyr, Haugesund

Lotnisko Haugesund, Karmøy

Komenda policji w Haugesund

Rommetveit, Stord

Mieszkanie Viljara, ulica Austmannavegen w Haugesund

Rommetveit, Stord

Cztery lata wcześniej. Pokój 306 w hotelu Rica Maritim, Haugesund

Komenda policji w Haugesund

Komenda policji w Haugesund

Requiem – Sequenz

Komenda policji w Haugesund

Mieszkanie Viljara na Austmannavegen, Haugesund

Cztery lata wcześniej. Torvastad, Karmøy

Komenda policji w Haugesund

Redakcja „Haugesunds Avis”

Plac Ratuszowy, Haugesund

Biblioteka Publiczna w Haugesund

Ulica Haraldsgata, Haugesund

Cztery lata wcześniej. Kvalsvik, Haugesund

Redakcja „Haugesunds Avis”

Komenda policji w Haugesund

Risøy, Haugesund

Torvastad, Karmøy

Risøy, Haugesund

Tømmerdalen, Haugesund

Redakcja „Haugesunds Avis”

Haugesund

Cztery lata wcześniej. Restauracja Samson, promenada Haugesund

Tømmerdalen, Haugesund

Tømmerdalen, Haugesund

Tømmerdalen, Haugesund

Requiem – Offertorium, Domine Jesu

Tømmerdalen, Haugesund

Komenda policji w Haugesund

Redakcja „Haugesunds Avis”

Komenda policji w Haugesund

Centrum Haugesund

Cztery lata wcześniej. Torvastad, Karmøy

Osiedle Austmanna, Haugesund

Biblioteka Publiczna w Haugesund

Sąd w Haugesund

Cztery lata wcześniej. McDonald’s, Oasen Norheim

Szpital w Haugesund

Austmannavegen, Haugesund

Komenda policji w Haugesund

Requiem – Offertorium, Hostias

Centrum Haugesund

Austmannavegen, Haugesund

Cztery lata wcześniej. Torvastad, Karmøy

Djupaskar, Haugesund

Komenda policji w Haugesund

Komenda policji w Haugesund

Haugesund

Cztery lata wcześniej. Mieszkanie Viljara, Haugesund

Austmannavegen, Haugesund

Requiem – Sanctus

Gjøvik

Haugesund

Redakcja „Haugesunds Avis”

Komenda policji w Haugesund

Komenda policji w Haugesund

Komenda policji w Haugesund

Requiem – Benedictus

Port jachtowy, Lindøy

Hasseløy, Haugesund

Cztery lata wcześniej. Stemmen, Haugesund

Hasseløy, Haugesund

Requiem – Agnus Dei

Komenda policji w Haugesund

Austmannavegen, Haugesund

Komenda policji w Haugesund

Requiem – Communio

Komenda policji w Haugesund

Haraldsvang Kafé, Haugesund

Requiem – di me – manu propria

Posłowie i podziękowania

Przypisy

*Mamie i tacie za to, że pokazali mi magię,
która kryje się w książkach*

Redakcja „Haugesunds Avis”

Piątek rano, 27 sierpnia 2010 roku

Tego poranka, cztery dni przed tym, jak jego życie legło w gruzach, dziennikarz Viljar Ravn Gudmundsson stał na szeroko rozstawionych nogach, rozkoszując się atmosferą w pokoju konferencyjnym. Wszędzie dookoła widział szerokie uśmiechy, ale i zazdrosne spojrzenia, a w powietrzu unosiły się lekceważące chichoty. Było tak, jak być powinno.

– Jasna cholera, Viljar! Nie mam pojęcia, co sprzedajesz swoim informatorom, ale sam chciałbym to dostać. Ten materiał o ministrze transportu to jakiś obłąd. Ściągnąłeś gościowi gacie i przybiłeś go do dybów pistoletem na gwoździe. Chętnie oddałbym lewą nerkę, żeby móc się podpisać pod takim artykułem.

Henrik Thomsen, dziennikarz kulturalny, był o wiele wyższy od swego kolegi, ale nie wpływało to znacząco na jego inteligencję. Viljar zerknął na niego i dostrzegł w jego bujnym wąsie resztki cukru pudru.

– Uwierz mi, Thomsen, to by cię przerosło. Istnieje ważny powód, dla którego ty recenzujesz koncerty, a ja poluję na drapieżniki w labiryncie władzy.

Po tych słowach Viljar odsunął się od dryblasa i stanął tam, gdzie padało na niego światło. Zasłużył sobie na tę chwilę chwały. Spojrzenia, które mu rzucano, przepełnione były szacunkiem i podziwem. W ciągu stu piętnastu lat istnienia gazety nikt nie dokonał tego, co on.

Koledzy z redakcji byli przekonani, że artykuł powstał w wyniku wielu miesięcy żmudnej, wnikliwej pracy dziennikarskiej. Tym, że prawda wyglądała nieco inaczej, Viljar niespecjalnie się przejmował. Nie należał do ludzi, którzy poświęcaliby materiałowi setki nadgodzin, nie zdarzało się też, by temat spłynął mu w ręce niczym piórko z nieba. Viljar po prostu wyszukiwał sensacje, a potem wykorzystywał władzę, jaką sprawował nad słowami.

Opisywał tylko prawdę i raz za razem strącał z piedestałów tych, którzy nadużywali władzy. Dla „Haugesunds Avis” Viljar Ravn Gudmundsson był filarem, granitowym obeliskiem, który równie dobrze można by wznieść ku jego czci tam, gdzie stawiano nową siedzibę gazety.

Tego poranka Viljar przedstawił redakcji wiadomości artykuł mówiący o polityce, nadużyciach władzy, wykorzystywaniu znajomości, działaniach

przestępczych oraz seksie, a więc o wszystkim, czego było trzeba, aby wywołać ogólnokrajowe szaleństwo w prasie i zająć wszystkie inne duże redakcje tak bardzo, że zaczęły zaniedbywać inne tematy. Gudmundsson dawał niewielkiej gazecie „Haugesunds Avis” wiarygodność, która pokonywała wszelkie bariery i przyciągała uwagę prasy krajowej.

Liczący sobie trzydzieści siedem lat Viljar od dawna cieszył się opinią jednego z najbardziej solidnych głosów w mediach. W jego skrzynce mailowej bez przerwy lądowały oferty pracy od dużych domów medialnych, ale Viljar je ignorował. W Haugesund mieszkał bowiem jego dwunastoletni syn Alexander, którym Gudmundsson zajmował się w weekendy – dlatego nawet nie chciał myśleć o cotygodniowym dojeżdżaniu do Oslo. Nie było takiej pracy na świecie, dla której poświęciłby chwile spędzane z dzieckiem.

Poza tym nie dało się ukryć, że Viljar cieszył się w redakcji gazety regionalnej szczególnymi swobodami, o które trudno byłoby gdzie indziej. Przychodził do pracy i wychodził z niej, kiedy mu się podobało. Brał się do tematów, które najbardziej mu odpowiadały, i ani myślał o podejmowaniu żmudnych, bezcelowych poszukiwań, które stanowiły chleb powszedni innych dziennikarzy. Viljar był libero redakcji, wolnym strzelcem i anarchistą na pokładzie. Sam dla siebie układał porządek dnia, przestrzegał własnych zasad i chadzał swoimi drogami, co dla redaktora naczelnego Johana Øveraasa było powodem zarówno zgrozy, jak i radości.

Zanim materiał dotyczący ministra transportu ujrzał światło dzienne, Viljar przez dłuższy czas utrzymywał, że pracuje nad wielką sprawą o niezmiernym zasięgu. Oczywiście przesadzał. Sporą część czasu spędzonego w redakcji zabrało mu planowanie weekendu, na który chciał wyskoczyć z Alexandrem do Londynu. Na szczęście udało się zorganizować wylot na dzień, w którym Viljar planował podać głowę ministra transportu na tacy.

– Ludzie! Posłuchajcie mnie przez chwilę! – Redaktor naczelny Johan Øveraas zdecydowanie poprowadził Viljara w stronę rogu pomieszczenia, gdzie zebrała się wokół nich reszta zespołu. Stał na szeroko rozstawionych nogach i oparł ręce na biodrach. Viljar z fascynacją zauważył, że dłonie redaktora zanurzają się w zwalach tłuszczu. – Ta sprawa rozleje się po Akersgata niczym pinta guinnessa na imprezie z szampanem. Chór klakierów Hermana Eliassensa nagle poczuje, że diabeł zaciągnął im ręczny hamulec. My, dziennikarze z lokalnej prasy, dobrze znamy tego gościa i od dawna czekamy, aż wdepnie w gówno. Cholernie dobra robota, Viljar.

W niewielkim pokoju rozległy się głośne brawa, a Viljar Ravn Gudmundsson rozkoszował się chwilą. To był jego materiał. Viljar okazał się niepokonany w tej rozgrywce. Prawda, niewzruszona towarzyska Gudmundssona, jak zwykle stała po jego stronie i nikt nie mógł mu niczego zarzucić.

Na zewnątrz wiatr poruszał konarami starych dębów rosnących przy szkole Lillesund. Znużony liść, nie tak dawno silny, ciemnozielony i soczysty, przywarł jeszcze na moment do pnia pełnego letnich soków. Żółknące listowie wyraźnie wskazywało na to, że wszystko ma swój kres, o czym dziennikarze siedzący we wnętrzu murowanego budynku zdawali się nie pamiętać. Każdego dnia los przecinał kolejne linie życia i byle silniejszy podmuch wiatru sprawiał, że pożółkłe jesienne błyskotki bezwładnie mknęły w dal.

Na podwórku, znajdującym się kilka mil^[1] na południe, stał siedemnastoletni Jonas ze swym ukochanym. Chłopcy nie wiedzieli, że ich namiętne uczucie i czułe spojrzenia przypieczętowały nie tylko los ich własny, ale również Viljara Ravn Gudmundssona, mężczyzny, który w tej samej chwili przyjmował ostatnią pochwałę od szefa.

– Naprawdę świetna robota, Viljar. – Naczelnny klepnął go w ramię. – Leć do Londynu. Wyłącz komórkę. Baw się dobrze z synem. Zasłużyłeś na to. My zajmiemy się resztą. Wracasz za cztery dni, tak? Będzie nieźle wiało przy lądowaniu, bo rozpętamy tu burzę.

Viljar uśmiechnął się chytrze, zajęty pakowaniem najpotrzebniejszych rzeczy. Zerknął po raz ostatni na materiał zdjęciowy, który miał być wykorzystany w sprawie, a potem przesłał wszystko do redakcji. Gdy skończył, podniósł głowę i zerknął na Øveraasa, nadal stojącego przy nim. W jego spojrzeniu jak zwykle zamigotały złośliwe iskielki.

– Będzie wiało, tak? To w Haugesund może być inaczej?

Cztery dni później

Stemmen, Haugesund

Wtorek wieczór, 31 sierpnia 2010 roku

Po niebie sunęły groźnie wyglądające chmury, które niczym mroczny omen domagały się należnego miejsca w godzinie błękitnego zmierzchu, oddzielającej dzień od nocy. W jednej sekundzie jezioro Eivindsvatnet było

skąpane w czarodziejskim blasku, a chwilę później zasłonił je dywan ciemności, wraz z którym nadciągnęły zapach siarki, grzmot piorunów i gwałtowna ulewa.

Na Stemmen, niewielkim mostku z 1907 roku, wznoszącym się nad tamą niedaleko wejścia na ścieżki spacerowe wokół Eivindsvatnet, stał Jonas Ferkingstad. Jego drobna postać wychylona była nad balustradą, jakby czegoś szukał w dole.

Dłuższe jasne włosy lepiły mu się do czoła, a lodowatoniebieskie oczy wpatrywały się w jakiś nieistniejący punkt. Podczas krótkich chwil jasności, kiedy chmury odsłaniały niebo, chłopak dostrzegał odpływ w dole tamy. Z miejsca, w którym stał, do dna było może dziesięć metrów. Przemoczona cienka koszula z bawełny w kolorze burgunda kleiła mu się do piersi, drżał na całym ciele. Co chwila odwracał się i rzucał pospieszne spojrzenia w kierunku przejścia pod Skjoldavegen, ale potem znów zaczynał spoglądać w nicłość.

Nagle zauważył kogoś, kto zmierzał w jego stronę, i wyprostował się. Z tej odległości nie można było rozpoznać przybysza, ale Jonas dobrze wiedział, kto to. Wiedział też, że nie uda mu się uniknąć konfrontacji. Sprawy zaszły za daleko i nie było już miejsca na wypieranie się czy kłamstwa. Czas odrzucić zdradę lub oszustwo. Znali prawdę i wszelkie maskarady były pozbawione sensu.

Przez dłuższą chwilę przyglądali się sobie. Jesienny wiatr tworzył pianę na falach jeziora. Niebo rozszczepiła kolejna błyskawica. Jej krótki blask sprawił, że ujrzeli, jacy są naprawdę. Nadzy. Bezbronni. Samotni. Mrok powrócił niemal natychmiast, a betonowy most zadrżał od huku piorunów. Jonas stał wyczekująco, pochylony do przodu, wpatrzony w nowo przybyłą osobę. Marzył o tym, by znaleźć się w jej ramionach, rozkoszować się bezpiecznym uściskiem i udawać, że tak naprawdę nic się nie stało. Że wszystko było jedynie złudzeniem. Że przeszłość wkrótce zniknie, wystarczy kilkakrotnie zamrużyć. Niestety, tak się nie stało. Nie było już odwrotu.

Nadal stali, sieczeni deszczem. W ich twarzach odbijała się bezsilność. Nie zostało wypowiedziane ani jedno słowo, ale po chwili tamta osoba wyciągnęła do Jonasa ramiona, a chłopak padł w objęcia. Nie mógł złapać tchu. Nie potrafił też opisać uczucia, które go ogarnęło – nie było to szczęście ani ulga, ale coś innego, coś, co sprawiło, że przestał nad sobą panować. Wszystkie tłumione emocje buchnęły niczym gejzer. Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że płacze, wręcz ryczy, wtulony w pierś

przylajęcej go osoby. Musiał się wszystkiego pozbyć, wyrzucić z siebie to, co złe.

Wydawało mu się, że nad obejmującym go ramieniem dostrzega jakiś cień, niedaleko niewielkiej przystani wioślarskiej. Dwa czerwone kajaki, przywiązane przy nabrzeżu, przywierały do siebie, spychane wiatrem. Ostatnio widywał je na wodzie, ale nie miał pojęcia, dlaczego ktoś mógłby chcieć wypłynąć w taką pogodę.

Wystarczył krótki moment nieuwagi, by Jonas stracił czujność. Uścisk nagle stał się mocniejszy, zupełnie jakby tamten ktoś postanowił wycisnąć z Jonasa powietrze. Jonas próbował nieco poluznić żelazny chwyt, ale nie był w stanie się uwolnić.

Znów zaczął szlochać, co samo w sobie było przyznaniem się do winy. Bo Jonas wiedział, że to wszystko było jego winą. Tylko i wyłącznie jego.

Ramiona zaciskały się wokół jego ciała z nieludzką, pierwotną mocą. Ręce Jonasa zwisały luźno, a kolana ugięły się pod nim i gdyby nie potężny uścisk, chłopak osunąłby się na most. Odkrył, że jest pusty w środku i nie potrafi już stawiać oporu. Bo nie miał już wątpliwości, że toczy walkę na śmierć i życie. Wiedział, że druga osoba nie obejmuje go po to, by dać mu pociechę i wsparcie.

Naraz Jonas zebrał resztkę sił i szarpnięciem uwolnił się z uścisku. Spojrzał na przeciwnika jakby nowymi oczami. Szeroko rozstawił nogi, gotów do walki, i zauważył, że przybysz całkiem opadł z sił.

Na moście natychmiast pojawiło się nowe napięcie. Znów zamigotała błyskawica, znów zagrzmiał piorun. Chłopak otworzył usta do krzyku, ale rozległ się jedynie chrapliwy szmer wydychanego powietrza.

Wtedy tamta osoba spokojnie i powoli podeszła do niego, pochwyciła go mocno, uniosła i przechyliła nad balustradą. Powietrze nad Djupadalen przeszył wrzask, gdy człowiek runął w wodę. Potem nastąpiła cisza. Teraz, kiedy wszystko dobiegło końca, nawet krople deszczu padały bezgłośnie.

Cztery lata później

Redakcja „Haugesunds Avis”

Poniedziałek rano, 13 października 2014 roku

Na ekranie komputera migotało pojedyncze zdanie. *Tekst: Viljar Raun Gudmundsson.* Dziennikarz zamrugał kilka razy, piekły go oczy. Minęła już

pierwsza godzina dnia pracy, a on zdołał jedynie napisać swoje nazwisko.

Podniósł wzrok i zerknął w stronę ulicy Karmsundsgata, na ruchomy obraz przedstawiający samochody, deszcz i mgłę. Projektanci nowego budynku redakcji w Haugesund być może uznali, że przeszklona ściana zapewni inspirację mrówkom robotnikom tyrającym w otwartym biurze, ale Viljar widok ulicy przygnębiał w tym samym stopniu co słuchanie *The Black Album* Metalliki granego na fletni Pana.

Pomieszczenia były całkiem nowe, ale dziesięć lat w tym samym miejscu pracy działało na Islandczyka Gudmundssona niczym powolny drenaż sił witalnych. Radość z ujawnienia afery mogącej doprowadzić do burzy w mediach szybko nikła podczas wiecznego polowania, które zamieniało wczorajsze sensacje w *yesterday's news*. Nic nie płośniało szybciej od druku.

Viljar spróbował rozprostować plecy. Dopiero co skończył czterdzieści lat, a niekończące się godziny przed klawiaturą i ekranem już odcisnęły piętno na jego ciele. Rozejrzał się i zauważył, że jest jedynym, który nie pracuje. Klekot klawiatur jego sąsiadów przypominał mu odgłos wydawany przez tysiące karaczanów biegnących po podłodze, a gwar głosów innych dziennikarzy irytował go bezgranicznie. Zastąpienie starych, hermetycznych biur mrowiskiem, noszącym szumną nazwę open space'u, było czystym skurwysyństwem.

Oprócz ciszy Viljar tęsknił również za swoim fotelem. Ów wielki, głęboki mebel, który stał przy jego starym biurku, pozwalał na odchylenie oparcia, co zapewniało komfort całym plecocom. W spokojniejsze dni w pracy mógł zafundować sobie *power nap* w dowolnej chwili. Fotele w nowej przestrzeni biurowej były niskie, a ich oparcia naciskały dół pleców, przez co siedzący wyglądał, jakby wepchnięto mu zatyczkę analną w odbyty.

Viljar wypluł pozbawioną smaku gumę antynikotynową i wsunął do ust prymkę snusu, a potem rozejrzał się ponownie. Krajobraz nigdy się nie zmieniał. Wokół ciągnęły się rzędy boksów ze stanowiskami pracy – oddzielone od siebie ledwie półtorametrową ścianką białe klocki z błękitnym frontem, przypominające przerośnięte stacje dysków. Jedynym urozmaiceniem był ustawiony na środku sali zestaw niewyobrażalnie brzydkich zielonych niewygodnych mebli do siedzenia.

Obok nich zatrzymał się akurat redaktor naczelny Johan Øveraas. Viljar przyjrzał mu się uważnie i skonstatował z zadowoleniem, że sześćdziesięciodwuletni przełożony nigdy jeszcze tak bardzo nie nadawał się do odejścia na emeryturę. Dla koncernu Orkla Media Johan był idealnym kandydatem na stanowisko szefa redakcji – pozbawionym

skrupułów, zimnym i moralnie zwyrodniałym, ale w stu procentach lojalnym wobec zwierzchników.

Naczelnny zauważył spojrzenie Viljara i zbliżył się do jego niewielkiego boksu.

– Ty pieprzony obiboku! Do jasnej cholery, nie ma dnia, żebyś nie wymknął się z redakcji w godzinach pracy! Masz mnie za kompletnego idiotę? Myślisz, że nie widzę, kiedy ludzie przychodzą i wychodzą z pracy?

Øveraas napęczał niczym rozdymka, ale Viljar powstrzymał się z ripostą. Doskonale wiedział, o co przełożonemu chodzi – w piątek Viljar wyszedł z pracy bez żadnego wyjaśnienia.

– Mam cię dziabnąć w pewne miejsce, żeby cię zmusić do reakcji, czy może będziesz tak miły i odpowiesz, kiedy do ciebie mówię? – warknął szef. Wybałuszył przy tym oczy, a kolor jego twarzy coraz bardziej przypominał błękitny.

Viljar miał z początku nadzieję, że ktoś z dyżuru weekendowego zajmie się artykułem, który Øveraas powierzył mu w piątek, ale tak się nie stało. Sprawa wypłynęła w poniedziałek na porannej odprawie i temat wylądował na jego biurku niczym oślizgły ślimak bez skorupy. Viljar miał czas do dwunastej.

Innymi słowy, pozostały mu trzy godziny na napisanie tekstu kategorii A na dwieście słów, a potem tekstu kategorii B, tym razem na sześćset słów, o związku zawodowym Mental Helse. Jego członkowie byli niezadowoleni z traktowania, jakiego doznawali podczas niekończących się wędrówek między pogotowiem, szpitalem, lekarzami rodzinnymi i psychiatrami. Tym razem przeszli samych siebie i ostrzegali przed osobami z poważnymi zaburzeniami psychicznymi, które włóczyły się po mieście, gdyż nigdy nie zostały przechwycone przez system.

Viljar spoglądał potulnym wzrokiem na redaktora. Z doświadczenia wiedział, że należy ukoić gniew szefa, gdyż w przeciwnym razie naczelnny jest gotów eksplodować.

– Wyluzuj. Miałem problemy z żołądkiem i nie chciałem zasmrodzić całego lokalu. Już siedzę nad tym tekstem.

Johan Øveraas stał jeszcze przez chwilę, a potem wylądował złość na dwóch długopisach, które strącił wściekłym gestem na podłogę. Następnie odwrócił się i odszedł do swego biura.

Viljar westchnął, podniósł długopisy i raz jeszcze przejrzał fakty, na podstawie których miał napisać artykuł.

Jałowe. Nudne. Mało wciągające.

Te trzy słowa idealnie określały zarówno treść artykułu, jak i pracę z nim związaną. Mimo to godzinę później tekst był już bliski ukończenia, choć brakowało mu duszy, wyobraźni i intrygującej literackiej iskry, przez co zaliczał się do kategorii zwanej przez dziennikarzy PPP – Politycznie Poprawną Paszą.

Viljar ziewnął, wparł stopy w wykładzinę i pozwoliwszy sobie na minutkę zapomnienia, rozparł się na czarnym fotelu. Mebel momentalnie przechylił się mocno do tyłu. Viljar krzyknął, przerażony perspektywą upadku na podłogę, i w ostatniej chwili złapał równowagę. Rozejrzał się pospiesznie, ale nikt nie widział tej chwili słabości, a potem westchnął z rezygnacją i kliknął ikonkę Send, nie zwracając sobie głowy ponownym czytaniem tekstu.

Nadszedł czas na pierwszą przerwę na papierosa tego dnia. Viljar złapał więc swój długi, szary płaszcz wiosenny, który kupił we Freteksie przed trzema laty za pięćdziesiąt koron. Powiewając jego połami, ruszył przez korytarz w kierunku windy. Gdy mijał ostatnie i najmniej istotne stanowiska pracy, któryś ze stażystów pozdrowił go podniesieniem ręki, ale dziennikarz nie zaszczycił żółtodzioba spojrzeniem. W hierarchii redakcyjnej stażyści znajdowali się pod nim. Przynajmniej na razie.

Na parkingu przed budynkiem stał już jeden z kolegów Viljara, zaciągając się papierosem. Dziennikarz udał się więc w przeciwnym kierunku i zapalił, gdy znalazł się dostatecznie daleko. Jedynym, czego nie cierpiał bardziej od Politycznie Poprawnej Paszy, byli ludzie, którzy nie potrafili powiedzieć nic ciekawego. Viljar z trudem wytrzymywał własne towarzystwo, a do innych po prostu nie miał cierpliwości.

Niespodziewanie poczuł falę wyrzutów sumienia, gdy uświadomił sobie, że zapomniał sprawdzić, czy Alexander dotarł do szkoły. Przypomniawszy sobie poprzedni pobyt syna. Nie przewidywał żadnych problemów, ale później okazało się, że Alexander wagarował przez kilka dni. Viljar nie miał pojęcia, jak się zajmować nastolatkiem ze zdiagnozowanym ADHD, który pomieszkiwał u niego raz na jakiś czas.

„Co ja robię nie tak? Kiedyś zawsze mogliśmy na siebie liczyć i uwielbialiśmy własne towarzystwo, ale niewiele z tego zostało. Nawet rozmawiać ze sobą nie umiemy. Co się, do cholery, właściwie stało?”

Jego eks – którą w myślach nazywał Heksą – zależało, by od samego początku Viljar przejął swoją część odpowiedzialności. Kiedyś odwoził syna do matki w niedzielę po południu, ale teraz Alexander ukończył szesnasty rok życia i pojawiał się, kiedy tylko zechciał. Jego matka twierdziła, że to

element naturalnego rozwoju, a Viljar nie chciał protestować, choć jeszcze bardziej komplikowało mu to życie.

Wyszał ostatnie siły witalne z papierosa, rzucił niedopałek na ziemię i wrócił do budynku. Szedł korytarzami, zostawiając za sobą nieprzyjemny zapach spalonego tytoniu. Kilku mijanych niepalących zmarszczyło demonstracyjnie nosy, ale Viljar miał ich zdanie w głębokim poważaniu. Przytłumił nieco woń, wsuwając do ust kolejną gumę antynikotynową, a wtedy dostrzegł, że przy jego boksie znów stoi Øveraas.

– Gdybym ci potraçał za każdą cholerną przerwę, którą sobie fundujesz, wyszłaby z tego miesięczna pensja, Gudmundsson – oznajmił redaktor naczelny, wsunąwszy dłonie w fałdy tłuszczu.

– A gdybyś porównał liczbę słów, które piszę, z tym, co produkują inni dziennikarze, odkryłbyś, że należy mi się podwyżka. Każdy artykuł ma zawsze kilka stron, Øveraas. Powinieneś o tym wiedzieć, skoro uważasz się za naczelnego.

Korpulentny szef redakcji znów poczerwieniał na twarzy.

– Gudmundsson, długość artykułów to nie jest najważniejsza sprawa, do cholery!

– No nie, ale tak czy owak powinieneś to wiedzieć.

Viljar uśmiechnął się krzywo i przecisnął się obok naczelnego. Wszystko wskazywało na to, że Øveraas straci panowanie nad sobą, ale na szczęście stracił również umiejętność ubierania myśli w słowa. Naczelnny odwrócił się na pięcie, kopnął stojącą na podłodze doniczkę i opuścił strefę konfliktu, zanim doszło do otwarcia ognia.

Nie było drzwi, które można by za nim zamknąć, więc Viljar założył słuchawki na uszy. Ze smutkiem spoglądał na nieskończoność za oknami. Całymi godzinami mógłby siedzieć i wpatrywać się w krople, które ześlizgiwały się po zaparowanej szybie i tworzyły kręty wzór. Ludzie chronili się przed ciężkimi od deszczu chmurami przy Seven Eleven po drugiej stronie Karmsundsgata i szykowali się do biegu ku czekającym na nich samochodom.

Viljar wyciągnął z szuflady stary T-shirt i wytarł nim włosy, żeby krople wody nie spadały na klawiaturę, a potem wrzucił ciuch pod biurko. Sprawdził pocztę. Była pełna nowych wiadomości – głównie nic nieznaczących informacji od szefostwa oraz reklam. Zaczął je usuwać, uważnie je przeglądając, aby nie wyrzucić czegoś ważnego, aż zostały mu trzy maile: potwierdzenie umówionej wizyty w Helse Fonna, wiadomość od kolegów z pracy obstawiających mecze i mail od człowieka, którego

nazwiska nie kojarzył. Przypuszczalnie był to czytelnik, który miał ochotę wykazać, że Viljar o czymś zapomniał lub pominął jakiś szczegół w którymś artykule. Viljar westchnął. Najgorszą częścią jego pracy były ciągłe komentarze od ludzi, którzy najwidoczniej oprócz pisania skarg nie mieli nic innego do roboty. Często byli to ci sami ludzie. Dziennikarz otworzył maila.

Już po kilku sekundach w piersi Viljara odezwał się ból, a pokój zaczął wirować. Dziennikarz skrzywił się, z trudem łapiąc powietrze, a potem podniósł się i ruszył przed siebie. Przez chwilę chodził bezładnie po wielkim pomieszczeniu i oddychał głęboko, tak jak pokazała mu psycholożka. Próbował skupić myśli na czymś innym, choć w tej chwili nie przychodziło mu to łatwo. Z trudem skinął koledze, poluzował nieistniejący krawat i powrócił do swego biurka. Wbił wzrok w tekst na ekranie komputera. Litery unosiły się i falowały. Viljar otarł słońą kroplę potu, która spadła mu do oka, i przeczytał maila ponownie.

DO: Viljar Gudmundsson

Piszę do pana, ponieważ wiem, że jest pan uczciwym człowiekiem i potępi to, co mam zamiar zrobić, ale jednocześnie będzie mógł zrozumieć moje oburzenie i frustrację z powodu rozpadu państwa prawa.

Istnieją prawa mające nas uchronić przed sytuacjami, w których ludzie zdobywają zbyt wielką władzę. Nie powinno się mówić niczego złego o tych, którzy są owym prawom posłuszni, przyznają się do winy i ponoszą sprawiedliwą karę. Moja uwaga kieruje się więc ku tym innym – tym, którzy nawet w godzinie sądu unikają kary i wymykają się na wolność. To hieny żerujące na społeczeństwie, tchórzliwe, zachłanne i wykrętne. Zasługują na karę, którą im wymierzam. Wiem, że sam poniosę konsekwencje moich czynów, ale gdy nadejdzie ta chwila, stawię karze czoło z podniesioną głową. Zanim to nastąpi, ludzie będą ginąć z mojej ręki – wszyscy co do jednego winni, którzy na swój sposób uniknęli prawomocnej kary.

W dzisiejszym społeczeństwie coraz mniej ludzi myśli o kimś innym poza sobą samym. Poczucie solidarności już nie istnieje. Duch wspólnej pracy społecznej znikł. Lojalność wobec pracodawcy to obce słowo. Ludzie okradają dłoń, która ich karmi.

Pośród tych chciwych znajduje się pewna kobieta, która jest winna wielu poważnych oszustw oraz sprzeniewierzeń w pracy. Nie była wcześniej karana, ale nie zostanie to uznane za okoliczność łagodzącą. Kara zostanie

wymierzona rano we wtorek, 14 października.

13.10.14
Stein Åmli
UL7-1

Viljar wepchnął pod wargę nową prymkę snusu. Czuł mrowienie w palcach rąk i nóg. Ponownie nabrał tchu i powoli wypuścił powietrze. Jego umysł zasnuwała kurtyna dobrze mu znanego mroku. Czy powinien jakoś się ustosunkować do tego maila? Czy powinien coś zrobić? Litery wołały do niego z ekranu, ale w duszy Viljara odezwała się niechęć. Miał ogromną ochotę ulec najlepiej mu znanemu mechanizmowi obrony i wywalić to cholerstwo w diabły. Jego psycholożka nazywała to „syndromem uniku”. Próbowwała go przekonać, że większość zmartwień prześladowających człowieka jest całkowicie bezpodstawna, ale Viljar miał skądś pewność, że akurat ten mail wcale nie należy do tej kategorii. Wystarczyłoby jedno kliknięcie, a problem zniknąłby z jego świata.

Nie. Wcale by tak nie było.

W głębi serca nie wierzył, że ma przed sobą prawdziwy list z groźbą. Przecież nikt nie pisze takich rzeczy! Niemniej w treści dostrzegł coś, co wzbudziło w nim lęk. Wytarł lepkie dłonie w nogawki. Ten mail wyglądał, jakby wzięto go z kiepskiego kryminału, a jego autor uważał się za klasycznego sędziego, który bierze wymierzanie sprawiedliwości we własne ręce i usprawiedliwia swe poczynania przed dziennikarzem. Zużyty schemat, który skłoniłby każdego redaktora pracującego w wydawnictwie do odrzucenia manuskryptu przed przeczytaniem pierwszego rozdziału do końca.

Mail, który Viljar nazywał już w myślach „ogłoszeniem wyroku”, wydawał się sklecony w przeciągu pięciu minut bez szczególnego polotu. Być może to z tego powodu włosy stanęły dziennikarzowi dęba? Przecież wiadomość nie musiała przypominać wyroku sądowego. Viljar miał wrażenie, że list został napisany tylko dlatego, że napisać go należało, a nie dlatego, że jego autor czuł potrzebę podzielenia się gniewem na całe społeczeństwo – co przeraziło Viljara o wiele bardziej, niż gdyby był to prawdziwy, przepiękny list z pogrózkami.

Pospiesznie wyszukał nazwisko Stein Åmli, co oczywiście niewiele dało.

Natknął się jedynie na rozmaite oferty skupu kamienia, tłuczni i żwiru w miejscowości Åmli.

Fałszywe nazwisko.

Wiedział, że jeśli pójdzie z mailem do Øveraasa, symbole dolara w oczach redaktora zawierają, jakby ktoś szarpnął za wajchę jednorękiego bandyty na promie do Danii. Jego palec serdeczny raz jeszcze musnął klawisz Delete w prawym górnym rogu klawiatury, ale dziennikarz cofnął rękę. Musiał się dowiedzieć, co o tej kupie bzdur powie Ranveig. Podniósł się znad biurka i ruszył zgarbiony przed siebie, co nie zachęcało do nawiązania jakiegokolwiek kontaktu. Viljar zauważył, że ludzie trzymają się od niego z daleka.

* * *

Ranveig Børve dostrzegła mrok w oczach Viljara kilka sekund przed tym, jak się zatrzymał przy niej. Zupełnie jej to nie dziwiło. Dziennikarz zazwyczaj trzymał się od niej z daleka, gdy miał dobry dzień, a podchodził bliżej tylko wtedy, gdy trafiał się gorszy. Kiedyś na festiwalu kulinarnym w Stavanger kupiła mu T-shirt z napisem „Zawsze jest coś na rzeczy”. Viljar często nosił go w pracy i najwyraźniej nie zrozumiał ironii.

Niełatwo było polubić Viljara, ale młodziej o dziesięć lat Ranveig jakoś się to udało. Został jej mentorem, gdy rozpoczynała pracę dziennikarki w redakcji. Był wówczas człowiekiem z błyskiem w oku, pełnym ognistego zapału, prawdziwym mistrzem w tworzeniu wiadomości z tego, co dla innych było zaledwie notatką. Teraz na odwrót.

Coś się wydarzyło. Jakies cztery lata temu Viljar poszedł na długie zwolnienie lekarskie, a po powrocie przypominał już cień samego siebie. Nikt nie miał pojęcia, co odebrało Islandczykowi iskrę życia, ale rynek plotek w redakcji przypominał nienasyconego trolla.

Ranveig odgarnęła długą jasną grzywkę i zmusiła się do uśmiechu.

– Cześć, Viljar – powiedziała, odwracając się do niego. – Skończyłeś już ten artykuł o opiece psychiatrycznej? Øveraas mało nie wpadł w szal, kiedy się dowiedział, że go nie napisałeś.

Viljar opadł ciężko na pusty fotel w boksie Ranveig. Zbył jej pytanie machnięciem rąk, położył na jej biurku kartkę z wydrukiem i postukał w tekst palcem wskazującym.

– Co o tym sądzisz? Wylądowało w mojej skrzynce odbiorczej kilka minut temu.

Ranveig założyła grzywkę za ucho i przestudiowała treść, przesuwając długopis w dół w miarę czytania. Przerwała w kilku miejscach, spoglądając pytająco na Viljara, ale ten nie odezwał się ani słowem. Dziennikarka doczytała do końca.

– Co za *bullshit* – powiedziała. – Następny koleś, który chce nas sprowokować i poznać metody, którymi działaliśmy podczas afery z Terrą.

Wyglądało na to, że Viljarowi ulżyło, ale w jego spojrzeniu nadal pozostało nieco paniki.

– Nie bierzesz chyba tego na poważnie, Viljar?

– Nie, jasne, że nie, ale nie mogę dać tej wiadomości Øveraasowi. Będzie miał taką erekcję, że przez resztę dnia nie przestanie się miotać z podniecenia po biurze.

Ranveig roześmiała się i pochyliła ku Viljarowi.

– Tak, zupełnie jak wtedy, gdy Arsène Wenger przyjechał do miasta, by kupić Håvarda Nordtveita do Arsenalu – szepnęła i zachichotała jak nieposłuszna uczennica.

Viljar pokiwał głową i się uśmiechnął. Przysunął sobie kartkę z wydrukiem i spojrzał na Ranveig.

– A tak na serio to co ja mam z tym zrobić?

Ranveig zerknęła na długopis w swojej dłoni, jakby to był róg obfitości.

– Wyślij kopię na policję i olej sprawę. Jeśli przyjdzie co do czego, niech policja się tym zajmie. Gość wyraża dość radykalne stanowisko polityczne, nie sądzisz?

– Oczywiście. Masz całkowiłą rację.

Pochylił się i uściśnął kobietę, a Ranveig, całkiem zaskoczona, niezgrabnie odwzajemniła gest.

– Super. To na razie – powiedziała i przegnała niezręczną atmosferę sztucznym uśmiechem.

Nie chciała mówić tego na głos, ale mail wydał jej się mocno podejrzany. Przecież znajdowali się w Haugesund, a nie w jakimś kiepskim odcinku *Zabójczych umysłów*. Miała nadzieję, że uczucie, które pojawiło się w jej żołądku, nie zwiastuje niczego poważnego i że już nigdy nie dostaną wiadomości od Steina Åmliego.

Requiem – Introitus

Spoglądam w jej oczy, ciemnozielone i skrzące. Widzę w nich flirtujący

błysk, gdy odkrywa, że to ja. Kąciki jej ust unoszą się lekko, gdy uśmiecha się bezczelnie. Bez wahania zdejmuje ze mnie ubranie i zrzuca je na podłogę, wyłożoną panelami z początku lat siedemdziesiątych. Podłoga nie odbiega stylem od reszty wystroju tego mało nowoczesnego, zaniedbanego mieszkania w bloku. Rita Lothe radzi sobie o wiele lepiej w łóżku niż z urządzeniem wewnątrz, że tak to ujmę.

Z wprawą rozbiera siebie i mnie, a moje spojrzenie błądzi po mieszkaniu i wychwytuje nowe szczegóły. Stary, dobrze wyposażony barek z pożółkłego drewna sosnowego, stojący obok narożnej kanapy. Mrugający laptop spoczywa na poręczach wysłużonego fotela, obitego czarną skórą. Nie wiem jeszcze, czy jest chroniony hasłem. Rozglądam się w poszukiwaniu jej telefonu. Sporo zależy od tego, czy go tej nocy znajdę. Jej oddech staje się coraz szybszy, czuję, że jest podniecona. Pozwalam, by rozpięta swoje guziki, a sam przyglądam się drzwiom balkonowym i samemu balkonowi. Całkiem spory, stwierdzam, a ona wzdycha z zadowoleniem i obejmuje ustami mojego penisa.

Dwadzieścia minut później łapiemy znów oddech, a w mojej głowie aż dudni. Masuję wrażliwy rejon za lewym uchem i uświadamiam sobie, że taki wysiłek tylko potęguje moje bóle. Odczuwam je jako ukłucia wzdłuż nerwów, rytmiczne pulsowanie, a w ustach pojawia się osobliwy metaliczny posmak.

Wiem, co mnie czeka. Wiem to od dawna. *Glioblastoma multiforme...* Brzmi pięknie, prawda? Prawie jak nazwa tropikalnej rośliny z leksykonu botanicznego.

Niektórzy utrzymują, że śmierć jest piękna. W dawnej Grecji wyobrażano ją sobie pod postacią atrakcyjnego młodzieńca, którego przedstawiano na nagrobkach jako boga obrońcę ze zgaszoną pochodnią i wieńcem w dłoni. Sam nie dostrzegam w tym niczego pięknego. Śmierć jest samotna, mroczna i straszna. Czasami również bolesna, jak u mnie. Nie poleciłbym *glioblastoma multiforme* bądź glejaka wielopostaciowego, jeśli wolicie tę nazwę, komuś, kto łyka trzy tabletki paracetamolu na pierwsze objawy kaca.

Mój nowotwór bezustannie krzyczy do mnie ze swego gniazda za lewym uchem i angażuje moją uwagę. Wiem, że tam jest, i wiem, co robi. Mam jeszcze czas. Kilka tygodni, może nawet miesięcy, jeśli się uda.

Rita wychodzi z łazienki, wykąpana, świeża i piękna.

– O co chodzi?

Moje nozdrza wychwytyują zapach jaśminu. Rita siada obok mnie, unosi

kieliszek z czerwonym winem i pije chciwie. Ja, za każdym razem, gdy Rita wychodzi z pokoju lub gdy coś zajmuje jej uwagę, wylewam zawartość swojego do wazonu z kwiatami.

Przynoszę z przedpokoju plecak i wyciągam z niego kolejną butelkę czerwonego wina. Rita, zachwycona, szczebiocze z kanapy. Otwieram butelkę i stawiam obok jej kieliszka. Tam prędej zostanie opróżniona, niż wywietrzeje. Sam znajduję inny kieliszek i nalewam sobie koniaku z barku.

Renault Carte Noir – VSOP.

Jej kubki smakowe już dawno obumarły – myślę, obracając złocistobrazowy płyn w ustach. Jego smak jest paskudny, wręcz martwy. Idealnie wpasowuje się w sytuację.

Benzodiazepiny istnieją w rozmaitych formach, a wiele z nich łatwo rozpuszcza się w wodzie czy innych płynach. Wadą jest to, że większość z nich nadaje napojowi gorycz, którą trudno ukryć. Cztery tabletki nasenne wrzucone do butelki wina również zmienią nieco jego smak, co łatwo zauważyć, chyba że wypilo się już tyle, że smak przestaje mieć znaczenie.

Nic w zachowaniu Rity nie wskazuje na to, żeby cokolwiek jej przeszkadzało. Pije tak, jak lubi, coraz większymi łykami i coraz częściej sobie dolewa. Czuję, jak rozchodzi się we mnie spokój. Ów gorzki posmak wina to jedyna fałszywa nuta w partyturze. Teraz pozostaje tylko czekać.

Jej spojrzenie jest rozmazane. Rita mamrocze niewyraźnie, ziewa, bełkocze. Ułożyłem doprawdy mistrzowski plan. Moje *requiem aeternam*. Kompozycja leży na biurku w domu, drobiazgowo rozpisana w sześciu częściach. Sześć nazwisk. Sześć wyroków śmierci. Sześć temp.

Wszystko musi się rozegrać dokładnie tak, jak zostało opisane. To coś na kształt krzywego zwierciadła, wystarczy krok w bok, a iluzja zniknie. Wystarczy zapomnieć o jednej błahostce, a wszystko ulegnie zmianie.

Zerkam na żyrandol rzucający mętne światło. W kątach mieszkania Rity czai się półmrok. Oto metafora mojego życia. Byłem w pokoju, ale światło nigdy na mnie nie padło. Wiodłem życie, które prawie mnie przerosło, aż wreszcie postanowiłem wyjść z cienia. Cieszy mnie to, że wszyscy ujrzą moje dzieło. Wszyscy będą świadkami mojego majstersztyku, równie wielkiego jak ostatnia część którejś z symfonii Mahlera.

Ja jestem Maestro.

Spoglądam na swe dłonie. Są nieruchome, nie drżą.

Rita znajduje się w samym środku *Confutatis maledictis*, choć sama nie ma o tym pojęcia. Bawi mnie to, że leży pół metra ode mnie, z błogim uśmiechem na ustach. Nie ma pojęcia, że piasek w jej klepsydrze zaraz się

przesypie.

W krótkim przebłytku nagłej autorefleksji widzę siebie takiego, jakim jestem naprawdę. Wrona uderza skrzydłami. Ja muszę w to uwierzyć. To ja jestem moim arcydziełem, a doprowadził do tego przypadek. Doznałem objawienia. Dostałem szansę skomponowania własnego requiem.

Ostrożnie zamykam oczy grzeszniczki śpiącej obok mnie i maczam gazę w przezroczystym jak szkło płynie z flaszki na stole, a potem nakrywam nią jej usta i nos. Słyszę, jak Rita jęczy, widzę, że chce się obudzić, ale liczę sekundy. Po chwili znów zasypia. Wszelki ból znika. Jestem czysty.

Ból to słabość, która opuszcza ciało – myślę z zadowoleniem i zamykam ostatnie drzwi prowadzące do życia, którym kiedyś żyłem.

Fjellvegen, Haugesund

Wtorek rano, 14 października 2014 roku

Nad miastem przy Karmsundet kłębiła się gęsta mgła znad morza, wilgotny, lepki dywan, który powoli wysysa z człowieka siły vitalne. W powietrzu czuć było jesień. Gdy lądujący o ósmej dwadzieścia samolot z Oslo przeciął pokrywę chmur nad wieżowcami, pasażerowie mogli przez moment ujrzeć najwyższe piętra i niebiesko-czerwone migotanie na wzgórzu.

– Powiedz mi, Lotte, czemu koniecznie trzeba wysyłać tyle patroli za każdym razem, gdy jakiś pogrążony w depresji palant postanowi rozwiązać swój problem na skróty?

Sierżant Lotte Skeisvoll z Haugesund zerknęła z głupią miną na posterunkowego, który siedział za kierownicą. Oboje wyruszyli z komendy przy Smedasundet, kiedy jeden z patroli poprosił o pomoc na osiedlu Fjellvegen.

Christian Hauge trzymał mocno kierownicę. Jego sposób prowadzenia auta nie odpowiadał nastawieniu do sprawy, bo radiowóz z migoczącym niebieskim światłem przemknął na syrenie przez rondo przy redakcji „Haugesunds Avis”. Kierowca małego czarnego golfa, przestraszony brawurą policjanta, zatrzymał pojazd na wysepce przegradzającej pasy na jezdni. Lotte ukryła uśmiech.

Wezwanie dotyczyło podejrzenia morderstwa, choć zdarzenie w gruncie rzeczy nie wyglądało bardzo podejrzanie. Według wszystkich znaków na niebie i ziemi pewna kobieta skoczyła z balkonu i ze skutkiem

śmiertelnym wylądowała na asfaltowym pasie między blokiem a trawnikiem. Wypadek śmiertelny zawsze jednak był uważany za podejrzany do chwili, gdy ustalono przyczyny. Mogli mieć do czynienia zarówno z samobójstwem, jak i z tragicznym wypadkiem.

Po minięciu Spannavegen, gdzie ruch nieco zelżał, młody funkcjonariusz zaczął prowadzić spokojniej. Lotte przechyliła głowę i z irytacją próbowała wyregulować radio policyjne na desce rozdzielczej. Nie było połączone z zestawem stereo na wyposażeniu auta, a takie szczegóły złościły ją niepomiarnie.

– Serio trzeba wysyłać więcej niż jeden patrol? – spytał Christian i obrzucił ją badawczym spojrzeniem, po czym znów skupił się na drodze.

– A jakby się okazało, że ofierze ktoś pomógł?

– Tak, ale wówczas funkcjonariusze z pierwszego patrolu mogliby zadzwonić do komendy i wezwać resztę zespołu. A tak marnujemy środki.

– Jasne – odpowiedziała Lotte. Jej głos ociekał sarkazmem.

Policjantka przeanalizowała w myślach rutynową procedurę działania i napomniała się, by pamiętać o wszystkich szczegółach. Radiowóz zbliżał się do szarobiałych kolosów, strzegących Miasta Śledzi^[2] od chwili oddania ich do użytku w 1969 roku, pomnika upamiętniającego czasy, kiedy miasta z szacunku dla siebie budowały bloki.

Lotte miała trzydzieści dwa lata, a to dużo jak na sierżanta i śledczego w policji. Ukończyła wszystkie potrzebne kursy, ale wyglądało na to, że musi upłynąć wieczność, zanim otworzy się dla niej droga awansu.

Posterunkowy zatrzymał samochód na parkingu przed wieżowcami. Ciało denatki miało się znajdować przed północnym budynkiem. Gdy Lotte otworzyła drzwi, usłyszała rozmowy zgromadzonych gapiów. W głębi duszy miała nadzieję, że pierwszy patrol miał na tyle rozumu, by zabezpieczyć obszar wokół ciała. Zakładała, że okażą nieco więcej profesjonalizmu niż jej partner. Z ulgą zauważyła więc, że zza bloku wyszedł jej na spotkanie najstarszy stażem w komendzie oficer. Lars Stople miał za sobą długie życie w policji i bez wątpienia wspinałby się po szczeblach kariery, gdyby był tym choć minimalnie zainteresowany. Uchodził za rozsądnego, spokojnego i zrównoważonego mężczyznę, który nigdy nie prowokował zachowaniem. Zajmował się głównie działaniami prewencyjnymi wśród dzieci i młodzieży, ale poprosił również o to, by włączano go do patroli. Przejechał dłonią po gładko zaczesanych siwych włosach i zwrócił się do policjantki:

– Cześć, Lotte. Zabezpieczyliśmy teren i rozpoczęliśmy rozmowy

ze świadkami.

Lars Stople wskazał ruchem głowy rząd kilku garaży i małą białą trafostację. Zgromadziła się tam grupka ludzi, którzy wyciągali szyje niczym gromada ciekawskich żyraf nad głowami zafascynowanych turystów.

– Większość zaczęła się schodzić, gdy rozeszła się plotka, ale jest kilka osób, z którymi należałoby pogadać dłużej – dodał.

Lotte widziała, że partner Larsa, Knut Veldetun, jest pogrążony w rozmowie z kilkoma osobami.

– A technicy? – Spojrzała pytająco na Larsa.

– Nie wiem. Chyba w drodze. W każdym razie poprosiłem, żeby przyjechali. Wydaje mi się, że poza mną i dwoma ludźmi z karetki nikt nie przeszedł na odgradzony teren.

– Wiemy, kim była zmarła?

Lars Stople zerknął na swoje notatki, pokręcił lekko głową i odchrząknął:

– Nie mamy pewności. Jeden z miejscowych twierdzi, że mieszkała pod 7B, a w takim razie byłaby to Rita Lothe, licząca pięćdziesiąt siedem lat. Jeszcze tego nie sprawdziliśmy. Skupiliśmy się na zabezpieczeniu miejsca tragedii.

– Dobra. Super, że się tym zajęliście. Pokażesz nam wszystko?

Stople uniósł taśmę, by Lotte mogła przejść, i poprowadził ją przed front bloku.

– Kobieta została zauważona przez sąsiada z pierwszego piętra, gdy wyszedł na papierosa – opowiadał Stople. – Działo się to nieco ponad pół godziny temu. Dojechaliśmy tu z Knutem dziesięć minut po zgłoszeniu.

Lotte zerknęła na ekran komórki i uznała, że informacje podane przez Stoplego się zgadzają. Wezwanie zostało przyjęte o ósmej pięć, a zbliżała się ósma czterdzieści pięć. Temu, że kobieta nie została znaleziona wcześniej, trudno się było dziwić – jesienna szarość i poranna mgła miały na to spory wpływ. Policjantka wyjęła z kieszeni kurtki czerwony notatnik i zapisała czerwonym długopisem w osobnych rubrykach zdarzenia i czas, w którym nastąpiły. Potem odwróciła notes i z tyłu zapisała pytania dla techników. Fakty zawsze zapisywała z przodu notatnika, a luźne wątki z tyłu, czyli tak jak być powinno. Tym razem ograniczyła się do jednego pytania: kiedy zginęła denatka?

Ciało kobiety było skulone, ale nawet z tej odległości Lotte zauważyła rozległe obrażenia. Denatka miała na sobie miętowozieloną suknię, cienkie cieliste rajstopy i czarne szpilki. Twarz była zmiażdżona do tego stopnia, że trudno było rozpoznać rysy. Głowę otaczała lepka, brązowoszara masa,

a ze zgruchotanej szczęki sterczały zakrwawione kawałki kości. Wokół strzaskanych ust leżały zęby, które wypadły na skutek zderzenia z asfaltem. Lotte poczuła mdłości.

– Co sądzisz? Morderstwo czy samobójstwo? – zwróciła się do młodszego kolegi.

Christian Hauge przestąpił z nogi na nogę.

– Eee... Nie mówiłaś w samochodzie, że to samobójstwo? – bąknął.

Lotte zauważyła z zadowoleniem, że poczerwieniał.

– Nie, nic takiego nie powiedziałam. Teorię o samobójstwie, jak widać, dorobiłeś sobie sam. Wyobraź sobie teraz, że jesteś jedynym policjantem na miejscu zdarzenia. Morderstwo czy samobójstwo?

Posterunkowy spojrział na Larsa Stoplego, ale weteran policyjny jedynie wzruszył ramionami.

– To tragiczny wypadek albo zabójstwo – orzekł Christian i spojrział na Lotte z pewnością siebie.

– A skąd ten wniosek?

– Ma zmiążdżoną czaszkę, a więc musiała wylądować na płask bądź głową w dół. Ludzie, którzy wyskakują z okien czy balkonów, żeby odebrać sobie życie, w dziewięćdziesięciu procentach lądują na nogach. Gdyby więc wyskoczyła sama, widzielibyśmy obrażenia nóg, bioder i miednicy. Tymczasem denatka ma zmiążdżoną głowę i ramiona.

Lotte popatrzyła na Christiana, próbując ukryć zaskoczenie.

– Rany, zaimponowałeś mi. Masz rację, choć fakty należałoby nieco zmodyfikować. Nogi tak czy owak łamią się po upadku z takich wysokości, ale tu obrażenia górnej części tułowia są tak rozległe, że skłaniałabym się do identycznego wniosku – oznajmiła i rzuciła poirytowane spojrzenie Larsowi, którzy najwidoczniej miał spore problemy z utrzymaniem powagi.

Policjantka wiedziała, że zasłużyła sobie na prztyczek w nos. Młody policjant oczywiście miał rację. Zerknęła w stronę siódmego piętra. Ze względu na mgłę widać było jedynie kontury balkonu, ale dojrzała, że balustrada jest zbyt wysoka, aby można było wypaść przez nią przypadkowo.

Lotte odnalazła w swej świadomości drogę do pustego pomieszczenia, w którym nie istniały żadne emocje poza zimnym cynizmem. Wznosiły się tam niebieskie nagie ściany i docierało jasne światło dnia, ale nie było żadnych okien. Tej techniki, polegającej na zamknięciu umysłu w miejscu, gdzie nic nie mogło wpłynąć nań emocjonalnie, wyuczyła się od mentora w szkole policyjnej. W pomieszczeniu tym mogła się skupić tylko

i wyłącznie na konkretach. Widok zmiądzonych twarzy, lepkiej masy mózgowej czy zmasakrowanych ciał nie robił jej różnicy. Mogła wówczas patrzeć beznamiętnie na skatowane dzieci, zwłoki toczone przez robactwo czy tłuste larwy much, wypełzające z otworów w ciele.

Pochyliła się nad twarzą martwej kobiety, zmiądzoną do tego stopnia, że praktycznie nierozpoznawalną. Jedna z gałek ocznych została wypchnięta z oczodołu i zwisała na nerwach, ale drugie oko było zamknięte. Kobieta wyglądała mniej więcej na sześćdziesiąt lat, a więc podany przez Larsa wiek – pięćdziesiąt siedem lat – się zgadzał. Miała krótko przycięte włosy w kolorze mahoni. Lotte widziała resztki farby na jej skórze głowy. Usta denatki pokrywała szminka, a ubiór wskazywał na to, że coś świętowała.

Są tacy, którzy się stroją, żeby ładnie wyglądać po śmierci, ale mało kto spośród nich decyduje się na skok z wysokiego budynku – pomyślała z przekąsem policjantka.

Nagle znieruchomiała. Wyczuła dziwny zapach nad zakrwawioną twarzą. Pochyliła się ku jednemu z policzków i wciągnęła powietrze.

– To eter – wymamrotał pod nosem Lars Stople, ale Lotte usłyszała jego słowa. Zmarszczyła brwi i spojrzała nieufnie na starego policjanta. – Tak, szmatka nasączona eterem jest w stanie wyłączyć człowieka z akcji na parę sekund. Trudno wyczuć ten zapach, który zresztą utrzymuje się przez krótką chwilę po śmierci. Eter w płynie wyparowuje w przeciągu kilku sekund, ale zapach osiada na skórze i pozostaje dłużej.

Policjantka w zamyśleniu pokiwała głową. A więc kobieta została wypchnięta przez balustradę, gdy była pod wpływem narkozy. Lotte ponownie zerknęła w górę.

Kto robi takie rzeczy? – pomyślała ze smutkiem.

Mordercy najwidoczniej nie zależało na tym, by śmierć została potraktowana jako samobójstwo, gdyż w przeciwnym razie nie sięgnęłyby po eter. Lars odwrócił wzrok od denatki. Nie był w stanie patrzeć na nią tak jak Lotte.

– Tak, dlatego właśnie skontaktowałem się z wami i zgłosiłem zabójstwo. Też zwróciłem uwagę na zapach. Pamiętam go z czasów, gdy operowano mi wyrostek robaczkowy. Wtedy używano eteru do znieczulania.

Lotte wyprostowała się i odwróciła do innych funkcjonariuszy, którzy stali obok niej.

– Nikomu nie wolno wchodzić na obszar wytyczony przez taśmy – zaczęła wydawać dyspozycje. – Wyjątek to zespół techniczny, który jest w drodze. Od chwili przyjazdu teren należy do nich. Rozciągnijcie nowe taśmy, żeby

zablokować dojazd od głównej drogi oraz otoczyć blok. Natychmiast rozpocznijcie przesłuchiwanie świadków. Knut, skoro już się tym zająłeś, przejmiesz odpowiedzialność za to. Weź ze sobą mojego posterunkowego.

Następnie zwróciła się do Larsa:

– Sprawdź, czy to aby na pewno kobieta spod 7B. Znajdź dozorcę i poproś o zapasowe klucze, na wypadek gdyby jej mieszkanie było zamknięte.

W kieszeni Lotte zawibrował smartfon. Policjantka zerknęła na ekran i uświadomiła sobie, że musi odebrać, choć znajdowała się w miejscu, gdzie najprawdopodobniej doszło do zabójstwa. Odeszła kilka kroków dalej.

– O co chodzi, Anne? Jestem bardzo zajęta.

Po drugiej stronie ciężko oddychała jej młodsza o pięć lat siostra.

– Serio? – odezwała się Anne, jak zwykle wolno i ociężale, jakby występowały opóźnienia w komunikacji między mózgiem a strunami głosowymi. – Niech cię szlag, ty nigdy nie masz czasu dla mnie! Bo już nie jestem dla ciebie ważna, co? Ci twoi cholerni kołesie znowu mnie zapuszkowali! Znowu!

Lotte miała wrażenie, że gęsta siwa mgła wnikała pod jej kurtkę, i zadrzała. Narastała w niej irytacja, ale zdołała się opanować. Po tym, jak straciły rodziców w strasliwym wypadku kolejowym przy Åsta, była dla swej siostry jedyną rodziną. Anne dzwoniła do niej codziennie, by podzielić się nowymi problemami lub po prostu na nią nawrzeszczyć. Dzisiaj, sądząc po wstępie, postanowiła zrobić jedno i drugie.

Lotte wielokrotnie prosiła kolegów, aby okazywali nieco więcej delikatności przy zatrzymywaniu Anne, ale wyglądało na to, że już się tym nie zajmowali. Anne była narkomanką biorącą w żyłę i powiązania rodzinne nie wystarczały, by obchodzić się z nią w jedwabnych rękawiczkach.

– Za co cię zatrzymano? – zapytała Lotte, choć doskonale znała odpowiedź.

– Za nic! Nic na mnie, kurwa, nie mają! Niczego złego nie zrobiłam, a to, co miałam przy sobie, było do własnego użytku. Ten pieprzony krawężnik nie potrafi porządnie zważyć!

– Ile miałaś przy sobie?

– A pies to jebał! Ty też mi nie wierzysz, co? Dobra, nie będę ci już truć! – wrzasnęła Anne do telefonu i się rozłączyła.

Ich rozmowy zawsze tak wyglądały. Lotte stała przez chwilę z bijącym sercem. Wiedziała, że nie powinna się przejmować, bo przez jej siostrę przemawiały alkohol i używki, ale słowa wypowiadała sama Anne, jej młodsza siostra, którą Lotte tak bardzo kochała. Tych kilka zdań wdarło się

do jej serca, przylgnęło do niego i sprawiło, że poczuła się jak zdrajczyni. Spojrzenie Lotte padło w końcu na kobietę leżącą na asfalcie przed blokiem, a wtedy odepchnęła od siebie wyrzuty sumienia.

Sprawdzi, co da się zrobić dla Anne, gdy znów stawi się w komendzie. Na razie jej uwagi wymagała inna kobieta. Martwa.

Redakcja „Haugesunds Avis”

Wtorek rano, 14 października 2014 roku

Ranveig Børve skończyła rozmowę z Viljarem przy jego biurku i już wracała do własnego, kiedy poczuła, że ktoś pociągnął ją za spódniczkę.

– I co tam słyhać u Smoka? – spytał uszczypliwie Henrik Thomsen, gdy kobieta się odwróciła. Thomsen, którego przezywano Rzeźnikiem, zawsze bezbłędnie wychwytywał wszystko, co pozwalało mu mieszać ludzi z błotem. Na ogół siedział na swoim zwykłym miejscu i karmił pochlebstwami jedną z dziewcząt z działu marketingu, którą przeniesiono na wyższe piętro redakcji, a teraz wyciągnął swe dwumetrowe ciało i podszedł do Ranveig. Stał tak blisko, że kobieta poczuła się niekomfortowo i szybko zrobiła krok w tył.

– Ze Smokiem?

– No wiesz, z tym Islandczykiem. Burkliwy, niebezpieczny, ziejie dymem z pyska, wykapany smok – rzekł Thomsen i rozejrzał się po pomieszczeniu z kpiącym uśmieszkiem, ale nikt nie zwrócił uwagi na jego dowcip. Ranveig zmierzyła go spojrzeniem.

– Aha, rozumiem. Sam masz tyle przezwisk, że zaczynasz wymyślać je innym? – rzuciła i nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę swojego stanowiska pracy.

– Aleś ty opryskliwa! – zawołał Henrik. – Masz okres czy może...

Ranveig zatrzymała się, odwróciła i pokazała mu środkowy palec, a potem skierowała się ku sali konferencyjnej zwanej Wstępniakiem, która sterczała niczym wyspa w pejzażu biurowym. Było to niewielkie, zamknięte pomieszczenie, które pomimo przeszklonej ściany północnej i południowej wyglądało nieco klaustrofobicznie. Umeblowano je nowocześnie, acz po spartańsku – stał tam wąski, wysoki, plastikowy stół otoczony niestabilnymi jasnozielonymi krzesłami barowymi. Projektowano je bowiem nie z myślą o wygodzie, ale po to, żeby było gdzie odbywać błyskawiczne, konstruktywne spotkania, na których każdy marzył o tym,

by jak najszybciej pójść w cholerę.

* * *

Wymiana zdań między Thomsenem i Ranveig uszła uwadze Viljara. Islandczyk pomrukiwał do siebie z zadowoleniem, ale czuł się zmęczony. Każdy dzień był dla niego niczym niekończąca się, lepka substancja, w której brnął z trudem przed siebie, próbując utrzymać głowę nad powierzchnią. Zawsze tak było. Żadnych zmian, żadnych inspiracji, żadnych nieoczekiwanych punktów kulminacyjnych.

Jego psycholożka, Vigdis Nygård, była gotowa wypisać mu zwolnienie lekarskie, ale się nie zgodził. Gdyby jej na to pozwolił, straciłby powód, by wstawać rano z łóżka.

– W ogóle nie cieszy cię to, co robisz – powiedziała ostatnim razem, gdy pili latte w Cafe Espresso na Haraldsgata w ramach nieformalnego układu, który wypracowali po wielu latach rozmów. – Jesteś wypalony, brakuje ci inspiracji i nie lubisz ludzi, z którymi pracujesz. Szef za tobą nie przepada, a twoje artykuły są tak suche i nudne, że nikomu nie chce się ich czytać. Jesteś pewien, że to właściwe miejsce dla ciebie?

Po tym, jak Vigdis wyszła z kawiarni, aby udać się na sobotnie zakupy z mężem i dziećmi, Viljar siedział przez całą godzinę i spoglądał na ludzki strumień przesuwający się po deptaku. Diagnoza nie przypadła mu do gustu, ale wiedział, że psycholożka miała rację.

Dzień włókł się powoli, a Viljar zamieniał jeden ciekawy materiał za drugim w krótkie fragmenty tekstu. Za oknem nadal nie widział niczego, co mogłoby go zainspirować.

Wczorajszą mżawkę zastąpiła gęsta, brudna mgła. Viljar wyprostował się i spróbował się skoncentrować. Powinien się skupić na tekście, ale kilka sekund później nadszedł ratunek. Redaktor Johan Øveraas stał na samym środku sali z telefonem w dłoni i gestykulował przez moment, aż zakończył rozmowę i wskazał Viljara.

– Zajmiesz się pewną sprawą, Gudmundsson. Dostaliśmy cynk.

– Tak? A o co chodzi? – spytał Viljar. Czuł ulgę na samą myśl o porzuceniu bezsensownych zadań, którymi się zajmował.

– Jedź na blokowisko. Policja już tam jest. Wygląda na to, że jakaś kobieta wypadła z balkonu – mówił z entuzjazmem naczelny. Jego fałdy tłuszczu podrygiwały, gdy przebierał w miejscu nogami.

– I co jeszcze, Øveraas? Wiesz, że nienawidzę zdarzeń ze skutkiem

śmiertelnym. Już o tym rozmawialiśmy. Nie biorę się do takich spraw.

Spojrzał na szefa wyzywająco.

Redaktor naczelny znieruchomiał, a potem stanął w rozkroku i przejął inicjatywę:

– Posłuchaj mnie, ty zadowolony z siebie, arogancki dupku! W tej chwili bierzesz dupę w troki i jedziesz na osiedle! Będziesz pisał to, co ci każę! Minęło już sporo czasu, odkąd sam decydowałeś o tym, czym będziesz się zajmował. Wystarczy, że odrobinę za głośno puścisz bąka, a twój etat zniknie jak sen złoty! Lepiej mi uwierz, Gudmundsson. Nie będziesz mi się stawiał!

Zniżył głos i ciągnął z groźbą w głosie:

– Szukam tylko powodu, żeby dobrać ci się do skóry, a podobno na następnym spotkaniu zarządu mamy rozmawiać o redukcji etatów.

Wskazał przy tym palcem jeden z pustych boksów, a potem wrzasnął do kilku redaktorów, którzy z zaciekawieniem wyciągali szyje:

– A wy na co się gapicie? Do roboty!

Głowy dziennikarzy schowały się za ściankami równie szybko, jak się pojawiły. Tylko Thomsen nadal stał i przyglądał się zajściu.

Viljar wiedział, że nie cieszy się już szczególną sympatią Øveraasa. Sam również nie przepadał za szefem, ale nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że ich konflikt może kosztować go pracę. Włożył więc szary płaszcz, który wisiał na krześle, zabrał ze sobą notatnik oraz smartfona i wyszedł ze spuszczoną głową z biura. Już wolał mgłę na dworze.

Na korytarzu natknął się na Henrika Thomsena, który specjalnie wyszedł mu na spotkanie.

– To na ciebie darł się Sauron? – spytał Thomsen i uśmiechnął się pod swym bujnym wąsem.

Viljar zatrzymał się, wyprostował, stanął na palcach i zadarł głowę, by móc spojrzeć wysokiemu koledze prosto w oczy.

– A może byś tak wrócił do swojego kącika i zwalił sobie konia przed tymi stronami, które zawsze dziwnym trafem znikają, gdy ktoś przejdzie obok twojego komputera?

Henrik Thomsen cofnął się i przepuścił Viljara bez dalszych dowcipów.

Cztery lata wcześniej

Dom modlitwy w Ådland, Karmøy

Poniedziałek, 16 sierpnia 2010 roku

Błyszczące złote litery na niebieskim tle układały się w słowo „ABRAHAM”. Jonas Ferkingstad spojrzął na swego ojca, który właśnie zawieszał transparent w sali zebrań domu modlitwy w Ådland. Odbywało się to zawsze przed cotygodniowymi spotkaniami modlitewnymi, po których transparent był znów zdejmowany.

Imię było jednocześnie nazwą parafii, wybraną nieprzypadkowo. Wiernym zależało na powrocie do korzeni, toteż chcieli się powoływać na bezpośrednią więź między samym Bogiem a człowiekiem. Członkowie grupy ślubowali wierność słowom Pisma Świętego w ich dosłownym brzmieniu i podzielali przekonanie, że inne kongregacje ulegały zeświecczeniu pod wpływem grzesznych społeczeństw. Słowo Boże dopasowywało się do wymagań świata zewnętrznego, a tak być nie powinno.

Jonas chętnie splunąłby na krzyż wiszący na ścianie, ale nie miał odwagi. W obecności ojca tracił śmiałość. Czuł się uwięziony. Z domu, w którym przeżył dzieciństwo, poznikały wszystkie książki, a pozostały jedynie Biblia i nagie ściany, na których tu i ówdzie wisiały krzyże lub płaskorzeźby. Rodzice niknęli w ciszy.

Jonas porzucił grę w piłkę nożną, odłożył też na półkę mundurek członka szkolnej orkiestry. Nie zrezygnował z tych zajęć dlatego, że musiał, ale dlatego, że zawsze wywoływały dyskusje, co prawda ciche i wyważone, ale takie, w których przegrywał. Czy istniało coś ważniejszego i szlachetniejszego od poświęcenia całego życia Bogu? Ojciec zawsze podkreślał przy tym, że ograniczył swój etat w sądzie wyłącznie po to, by móc służyć Panu i Pismu Świętemu.

Jonas pozostawił zajętego transparentem ojca i wyszedł na zewnątrz, aby zatracić się w smaku vestlandzkiego lata. Padało i wkrótce przemókł, ale nie przejął się tym, bo deszcz maskował zdradzieckie łzy, które pojawiały się coraz częściej, gdy zmuszano go do uczestniczenia w spotkaniach religijnych. Z początku udawało mu się utrzymać diabła z dala od siebie. Udawał wówczas, że wszystko, w czym bierze udział, to jedynie wytwór jego

wyobraźni, zupełnie inna rzeczywistość. Niestety, przestało to działać i chłopak nie mógł dłużej się ukrywać. Musiał pogodzić się z prawdą.

Cieszył się natomiast na weekend. Członkostwo w Centrum Młodzieżowym zapewniało mu azyl. Tam mógł zająć się czymś innym niż tylko niestrudzonym studiowaniem Starego Testamentu. Rodzice pozwalali mu chodzić na spotkania w tygodniu, a w weekend urządzano seminaria oraz kursy i odbywały się różne wydarzenia ważne dla ich okręgu. To była jego chwila oddechu, krótkie momenty, w których mógł być sobą bez żadnych ograniczeń.

Dwanaście miesięcy temu Jonas zauważył w drzwiach Centrum Młodzieżowego starszego od siebie o rok Fredrica Karjoliego. W głębi duszy rozumiał, że w tej sekundzie prawda została wykuta w kamieniu, ale jak dotąd wierzył, że Bóg w swej łasce spojrzy na niego i pozwoli mu odnaleźć właściwą drogę. Tymczasem miał wrażenie, że słyszy ironiczny śmiech Boga, rozbrzmiewający w niewielkim lokalu.

Jonas ponownie otarł z twarzy deszcz i łzy. Rozejrzał się po szarym, owianym wiatrami krajobrazie, myśląc o starym żydowskim przysłowiu, które ojciec często przytaczał. Powoli niczym stary człowiek chłopak podniósł się ze stopnia schodów i spojrzał na krzyż zawieszony pod dachem.

– Trudno się z tobą nie zgodzić, tato...

Ludzie układają plany, a Bóg się z tego śmieje.

Fjellvegen, Haugesund

Wtorek przed południem, 14 października 2014 roku

Viljar stał w tłumie ludzi przed taśmami zabezpieczającymi teren. Miał wrażenie, że zebrało się tu pół miasta. Dostrzegł gdzieś Øysteina Vindheima, jednego z nielicznych kumpli, którzy wytrwali przy nim pomimo problemów prześladujących go przez ostatnie lata. Był to wysoki, smukły mężczyzna z potężną klatką piersiową, noszący okulary w stylu Hansa Lahluma. Choć łączyła ich przyjaźń, widywali się sporadycznie i bywało, że między jednym a drugim spotkaniem mijało sporo czasu.

– Wiesz, co się tu zdarzyło?

Øystein pokręcił głową, poprawił okulary i pochylił się w stronę Viljara.

– Co prawda pracuję w bibliotece, ale sam chyba rozumiesz, że moja wiedza ma swoje granice – szepnął mu do ucha, uśmiechnął się i trącił go

w ramię.

Viljar nie podzielał jego wesołości i skupił się na tym, co działo się dookoła. Nie trzeba być śledczym ani bibliotekarzem, by odgadnąć, że ktoś wypadł z balkonu któregoś z wieżowców. Dziennikarz poczuł w żołądku nudności, gdy ujrzał nachylających się nad ciałem techników w białych kombinezonach. Nieunikniona reakcja – podobne obserwacje wywoływały bowiem nieprzyjemne skojarzenia z owym wtorkiem, kiedy to całe jego życie uległo zmianie. Był to punkt kulminacyjny sprawy z Jonasem, a przy tym osobisty czarny wtorek Islandczyka.

Viljar zamknął oczy i spróbował odepchnąć wszelkie zewnętrzne doznania. Wiedział, że jeśli niespodziewanie „rozchoruje się” tuż po kłótni z redaktorem naczelnym, Øveraas natychmiast domyśli się prawdy. Nie mógł sobie teraz pozwolić na złe samopoczucie. Począł, aż puls uspokoił się nieco, a ucisk w gardle ustąpił. Wreszcie zelżał również ból w piersi, który odezwał się, gdy w pobliżu przejechały nosze na kółkach. Øystein Vindheim klepnął Viljara w plecy i się odwrócił. Dobrzy przyjaciele nie musieli odzywać się do siebie, by zrozumieć swe problemy lub pocieszyć się nawzajem. Ich przyjaźń kwitła w ciszy.

Gdzieś za sobą Viljar usłyszał głos Hansa Indbjo mówiącego przez telefon. Jak zwykle Hans pracował jako reporter dla Radia 102.

– Dziś rano w Haugesund doszło do tragicznego wypadku: z balkonu jednego z wieżowców wypadła kobieta. Jak już mówiłem przed przerwą na muzykę, Radio 102 jest na miejscu zdarzenia, aby na bieżąco dzielić się z wami szczegółami tragedii na Fjellvegen. Policja rozpoczęła już dochodzenie i obiecujemy przekazać kolejne informacje, gdy tylko będziemy mieli pewność, co się naprawdę zdarzyło.

Viljar pokręcił głową. Kanał radiowy należący do tego samego domu medialnego co gazeta „Haugesunds Avis” był jak bolesny odcisk, którego nie sposób było się pozbyć, ale który nie byłby nawet w połowie tak dokuczliwy, gdyby nie pewien pasożyt o nazwie Hans Indbjo. Cokolwiek się działo, Indbjo pojawiał się na miejscu dziesięć minut później z „relacją na żywo”. Dla właścicieli domu medialnego był kopalnią złota, ale dla ludzkości tylko i wyłącznie plagą.

Viljar zauważył, że na miejscu zdarzenia było więcej policji niż zwykle. Rozglądał się za kimś, z kim mógłby przeprowadzić wywiad, żeby wynieść się stąd jak najszybciej. Doszło do wypadku, a w takich sytuacjach pisało się krótkie artykuły kategorii B, by nie urazić uczuć bliskich zmarłej osoby. Krótka informacja w przypadku tragedii osobistych była zupełnie

wystarczająca i Viljar nie miał bladego pojęcia, dlaczego Øveraasowi tak bardzo zależało na tym, aby tą sprawą zajęli się dziennikarz i fotograf. Odepchnął jednakże problem od siebie i skupił uwagę na następnej znajomej osobie, która obchodziła trawnik, pogrążona w rozmowie z członkiem zespołu technicznego. Uśmiechnął się do siebie. Lotte Skeisvoll była dokładnie tym, kogo potrzebował – konkretną, szczerą i zawsze przestrzegającą procedur policjantką.

Już chciał pomachać, żeby zwrócić jej uwagę, gdy zauważył, że dziennikarz radiowy stanął tuż obok niego.

– Super, że coś się dzieje – powiedział Indbjo, wbił dłonie w kieszenie i zakołysał się na piętach niczym ksiądz przed ołtarzem.

– Ach tak. A stało się coś? – spytał Viljar sarkastycznie.

– Nie rób sobie jaj, Gudmundsson. Dobrze wiem, że wy z gazety równie chętnie rzucacie się na zwłoki, zanim ostygną. Tym razem byłem szybszy i tyle.

Indbjo uśmiechnął się od ucha do ucha i poprawił okulary tak, że szkła niemal dotykały gałek ocznych. Był z pochodzenia Wietnamczykiem – adoptowano go pod koniec lat siedemdziesiątych, a przybrani rodzice otaczali go nadmierną troską do chwili, gdy ukończył trzydzieści lat. Po podjęciu pracy w radiu przełamał wszelkie ograniczenia dotyczące wystąpień w przestrzeni publicznej.

– Istnieją pewne granice między rzucaniem się na zwłoki, póki są ciepłe, jak to ująłeś, a przeprowadzaniem pełnej obdukcji w eterze, zanim bliscy zmarłej osoby zostaną powiadomieni o tragedii.

Viljar spojrzał w dół na Hansa Indbjo, który liczył sobie zaledwie sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i to, że stanął na palcach, w niczym nie zmieniało sytuacji. Z miną, którą można by odebrać jako przekorną, wytrzymał spojrzenie Islandczyka.

– Kilka lat temu byliśmy do siebie bardzo podobni, Viljar. Tak naprawdę to cię podziwiałem. Uważałem cię za idola.

Viljar ukrył uśmiech i demonstracyjnie ugiął nieco kolana, by zmniejszyć różnicę wzrostu. Odrzucił z oczu jasne, sięgające ramion włosy i udał zainteresowanego tym, co mówił Hans Indbjo, ale w głębi duszy miał ochotę rozerwać małego gada na strzępy.

– Pokazałeś ludziom, że bystry, nieprzejednany dziennikarz naprawdę może doprowadzić do zmian – ciągnął Hans. – Że może coś znaczyć. Że może być kimś innym niż beczącą owcą, która robi to, co pozostałe.

– Daj spokój, Hans! Spójrz tylko na siebie! Trąbisz o każdym,

najmniejszym nawet wydarzeniu, jakby to była nie wiadomo jaka sensacja! – wysyczał Viljar, czując, że gotuje się w środku. – Nie ma w tobie ani śladu finezji czy taktu! Dziennikarskiego sukcesu nie da się zmierzyć poziomem decybeli czy liczbą wielkich liter.

– Coś podobnego – parsknął Indbjo. – Viljar Ravn Gudmundsson, największy i najbardziej arogancki dupek w mieście, uczy mnie etyki i moralności.

Nie przestając się uśmiechać, odwrócił się i ponownie połączył się ze stacją radiową.

Viljar poczuł ulgę, uwolniwszy się od towarzystwa Indbjo, i zamachał, by przyciągnąć uwagę Lotte Skeisvoll. Policjantka nadal rozmawiała przez telefon i wskazywała wolną ręką teren przy końcu trawnika, tam gdzie znajdowało się przedszkole imienia Anny Nilssen. Viljar podszedł do niej i zatrzymał się przy taśmie. Minutę później Lotte zakończyła rozmowę i odwróciła się w jego stronę.

Lotte Skeisvoll stanowiła tajemnicę. Była drobna, o delikatnej budowie i czarnych, obciętych na pazia włosach, ale wydawała się mroczna i niezniszczalna. Otaczała ją nieustępliwa aura siły i profesjonalizmu. Orzechowe oczy przewierciły dziennikarza, gdy stanęła przed nim.

– Co tu się właściwie stało? – spytał.

– Pewna kobieta wypadła z balkonu, przypuszczalnie z siódmego piętra, i zginęła na skutek uderzenia, czemu chyba nie należy się dziwić.

– Jak się nazywała?

– Z ujawnieniem nazwiska poczekamy do powiadomienia bliskich, Gudmundsson. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że jesteśmy stosunkowo pewni jej tożsamości. Miała pięćdziesiąt kilka lat i mieszkała tu w mieście.

– Uważacie, że to samobójstwo czy może wypadek?

Viljar liczył na pierwsze rozwiązanie, bo wówczas nie musiałby zadawać kolejnych pytań.

– Na razie policja uważa, że to wypadek śmiertelny wymagający dalszego śledztwa. Poprosiliśmy o pomoc grupę techniczną. – Lotte Skeisvoll urwała. Jej słowa drżały w jesiennym powietrzu.

Viljar spojrzał na nią zmęczonymi oczami. Czuł, że zanosí się na naprawdę długi dzień.

– Śledztwa?

– Tak, tak sądzimy. Kilka tropów wskazuje na to, że padła ofiarą przestępstwa. Nie możemy oczywiście tego potwierdzić, ale wszczęliśmy już dochodzenie.

Zamilkła na moment, a potem dodała:

– Więcej informacji ode mnie nie usłyszysz, Gudmundsson. Oczekuję, że nie wyskoczycie z nazwiskiem denatki, choć jego sprawdzenie to przecież bułka z masłem, jasne?

Viljar nie miał wyboru i musiał pokiwać głową. Gdyby do tej rozmowy doszło przed owym czarnym wtorkiem, nie dałby się zbyć i przez resztę dnia uczepliłby się Lotte jak rzep psiego ogona. Teraz było jednak inaczej i Viljar mógł tylko mieć nadzieję, że skoro śmierć owej kobiety stała się jedną z wiadomości dnia, Skeisvoll okazała więcej rozsądku w rozmowie z Hansem Indbjo i użyła innych sformułowań. W przeciwnym razie nazwisko ofiary pojawiłoby się w eterze przed przerwą na lancz.

Dalej Viljar postępował rutynowo. Wysłał krótkiego SMS-a do fotografa, który uwijał się właśnie przed taśmami zabezpieczającymi. Zadzwoił też do działu wiadomości i poprosił ich o przysłanie więcej ludzi. Procedura była prosta – w przypadku morderstw lub dużych katastrof zawsze uruchamiano dodatkowe zasoby ludzkie. Zrobiwszy wszystko, co do niego należało, Viljar poczuł się wyczerpany.

Może psycholożka miała rację? Może straciłem dar? Może powinienem znaleźć sobie coś innego do roboty? Coś wymagającego izolacji i samotności, coś, dzięki czemu nie będę już musiał zadawać się z ludźmi.

Rozmyślając o tym, Viljar wrócił do samochodu – postanowił zaczekać w nim na przybycie reszty ekipy z gazety. Włączył Radio 102 i usłyszał głos Hansa Indbjo, który wyrzucał z siebie kolejne rewelacje z Fjellvegen:

– I znów przerywamy muzykę, aby podzielić się z wami ostatnimi informacjami o śmierci na blokowisku. Dla tych, którzy niedawno włączyli odbiorniki, oto skrót wydarzeń: w naszym mieście przypuszczalnie doszło dziś do tragedii. Przed jednym z wieżowców znaleziono nieżyjącą kobietę. Jedna ze śledczych komendy w Haugesund, Lotte Skeisvoll, podkreśliła w rozmowie z reporterem Radia 102, że jest za wcześnie, by stwierdzić, czy doszło do nieszczęśliwego wypadku, czy też do samobójstwa.

Viljar zaśmiał się głośno. Przeczucie co do Lotte Skeisvoll nie zawiodło go.

Mieszkanie Rity Lothe, Haugesund

Wtorek przed południem, 14 października 2014 roku

Ostatnie stopnie do mieszkania Rity, znajdującego się na siódmym piętrze, Lotte pokonała z trudnością. Sama zdecydowała, że pójdzie na górę

schodami. Musiała się wyciszyć po rozmowie z prasą, gdyż każdy, najdrobniejszy nawet szczegół mógł wpłynąć na to, czy sprawa zostanie rozwiązana, czy też nie. Lotte musiała być w pełni skupiona.

Wilgotne powietrze na zewnątrz sprawiało, że w klatce schodowej unosiła się woń zgnilizny. Lotte spojrzała na czerwono-białą taśmę rozwieszoną przed drzwiami wejściowymi do mieszkania denatki i poczuła niechęć i zwątpienie. W środku był już Lars Stople, wpuszczony tam przez dozorcę.

W progu powitał ją jeden z techników, który wręczył jej biały kombinezon okrywający całe ciało oraz niebieskie ochraniacze na buty. Stople, który stał tuż za drzwiami, pilnując porządku, klepnął wchodzącą do środka policjantkę w ramię.

Mieszkanie nie należało do nowoczesnych, a Lotte uznała, że nie remontowano go przypuszczalnie od lat siedemdziesiątych. Podłogę w przedpokoju przykrywała niewyobrażalnie stara brązowa wykładzina, tapety na ścianach pochodziły z tej samej epoki. Ostre kontrasty między kolorami: pomarańczowym, brązowym i ciemnozielonym, układały się w psychodeliczny wzór, źle wpływając na samopoczucie śledczej. Wystrój mieszkania wydawał się pochodzić z czasów, gdy na listach przebojów królował Dr. Hook. Lotte zatrzymała się i spisała obserwacje w notatniku. Niezmiernie zirytowało ją, że po przebraniu się wzięła niebieski długopis zamiast czerwonego.

Ale będzie bałagan! – pomyślała.

Wydarła kartkę z notatnika i wsunęła ją do kieszeni, pożyczyła ołówek automatyczny od Larsa i postanowiła, że później przepisze wszystko na czysto.

Zauważyła tymczasem, że na ścianach znajdowały się wyłącznie stare zdjęcia rodzinne. Poskromiła chęć, by poprawić te, które wisiały krzywo, i znów wyjęła notatnik.

Kwestie dziedziczenia? Sprawdzić księgę wieczystą – napisała, a potem, zauważywszy pstrokate pomarańczowo-białe poduszki na ciemnozielonej sofie w salonie, dodała: *Mieszkanie w pełni umeblowane.*

Jedynymi dźwiękami były kliknięcia aparatów cyfrowych i szelest kombinezonów. W równych odstępach czasowych ciemne, kiepsko oświetlone wnętrza mieszkania rozjaśniał blask fleszu. Technicy pracowali w ciszy. Obok narożnej kanapy stał stary, dobrze zaopatrzony barek z pożółkłej sosny.

Mieszkanie jest użyzione, wynajmowane czy jej własne? – zapisała Lotte.

Kanapa kiedyś była zielona, ale znać było po niej upływ czasu. Oparcie po prawej stronie już tak zetlało, że spomiędzy białych nici sterczały kawałki gąbki. Na tekowym stole w salonie stały dwa kieliszki po winie i jeden po koniaku. Jeśli osoba pijąca trzymała się tradycji i nalała sobie równe dwadzieścia mililitrów koniaku, trunku ubyło niewiele. Na jednym z kieliszków po winie widać było wyraźne ślady ciemnoczerwonej szminki. Oprócz tego na stole znajdowały się jeszcze ser oraz suche ciasteczka. Butelka wina na podłodze była do połowy pełna, a druga, pusta, stała przy kanapie, na której kobieta przypuszczalnie spędziła wieczór. Na niewielkim narożnym stoliku leżał wysłużony egzemplarz powieści kryminalnej Unni Lindell. Lotte podniosła książkę i obejrzała ją. W środku znalazła zakładkę z biblioteki, a pieczętka wskazywała na to, że książkę należało zwrócić wiele tygodni temu.

Romantyczny wieczór we dwoje. Kim była druga osoba? – napisała Lotte i dwukrotnie podkreśliła pytanie. Druga linia wyszła nieco krzywo, więc policjantka wzięła książkę i raz jeszcze narysowała kreskę, wykorzystując okładkę w charakterze linijki.

Idealnie – pomyślała. Unni Lindell zawsze uchodziła za sztywną.

Lotte najpierw stwierdziła, że Ritę Lothe odwiedził mężczyzna, bo przecież ślady szminki znajdowały się tylko na jednym kieliszku, ale teraz zastanowiła się ponownie.

Wyciąganie pochopnych wniosków to do mnie niepodobne – pomyślała.

Miała nieodparte wrażenie, że coś się nie zgadza, ale jeszcze nie wiedziała co. Znowu spisała spostrzeżenia w notatniku.

Potem uniosła spojrzenie ku drzwiom balkonowym. Już chciała tam podejść, gdy złowiła ostrzegawcze spojrzenie jednego z techników. Nikt się nie odezwał, ale policjantka zrozumiała przekaz. Nie miała jeszcze prawa wejść na balkon. Przecież to właśnie tam Rita została przerzucona przez balustradę i zepchnięta głową w dół na asfalt.

Skoro balkon stanowił teren zakazany, Lotte stanęła na środku salonu i przez kilka minut wchłaniała rozmaite wrażenia. Obracała się powoli wokół własnej osi i wychwytywała kolejne szczegóły ścian, podłogi i meblowania. Kilkakrotnie coś zapisała w notesie. Postronny obserwator zapewne zdziwiłby się, widząc szczupłą dziewczynę z ciemnym, niemal gotyckim makijażem oczu, która obraca się w miejscu jak w filmie puszczonej w zwolnionym tempie. Dwaj pozostali mężczyźni w pomieszczeniu nie zwracali jednak na nią uwagi. Widzieli już wcześniej takie zachowanie i wiedzieli, że w tej chwili są dla śledczej niewidzialni.

– Na ramie drzwi jest krew.

Starszy z techników uniósł głowę i spojrzał pytająco na Lotte.

– Gdzie?

Lotte wskazała drzwi balkonowe. Tuż nad klamką znajdowała się niemal niewidoczna ciemna kreska. Technicy odkryliby ją sami, gdyby podeszli bliżej, ale policjantka była zadowolona, że może im sama coś pokazać.

Technik pokiwał głową i podniósł kciuk.

– Chciałabym was prosić o pięć rzeczy – odezwała się Lotte po kilku sekundach ciszy.

Obaj mężczyźni przerwali pracę i spojrzeli na śledczą. Policjantka nadal stała w tym samym miejscu i patrząc na nich, zaczęła wymieniać:

– Po pierwsze, pod kanapą leży stary komputer, który należy zabezpieczyć i sprawdzić pod kątem korespondencji prowadzonej przez denatkę. Po drugie, należy zbadać odciski palców na wszystkich trzech kieliszkach i przeanalizować zawartość naczyń. To samo dotyczy butelki wina pod stołem i koniaku w szafce oraz wszystkich innych otwartych butelek. Przeprowadźcie pełne badania toksykologiczne. Po trzecie, na talerzyku po prawej leży kawałek sera, który został przez kogoś nadgryziony. Widać ślady zębów w górnym rogu. Po czwarte, na podłodze na prawo od fotela widać kałużę. To przypuszczalnie woda, ale sprawdźcie to tak czy owak. Po piąte, torebka należąca do mieszkającej tu kobiety leży na trzeciej półce biblioteczki, wepchnięta na książki. Trzeba ją opróżnić i dokładnie sprawdzić oraz skatalogować zawartość. Pełny raport chcę ujrzeć jutro na swoim biurku.

Lotte nie czekała na odpowiedź. Odwróciła się na pięcie niczym żołnierz kompanii reprezentacyjnej i wyszła, a technicy spojrzeli po sobie i z rezygnacją pokręcili głowami. W korytarzu stał Lars. Lotte podeszła do niego, poprawiła mu krawat mundurowy i uśmiechnęła się ostrożnie.

– To mieszkanie urządzono kilka dekad temu, ale wygląda równie beznadziejnie jak wtedy – powiedziała, ściągając z butów foliowe ochraniacze.

Lars Stople spojrzał na nią z udawanym zaskoczeniem.

– Lata siedemdziesiąte to eksplozja kolorów, nagości, uczuć, eksperymentalnych używek i politycznego idealizmu. Serio sądzisz, że to beznadziejna epoka?

Lotte zdjęła kaptur i odrzuciła ciemną grzywkę, która ułożyła się nad jej oczami jak skrzydło.

– Tam panuje chaos, Lars – szepnęła z błyszczącymi oczami. – Totalny,

ślepy chaos. Wszystko wisi krzywo, nic do niczego nie pasuje. Nie potrafię inaczej nazwać takiego stanu rzeczy.

Redakcja „Haugesunds Avis”

Wtorek po południu, 14 października 2014 roku

Dzień pracy powoli zbliżał się do końca. Viljar pisał, przeprowadzał rozmowy, sprawdzał i redagował. Artykuł o śmiertelnym wypadku na osiedlu został wysłany dalej. Wszystko było jasne i klarowne, ale dziennikarz nie czuł żadnej satysfakcji. Za każdym razem, gdy śmierć pukała do drzwi, miał wrażenie, że zamykano go w wilgotnej, dusznej piwnicy. Zewsząd opadały go mroczne myśli, ciągnąc w dół, w niekończącą się ciemność, gdzie każdy krzyk był echem tego, co się już wydarzyło. Automatycznie stukał w klawisze. Nie było żadnej łączności między palcami, które biegały po klawiaturze, a umysłem, pogrążonym w błękitno-czarnej głębi.

Gdy rozmawiał z Lotte, na skraju jego świadomości zrodziła się kolejna, o wiele mroczniejsza myśl.

Czy to zdarzenie może mieć jakiś związek z mailem, który otrzymał?

Z początku odsunął skojarzenie na bok, gdyż podobne rozważania tylko przeszkadzałyby w pisaniu zadanego artykułu, ale teraz, gdy tekst był już gotowy, myśl natychmiast powróciła.

Przerwał mu Johan Øveraas, który zatrzymał się przy jego stanowisku pracy.

– Proszę, proszę, Gudmundsson. Starasz się dziś, jak widzę. Najwyższy, kurwa, czas.

Viljar nie miał ochoty się odwracać i odpowiedział jedynie cichym chrząknięciem. Cisza, która zapadła po stwierdzeniu naczelnego, przedłużała się jednak, aż Viljar był zmuszony podnieść głowę, aby przekonać się, czego grubas właściwie chce. Na twarzy Øveraasa malował się uśmiech, wcale nie ironiczny, jak to zwykle bywało, ale szczerzy.

– Mam dwie sprawy, Gudmundsson. Po pierwsze, chciałem przeprosić za mój dzisiejszy wybuch. Nie powinienem wydierać się na ciebie w open space, gdzie wszyscy mogą mnie usłyszeć. To nieprofesjonalne. Choć jeśli chodzi o treść, przyznam, że nie zmieniłbym ani słowa.

To ci dopiero przeprosiny – pomyślał Viljar.

– A ta druga rzecz?

– Co?

– Ta druga sprawa, Øveraas. Powiedziałeś, że masz dwie sprawy.

– A, rzeczywiście. Po drugie, chciałem pochwalić artykuł, który przekazałeś. Dobrze napisany. Porządna robota.

Johan Øveraas poczłapał z powrotem do swego biura, ale odwrócił się po kilku krokach.

– A więc policja uważa, że to morderstwo?

– Jeśli Lotte Skeisvoll chwilę po dotarciu na miejsce zdarzenia mówi o wszczęciu dochodzenia w rozmowie z prasą, raczej nie ma wątpliwości, że chodzi o morderstwo.

– Wiemy coś więcej?

Viljar zdawał sobie sprawę, że w tym momencie powinien opowiedzieć o otrzymanym mailu, ale udał, że mail nie istnieje.

– Niewiele więcej ponad to, co znalazło się w artykule. Zobaczymy, co się pojawi jutro rano.

Johan Øveraas stał w wyczekującej pozie i wpatrywał się badawczo w Viljara, jakby się czegoś spodziewał. Wreszcie wywnioskował, że dziennikarz nie ma już nic do dodania, skinął głową i odszedł. Gdy rozległo się trzaśnięcie drzwi jego gabinetu, dłonie Viljara zaczęły drżeć. Wyłowił trzy gumy antynikotynowe i żuł je przez moment intensywnie, aż ręce się uspokoiły.

Chwilę później zawibrował jego telefon. Viljar wziął go do ręki i spojrzał na ekran, na którym wyświetlił się napis: *Numer nieznany*.

– Gudmundsson, „Haugesunds Avis”.

– Cześć, Viljar. Tu Lotte Skeisvoll.

– O, to ci dopiero.

– Mógłbyś wpaść do komendy? Musimy z tobą porozmawiać.

Głos Lotte był jak zwykle chłodny i zdecydowany.

– A mogę zapytać, o co chodzi?

– Zapytać możesz, ale i tak ci nie odpowiem – odparła policjantka i przerwała połączenie, nim dziennikarz zdążył zaprotestować.

Komenda znajdowała się na nabrzeżu przy Smedasundet. Wejście do białego murowanego budynku przywodziło na myśl fronton wspaniałego hotelu, ale tym, którzy tam nocowali, oferowano nieco bardziej spartańskie warunki niż w innych noclegowniach miasta.

Klimatyzacja w komendzie robiła sobie wolne – w środku było duszno, gorąco i śmierdziało potem. Viljar siedział sam w pomieszczeniu, które uznał za prowizoryczny pokój przesłuchań.

A może to tylko jakieś biuro?

Jego krzesło było twarde i kanciaste. Odwrócił się w poszukiwaniu klasycznego lustra weneckiego, dzięki któremu policjanci mogą obserwować to, co dzieje się w środku, i doszedł do wniosku, że rzeczywistość ma rozczarowująco niewiele wspólnego z filmowymi stereotypami.

Drzwi się otworzyły i do środka weszła Lotte Skeisvoll z dwoma kubkami kawy. Usiadła naprzeciwko i przesunęła drugi kubek po blacie stołu w stronę Viljara. Dziennikarz podniósł go, parodiując gest toastu, i skupił uwagę na funkcjonariuszce.

Lotte była w cywilu, ale jej ubiór niewiele się różnił od munduru. Miała na sobie obcisłą, świeżo wyprasowaną beżową bluzkę i czarne spodnie w kant. Siedziała wyprostowana, a na jej twarzy nie było śladu emocji.

Policjantka włączyła niewielki dyktafon, odczytała formalności i umieściła go z geometryczną precyzją idealnie na środku okrągłego stołu, przy którym siedzieli. Przez kilka sekund przyglądała się urzędzeniu. Oczekała chwilę, po czym wykonała zapraszający gest w kierunku Viljara i rzekła:

– Opowiadaj.

– O czym mam opowiadać? Przecież to ty mnie tu ściągnęłaś!

– Ale to ty wysyłaś nam maile o mających się odbyć morderstwach – odpowiedziała sucho Lotte.

– Aha. A więc o to chodzi.

Tego Viljar najbardziej się obawiał. Policja zaczęła łączyć ze sobą oba zdarzenia.

– Przypuszczacie, że ten mail miał coś wspólnego z zabójstwem Rity Lothe?

– Niczego nie przypuszczamy, a jeśli nawet, to nie opowiadamy o tym prasie. Z wami dzielimy się tylko tym, co wiemy. A że w chwili obecnej nie wiemy nic, prosimy, żebyś opowiedział nam nieco więcej o tym mailu. Kiedy go dostałeś? Czy miał jeszcze jakichś adresatów? Z jakiego powodu uznałeś go za wystarczająco ważny, żeby wysłać go do mnie? Otrzymałeś więcej podobnych listów? Kto w redakcji wie o nim? W skrócie opowiadaj o wszystkim.

Viljar przedstawił sytuację najlepiej jak umiał. Opowiedział o mailu, o tym, że z początku uznał go za kawał, oraz o rozmowie z Ranveig i wspólnie podjętej decyzji.

– Twój szef nie wie o niczym? – spytała zaskoczona Lotte.

– Nie, jeszcze nie, ale jeśli pojawią się kolejne... Cóż, wówczas będę

musiał...

Lotte pokiwała głową. W jej spojrzeniu pojawił się nikły błysk uznania.

– Jeśli dobrze rozumiem, to oznacza, że nie przeczytam w porannym wydaniu o tym, że ktoś niepoczytalny postanowił za pośrednictwem „Haugesunds Avis” podzielić się ze społeczeństwem planami swych wyskoków?

– W każdym razie nie jutro.

Viljar chciałby móc obiecać, że takie informacje nigdy nie pojawią się na łamach ich gazety, ale za dobrze znał Johana Øveraasa.

– Super. Mamy więc trochę czasu, zanim psy zostaną spuszczone z łańcucha.

Lotte przerwała i ułożyła długopis idealnie równo z dyktafonem. Przyglądała mu się uważnie, aż wreszcie podniosła wzrok i spojrzała na Viljara. Zawahała się lekko.

– Dlaczego wysłał ci tego maila? – spytała, wpatrując się intensywnie w dziennikarza.

Viljar wyprostował się na krześle.

– O co ci chodzi? Dlaczego? Pojęcia nie mam.

Niespodziewanie odkrył, że gruczoły potowe pod jego pachami zaczęły pracować na wysokich obrotach. Miał wrażenie, że siedzi w tureckiej willi bez klimatyzacji.

– Wiesz, o co mi chodzi. Przecież słyszałeś pytanie. Dlaczego wysłał maila akurat tobie?

– Muszę cię rozczarować, Lotte – rzekł Viljar i powoli wypuścił powietrze z płuc, po czym podjął: – Nie mam pojęcia, dlaczego on czy ona wybrała akurat mnie. Znam wielu ludzi, którzy mieliby ochotę napsuć mi krwi po tym, co napisałem na ich temat, ale przecież to nie ja jestem tu ofiarą.

Lotte przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Czekwała, aż cisza wymusi na dziennikarzu kolejne słowa, ale gdy nie przyniosło to rezultatu, odezwała się:

– Super. Mówisz „on czy ona”, ale przecież z maila jasno wynika, że nadawcą jest mężczyzna.

– Nie. Nie licząc fałszywego nazwiska i adresu na Gmailu, który on czy ona założyła w tym celu, nie widzę nigdzie dowodu na to, że to mężczyzna.

– Niby racja, ale na początku maila użyto stwierdzenia: „Jestem uczciwym człowiekiem”.

Viljar wyciągnął z kieszeni smartfona i otworzył skrzynkę odbiorczą w aplikacji Outlook. Nadawca przecież napisał, że to Gudmundsson jest

uczciwym człowiekiem, a nie on sam. Tego Viljar był absolutnie pewien.

W chwili gdy dziennikarz otworzył pocztę, telefon pisnął i naraz ich dotychczasowa rozmowa przestała mieć znaczenie. Niespodziewanie pojawił się kolejny mail od tego samego nadawcy. Wszelkie myśli o tym, jakoby maile były jedynie kiepskim dowcipem, zostały gwałtownie zmiążdżone niczym dokuczliwy żuk obcasem buta. Viljar przywołał Lotte i wspólnie pochylili się nad telefonem.

DO: Viljar Ravn Gudmundsson

Zakładam, że tym razem udało mi się całkowicie przyciągnąć pańską uwagę. Dziś był pan świadkiem odejścia Rity Lothe. Nekrolog przybierze z pewnością tragiczny ton, ale jej śmierć była aktem sprawiedliwości, a pańskie dochodzenie bez wątpienia to potwierdzi.

Istnieją prawa mające nas uchronić przed sytuacjami, w których ludzie zdobywają zbyt wielką władzę, i nie powinno się mówić niczego złego o tych, którzy są owym prawom posłuszni, przyznają się do winy i ponoszą sprawiedliwą karę. Moja uwaga kieruje się więc ku tym innym – tym, którzy nawet w godzinie sądu unikają kary i wymykają się na wolność. To hieny żerujące na społeczeństwie, tchórzliwe, zachłanne i wykrętne. Zasługują na karę, którą im wymierzam. Wiem, że poniosę konsekwencje moich czynów, ale gdy nadejdzie ta chwila, stawię karze czoło z podniesioną głową. Nim to nastąpi, ludzie będą ginąć z mojej ręki, co do jednego winni, którzy na swój sposób uniknęli prawomocnej kary.

Wydawać by się mogło, że we współczesnym społeczeństwie norweskim godność kobiety jest wysoko ceniona, lecz w razie napaści ochrona gwarantowana prawem jest bliska zeru. Bardzo niewielu gwałcicieli poniosło konsekwencje swoich czynów. Ciężarem udowodnienia winy obarcza się kobietę, a nie napastnika.

Jeden z owych przestępców seksualnych to pewien mężczyzna, który jest winny gwałtu przynajmniej na jednej kobiecie, a być może wielu niewinnych kobietach. Był już wcześniej karany, ale za inne przestępstwo. Kara zostanie wymierzona jutro, w środę, 15 października 2014 roku.

14.10.14

Requiem – Kyrie

Jestem zadowolony. Kładę się. Układam się w ulubionej pozycji, dającej mi wsparcie, którego potrzebuję. Idealnie...

Nadchodzi wieczór i zakrada się półmrok. Ciężkie, zwisające nisko gałęzie drzew zasłaniają światło i duszą wszelką nadzieję. Ptaki milkną. Wieczna noc zalega i czeka. Nie, tym razem nie na mnie. Ktoś inny zostałznaczony. W moim umyśle rozlega się cichy szum, co zawsze jest oznaką radosnego odprężenia.

Wiem, że partytura jest opracowana drobiazgowo, co do najmniejszego szczegółu, ale zawsze istnieje ryzyko, że jakaś fałszywa nuta wślizgnie się do kompozycji i całkiem ją zniszczy. Nic takiego jak dotąd jednak się nie wydarzyło, a ja przed kilkoma godzinami z iście dziecięcą radością zniszczyłem dokumenty dotyczące Rity Lothe.

Wiem już, że jestem w stanie stworzyć prawdziwe arcydzieło. Wypchnięcie jej za balustradę było niczym puszczenie papierowego samolociku. Gdy usłyszałem, jak jej ciało uderza o asfalt, obudziło się we mnie wielkie szczęście. Sądziłem, że poczuję niepokój, przerażenie czy wyrzuty sumienia, ale zamiast nich pojawił się oszałamiający, szampański, radosny nastrój.

Przez moment bałem się, że upłynie sporo czasu, nim zostanie odnaleziona, ale krótko po rozpoczęciu porannej krzątania z zadowoleniem zarejestrowałem wycie pierwszych syren zbliżających się do bloków.

Teraz czuję tylko mrowienie. Moje odrętwiałe ciało jest pogrążone w letargu. Jak dotąd nie mam opóźnień w realizacji planu. Powtarzam sobie dwa ostrzeżenia, które zapisałem w zeszycie: „Nie działaj pochopnie” oraz „Nie trać koncentracji”. Czytałem wiele opracowań dotyczących kryminologii i wiem, że po pierwszym sukcesie łatwo zrobić fałszywy krok bądź zapomnieć o dokładności i precyzji. Wiem, że jestem gotów, ale zmuszam się do czekania.

Szałas, który zbudowałem dla siebie, stoi z dala od domu, drogi i leśnej ścieżki. Zamaskowałem go najlepiej jak można, choć w sumie nie jest to konieczne. Przypadkowy turysta musiałby naprawdę daleko zboczyć

ze ścieżki, żeby natknąć się na moją kryjówkę. Gdyby nie to, co zaplanowałem na jutro, mógłbym pewnie przeleżeć tu aż do zimy, nie niepokojony absolutnie przez nikogo.

Szałas dzieli od punktu obserwacyjnego zaledwie pięć metrów, a stamtąd mam idealny widok na dom. Widzę też spory odcinek ścieżki i jestem w stanie w porę dostrzec ludzi, którzy mogliby się pojawić w pobliżu. Psy są mocno uwiązane. Zresztą o tej porze nie ma co się spodziewać kogoś postronnego. Może napatoczy się jakiś poranny biegacz, ale to raczej mało prawdopodobne o szóstej trzydzieści rano.

Wyciągam karabin. Raz jeszcze przecieram szmatką celownik optyczny. Podnoszę broń do ramienia i spoglądam w okular. Biały dom, przyciągający uwagę przykład architektury funkcjonalnej, stoi samotnie w zagłębieniu terenu. Obecnie mieszka tam pięcioosobowa rodzina. Rankiem będzie ich jedynie czworo. Myślę o dzieciach, ale dochodzę do wniosku, że niespecjalnie się nimi przejmuję.

Najmniejszym problemem podczas przygotowań było zdobycie tłumika. Bez trudu można nabyć takowe do zarejestrowanych strzelb myśliwskich. Większość współczesnych myśliwych dysponuje tłumikami, aby wystrzałami nie płoszyć okolicznej zwierzyny. Tłumik ponadto zmniejsza odrzut i redukuje płomień wylotowy, który może oślepić strzelca patrzącego przez celownik optyczny w półmroku.

Jedynym wyzwaniem było przerobienie lufy tak, by można było przykręcić tłumik. Trwało to około tygodnia.

Broń, z której korzystam, to mój własny karabin myśliwski, standardowy lakelander 389. Zarejestrowanych karabinów tego typu w Norwegii są tysiące, a niezarejestrowanych zapewne drugie tyle. Idealnie byłoby skorzystać z całkowicie innej broni, na przykład z märklina z szesnastomilimetrową amunicją z Singapuru, ale nic takiego nie istnieje. Mistrz niestety dał plamę, ale to nie jest takie ważne.

Padają na mnie pierwsze ciężkie krople deszczu. Pełznę ostrożnie z powrotem do szałasu. Odnajduję telefon i nastawiam budzenie na piątą.

Jestem gotów! Wszystko jest gotowe.

Pozostaje poczekać na jelenia do odstrzału.

Komenda policji w Haugesund

Wtorek po południu, 14 października 2014 roku

Lotte odsunęła krzesło, podniosła je i ustawiła precyzyjnie przy stole. Jej spojrzenie przesunęło się po zgromadzonych ludziach.

Zwięźle przedstawiła suche fakty w związku ze sprawą, a potem wzięła do ręki notatki i upewniła się, czy jest gotowa na najważniejszą część wystąpienia.

– Wszystko, co do tej pory powiedziałam, znajdziecie w teczkach na stole. Jak widzicie, fakty są ułożone chronologicznie i oznaczone kolorami. Jeśli interesują was jakieś informacje uzupełniające, dajcie mi znać.

Kilka osób uśmiechnęło się lekko, widząc system oznaczeń w teczkach. Pomieszczenie wypełnił szmer cichych rozmów. Lotte odkaszlęła.

– Nie mamy wątpliwości, że chodzi o morderstwo. Próby toksykologiczne wykażą z pewnością, że we krwi denatki znajduje się alkohol, a także eter i tabletki nasenne. Znaleźliśmy ślady tych substancji na miejscu zbrodni. Pozostałe obrażenia powstały na skutek upadku.

Zerknęła na Åse Fruholm, która reprezentowała dział techniki kryminalistycznej.

Fruholm należała do policyjnej jednostki śledczej od tak dawna, że uważano ją za swego rodzaju instytucję. Miała cienkie, rozdwijające się na końcach, krótkie włosy, które zaczesywała na mokro w sztywną fryzurę, straszliwie niemodną, ale pasującą do jej stylu. Noszone przez nią ubrania kojarzyły się mocno z Fretexem, ale jej doświadczenie zawodowe było niepodważalne. Jej słowa były wyrocznią.

– Jak wszyscy wiecie – ciągnęła Lotte – wdychanie eteru prowadzi do natychmiastowej utraty przytomności, zresztą substancję tę podawano niegdyś jako narkozę podczas operacji. Czy mogłabyś uzupełnić to, co powiedziałam, Åse?

Åse Fruholm odchrząknęła, wstając. Ubranie wisiało na niej jak na strachu na wróble, a gdy marszczyła czoło, jej twarz przypominała mapę hipsometryczną. Nic dziwnego, zważywszy na to, że od wielu lat traktowała papierosy jak najbliższego i jedyne przyjaciela.

– Eter to potoczna nazwa związku chemicznego zwanego eterem dietylowym. To przejrzysty płyn o temperaturze wrzenia wynoszącej trzydzieści sześć i pół stopnia Celsjusza. Wydziela mocny zapach i jest bardzo łatwopalny.

Lotte pilnie słuchała szczegółowych wyjaśnień Fruholm, pospiesznie robiąc notatki.

– Wdychanie eteru prowadzi do utraty przytomności i obojętności na ból, zwanej również znieczuleniem ogólnym. Narkoza jest stosunkowo stabilna

i można ją stosować samodzielnie ze sporą szansą na powodzenie.

Komendant Arnstein Guldbransen pokręcił głową i rozłożył ręce.

– A w jaki sposób ten człowiek dorwał się do eteru?

Åse Fruholm uśmiechnęła się do Lotte, jakby obie skrywały wspólną tajemnicę, a potem przewróciła lekko oczami, odkaszlnęła cicho i odpowiedziała:

– Kupił go w aptece, Guldbransen. Eter można dostać bez recepty w półlitrowych butelkach.

Arnstein Guldbransen poluzował krawat, czego prawie nigdy nie robił z własnej woli. Wyglądał jak rażony piorunem.

– Eter jest sprzedawany bez recepty? Jak to jest w ogóle możliwe? Po co, na Boga, ludzie mieliby trzymać środek do narkozy w szafce w łazience?

Åse uśmiechnęła się pobłaźliwie do komendanta.

– Chodzi o motyle, Arnstein. Entomolodzy wykorzystują eter, żeby odurzać motyle i inne złapane przez siebie owady. Mając do dyspozycji większą ilość, mogą robić to samo z ludźmi – dodała i usiadła na krześle.

Lotte przejęła inicjatywę.

– Musimy więc sprawdzić apteki w mieście. Nie sędzę, żeby było wielu ludzi, którzy kupują coś takiego. Przydzielę to zadanie zaraz po zakończeniu spotkania. Na razie musimy się zająć istotniejszą kwestią.

Odrzuciła grzywkę na bok i zrobiła krótką przerwę, aby nabrać odwagi przed podzieleniem się sensacją z resztą zespołu.

– Istnieje bowiem coś, o czym nikt z was jeszcze nie wie. Otóż zostaliśmy wcześniej ostrzeżeni.

Zauważyła, że kilkoro z obecnych uniosło brwi.

– Wczoraj przed południem dziennikarz Viljar Ravn Gudmundsson z „Haugesunds Avis” otrzymał maila od człowieka, który podpisał się Stein Åmli. Imię i nazwisko to pseudonim. Autor maila oznajmia, że zgładzi nieznaną bliżej liczbę osób, które jego zdaniem dopuściły się przestępstw, ale nie zostały za nie ukarane. Ravn Gudmundsson w pierwszej chwili nie potraktował listu poważnie, zresztą my również nie, przynajmniej przed sprawdzeniem przeszłości Rity Lothe.

Lotte przerwała wypowiedź, aby mieć pewność, że wyraziła się należycie. Oderwała spojrzenie od blatu, poprawiła bluzkę i rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś punktu nad głowami zebranych, na którym mogłaby się skupić. Poznała ten trik na kursie prowadzenia debat i wygłaszania przemówień. Bardzo się przydawał.

– W mailu Åmli dał do zrozumienia, że zabije pewną kobietę, która

dopuszczała się defraudacji, ale nie została ukarana. Z naszych archiwów dowiedzieliśmy się, że Rita Lothe została oskarżona o sprzeniewierzenie siedemdziesięciu pięciu tysięcy koron z kasy sklepu obuwniczego Skoringen w Oasen, w którym pełniła funkcję kierowniczkę od dwa tysiące drugiego do dwa tysiące trzeciego roku. Została uniewinniona wyrokiem sądu, ponieważ nie udało się udowodnić jej winy. Teoretycznie w tym samym czasie pieniądze z kasy mogło zabrać wielu pracowników. Na skutek procesu Lothe została jednak zwolniona i od tego czasu pobierała rentę.

Lotte rozdała wydruki maila oraz wyroku sądu w sprawie Rity Lothe i pozwoliła zebrany zapoznać się z treścią dokumentów.

– Człowiek, który zamordował Ritę Lothe, nie przejmie się zacieraniem śladów. W mieszkaniu denatki znaleźliśmy wiele nienależących do niej odcisków palców. Wszystkie są identyczne i istnieje spore prawdopodobieństwo, że to odciski sprawcy. Ustaliliśmy również, że tuż przed zabójstwem Rita Lothe uczestniczyła w akcie seksualnym. Mamy mnóstwo materiału biologicznego, który oczywiście zostanie poddany analizie DNA. Zazwyczaj gdy sprawca pozostawia wiele śladów, uznajemy, że zbrodnia została popełniona w afekcie. W tym wypadku jednak należy to wykluczyć. Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś chodził z butelką eteru w kieszeni i nie miał zamiaru jej wykorzystać. Przyczyna, dla której sprawca okazuje taką niedbałość, jest na razie wielką tajemnicą, ale możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że nie znajdziemy tego człowieka w naszych rejestrach. Gdyby tak było, sprawę rozwiązalibyśmy już jutro.

Następnie Lotte omówiła materiał zdjęciowy. Na kilku fotografiach widać było sińce pod pachami denatki, na innych wewnątrz mieszkania i wiele innych szczegółów znalezionych na miejscu zbrodni.

– Na zakończenie pozostaje jeszcze jedna nieprzyjemna i dość istotna kwestia – powiedziała, po czym nabrała tchu i wypaliła: – Gudmundsson dostał kolejnego maila. Dziś, w trakcie przesłuchania.

Przesunęła slajd prezentacji. Na ekranie pokazało się nieco niewyraźne zdjęcie przedstawiające tekst, który pojawił się na wyświetlaczu telefonu Viljara godzinę temu.

W pomieszczeniu zaległa martwa cisza. Na twarzach zebranych nie było widać ani śladu wesołości.

Nabrzeże wewnętrzne, Haugesund

Wtorek wieczór, 14 października 2014 roku

Atmosfera na miejskiej promenadzie stanowiła ostry kontrast z samopoczuciem Viljara. Ciągące się rzędem ogródki, ustawione przy sobie niczym klocki domina, rozbrzmiewały wesołymi okrzykami i toastami, Viljar zaś miał wrażenie, że wpadł po uszy w sam środek kiepskiej powieści detektywistycznej. Gdyby jego dziennikarska dusza nie obumarła, miałyby zapewne dziś powody do radości, ale Viljar Ravn Gudmundsson utracił umiejętność odczuwania wesołości. Miał ochotę jedynie zagrzebać się pod kołdrą i schować przed wszelkim diabelstwem, a trudna, wymagająca sprawa była ostatnią rzeczą, której by sobie teraz życzył. Trafiły do niego już dwa maile, a Lotte zadała mu najważniejsze pytanie: „Dlaczego?”.

Viljar nie miał pojęcia, ale gdy siedział na nabrzeżu, w jego głowie pojawiła się nowa myśl. Po plecach spłynął mu zimny dreszcz.

Czarny wtorek.

Viljar podniósł się i ze wzrokiem wbitym w bruk ruszył w kierunku mieszkania Ranveig Børve. Nie zwracał uwagi na dokuczliwy deszcz ani na zgarbionych ludzi, idących pospiesznie wzdłuż rzędów zacumowanych łodzi.

Ranveig mieszkała na Risøy, na prawo od mostu Risøybroa, w centrum. Most łączył część miasta na stałym lądzie z wyspą, na której znajdowały się niektóre z głównych zakładów przemysłowych. Nad okolicą górowała wielka hala produkcyjna przy siedzibie firmy Aibel, która stała się znanym, rozpoznawalnym punktem orientacyjnym.

Zgodnie z wolą włodarzy miasta wieczorami włączano oświetlenie mostu, dzięki czemu mała wyspa przydawała okolicy jaskrawej, nowoczesnej, hipsterskiej atmosfery.

Ranveig wraz z mężem, Rolfem, mieszkała w starym, białym, drewnianym domu, do którego wprowadziła się po powrocie ze studiów. Była to wówczas zapuszczona rudera, ale parze młodych ludzi udało się ją wyremontować i zamienić w nowoczesną siedzibę dla rodziny z małymi dziećmi. Zapłacili około miliona koron za dom, który teraz sprzedaliby za pięć razy tyle. Rolf był energiczną, pomysłową złotą rączką, a Ranveig miała oko do szczegółów.

Dzwonek przy drzwiach należał do tych, które rozbrzmiewały we wszystkich pokojach i trwały całą wieczność. Chwilę później Ranveig stanęła w progu. Była nieco zaskoczona – nigdy wcześniej nie zdarzało się, by Viljar przyszedł bez zaproszenia.

Ranveig była niezwykłą kobietą – nawet teraz, w zwykłym dresie i z włosami w nieładzie, emanowała zmysłowością, która wywołała u niego dreszcze. Viljar wiedział, że przyczyną były jej oczy, skrzące się życiem i opowiadające o fantastycznych chwilach, które nigdy nie staną się jego udziałem. W każdym razie nie z nią. Dziennikarz przeprosił za nieoczekiwaną wizytę i spytał, czy nie przychodzi w nieodpowiednim momencie. Mógł sobie jednak podarować wszelkie uprzejmości, gdyż zdumiona mina Ranveig szybko znikła, a zamiast niej pojawił się szeroki, szczerzy uśmiech.

– Nie, skądże! Miło cię widzieć! Wejdz, proszę! – odezwała się Ranveig. – Rolf, przyszedł Viljar! Usiądziemy w pokoju kominkowym.

Wyjaśniła, że Rolf właśnie układa do snu ich sześcioletnią córeczkę. Viljar powiesił płaszcz na masywnym wieszaku, który zajmował połowę szerokości korytarza, i poszedł za Ranveig do sąsiadującego z salonem pokoju z kominkiem. Oba pomieszczenia zaopatrzone w panoramiczne, sięgające od podłogi do sufitu okna, zapewniające wspaniałą widok na Smedasundet. Ranveig bez słowa nalała im obojgu świeżo zaparzonej herbaty i przyniosła cukier oraz cytrynę. Viljar pogodził się w duchu z tym, że o kawie czy piwie nie ma mowy. Ranveig rozsiadła się naprzeciwko na miękkim fioletowym fotelu i przyjrzała się badawczo gościowi.

– Wyszedłeś na miasto, żeby napić się piwa, co? – uśmiechnęła się sprytnie.

– Widać już po mnie? Raptem trzy kufelki w MM – próbował się bronić Viljar.

– Półtora litra piwa we wtorkowy październikowy wieczór. Zrozumiałabym, gdybyś miał urlop.

Viljar się zawahał. Czuł, że nie powinien wciągać Ranveig do bagna, w którym sam ugrzązł, ale rozpaczliwie potrzebował sojusznika.

– Dostałem po południu nowego maila od tego samego nadawcy. To nie żart, Ranveig. Przyznał się do dzisiejszego mordu na Fjellvegen.

Ranveig chciała upić łyk herbaty, ale odstawiła filiżankę.

– Masz na myśli kobietę, która wypadła z balkonu?

– Uhm. Wygląda na to, że ktoś jej w tym pomógł. Tymczasem autor maila zapowiedział kolejny atak.

Mówiąc to, Viljar wyjął telefon, chcąc pokazać jej maila, ale Ranveig powstrzymała go. Islandczyk spojrział na nią ze zdziwieniem, lecz dostrzegł w jej oczach coś, czego nie umiał wytłumaczyć. Wsunął więc pod wargę porcję snusu i cierpliwie czekał.

– Jasna cholera, Viljar! Powinieneś z tym iść na policję, a nie przychodzić tutaj na plotki! – Ranveig patrzyła na niego surowo.

Dziennikarz opowiedział więc zwięźle o przesłuchaniu przez Lotte Skeisvoll i dodał, że maila otrzymał w chwili, gdy przebywał w komendzie. Potem wręczył Ranveig telefon, aby mogła zapoznać się z treścią wiadomości. Kobieta zmarszczyła nos, jakby Viljar podsunął jej parę przeпоconych skarpet.

– Jak widać, to niemal kopia poprzedniego maila – rzekł dziennikarz. – Nowość to tylko przyznanie się do morderstwa na początku i wyznaczenie nowej ofiary. Reszta wydaje się w zasadzie przeklejona z pierwszej wiadomości.

Ranveig pokiwała głową i doczytała do końca.

– Ten sam styl co w poprzednim liście. Żadnej energii, żadnych emocji, całkowity brak współczucia. Czy ktoś, komu nie chce się napisać nowego maila, a używa jedynie Kopiuj, Wklej, naprawdę liczy na to, że ktoś weźmie go na poważnie?

Odłożyła smartfona na stół.

– A może on chce, żebyśmy dokładnie to widzieli. Może sili się na przewidywalność i brak profesjonalizmu po to, abyśmy uznali, że kierują nim zupełnie inne intencje.

– Dobra, rozumiem. Załóżmy, że masz rację. Po co przestępca w ogóle miałby pisać te maile, jeśli nie po to, by wyprowadzić policję w pole?

Pytanie bez odpowiedzi zawisło między nimi. Ranveig podniosła telefon i zmrużyła oczy.

– Widzisz te litery i cyfry na dole?

Podawała mu aparat. Viljar zwrócił na nie uwagę, ale nie zastanawiał się nad ich znaczeniem.

– JN3-5... Cóż... – mruknął, próbując sobie przypomnieć, czy znał kogoś, kto używałby podobnych symboli, ale nikt nie przychodził mu do głowy.

– Istnieją dwie możliwości. Albo to stała sygnatura maila, co może mieć duże znaczenie, albo nadawca umieścił ten symbol celowo. To może być ważne, Viljar!

Przerwał im szelest bosych stóp na parkiecie. Sześciolatka Victoria stanęła na moment w drzwiach, a potem, ociągając się nieco, weszła

do pokoju i usadowiła się mamie na kolanach.

– Tata jest niegrzeczny! – oznajmiła z udawanym smutkiem i spróbowała zaszlochać. Stojący w drzwiach Rolf przyglądał się scenie z uśmiechem, niemal ukrytym w gęstej brodzie. Był od stóp do głów ubrany na zielono. Ranveig przypuszczalnie zauważyła pytanie w oczach Viljara, ponieważ natychmiast wyjaśniła:

– Rolf wpadł do domu tylko po to, żeby coś zabrać. Wybiera się na polowanie z kolegami, ale został pojmany w niewolę przez tę małą księżniczkę.

Rolf, który ciągle stał w progach, przytknął złożone dłonie do policzka, aby przekazać żonie, że mała nie chce spać. Ranveig przesłała mu w powietrzu całusa.

– Tata nie pozwala mi wziąć do łóżka domku dla lalek!

Ranveig roześmiała się i zmierzwiła rozczochrane loki dziewczynki. Ucałowała ją w policzek i przytuliła do siebie, pozwalając, by córka wypłakała swe krokodyle łzy. Gdy ucichł ostatni szloch, Ranveig posadziła Victorię na podłodze i pogłaskała ją delikatnie po głowie, patrząc jej w oczy.

– Tata jest bardzo kochany. Wiesz, że to on kupił domek dla lalek? Zapłacił za niego mnóstwo pieniędzy! Nic dziwnego, że teraz się o niego boi. Co będzie, jak domek spadnie z łóżka i się zepsuje? A może postawimy domek na półce, tak żebyś widziała go z łóżka, co? Myślisz, że uda ci się zasnąć?

Victoria pokiwała głową i otarła łzy wierzchem dłoni, a potem wzięła za rękę Rolfa, który tymczasem podszedł do niej.

– Dobranoc, mammo! Dobranoc, dziwny człowieku!

– Ten dziwny człowiek to też dziennikarz, Victorio. I też pisze. Ale nie tak dobrze jak ja – wyszeptła córeczce do ucha Ranveig, a mała zachichotała. Rolf wziął ją na ręce i poniosł w kierunku pokoju dziecięcego. Dziennikarka odprowadziła ich spojrzeniem pełnym miłości, a potem ponownie popatrzyła na Viljara. Islandczyk wypił łyk herbaty i podjął temat:

– Wiesz co? Zostawmy te litery i liczby na inną okazję. Nie jestem zbyt dobry w zagadkach.

Milczał przez chwilę.

– Przyznaję, że skierowałem mnie tu ukryty motyw. Masz stąd dostęp do redakcyjnych serwerów, prawda?

Ranveig pokiwała głową. Zajmowała się kulturą, a więc niejednokrotnie musiała przygotowywać artykuły wieczorami, po tym, jak reszta redakcji

udała się już do domu. Z tego względu dzięki aplikacji Citrix uzyskała możliwość łączenia się z wewnętrzną siecią i wysyłania gotowych materiałów z domu. Viljar z pewnością również otrzymałby podobny dostęp, ale jakoś nigdy nie chciało mu się instalować aplikacji. Zresztą praca wieczorami w domu była dlań czymś absolutnie nie do przyjęcia.

– Przyszło mi do głowy, żeby na szybko przeszukać nasze własne archiwa w poszukiwaniu przestępców, którzy zostali uniewinnieni w Haugesund. Ten Åmli w jakiś sposób znalazł kogoś takiego, a nie wydaje mi się, by miał dostęp do lepszych wyszukiwarek niż te u nas w pracy. Chyba że pracuje w sądzie albo w policji.

Ranveig z rezygnacją pokręciła głową.

– No dobra, ale w starych artykułach o uniewinnionych gwałcicielach nie znajdziemy żadnych nazwisk, a jedynie wiek i płeć – zauważyła.

– Zgadza się, ale identyczny problem miał zabójca. Z pewnością wybrał człowieka, który sam przedstawił własną historię. Zdarza się przecież regularnie, że drukujemy artykuły, w których ofiara lub oskarżony ujawniają nazwisko i zdjęcie, żeby przedstawić w mediach swoją wersję wydarzeń.

– Zabrzmiało to tak, jakby gazeta była czymś na kształt pręgierza.

Viljar powstrzymał uśmiech. Nie mógł się nadziwić naiwności Ranveig.

– A wy w działach kulturalnych przypadkiem nie oznaczacie swoich artykułów nazwiskami, kiedy wybuchają jakieś skandale? Nie tagujecie, tak żebyście sami mogli to zobaczyć, a czytelnik już nie? Czy może wierzę w jakąś spiskową teorię?

Ranveig westchnęła. Wiedziała już, do czego Viljar zmierzał. W sprawach, w które zamieszani byli sławni ludzie, pracujący w redakcji dziennikarze chętnie uzupełniali zdjęcia informacjami, o których opinia publiczna nie miała pojęcia. W ten sposób, jeśli inne media okazały się mniej powściągliwe, dziennikarze mogli szybko dotrzeć do tych faktów i zdjęć.

– Być może nasz zabójca tym razem ma na celowniku nieco bardziej znaną osobę. Tym samym zmusi nas, żebyśmy o nim pisali. Przecież tylko o to mu chodzi.

Ranveig sprawiała wrażenie, jakby było jej zimno. Opatuliła się mocniej kaszmirowym swetrem i rozsiadła się w pozycji przypominającej kwiat lotosu, choć ramiona nadal miała założone na piersi. Nie wydawała się przekonana, ale i tym razem posłuchała kolegi.

– No dobrze. Co wpisujemy?

– Zacznijmy od „gwałt” i „uniewinniony”.

Na ekranie pojawiła się długa seria dokumentów – w większości mało istotnych artykułów na temat spraw o gwałty w miejscowym sądzie. Sensownych zdjęć było doprawdy niewiele. Natrafili na mnóstwo ilustracji, ale nie przedstawiały one żadnych twarzy. Próbowali zwiększyć liczbę wyników, dodając kolejne słowa kluczowe w wyszukiwarce, ale bez powodzenia.

Viljar pograżył się w zadumie. Wśród natłoku myśli pojawiło się wspomnienie sprawy z przeszłości, bolesne i nieprzyjemne.

– Dobra, widzę, że masz już dosyć, ale czy mogłabyś sprawdzić jeszcze jedną rzecz?

Kobieta skinęła głową.

– Wpisz „Claussen” i „uniewinniony”.

Ranveig obróciła się szybko w stronę Viljara.

– Ostro, cholera!

Dziennikarka rzadko używała dosadniejszych zwrotów i sięgała po nie tylko wtedy, gdy naprawdę coś było na rzeczy.

Nie pomyliła się, ponieważ tym razem pojawiły się jednocześnie teksty i zdjęcia. Christopher Claussen, syn znanego armatora, miał w mieście reputację playboya, a przed siedmiu laty jedno z jego afterparty zakończyło się tym, że został aresztowany pod zarzutem zgwałcenia śpiącej kobiety. Sprawa zyskała wielki rozgłos, tym bardziej że włączył się w nią jego ojciec, Sigfred Claussen.

Starszy Claussen unikał rozgłosu medialnego, ale tym razem bez wahania opowiedział się po stronie swego rozwiązanego potomka. Wkrótce Christopher został uwolniony od zarzutów w sądzie, gdyż policja ustaliła jedynie tyle, że odbył z kobietą stosunek seksualny. Nie było natomiast dowodów na to, że nastąpiło to wbrew jej woli. Nieszczęsna dziewczyna nie miała raczej szans w starciu z wynajętymi przez Claussena rekinami palestry.

– Nie rozumiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. Przecież Claussen został już skazany za jazdę po pijanemu, a to zgadza się z profilem nakreślonym przez mordercę. Kolejną ofiarą ma być człowiek uwolniony z zarzutu gwałtu przynajmniej na jednej kobiecie, choć przypuszczalnie dopuścił się tego czynu na wielu ofiarach, a ponadto został skazany za inne przestępstwo.

– Tych kobiet było więcej?

– Jasne. Imprezy Claussena były szeroko znane i na ogół kończyły się tym, że facet lądował w pokoju hotelowym z którąś z uczestniczek. Rodzinę

ma w głębokim poważaniu, ale chyba jego żona nie ma nic przeciwko temu, że mąż się łajdaczy – dodał Viljar.

Następnie klepnął Ranveig w plecy, zdjął płaszcz z wieszaka i wyszedł, zanim Ranveig otrząsnęła się na tyle, by choć zawołać: „Cześć!”.

Norheimsbogen, Karmøy

Środa po północy, 15 października 2014 roku

Powietrze było ciężkie i duszne, wręcz nieruchome. Nad dachami domów, które przylgnęły do zboczy wzgórz Norheimsbogen, wisiała przytłaczająca warstwa ciemnych chmur. Viljar poprosił taksówkarza, by się zatrzymał. Zapłacił za kurs gotówką i ruszył szybkim krokiem wzdłuż szeregu imponujących willi, z których za najtańszą należałoby zapłacić przynajmniej pięć milionów. Norheimsbogen było odpowiednią Haugesund na tereny na Holmenkollen w Oslo.

Ściśle rzecz ujmując, obszar administracyjnie nie należał do miasta, lecz do wyspiarskiej gminy Karmøy. Tereny leżące na północ od mostu Karmsundsbrua – w tym Norheimsbogen – określano jako „lądową część gminy”. Podział między obiema jednostkami administracyjnymi w istocie był dziwny i nietypowy, gdyż na ogół granicę wyspiarskiej gminy wyznaczał most. W rezultacie Viljar nie znał nikogo, kto osiedliłby się w Norheimsbogen i uważał się za mieszkańca Karmøy.

Mieszkał tu Christopher Claussen wraz z rodziną, osłonięty przed światem przez inne budynki. Ich dom – nowocześnie wyglądająca willa – wznosił się na terenie popularnego rejonu spacerowego. Zagadką było, w jaki sposób Claussen otrzymał pozwolenie na budowę w takim miejscu; nieżyczliwi wskazywali na to, że mniej więcej w tym samym czasie firma Claussen Rederi zdecydowała się ulokować swą główną siedzibę w rejonie przemysłowym Norheim, również należącym do gminy Karmøy.

W swej nowej białej willi rodzina Claussenów wiodła ciche na ogół, spokojne życie. Nikt ich nie niepokoił, poza nielicznymi pechowcami, którzy zabłąkali się z turystycznych szlaków. Działkę ze wszystkich stron otaczał las, ale młody Claussen usunął część drzew przed oknami salonu, uzyskując w ten sposób wspaniały widok na cieśninę Karmsundet.

Z początku Viljar nie miał zamiaru odwiedzać syna armatora, ale chciał się przekonać, czy Claussen jest w domu. Ich rodzina często wybierała się na południe i nieraz się zdarzało, że Viljar jechał do Norheimsbogen, gdyż

potrzebował komentarza Claussena do pisanego przez siebie artykułu, lecz zastawał pustą willę. Jeśli to Claussen miał być kolejną ofiarą, należało zawczasu sprawdzić, czy w ogóle przebywa w domu.

Viljar z początku chciał podsunąć pomysł odwiedzenia Christophera Claussena policji, ale zwyciężyła ciekawość. Poza tym wcale nie miał pewności, czy policjanci zgodzą się z jego hipotezą, jakoby kolejnym celem zabójcy miała być osoba bardziej znana. Według maila kara miała zostać wymierzona rankiem, więc odwiedziny u Claussena na razie nie wiązały się ze specjalnym ryzykiem.

Wśród drzew otaczających willę czaił się mrok. Dziennikarz miał wrażenie, że każde drzewo i każdy kamień podkradają się bliżej, próbując go osaczyć. Było ciemno choć oko wykol, słyszał jedynie zgrzyt żwiru pod podeszwami sportowych butów. Serce biło mu coraz szybciej, przez cały czas usiłował stłumić narastającą panikę. Lęk przed ciemnością pojawił się w jego życiu późno, gdy Viljar był już dorosłym człowiekiem, wraz z resztą tego bałaganu, który późną jesienią 2010 roku doprowadził go do gabinetu Vigdis Nygård. Minęły cztery lata, ale strach nadal nie opuszczał go ani na krok i nie utracił nic ze swojej paraliżującej mocy.

Viljar zszedł ze ścieżki, gdy nagle odniósł wrażenie, że w krzakach za sobą usłyszał jakiś szelest. Obrócił się błyskawicznie i rozejrzał w panice. Ciemności skrywały wszystko, co było oddalone bardziej niż o metr. Adrenalina w jednej chwili podsycała strach i dziennikarz z najwyższym trudem zmusił się do racjonalnego myślenia. Serce waliło mu w piersi, a w gardle czuł nieznośny ucisk. Ramiona pokryła gęsia skórka. W uszach odezwał się cichy, monotonny, wibrujący pisk. Symptomy przerażenia – znał je aż za dobrze.

– Nikogo tu nie ma – powtarzał sobie Viljar.

Podstępny, zdradziecki lęk jednakże ani myślał odpuścić. Dziennikarz czuł czyjaś obecność w zaroślach. Wiedział, że nieznajomy przygląda mu się z coraz większym zainteresowaniem, ale najwyraźniej nie ma ochoty się pokazać.

– Halo? – szepnął Viljar do niewidzialnego intruza, znajdującego się kilka metrów dalej. Nic się nie wydarzyło. Dziennikarz uświadomił sobie, że zbyt szybko dyszy. Zakrył usta dłońmi i spróbował opanować oddech. Usiłował narzucić sobie spokój. Tam nie ma nikogo. Przebywa tu sam. Zapewne usłyszał jakieś zwierzę lub może wyobraźnia znów spletała mu figla.

Kiedy już jako tako doszedł do siebie, ruszył chwiejnym krokiem wśród wrzosów i zarośli w kierunku drzwi wejściowych do willi. Przez cały czas

towarzyszyło mu przeświadczenie, że ktoś skrada się za nim w odległości ledwie trzech kroków. Może dwóch? Co chwila obracał głowę i rozglądał się gorączkowo, ale niczego nie widział. Otaczał go nieprzenikniony, wszechwładny mrok. Mimo to nie miał zamiaru podchodzić główną drogą, ponieważ była widoczna z okien domu, a Viljar wiedział, że willi Claussena pilnowały dwa psy zakazanej w Norwegii rasy. Sprowadzić takie zwierzęta mógł tylko ten, kto zadawał się z ludźmi mającymi rozległe znajomości. Istniały więc ważne powody, dla których zawsze trzymano je na grubych łańcuchach, przykręconych do ogromnej belki. Nawet mityczny wilk Fenris nie urwałby się z takiego łańcucha, ale psy Claussena wydawały się wystarczająco silne.

Viljar był już blisko miejsca, którego pilnowały psy, i próbował skradać się jak najciszej. Nie planował podchodzić blisko, ale wiedział, że wystarczy jeden odgłos z lasu, by rozpętały piekło. Wyjrzał zza pnia brzozy i odkrył, że psów nie widać. Oznaczało to, że rodzina wyjechała bądź psy zostały spuszczone z łańcucha. Sama myśl o drugiej opcji sprawiła, że Viljar raz jeszcze się obejrzał. Wydawało mu się, że kątem oka dostrzega wśród gałęzi jakieś poruszenie. Liście zdrząły. Viljar stanął jak wryty i wstrzymał oddech.

To tylko wiatr.

Na samą myśl o tym, że po lesie mogły buszować dwa wyrosnięte, spuszczone z łańcucha dogi argentyńskie, ugięły się pod nim kolana. Nie był w stanie zmusić się do wykonania następnego kroku. Mięśnie, oddech, serce – nie panował nad niczym, a przecież musiał iść dalej. Nie, to na pewno nie psy. Nawet Claussen nie pozwoliłby, aby jego dwie maszyny do zabijania włączyły się po ścieżkach spacerowych wokół działki.

Viljar przypomniał sobie o niewielkim wzniesieniu za willą, z którego miałyby dobry widok, i z trudem ruszył w tamtą stronę. Brnął przez zarośla, ani na moment nie tracąc czujności. Spojrzał za siebie. Zatrzymał się. Spróbował uspokoić oddech i puls. Jeśli w lesie w istocie ktoś się krył, z pewnością już go usłyszał – przedzierający się przez las Viljar hałasował jak tyrolska orkiestra. Strach, jego najgorszy wróg, nie pozwalał mu zachować ciszy. Sprawiał też, że Viljar widział i słyszał nieistniejące rzeczy. Nagle dziennikarz odniósł wrażenie, że gdzieś dostrzega ludzkie sylwetki.

Ale przecież tam nie ma nikogo, prawda?

Niespodziewanie zamarł, gdy doszły go nowe dźwięki.

Czy to coś prawdziwego? Czy istnieją w ogóle złudzenia dźwiękowe? Czy ludzki słuch jest w stanie wytworzyć fatamorganę? Jeśli nie, nie ma

wątpliwości, że w tym lesie jest ktoś oprócz mnie.

Nowy odgłos – szelest wśród krzaków – pojawiał się co dziesięć sekund i odbierał Islandczykowi władzę nad ciałem. Viljar nie był już w stanie skupić się na niczym.

Posłuszny prymitywnym odruchom, opadł na kolana i ułożył się wśród wrzosów u stóp wzniesienia. Postanowił, że będzie leżeć nieruchomo, aż chaos w jego głowie ustąpi wreszcie miejsca zdrowemu rozsądkowi i pozwoli mu odzyskać władzę nad zmysłami. Aż Viljar ujrzy świat takim, jaki jest naprawdę, aż usłyszy zwykłe, niegroźne dźwięki. Przez dziesięć minut leżał nieruchomo na ziemi, po czym odważył się unieść głowę i oprzeć się na łokciach. Z ulgą i zadowoleniem skonstatował, że widzi w domu zarówno ludzi, jak i światło. Temu, że jego odczucia są całkiem irracjonalne, ponieważ rodzina Claussenów znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, nie poświęcił ani jednej myśli. Miał dość własnego strachu.

Zmusił się, by odepchnąć lęk jak najdalej od siebie. Nie mógł pozwolić na to, by strach ponownie zapanował nad jego ciałem. Wiedział z doświadczenia, że jeśli odpuści, ataki paniki zaczną powracać, za każdym razem coraz silniejsze. Kilkakrotnie się poddał i doprowadził do takiego stanu, że przez wiele dni nie potrafił wmieszać się w tłum ludzi. Widział duchy w świetle dnia. Wracał do życia głównie dzięki Ranveig, której za każdym razem udawało się wyciągnąć go z dołka. Jej szczególny dar polegał na tym, że zawsze umiała powiedzieć właściwą rzecz. „Życie jest tym, co trwa między jedną falą a drugą” – oznajmiła pewnego razu i Viljar ku swemu zdumieniu odkrył, że te słowa mu pomogły. Zrozumiał ich ukryte znaczenie: trzeba było odpuścić walkę i pozwolić, by fale nadeszły. Przecież zawsze kiedyś się kończyły.

Pewien był tylko jednej rzeczy. Coś jest nie tak. Mocno nie tak. W pobliżu znajduje się jeszcze jeden człowiek. Za jego plecami. Blisko, bardzo blisko, za blisko. Viljar nigdy nie potrafił zareagować jak należy w obliczu niebezpieczeństwa. Przerażenie oraz ból i tym razem uderzyły w niego z siłą huraganu. Jego nerwy wysłały do mózgu szaleńcze sygnały alarmowe, a wszelkie odruchy bezwarunkowe zamarły. W oczach zaczęło mu ciemnieć i Viljar nagle zrozumiał, że jest już za późno.

Pięć lat wcześniej

Eivindsvatnet, Haugesund

Środa, 17 lipca 2009 roku

Fredric musnął dłonią nagie plecy Jonasa, który odgarnął grzywkę na bok.

– To pedał, wiesz? – rzucił Fredric.

Jonas podniósł wzrok i dostrzegł badawcze, zagadkowe spojrzenie Fredrica Karjoliego.

– Ty też, Fredric. *So what?* Czy to ma jakieś znaczenie?

– Tak, ma. Są rzeczy, o których wszyscy wiedzą, ale nikt o nich nie mówi. To, że minister transportu Herman Eliassen jest homoseksualistą, jest jedną z nich. Gdyby sprawa się rypnęła, jedynym zaskoczonym byłby sam Eliassen.

Jonas się nie roześmiał. Rozgryzł ministra już podczas ich pierwszego spotkania na seminarium poświęconym rozbudowie infrastruktury drogowej w Rogaland.

Fredric milczał przez dłuższą chwilę, patrząc na spowite mrokiem wody Eivindsvatnet, zupełnie jakby odpowiedź czekała w głębinach. Tego lata nocne kąpiele stały się dla nich rytuałem. Ukryci wśród ciemności nocy, mogli bez zahamowań oddawać się sobie nawzajem.

– Tak naprawdę ma to wielkie znaczenie. Kluczowe, Jonas.

Fredric oderwał spojrzenie od wody i spojrzał na nagie ciało przyjaciela. Dotknął palcem pojedynczej kropli, która spływała po jego krzyżu. Na plecach Jonasa pojawiła się gęsia skórka.

– Kluczowe? A niby dlaczego? Jak ma nam pomóc to, że jesteśmy tej samej orientacji? Eliassen trzyma swój sekret pod kluczem i nie ma zamiaru nikomu go zdradzać, a my chyba też nie należymy do szczególnie chętnych do wynurzeń, co?

– Dla mnie to nie problem.

Jonas westchnął i podniósł się na łokciach. Ujął dłoń Fredrica i pogładził ją delikatnie.

– Tak, może dla ciebie. Ale pomyśl też o mnie. Wiesz co nieco o mojej rodzinie. Dla nich nawet myśl o homoseksualizmie jest grzechem, a w kręgach, w których się obracam, myśli są równie grzeszne jak czyny. Wiesz, co się stanie, gdy coś zwąchają. Potraktowaliby mnie łagodniej, gdybym był dzieciobójcą. Przecież zabójstwo można wybaczyć, Fredric, a to, co robimy, w ich odczuciu nie jest wcale pojedynczym grzechem. To niekończący się stan totalnego zepsucia. Poza tym nie mam pojęcia, w jaki sposób ten sekret miałby nam pomóc. Partia raczej nie słynie z wyrozumiałości wobec homoseksualistów.

– Ale to Eliassen wybiera ludzi do młodzieżówki. Zależy mu na nowych głosach. Jeśli się załapiemy, otworzą się nowe możliwości. Wiesz, wycieczki weekendowe, seminaria, kursy. Nie będziemy już musieli się ukrywać. A do tego będziemy mieli okazję wspiąć się w hierarchii partyjnej. Zanim się obejrzymy, zostaniemy wybrani do rejonowego kierownictwa w Stavanger czy Oslo. Pomyśl tylko, Jonas. Moglibyśmy się wynieść z tego zapomnianego przez Boga zadupia, a ty wyrwałbyś się z tej swojej porąbanej rodzinie, co dobry wujek ci radzi nie od dziś.

Jonas roześmiał się i spojrzał badawczo na przyjaciela.

– Zapomnianego przez Boga? Szkoda, że ojciec tego nie słyszy. Dostałby ataku serca. Ale mówiąc serio... Obaj chcemy zostać wybrani do młodzieżówki, ale jaki miałaby w tym udział tajemnica Eliassena?

Z twarzy Fredrica znikły wszelkie emocje, zupełnie jakby chłopak skrył się na kilka sekund przed całym światem i rozpoczął poszukiwania odpowiedzi. Siedział w milczeniu, grzebiąc w piasku, a pytanie wciąż wisiało w powietrzu. W końcu strząsnął z siebie resztki niepewności i oznajmił:

– Możemy go uwieść.

Bleikemyr, Haugesund

Środa w nocy, 15 października 2014 roku

Lotte przebudziła się gwałtownie z płytkiego snu i zaczęła gorączkowo macać w poszukiwaniu telefonu, który przed zaśnięciem położyła na podłodze przy łóżku. Nie mogła na niego natrafić i jej pierwszą świadomą myślą było to, że wieczorem powinna odkładać komórkę zawsze w to samo miejsce. Gdy w końcu odnalazła hałaśliwe urządzenie i odebrała połączenie, uświadomiła sobie, że czeka ją długa noc. Trzeba było się ubrać. Na sen przyjdzie pora kiedy indziej.

Piętnaście minut później zjawiała się w komendzie, gdzie powitał ją dyżurny, dziwnie wyglądający osobnik z ogromną klatką piersiową i chudymi nogami, przypominający starszą wersję Johnny'ego Bravo. To właśnie on do niej zadzwonił.

– Kiedy doszło do zdarzenia? – spytała, usiłując nadażyć za nieproporcjonalnie zbudowanym policjantem.

– Około dwudziestej trzeciej trzydzieści – odpowiedział ten krótko. Najwidoczniej nie przepadał za dłuższymi wypowiedziami. Lotte podeszła

bliżej i strzepnęła odrobinę łupieżu z jego ramion. Mężczyzna spojrział na nią ze zdziwieniem, ale policjantka nie powiedziała ani słowa.

– Co on robił w Norheimsbogen o tej porze? – spytała, głównie po to, by przerwać ciszę, i rozejrzała się panicznie w poszukiwaniu czegoś, w co mogłaby wytrzeć ręce.

– To ty jesteś oficerem śledczym, nie ja.

Funkcjonariusz dyżurny bez wątpienia nie miał ochoty na rozmowę i Lotte zrezygnowała z prób podtrzymania kontaktu. Ruszyła w ślad za kolegą do aresztu, a tam, w jednej z cel, ujrzała mężczyznę, który w przeciwieństwie do Johnny'ego Bravo wiedział coś o przyczynach, dla których policjantkę wyrwano z łóżka. Weszła do środka, wciąż w towarzystwie dyżurnego.

Viljar spojrział na nią wzrokiem zbitego psa. Lotte z rezygnacją machnęła ręką.

– Dzięki wielkie – parsknęła z sarkazmem.

– Dzięki?

– No a jak! Mam za sobą cholernie długi dzień i wreszcie udało mi się zmrużyć oko, kiedy nagle zadzwonił telefon. To z twojego powodu, prawda? – wyrzuciła z siebie Lotte.

Nagle zorientowała się, że przed wyjściem z domu źle zapięła guziki czarnej bluzki. Odwróciła się do Viljara plecami, żeby zamaskować gafę i pospiesznie ją naprawić, lecz wtedy kątem oka dostrzegła rozpromienionego Johnny'ego Bravo, który gapił się na nią z miną, jakby właśnie otwarto przed nim bramy raj. Wydawało jej się, że wyszedł w chwili, gdy sama wkroczyła do celi.

Viljar mówił coś za jej plecami. Policjantka odwróciła się na pięcie.

– Ach, tak. Przepraszam – rzekł dziennikarz.

Lotte miała jednak wrażenie, że w jego słowach pojawiła się nieszczerłość.

W jego odczuciu to policja powinna przeproszać – pomyślała i zerknęła do raportu podsunętego jej przez dyżurnego. Viljar został zatrzymany w dramatycznych okolicznościach w Norheimsbogen. Jeden z funkcjonariuszy, który został wyznaczony do patrolowania terenu, zauważył podejrzaną postać, która zbliżała się do domu rodziny Claussenów. Według raportu policjant przygniół Viljara do ziemi i uderzył go w splot słoneczny, a dziennikarz, gdy odzyskał oddech, zaczął wrzeszczeć o niesłusznej interwencji i przemocy policji.

Lotte wpatrywała się w niego. Długo.

– Opowiadaj – rzuciła w końcu.

Tym razem Viljar od razu zrozumiał, czego śledcza chciała się dowiedzieć. Opisał więc szczegółowo wszystko, co robił po przesłuchaniu, od pobytu w Cafe MM, przez odwiedziny u Ranveig, aż do wyprawy do Norheimskoggen.

– Mam przyjąć, że wyruszyłeś na wyprawę przez ciemny las tylko po to, żeby się przekonać, że Claussenowie są w domu?

– Tak, serio. Przyszło mi do głowy, żeby was ostrzec, ale uznałem, że nie będę wam zawracał głowy.

Jego ostatnie słowa zawisły w powietrzu. Lotte nie mogła uwierzyć w to, że ktoś potrafi podejmować tak kiepskie decyzje.

– Głupota to, jak widzę, osobny przedmiot w wyższej szkole dziennikarstwa? – warknęła głośno i uderzyła pięścią w stół przed Viljarem.

Islandczyk podskoczył, wystraszony nagłym wybuchem policjantki. Zgarbił się, ale natychmiast znów wyprostował.

– Mylisz głupotę z ciekawością i czujnością – odparł szorstko.

Lotte spojrzała na niego ze skrajnym zdumieniem, a potem starannie postawiła plastikowy kubek, który przewrócił się od uderzenia w stół. Zmęczenie sprawiało, że przestawała się zachowywać jak na profesjonalistkę przystało. Traciła panowanie nad sobą.

– A więc poważnie utrzymujesz, że ściągnięcie na siebie podejrzeń w sprawie o morderstwo nie jest głupotą? – spytała i zerknęła na Viljara w poszukiwaniu jakiegokolwiek reakcji. Ujrzała jedynie niepokój. Dziennikarz żuł nerwowo gumę i rozglądał się gorączkowo dookoła. – Mamy tu pewną żelazną zasadę, jeśli chodzi o śledztwa. Kiedy podczas dochodzenia natkniemy się na jakiegoś człowieka, zapewne potraktujemy to jako przypadek. Jeśli ten sam człowiek pojawi się dwukrotnie, wyda nam się to podejrzane. Gdy zauważymy go po raz trzeci, uznamy to za schemat.

– Ale ja napatoczyłem się wam po raz drugi.

– Trzeci – poprawiła go Lotte.

– Trzeci? Co ty wygadujesz, do cholery? – Viljar popatrzył ze zdziwieniem na policjantkę.

– Po pierwsze, to ty otrzymałeś maile. Po drugie, włóczysz się po lesie wokół domu człowieka, który może stać się następną ofiarą zabójcy. Po trzecie, twoje nazwisko pojawiło się w kalendarzu Rity Lothe. Jeśli chcesz wiedzieć, to mieliśmy cię na oku przez cały wieczór.

Viljar wpatrywał się w nią pytająco, a potem, zrezygnowany, pokręcił głową. Na twarzy Lotte nie było śladu emocji. Policjantka czekała, aż Viljar wreszcie się odezwie, ale po chwili się poddała.

– W mieszkaniu Rity Lothe znaleźliśmy almanach, wiesz, taki stary kalendarz. Nie wiedziałam, że takie rzeczy w ogóle jeszcze istnieją, ale wygląda na to, że życie tej kobiety zatrzymało się w latach siedemdziesiątych. Twoje imię zostało wymienione w trzech miejscach, za każdym razem starannie obwiedzione serduszkami.

– To nie ja. Musiała mieć na myśli jakiegoś innego Viljara. Nie wiem, co sobie o mnie myślisz, ale nie jestem idiotą! Ona miała blisko sześćdziesiątkę, a ja ledwo skończyłem czterdzieści lat. Chyba rozumiesz, że to nie mogłem być ja?

Viljar gadał teraz jak najęty, aż Lotte uniosła obie dłonie, by powstrzymać natłok słów.

– Super. Jak tylko sprawdzę twoją historię z Ranveig, będziesz mógł iść do domu, ale rano pojawi się tu Kripos i czekają cię kolejne przesłuchania. Zrozumiano?

Lotte wstała, wygładziła bluzkę i obrzuciła go surowym spojrzeniem, a potem wyjęła telefon, żeby zadzwonić do Ranveig Børve. Pięć minut później Viljar znów był wolnym człowiekiem.

* * *

Deszcz, który zapowiadał swe nadejście od kilku godzin, lunął w chwili, gdy dziennikarz zatrzymał się, aby wyciągnąć z kieszeni paczkę papierosów. Viljar schronił się pospiesznie pod okapem przy Victoriahjørnet na ulicy Haraldsgata. W głowie szumiało mu po przesłuchaniu. Nie był w stanie uspokoić kotłujących się myśli. Z całą pewnością został z rozmysłem wkręcony w tę intrygę przez kogoś, kto chciał mu zaszkodzić. To, że sam pogorszył sprawę, rozbijając się jak pijany imprezowicz w poszukiwaniu afterparty, zostało zrzucone na konto głupoty. Sam był sobie winien.

Wrzucił papierosa do studzienki ściekowej i sięgnął po pudełko ze snusem. W tej samej chwili dojrzał kątem oka jakiś cień. Człowiek, który szedł po drugiej stronie ulicy, zatrzymał się błyskawicznie i z wielkim zainteresowaniem zaczął się przyglądać wystawie księgarni Norli. Było ciemno, a nieznajomy znajdował się zbyt daleko, by Viljar mógł go rozpoznać.

Kto zatrzymuje się przed księgarnią i przygląda nowościom w trakcie oberwania chmury?

Viljar ruszył przed siebie. Przy kolejnej przecznicy szybko odwrócił głowę i zauważył, że człowiek idzie za nim. Viljar się uśmiechnął.

Podjezany w sprawie o zabójstwo musi się liczyć z takimi rzeczami – zrozumiał. Cóż, przyjacielu, wygląda na to, że czeka cię mokra i nudna noc.

Lotnisko Haugesund, Karmøy

Środa rano, 15 października 2014 roku

Podjeście do lotniska Haugesund przywodziło na myśl zestaw ćwiczeń w akrobatyce powietrznej. Samolot linii Norwegian z podobizną Thora Heyerdahla na ogonie podskakiwał w powietrzu niczym tratwa Kon-Tiki na falach oceanu ponad pół wieku temu. Oficer śledczy Kripos Olav Scheldrup Hansen zacisnął dłoń na poręczy fotela i wyjrzał przez okno na warstwę białych chmur, która wydawała się nie mieć końca. Czuł się jak odkrywca, który podjął się zadania ponad swoje siły. Gdy chmury ostatecznie się przerzedziły, zmieniły też kolor z białego na szary. Wyglądało na to, że poranne mgły nie są niczym niezwykłym w jesiennym Haugesund. Zresztą ponoć przez resztę roku nie wyglądało tu inaczej.

Koła samolotu łupnęły głucho o ziemię. Po kilku sekundach hamowania śledczy skonstatował z ulgą, że pilotom udało się odnaleźć pas startowy w morzu mgły. Puścił poręcz fotela i odetchnął.

Komendant policji z Haugesund przesłał mu krótkiego maila o sprawie. Olav otrzymał również informacje dotyczące jej charakteru od szefa swego wydziału. Bilet lotniczy został zamówiony, a protesty Olava, któremu nie uśmiechała się podróż powietrzna, zostały skwitowane wzruszeniem ramion. Sprawa w Haugesund była pilna. Nikt nie miał czasu czekać, aż śledczy z Kripos przetelepie się przez góry jakimś cholernym autobusem.

Informacje na temat sprawy były mocno niekompletne i Olav miał nadzieję, iż nie oznacza to, że policja w Haugesund sknociła zadanie. Przełożony zapewnił go jednak, że dochodzeniem na miejscu zajmował się najlepszy śledczy okręgu, weteran służby. Sam Hansen niedawno ukończył pięćdziesiąt lat, ale przez ostatnich piętnaście lat pracował dla Kripos, gdzie cieszył się sporym uznaniem jako oficer śledczy. Często organizował szkolenia i wygłaszał wykłady w wyższej szkole policyjnej, napisał dwie książki o taktyce śledczej i z tych powodów szefostwo nierzadko musiało się liczyć z jego zdaniem.

Jedyną wadą jego pozycji było to, że raz na jakiś czas wysyłano go gdzieś na prowincję, gdzie musiał asystować w rozwiązywaniu spraw zabójstw. Najlepiej czuł się w Oslo i nie przepadał za fotelami w samolotach, aż tu

nagle musiał zapomnieć o słonecznej pogodzie w stolicy. Oto trafił do zamglonego Haugesund, gdzie temperatura z osiemnastu stopni spadła do siedmiu. Żałował, że nie zabrał ze sobą cieplejszego płaszcza.

Krótki, wąski korytarz prowadził do hali przylotów, niewielkiego pomieszczenia rozmiarów standardowego salonu w norweskim domu. Po jednej stronie wił się pas transmisyjny z bagażami, a druga przeznaczona była dla rodzin i przyjaciół czekających na pasażerów. Wśród trójki oczekujących stał wysoki policjant z kartką formatu A4, na której flamastrem napisano nazwisko Hansen. Olav skrzywił się w duchu – uważał się za wystarczająco inteligentnego, by rozpoznać oczekującego na niego człowieka, tym bardziej że ten miał na sobie mundur.

Dziesięć minut później Scheldrup Hansen usiadł na miejscu pasażera w radiowozie należącym do miejscowej komendy. Był to wysłużony volkswagen passat, którego dawno nie sprzątano – pod nogami szeleściły papierki po hot dogach i puste butelki po coli.

Olav milczał, wiozący go policjant na szczęście również nie miał ochoty na rozmowę. Wkrótce głowa Hansena zaczęła rytmicznie opadać, a jego samego na moment zmorzył sen. Zarejestrował jednak, że przejechali przez duży most, a zabudowa na drugim brzegu stawała się coraz gęstsza. Zbliźali się do centrum i nastrój śledczego nieco się poprawił. Wyglądało na to, że Haugesund jest jednak bardziej miastem niż wsią. Olav wiedział, że mieszka tu około trzydziestu pięciu tysięcy ludzi i pochodzi stąd jedna z lepszych drużyn piłkarskich w kraju, ale mimo to spodziewał się ujrzeć dwie ulice na krzyż i rozrzucone w okolicy farmy.

Skręcili przy miejskim szpitalu i przejechali przez kilka wąskich, pustych uliczek. Po chwili policjant zaparkował przed budynkiem komendy przy Smedasundet i wyskoczył, by pomóc gościowi z bagażem, co pozwoliło Olavowi wywnioskować, że nie znaleziono mu jeszcze hotelu. Hansen wszedł do komendy i przedstawił się funkcjonariuszowi dyżurnemu, a dwie minuty później zjawiła się Lotte Skeisvoll. Hansen, oszołomiony, patrzył na nią i na jej wyciągniętą dłoń; minęła chwila, nim zareagował. Miał nadzieję, że na czele miejscowego dochodzenia stanie ktoś inny, i to odkrycie całkiem pokrzyżowało mu plany. Rozpoznał Lotte natychmiast, ale jego reakcja była daleka od serdeczności. Policjantka najwyraźniej również nie miała powodów do radości, ale zdobyła się na tyle przyzwoitości, żeby to ukryć.

Lotte Skeisvoll była najmłodszą kobietą, jaką szkolił w ramach zajęć w wyższej szkole policyjnej. Od pierwszego dnia robiła wrażenie, jakby

zjadła wszystkie rozumy. Zapamiętał ją również jako osobę do przesady skrupulatną – potrzebowałaby roku, aby zebrać dowody na to, że ugotowanie jajka na twardo wymaga dziewięciu minut.

Widzę tylko jedno rozwiązanie – pomyślał Olav, gdy wreszcie wstał i uściskał jej dłoń. Muszę wykorzystać wszystkie dostępne kanały, by przejąć kontrolę nad sprawą. W przeciwnym razie dochodzenie zamieni się w bezsensowną serię procedur, w której nic się nie dzieje i nikt nie podejmuje tropów, nim zdążą wystygnąć.

Wiedział, że od egzaminów końcowych Lotte Skeisvoll upłynęło dziesięć lat, ale wychodził z założenia, że przez taki szmat czasu mogła się stać tylko jeszcze bardziej pedantyczna i drobiazgowa.

Olav zauważył też, że Lotte Skeisvoll walczy ze sobą, by nie parsknąć śmiechem. Myślami cofnął się w czasie o wiele lat, do chwili, gdy poznał przemądrzałą dziewczynę z Vestlandet, która zawsze trzymała dłoń w powietrzu i próbowała go pouczać, zupełnie jakby to ona prowadziła zajęcia. Poczuł, jak narasta w nim irytacja. Był przekonany, że ona również wspomina te czasy.

Komenda policji w Haugesund

Środa rano, 15 października 2014 roku

Lotte przyjrzała się grupie dochodzeniowej, której zadaniem było odnalezienie mordercy Rity Lothe i powstrzymanie go przed zgładzeniem kolejnych ofiar. Zauważyła niechęć na twarzy Scheldrupa Hansena, gdy spotkali się w korytarzu godzinę wcześniej. Dobrze wiedziała, że Hansen nie znosi w policji takich kobiet jak ona. Cóż, kobiety z pewnością tolerował, ale nie zaliczały się do nich te, które myślały i zachowywały się jak typowe kobiety. Hansen był bystry, zdecydowany, energiczny i skupiony na osiągnięciu celu. Ona zaś, drobiazgowa, uważna i precyzyjna, przywiązywała też dużą wagę do odnalezienia dowodów. Była przekonana, że obie drogi prowadzą do Rzymu, ale marzyła o tym, by móc pokazać Hansenowi, że jej metody działania są równie skutecznie jak jego. Jeśli chodziło o statystyki aresztowań, nie mogła się z nim mierzyć, ale przewyższała go liczbą skazań.

Lotte chrząknęła, by dać znać zebranim, że czas na rozpoczęcie narady. Przedstawiła wszystkich członków ekipy dochodzeniowej w kolejności alfabetycznej, dostrzegając kątem oka, że cierpliwość Scheldrupa Hansena

zaczyna się wyczerpywać. Hansen przewracał oczami i demonstracyjnie tłumił ziewnięcia. Lotte niechętnie skróciła ustawione zawczasu przerwy między slajdami prezentacji w PowerPoincie.

– Dam wam teraz kwadrans na zapoznanie się z materiałami, które leżą na stołach. Znajdziecie tam szczegółowy opis tego, co jak dotąd ustaliliśmy w sprawie zabójstwa Rity Lothe, oraz wiele interesujących szczegółów, które mają związek ze sprawą.

Dokładnie piętnaście minut później otworzyła dyskusję, ale natychmiast pożałowała, że z góry nie narzuciła surowszych reguł.

– Musimy przestać myśleć jak gromada rozgadanych starych kwok na spotkaniu koła gospodyń wiejskich – oświadczył Scheldrup Hansen, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać. Nie spuszczał przy tym wzroku z Lotte. – Należy skupić czas i środki na jednym celu. Obserwacja i doświadczenie z poprzednich spraw podpowiadają mi, co w tej sytuacji zrobić trzeba, a czego absolutnie robić nie wolno. Zacznę od tej drugiej kwestii. Powinniśmy natychmiast przestać zwoływać długie, pozbawione sensu spotkania, na których wszyscy siedzą i snują swoje teorie. To do niczego nie prowadzi. Wiem, że to brzmi brutalnie, ale nie macie żadnego doświadczenia z morderstwami, a gdy policja spędza więcej czasu na gadaniu przy kawie niż na prowadzeniu dochodzenia, szansa na odnalezienie sprawcy maleje.

Przerwał, by wypić łyk kawy, ale zauważył, że Lars Stople chce coś powiedzieć. Powstrzymał go, unosząc dłoń, i rzekł:

– Sugeruję, byśmy skupili się na tym, co mamy. Rozwiązania niemal zawsze kryją się tuż za rogiem. Żeby odnaleźć zabójcę Rity Lothe, musimy nieco powęszyć w jej życiu miłosnym. Lotte najwyraźniej uważa, że ten dziennikarz o imieniu Viljar jest mało istotnym ogniwem w całej aferze, ale moim zdaniem dalibyśmy plamę, gdybyśmy nie wzięli go pod lupę. Przecież jego nazwisko pojawia się na każdym kroku. Nie mówię, że to człowiek, którego szukamy, ale nieprzypadkowo został w to wplątany. Dziennikarze mają przecież wrogów. Zbadajcie jego wcześniejsze sprawy. Może popełnił gdzieś jakąś gafę albo ujawnił czyjeś grzeszki i ktoś chciałby się zemścić? Poza tym nie powinniśmy go skreślać z listy podejrzanych. Z dokumentów wynika, że mamy do czynienia z dziennikarzem, którego gwiazda nie świeci tak jasno jak kiedyś, aż tu nagle znajduje się w centrum niewyjaśnionego zabójstwa.

Olav zrobił w powietrzu cudzysłów.

– Nie możemy wykluczyć tego, że próbuje stworzyć intrygującą historię,

żeby znów popchnąć swoją karierę. Każdy dziennikarz ma mokre sny na myśl o morderstwie, dzięki któremu zabłyśnie zarówno on, jak i jego gazeta. Niestety, tak to już bywa, że pozostają one tylko snami i zabójca pragnie pozostać w ukryciu. Takie rzeczy dzieją się wyłącznie w filmach i serialach, a ja nie chcę was rozczarowywać, ale to posterunek policji w Haugesund, a nie ostatni sezon *Mostu nad Sundem*.

Olav spostrzegł wokoło pytające spojrzenia i westchnął:

– Nie mówcie, że nie widzieliście *Mostu*...

Wstał z krzesła i znów uniósł ręce, ale nikt nie chciał mu przerywać. Wyglądało na to, że reszta zespołu pogodziła się z sytuacją.

– Przyjrzymy się teraz temu Viljarowi Ravnowi Gudmundssonowi. Być może to fałszywy trop, ale w ten sposób przynajmniej uniemożliwimy mu realizowanie kolejnych idiotycznych pomysłów, które mogłyby przeszkodzić w śledztwie.

Odwrócił się do Lotte:

– Teraz, Lotte, możesz zacząć przydzielać poszczególne zadania, tak aby śledztwo ruszyło z miejsca.

Policjantka poprawiła obrus przed sobą i pogładziła palcem materiał, próbując zebrać myśli. Wyglądało na to, że Scheldrup Hansen będzie o wiele twardszym orzechem do zgryzienia, niż sądziła.

Rommetveit, Stord

Środa przed południem, 15 października 2014 roku

Beate Fredriksen przeciągnęła się niczym kocica, wciąż otulona miękką pościelą. Promienie porannego słońca wpadały przez szczeliny w żaluzjach i łaskotały ją po twarzy. Leżała nieruchomo i nasłuchiwała przez moment, lecz szybko rozpoznała znajome motywy z Disney Channel, dobiegające z salonu. A więc Sander już wstał.

Ojciec wyszedł do pracy i po raz kolejny pozostawił kuchnię pod opieką sześciolatka – pomyślała z rezygnacją. Jakby mało było bałaganu.

Nie pozwoliła jednak, by rozdrażnienie zburzyło spokój i zadowolenie wywołane przez ciepłe łóżko.

Obróciła się w pościeli i naraz wyczuła słaby zapach perfum z rzeczy, które zrzuciła z siebie, nim położyła się spać. Odepchnęła ubrania. Nie znosiła takich zapachów wcześniej rano. Zanosilo się na cały dzień w towarzystwie małego Sanderka i ich siostry Julie, ale dziś wypadał dzień układania planu w szkole i Beate była przekonana, że jej czternastoletnia siostra będzie spać do późna.

Gdy otworzyła drzwi sypialni, okazało się jednak, że Julie była już na nogach. Szum prysznicza wskazywał, że wyczołgała się spod kołdry niezwykle wcześnie jak na siebie, i Beate zrozumiała, że o gorącej wodzie może tylko pomarzyć. Mimo to postanowiła nie rozpoczynać dnia od walenia w drzwi i kłótni z czternastolatką. Włożyła szlafrok i pocłapała do salonu.

– Dadda!

Sander, ledwie ją zauważył, zsunął się z niewielkiego czerwonego fotela i pobiegł jej na spotkanie. Objął ją i przytulił ze wszystkich sił. Nadal miał na sobie piżamę, a jego niemal białe włosy sterczały sztywno po jednej stronie głowy. Beate zauważyła od razu, że na czystej białej bluzie od piżamy widać dwie lepkie brązowe plamki nutelli. Roześmiała się i podniosła braciszka.

– Ty mały łobuzie! Już objadasz się nutellą? Przecież to nie sobota!

Sander spojrzał na nią z powagą niczym mały dorosły.

– No, dzisiaj jest piątek! A wszystkie piątki są jak sobota!

Było to najlepsze wyjaśnienie na świecie i Beate znów się roześmiała. Zmierwiła mu czuprynę, posadziła go na fotelu i podeszła do blatu

kuchennego. Jej brat pozostawił po sobie mały bałagan – dziewczyna westchnęła, ale humor poprawił jej się nieco, gdy zauważyła, że ojciec nie dopił kawy przed wyjściem do pracy. Mogła sobie nalać filiżankę przed przystąpieniem do sprzątanania czy innych prac domowych.

Tak była nauczona i nie wyobrażała sobie innego życia. Jej matka, pisarka Sandra Borg Fredriksen, żyła niczym nomada na pustyni i traktowała dom jak oazę, do której zajeżdżało się raz na jakiś czas, by zaczerpnąć wody. Poza tymi wizytami rzadko ją widywali, chyba że na ekranie telewizora. Ojciec dużo pracował, więc Beate jako najstarsza musiała przejąć obowiązki matki.

Z filiżanką kawy w ręku wyszła na korytarz i wyciągnęła parę wysłużonych niebieskich crocksów. Miała ochotę na chwilę porannego spokoju z gazetą, która przypuszczalnie leżała już na schodach. Jak na siedemnastoletnią dziewczynę, która miała w domu dostęp do wszelkiego rodzaju maców, iPhone'ów i iPadów, był to dość staroświecki zwyczaj, ale krył się w nim cichy protest przeciwko ich stylowi życia.

– Ależ ty jesteś retro – powtarzała jej bez przerwy Julie.

Jej siostra nie miała najmniejszego zamiaru buntować się przeciwko rodzinnemu bogactwu, które przyniosła im seria powieści kryminalnych mamy. Z początku mama pisała dla przyjemności, ale z chwilą gdy na podstawie jej książek nakręcono serial, który potem zrobił międzynarodową karierę, zaczęła znikać z ich życia. Dla Julie życie było niekończącym się źródłem przyjemności – uważała, że ma do nich święte prawo. Beate rzuciła okiem na telefon siostry, który leżał na stercie brudnych rzeczy przed łazienką. Była dziewięć czterdzieści.

Gazeciarz odwiedzał ich zazwyczaj dopiero po dziesiątej, ale nie zaszkodziło sprawdzić. Dziewczyna podeszła do wyjścia i pchnęła, próbując otworzyć drzwi, ale coś blokowało je od zewnątrz. Zaskoczona Beate próbowała się precyzyjnie przecisnąć przez szczelinę między drzwiami a futryną, ale po kilku nieudanych próbach zmieniła taktykę i napała z całej siły na drzwi. Ustąpiły z nienacką i Beate wypadła na zewnątrz. Potknęła się i przewróciła prosto na to, co leżało na schodach. Zesztywniała w jednej chwili, a w płucach zaczął narastać wrzask. Wpatrywała się bowiem w ziejący krwią, fragmentami kości i masą mózgową krater, który kiedyś był potylicą jej ojca.

Krzyk uwolnił się dopiero wtedy, gdy dziewczyna poderwała się na równe nogi i cofnęła do korytarza. Wrzeszczała tak głośno, że od ścian odbijało się echo. Nie była w stanie oderwać wzroku od przerażającej sceny.

Nim się opamiętała, rozległ się pospieszny tupot dziecięcych stóp. Sander biegł z salonu w stronę korytarza i wołał siostrę, aż zatrzymał się tuż przy niej. Jego przestraszone wołanie ucichło raptownie, jakby ktoś wcisnął przycisk Mute na pilocie. Następną kilka sekund rozciągnęło się w wieczność, aż ciszę przerwał cichy szloch, a chłopiec uniósł twarz ku znieruchomiałej siostrze.

Za ich plecami rozległ się nowy dźwięk i Beate oderwała spojrzenie od straszliwego widoku. Nie odwróciła się jednak, wiedziała, kto za nimi stanął.

– Tato? – szepnęła Julie z rozpaczą, jakby nie miała siły, aby wrzasnąć.

Mieszkanie Viljara, ulica Austmannavegen w Haugesund *Środa przed południem, 15 października 2014 roku*

W redakcji rozpętało się piekło. W rolę diabła wcielił się Johan Øveraas, ale nie pojawił się jeszcze grzesznik, który przyjąłby należną karę. Viljar Ravn Gudmundsson nie stawiał się bowiem w pracy, a Øveraas miał pełne ręce roboty z trzema funkcjonariuszami policji, którzy zostali przysłani po dziennikarza. Tego dnia Ranveig Børve miała wieczorną zmianę, ale naczelny zadzwonił do niej około dziesiątej trzydzieści i precyzyjnie opisał chaos i szaleństwo w biurze. Rozwścieczony, nakazał Ranveig wytropić Viljara „najszybciej jak się, kurwa, da”.

Próbowała mu wytłumaczyć, że zajmuje się właśnie córką i nie ma czasu ani możliwości bawić się w detektywa, ale wtedy naczelny eksplodował serią przekleństw, które uświadomiły jej, że dobrze wie o mailach oraz o tym, że rozmawiała z Viljarem na ich temat. Zarzucił jej przy tym skrajną nielojalność, z czym kobieta nie mogła się nie zgodzić.

Mała Victoria została więc w ekspresowym tempie podrzucona do babci, spotkanie z przyjaciółką w kawiarni odwołane, a mąż otrzymał polecenie przerwania polowania i odebrania córeczki. Jakby tego było mało, Rolf ostro zbeształ ją za to, że ukryła przed zwierzchnikiem ważną informację. Miał prawo być zły, wszak polowanie przeszło mu koło nosa.

Ranveig zaparkowała przed salonem Opla na Karmsundsgata i pieszo pokonała resztę drogi dzielącą ją od osiedla pięciu prostokątnych bloków, stojących przy ulicy Austmannavegen na południu miasta. Gdy dziennikarka skręciła w kierunku klatki schodowej, w której mieszkał Viljar, zauważyła dwa stojące przed nią samochody policyjne. Podeszła bliżej

i zastukała w okno pierwszego. Młody, ciemnowłosy policjant po kilku sekundach opuścił szybę. Miał wyraźne, ostre rysy twarzy i ładny dołeczek w brodzie. Spojrzał na nią pytająco.

Ranveig przedstawiła się i wyjaśniła, czego szuka, ale policjant zdecydowanie pokręcił głową.

– Nikomu nie wolno tam wejść – rzekł. – Czekamy na pozwolenie od prawnika policyjnego, żeby wejść do mieszkania z użyciem siły. Wiemy, że Gudmundsson jest w środku, przed chwilą stał w oknie sypialni, ale nie chce otworzyć.

Policjant, który nazywał się Knut Veldetun, chciał podnieść szybę, ale Ranveig go powstrzymała.

– Wam nie otworzy, ale mnie tak. Zadzwońcie do Lotte Skeisvoll, ona dobrze mnie zna – skłamała Ranveig. – Muszę mieć możliwość pogadania z nim.

Veldetun obrzucił ją wzrokiem i zawahał się nieco, ale w końcu wyciągnął telefon i wybrał numer Lotte. Po chwili przekazał komórkę Ranveig.

Na klatce schodowej dziennikarka ujrzała znajomą twarz. Alexander siedział na najniższym stopniu, obejmując kolana ramionami. Patrzył przed siebie bez wyrazu.

– Tata nie chce mi otworzyć.

Ranveig zrobiło się smutno, ale jednocześnie poczuła gniew.

Pokażę temu staremu draniowi, gdzie raki zimują – pomyślała.

Poklepała chłopaka po policzku, poprosiła, by w tej sytuacji udał się do matki, i przeszła obok niego, aż stanęła przed mieszkaniem Viljara.

Nie zadzwoniła. Zamiast tego zapukała lekko i zaczęła mówić przez zamknięte drzwi, nie czekając na żadną reakcję z drugiej strony. Opowiadała o tym, co się wydarzyło rano, i dodała, że Viljar powinien jej otworzyć, o ile nie chce się pograć jeszcze bardziej. Powiedziała mu również o tym, że Alexander siedział na schodach jak bezdomny z blokowiska. Viljar nie odpowiedział, ale po chwili rozległ się szcęk otwieranego zamka.

Po przekroczeniu progu Ranveig zrozumiała, że z jej kolegą naprawdę jest źle. Powietrze w mieszkaniu było duszne i cuchnące, na podłodze walały się śmieci i brudne ubrania, a wokół jej stóp tańczyły ogromne koty kurzu. W korytarzu piętrzył się stos pudełek po pizzy. Nie sprzątano tu od tygodni. W pracy Viljar nie dawał po sobie poznać, że nie dba już o siebie, ale tutaj nie można było tego ukryć.

Do jasnej cholery, ten człowiek pozwala, by jego syn mieszkał w tym

chlewie? – pomyślała Ranveig, przestępując nad śmieciami. Viljar, który miał na sobie jedynie znoszone spodnie od dresu, wszedł do salonu, nie oglądając się za siebie.

Oto człowiek na krawędzi przepaści.

Islandczyk zrzucił z fotela brudne majtki i wygniecione dżinsy i wskazał jej palcem, że chce, by tam usiadła. Ranveig nie miała na to większej ochoty, ale posłuchała.

Viljar wyjrzał przez okno. Ranveig nie miała pojęcia, na co dziennikarz patrzy, ale przypuszczała, że jego uwagę przyciągają samochody policyjne na zewnątrz. Po chwili obrócił się i spojrzał na nią.

– Co tam się, do cholery, dzieje? – spytał ostro. W jego oczach pojawiło się wyzwanie, ale kobieta się nie wystraszyła.

– W sumie to chyba ja powinnam cię o to spytać, no nie? Nie pojawiłeś się w pracy, nie odbierasz telefonu, nie otwierasz drzwi ani przed policją, ani przed własnym synem... Mam coś dodać?

Viljar westchnął i opadł na brązową skórzaną kanapę. Potarł dłonią czoło, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Kątem oka Ranveig dostrzegła, że Alexander wszedł do środka i skierował się do pomieszczenia, które zapewne było jego pokojem.

– Nie mam pojęcia, Ranveig. Obudziłem się dziś rano z mrocznymi chmurami w głowie. Próbowałem się podnieść, pójść do łazienki i jakoś się ogarnąć, ale poddałem się. Nie dałem rady dotrzeć do pracy. Godzinę później zadzwonił Øveraas i pozostawił histeryczną wiadomość na poczcie głosowej.

– O tym już wiem, Viljar, i mam to gdzieś! Czemu się nie ubrałeś? Dlaczego nie otwierasz drzwi przed policją? Nie potrzeba chyba magisterki z psychologii, żeby dojść do wniosku, że człowiek, który tak postępuje, coś ukrywa.

Viljar znów spojrzał na nią ostro, z wyzwaniem. Nie odezwał się ani słowem, ale wyciągnął skądś peta, którego przez moment nie mógł zapalić. W końcu wydmuchnął dym i ponownie zwrócił uwagę na Ranveig.

– Mam lęki.

– Lęki? Co ty wygadujesz?

– Chodzę do psychologa, ale nie mijają. Mam mroczne, wstydlive, duszące, paraliżujące lęki. Niby prosty problem, a jednocześnie cholernie trudny. Chowam się pod kołdrą jak mały chłopiec...

Ranveig przyjrzała się uważnie jego twarzy. Tajemnica powoli zaczynała się odkrywać. Kobieta wstała i podeszła do niego.

– Nie dotykaj mnie, proszę...

Ranveig cofnęła dłoń, którą chciała położyć na jego ramieniu, ale nie usiadła.

– A co z Alexandrem? Mieszka tu teraz?

Viljar pokręcił głową i wyjaśnił, że syn mieszka u matki, ale od czasu do czasu wpada i nocuje u niego.

– Nie możesz chyba pozwolić, żeby mieszkał w takim...

Viljar przerwał jej machnięciem dłoni i ze złością zacisnął zęby. Najwyraźniej nie miał najmniejszej ochoty teraz o tym rozmawiać i Ranveig postanowiła, że poruszy ten temat kiedy indziej. W tej chwili nie było na to czasu. Podeszła do okna i podniosła żaluzje. Nie pytając Viljara o zdanie, pomachała do policjantów.

– Powiedz im to samo, co mnie – rzekła.

Był to rozkaz, a nie zachęta. W odpowiedzi dziennikarz pokiwał jedynie głową. Starannie, mozolnie ugasił niedopałek w przepełnionej popielniczce, wyjął pudełko ze snusem i posłusznie, z pokorą czekał na pojawienie się policji. Ranveig zaś wyciągnęła ze schowka wiadro i kilka szmat. Wyglądało na to, że Viljar przez jakiś czas będzie zajęty czymś innym, a ktoś musiał się zająć tym miejscem.

Rommetveit, Stord

Środa przed południem, 15 października 2014 roku

Jesienne powietrze było chłodne i wilgotne. Niektóre z drzew na Rommetveit zaczynały się już złocić. Lotte zauważyła kiedyś, że drzewa różnią się od siebie w tym samym stopniu co ludzie. Jesień dopadała je wszystkie, ale nie w tym samym czasie. Policjantka przeniosła uwagę na Johannes Fredriksena, który spoglądał na nią bez zainteresowania, co nie mogło dziwić, zważywszy na fakt, że nie żył. Kula, która przebiła mu czaszkę, tkwiła w białej drewnianej ścianie, otoczona rozbryzgami krwi i mózgu.

Policjantka otworzyła notatnik w części zaznaczonej zieloną tasiemką, gdzie umieszczała uwagi dotyczące miejsca zajścia. Odnalazła nową stronę i szybko zapisała najbardziej oczywiste spostrzeżenie. Morderca był dobrym strzelcem. Ofiara została znaleziona niewątpliwie w miejscu zabójstwa. Zważywszy na stężenie pośmiertne, Fredriksena zamordowano bardzo wczesnym rankiem.

Lotte Skeisvoll dokonała również kilku innych spostrzeżeń, które mogły być punktem wyjścia do dalszych spekulacji. Johannes Fredriksen miał kluczyki do samochodu w ręku, co oznaczało, że był w drodze do auta bądź właśnie z niego wysiadł. Miał być w pracy w Leirvik o siódmej, ale się tam nie stawił. Był ubrany w elegancki szary garnitur od Ricco Vero i ładny niebieski krawat tej samej firmy. Na spince do krawatu znajdowało się logo dilerów samochodowych, dla którego pracował. Buty miał wyczyszczone na połysk.

– Był w drodze do pracy, a więc możemy założyć, że do zabójstwa doszło między szóstą trzydzieści a szóstą pięćdziesiąt – powiedziała Lotte.

Znajdowała się sama za taśmą zabezpieczającą i nikt jej nie słyszał. Olav Scheldrup Hansen stał kilka kroków dalej i rozmawiał z Beate, najstarszą córką Johanna Fredriksena.

Rommetveit tego poranka było skąpane w słońcu, ale do tego miejsca, w głębi zagajnika, promienie słoneczne jeszcze nie dotarły. Chłodne jesienne powietrze kąsało w policzki. Dom stał samotnie w zagłębieniu terenu, otoczony z obu stron lasem brzoźowym. Prowadziła do niego wąska, wysypana żwirem dróżka, która łączyła się ze ścieżką turystyczną kilkaset metrów dalej.

Lotte wraz z zespołem udała się do Stord natychmiast po otrzymaniu zgłoszenia. Nazwisko Johanna Fredriksena znajdowało się na ich zbyt długiej liście potencjalnych ofiar. Policjantka przykucnęła i przyjrzała się bacznie ranie wylotowej, gdy do taśmy podszedł Lars Stople.

– Musisz coś z tym zrobić, Lotte.

– O co ci chodzi? – Policjantka spojrzała pytająco na starszego kolegę.

Lars wskazał ruchem głowy Olava.

– Za chwilę ten facet z Oslo przejmie dowodzenie.

– Wiem o tym – westchnęła Lotte, a potem nachyliła się do Larsa i szepnęła: – Bardzo nam pomaga, a poza tym ma spore doświadczenie w takich sprawach. Poza tym jest tu dopiero od kilku godzin. Dajmy mu się zaaklimatyzować.

– Ale to nie oznacza, że ma zawsze rację. Tymczasem zadaje kluczowe pytania świadkom i komenderuje nami, jakby to on kierował śledztwem. Może by tak ustalił te sprawy z nami, co?

Lotte zmrużyła oczy. Przez cały ranek miała złe przeczucia – jej ludzie znikali bez śladu, zanim zdołała przekazać im dyspozycje. Zdarzało się, że Kripos przejmowała dowodzenie w sprawach, którymi powinna zajmować się miejscowa policja, ale to, co robił Scheldrup Hansen,

zaczynało przypominać zamach na władzę. Postanowiła, że po powrocie do Haugesund odbędzie z nim poważną rozmowę.

Najbliższy sąsiad Fredriksenów mieszkał w odległości dwustu metrów w niewielkim gospodarstwie. Lotte już tam zajrzała, ale nikt z tamtejszych ludzi nie widział ani nie słyszał niczego podejrzanego, choć gospodyni przebywała w oborze w chwili, gdy przypuszczalnie padł strzał.

Pracownik biura lensmana^[3] w Stord zadzwonił do Haugesund tuż po sprawdzeniu kartoteki denata, w której kryło się nieco brudów. Niepokój budziło nie to, za co Johannes Fredriksen został skazany w młodości, ale raczej to, za co go uniewinniono w 2006 roku. Postawiono go przed sądem za gwałt na siedemnastoletniej dziewczynie na jachcie podczas festiwalu Sildajazzen w Haugesund. Początkowo zarzucano mu też gwałt na jej przyjaciółce, która również przebywała na jachcie Fredriksena podczas imprezy, ale dziewczyna odstąpiła od składania zeznań przed rozpoczęciem procesu. W takiej sytuacji druga z poszkodowanych nie miała szans na korzystny wyrok. Procesy, w których brakuje dowodów, rzadko kończą się skazaniem.

Lotte skupiła się i sięgnęła po swoje ulubione ćwiczenie – znów przeniosła się w myślach do pustego pomieszczenia, co pomagało w analizie. Lars odszedł, by jej nie przeszkadzać. Policjantka stała przez dłuższą chwilę nieruchomo, aż skinęła kilkakrotnie głową, jakby zakończyła rozmowę z kimś w tym pomieszczeniu. Następnie ustawiła się równolegle do drzwi i spojrzała na zagajnik, z którego przypuszczalnie padł strzał. Skinęła na Larsa i wraz z nim ruszyła w górę zbocza, które zaczynało się kilkaset metrów od domu. Co krok rozglądała się uważnie, aby mieć pewność, że nie zdeptuje ważnych śladów, ale nie sądziła, by morderca zszedł na dół i sprawdził, czy zadanie zostało wykonane. Wiązało się z tym zbyt wielkie ryzyko, a strzelec wiedział, że trafił. Poza tym dobrał doskonałą amunicję. Otwór wlotowy na czole nie był duży, ale z tyłu głowy ziała wielka jama. „Pocisk dum-dum” – stwierdziła Åse Fruholm, ledwie rzuciwszy okiem na ofiarę.

Nietrudno było znaleźć kryjówkę strzelca, gdyż sprawca nie przejmował się zbytnio usuwaniem śladów. Można było odnieść wrażenie, że decyzję o zamachu podjął podczas spaceru po lesie. Wśród krzaków leżał niebieski plecak, a obok niego papierowa tacka i plastikowe sztucce. W częściowo zamaskowanym szałasie znajdowały się zielony śpiwór, karimata oraz nadpita butelka coli. Na nadmuchiwanej poduszce leżała książka Nesbø, a w lekturze pomagała zapewne niewielka latarka Maglite.

– Nocował tutaj – rzekł stojący za Lotte Lars Stople. Było to oczywiste, ale mimo to Lotte podjęła temat:

– Mhm. W ogóle się nie boi schwywania! Mamy tyle dowodów, że podczas procesu bez trudu wykażemy związek.

– Może zastanówmy się lepiej, co zabójca chce nam przez to przekazać.

Lotte odwróciła się i spojrzała z ciekawością na Larsa. Starszy policjant był bystrzejszy, niż wielu ludzi sądziło.

– Możesz to rozwinąć?

Lars przez moment stał pogrążony w myślach.

– Myślę, że istnieją dwie możliwości, Lotte. Ten człowiek sądzi, że nigdy go nie znajdziemy, dlatego nie dba o to, co po sobie pozostawia. Uznał, że utrzyma się poza wszelkimi podejrzeniami. W każdym razie na pewno nie znajdziemy go w rejestrze skazanych.

Lars przerwał, rozejrzał się dookoła i podjął:

– Druga opcja zakłada, że on się nie boi złapania. Wie, że prędzej czy później go dorwiemy, a więc nie chce się wypierać winy. Odnoszę wręcz wrażenie, że on chce zostać aresztowany i zostać doceniony za swe zbrodnie. Mamy więc do czynienia z człowiekiem, który stracił kontakt ze sobą i z rzeczywistością.

– Wiemy jedno. – W spojrzeniu, jakie Lotte rzuciła starszemu koledze, kryło się wyzwanie.

– Tak?

– Olav Scheldrup Hansen niesłusznie podejrzewa, że Viljar Ravn Gudmundsson ma jakiś związek z tą sprawą. Gdyby to on był zabójcą, nie wpakowałby się w sam środek dochodzenia, jednocześnie pozostawiając po sobie setki tropów, prawda?

Lars Stople uśmiechnął się chytrze i pokiwał głową.

– A wątpiałś w to choć przez chwilę, Lotte? Hansen może i rozwiązał wiele spraw, ale to narwaniec. Miotając się na wszystkie strony, nawet idiota prędzej czy później na coś trafi.

Lotte zaśmiała się cicho. Coraz bardziej lubiła starego policjanta.

Oboje zeszli na dół i przywołali Åse Fruholm.

Cztery lata wcześniej

Pokój 306 w hotelu Rica Maritim, Haugesund

Czwartek rano, 19 sierpnia 2010 roku

Ze zbitej butelki, którą trzymał Jonas, ściekała krew. Drobne, ciemne krople wsiąkały w pokrywającą całą podłogę wykładzinę. Odłamki szkła zachręściły pod jego stopą, gdy przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Jonas nie czuł bólu. Nie spuszczał wzroku z leżącego przed nim człowieka, który osłaniał twarz dłońmi. Zupełnie irracjonalny odruch, zważywszy na to, że zarówno szyja, jak i pierś to o wiele wrażliwsze miejsca. Jonas wyciągnął rękę z rozbitą butelką i przeciągnął ostrą krawędzią po jego lewej brodawce piersiowej. Okruch szkła utkwiał w skórze. Mężczyzna jęknął.

Cienka strużka krwi spłynęła po piersi i ściekała na białe prześcieradło. Jonas nie wymówił ani słowa. Wszystko zostało już powiedziane. Leżący przed nim człowiek nie mógł już rzec niczego, co mogłoby go zranić.

Pokój hotelowy w Rica Maritim był sterylny i pozbawiony charakteru. Zimne barwy: niebieski dywan, biała pościel, cytrynowożółte ściany. Jonas poczuł zimno. Był nagi, a każdy podmuch wiatru z otwartego okna sprawiał, że po jego skórze przebiegały dreszcze. Jonas zacisnął dłoń na rozbitej butelce i ostrożnie przycisnął ostrą krawędź do szyi mężczyzny.

Ten znów zajęczał i próbował spełznąć z łóżka, ale Jonas złapał go za włosy i zatrzymał brutalnym szarpnięciem. Mężczyzna krzyknął, gdy jego głowa zderzyła się z zagłówkiem, a Jonas znów przycisnął szkło do jego gardła. Jeden z okruchów szkła wbił się głębiej w ciało. Ofiara leżała całkowicie nieruchomo, nawet nie drgnąwszy.

– Zamknij mordę i nie ruszaj się!

W spojrzeniu torturowanego pojawiła się panika. Pierś unosiła się i opadała coraz szybciej.

Przypływ adrenaliny sprawił, że Jonas nie widział niczego poza swą ofiarą. Serce biło mu jak szalone, oddychał też w coraz szybszym tempie. Migotało mu przed oczami.

Próbował na powrót odnaleźć w sobie ów wulkan, który eksplodował w chwili, gdy zrozumiał, że minister transportu Herman Eliassen go oszukał. Ta myśl znów obudziła w nim gorycz. Czuł w sobie to ślepą furję, to znów skrajną pogardę wobec wszystkiego, przez co musiał przejść. Przypomniawszy sobie chwile, w których zmuszony był udawać, że w ramiona tego człowieka popychają go żądza i podziw, chwile, kiedy płakał, wymiotował i zadawał sobie ból. Minął rok pełen złamanych obietnic uczestnictwa w programie szkoleniowym dla nowych członków. Cały rok kłamstw. Rok ohydnych usług seksualnych.

„Jesteśmy zbyt blisko siebie, żebyście mogli wziąć udział w programie.

Byłaby to nazbyt osobista decyzja...”

Słowa te wciąż rozbrzmiewały w pokoju echem. Jonas odkrył, że ma ochotę z całej siły wbić butelkę w szyję ministra, ale coś go powstrzymało. Polityk wydał mu się słaby i żałosny. Zabicie nagiego, bezbronnego człowieka, którego przed półgodziną pieścił i całował, nie wydawało mu się już tak kuszące. Nabrał głęboko tchu, aż płuca zagroziły pęknięciem, i podjął decyzję.

Z całej siły rzucił w ścianę butelką, która roztrzaskała się w drobny mak. Nie przejmował się hałasem, choć wiedział, że mieszkańcy sąsiednich pokoi zaraz zaczną walić do drzwi lub zadzwonią na recepcję. Tak czy owak, jego udział w tej sprawie dobiegł końca i Jonas nie miał najmniejszej ochoty tu zostać, chociaż Eliassen miałyby sporo do stracenia, gdyby znaleziono go zakrwawionego i nagiego z siedemnastolatkiem na sobie.

Pięć minut później, gdy z windy wyskoczył ochroniarz, Jonas był już ubrany i spokojny. Usunął się uprzejmie z drogi, a potem wszedł do windy i zjechał na pierwsze piętro. Wiedział, że upłynie sporo czasu, nim ochroniarz dostanie się do Eliassena. Wszelkie ślady krwi zostaną zawczasu usunięte i jedynym człowiekiem, który będzie mógł ujawnić jego udział w sprawie, będzie sam minister. On jednakże będzie milczał jak grób, co do tego nie było wątpliwości.

Komenda policji w Haugesund

Środa po południu, 15 października 2014 roku

Po trzech godzinach w dusznym kantorku, który służył jako pokój do przesłuchań, Viljara bolał każdy mięsień i każdy nerw. Od chwili gdy policja przywiozła go do komendy, nie wydarzyło się zgoła nic. Nie zdobył się na to, by zadzwonić do Øveraasa, ale przecucie mówiło mu, że nie ma już po co wracać do pracy. Ranveig powiedziała mu, że zdaniem policji był przypuszczalnie mocno zamieszany w przestępstwo. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. W końcu wyszedł z pokoju, żeby spytać, czy może zapalić, ale wtedy niespodziewanie wyrosła przed nim Lotte Skeisvoll. Towarzyszył jej człowiek w szarym garniturze, który wyglądał na znużonego życiem i patrzył na dziennikarza smutnymi, zatroskanymi oczami.

Oboje kategorycznie nakazali mu wrócić do kantorka. Viljar usiadł na tym samym krześle, na którym spędził ostatnie trzy godziny, a wtedy, ku jego

zaskoczeniu, inicjatywę przejął człowiek z oczami bernardyna. Dziennikarz był przekonany, że to Lotte będzie zadawać pytania.

– Dlaczego nie poszedłeś dziś do pracy? Dlaczego nie otworzyłeś drzwi przed funkcjonariuszami policji, którzy mieli cię zabrać do komendy? – Mężczyzna mówił szybko i sensownie, ale monotony głos przywodził na myśl sposób mówienia robota. Viljar szybko ustalił, że policjant pochodzi ze wschodniej Norwegii.

– Źle się czułem i nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. Z policją również nie zadarłem.

– A słyszałeś o czymś takim jak utrudnianie śledztwa?

– W porządku, wsadźcie mnie do paki. – Viljar wypuścił powietrze przez nos.

– Gdzie byłeś dziś między szóstą a ósmą rano?

– Spałem w moim mieszkaniu. Tak właściwie to próbowałem wstać o siódmej, ale się poddałem. Nie byłem na siłach, żeby pójść do pracy.

– A co konkretnie ci dolegało?

To było niewygodne pytanie. Dziennikarz nie miał ochoty opowiadać o swoich stanach lękowych.

– Biegunka, rozwolnienie albo sraczka. Jak zwał, tak zwał.

Kąciki ust Lotte drgnęły, ale jej towarzysz nie wyglądał na rozbawionego.

– Może już czas, żebyś potraktował tę sprawę poważnie, Gudmundsson. Zdarzyło się kolejne zabójstwo. Czy jest ktoś, kto może zaświadczyć, że w tym czasie byłeś w domu? Masz jakieś alibi?

Nowa informacja była dlań wielkim zaskoczeniem. Viljar poczuł, jak jego lęki podkradają się bliżej, ale odepchnął je z całej siły. Miał najlepsze alibi na świecie i ci ludzie powinni o tym wiedzieć, chyba że komunikacja w szeregach policji zawodziła na całej linii.

– Wczoraj wieczorem, kiedy wyszedłem od was, posłaliście za mną jakiegoś policjanta. Nie znam jego nazwiska, ale wiem, że przydałoby się go przeszkolić w skrytym śledzeniu podejrzanego. Przypuszczam, że macie zapisane, kto pełnił nocną służbę, więc możecie w ten sposób ustalić, że byłem w domu od drugiej w nocy do momentu, kiedy zostałem z powrotem tu zabrany.

Lotte uniosła dłoń, czym powstrzymała kolejne pytania Olava. Pochyliła się i spojrzała Viljarowi w oczy.

– Ktoś cię śledził, Viljar? Dlaczego uważasz, że posłaliśmy za tobą funkcjonariusza?

– Pojęcia nie mam – odparł dziennikarz. – Wiem tylko tyle, że ktoś za mną

szedł od komendy aż do domu. Uznałem, że to ty wysłałaś tego faceta w ślad za mną.

A niby kto, do jasnej cholery, miałby za mną łązić, jeśli nie policjant?

– Rzeczywiście, posłaliśmy za tobą człowieka, zgadza się. Miał się upewnić, że nie wpakujesz się w kolejną kabałę, i zawrócił zaraz po tym, jak wszedłeś do bloku.

Lotte miała poważną minę, ale człowiek w szarym garniturze – Olav Scheldrup Hansen – najwyraźniej dobrze się bawił.

– Czy to oznacza, Gudmundsson, że nie masz alibi? – spytał, uśmiechając się szeroko.

Viljar pokręcił głową. Rozumiał coraz mniej z tej całej awantury i zaczynał się czuć jak ryba w sieci.

– Myślcie sobie, co chcecie, ale to nie ja. Jak sobie to wszystko wyobrażacie? Że niby wysyłam te idiotyczne maile sam do siebie, żeby dokonać zabójstw, o których was powiadomiłem? Zdajecie sobie sprawę, że to jakieś szaleństwo?

– A ty zdajesz sobie sprawę z tego, jak szalonym człowiekiem jest nasz zabójca? – Scheldrup Hansen nadal się uśmiechał.

– Dobra. To przeprowadźcie na mnie wszystkie te wasze testy! – Viljar wyrwał sobie włos i podsunął go pod nos śledczemu.

Scheldrup Hansen wziął włos. Zwinął go między palcami i znów podjął:

– Spokojnie. Sprawdzimy cię na wszystkie możliwe sposoby. Morderca pozostawił po sobie wiele biologicznych śladów i liczymy się z możliwością, że zrobił to celowo, aby wyprowadzić nas w pole. Pomyślny wynik testu DNA czy badań odcisków palców nie oznacza więc, że jesteś poza podejrzeniami. Od jak dawna znasz Ritę Lothe?

Wyglądało na to, że śledczy z Kripos jeszcze nie skończył. Viljar westchnął ciężko.

– Ile razy jeszcze będę musiał to powtarzać? Nie mam z tą sprawą nic wspólnego, a Rity Lothe nigdy nie spotkałem.

– I to się nie zgadza, Gudmundsson. – Olav wyjął wydruk fotografii.

Gdy Viljar ujrzał zdjęcie, jęknął i cofnął się instynktownie. Jego krzesło przesunęło się po podłodze.

– Kurwa, że co?

Miał wrażenie, że serce przestało mu bić. W panice podniósł głowę i spojrzał na Lotte. Oczy policjantki były twarde i zawzięte. Wyczytał w nich zdecydowanie, które przeraziło go jeszcze bardziej. Z trudem skupił uwagę na zdjęciu.

Nie wierzył w to, co widział. Był naprawdę przerażony. Do gardła podeszła mu żółć. Chciał odwrócić wzrok, ale zdjęcie hipnotyzowało go, przykuwało. Nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Zaciśnął dłonie na ustach, jakby lada moment miał zwymiotować.

– Znaleźliśmy je na profilu facebookowym Rity Lothe.

Na fotografii widać było Viljara oraz Ritę, którzy siedzieli blisko siebie i uśmiechali się do aparatu. Oboje wydawali się nieźle wstawieni.

– Zostało wrzucone na stronę na tydzień przed zabójstwem. Chcesz może zmienić zeznania?

Lotte Skeisvoll najwyraźniej również nie wiedziała o tym odkryciu, gdyż spoglądała z uniesionymi brwiami na oficera prowadzącego przesłuchanie. Viljar nie miał bladego pojęcia, kiedy i w jakich okolicznościach zdjęcie mogło zostać zrobione. Z pewnością podczas jakiejś imprezy, ale przecież Viljar i Rita wyglądali tu jak para! Viljar pokręcił więc tylko głową i nie odpowiedział na pytanie Scheldrupa Hansena.

– Denatka wielokrotnie wymieniła twoje imię w swoim kalendarzu. Utrzymujesz, że nie znasz ofiary, a mimo to obejmujesz się z nią na niedawno zrobionym zdjęciu. Nie masz alibi na czas żadnego z dwóch morderstw, próbujesz unikać kontaktu z policją i pętasz się w sąsiedztwie potencjalnej ofiary numer dwa tuż przed jej śmiercią. Wystarczy mi poszlak, bym przestał ci wierzyć – wyrecytował śledczy tym samym monotonnym głosem, ani na moment nie spuszczać wzroku z Viljara.

Dziennikarzowi kotłowało się w głowie. Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza i zapalić. Lotte nie kwapiła się, by przyjść mu z pomocą. Siedziała nieruchomo i przeglądała swoje notatki. Wydawała się całkiem zrezygnowana.

– Zatrzymamy cię na noc, Viljar. – Scheldrup Hansen skrzywił się nieprzyjemnie. – Zostaniesz w areszcie, dopóki nie przejrzymy zawartości twoich komputerów i nie prześledzimy twoich ruchów w ciągu ostatnich dni.

Wstał i wyszedł. Lotte wydawała się, łagodnie mówiąc, zaskoczona tym, że niespodziewanie znalazła się sama w towarzystwie Viljara, ale szybko doszła do siebie i podniosła się z miejsca. Odwróciła się do dziennikarza i wycelowała w niego drżącym palcem wskazującym.

– Zostajesz tutaj, Viljar. Ani się, kurwa, rusz!

Wyszła i trzasnęła za sobą drzwiami do niewielkiego kantorka. Umysłem zdruzgotanego dziennikarza niepodzielnie zawładnął mrok. W jego oczach po raz pierwszy od czterech lat pojawiły się łzy.

Komenda policji w Haugesund

Środa po południu, 15 października 2014 roku

Ściany celi podkładały się coraz bliżej. Viljar widział, jak zbliżają się do niego centymetr po centymetrze. Siedział na prycy z kolanami podciągniętymi pod brodę, co przypominało pionową pozycję embrionalną. Niby zachował umiejętność logicznego myślenia i wiedział, że betonowe ściany nie są w stanie się poruszać, ale był przekonany, że tak właśnie się dzieje...

Przez pierwszych dziesięć minut po zamknięciu drzwi celi lęki opadły go ze wszystkich stron, grożąc, że rozszarpia go na kawałki. Owładnięty paniką, tłukł pięściami w drzwi i wrzeszcząc, przeklinał społeczeństwo po drugiej stronie. Żałosne przedstawienie. Po chwili uspokoił się na tyle, by usiąść na posłaniu, ale nowe fale lęku przesywały go co rusz. Serce i duszę miał w strzępach i wystarczyło, by z zewnątrz dobiegł jakikolwiek, najcichszy nawet dźwięk, a natychmiast budziło się w nim przerażenie.

W celi nie było okien. Viljar widział jedynie nagie ściany pomalowane na błękit przywodzący na myśl kolor koszul funkcjonariuszy policji. Ludzie wierzyli, że kolor niebieski przynosi spokój i wywołuje uczucie harmonii.

– *Myth busted!* – powiedział na głos po angielsku, naśladując głos Jamiego Hynemana z programu *Pogromcy mitów*.

Wisielczy humor niewiele pomógł. Niebieskie ściany nadal się przybliżały. Viljar marzył, a po jego plecach spływał zimny pot. W głowie miał pustkę. Za każdym razem, gdy próbował jakoś przeanalizować to, co zdarzyło się przez ostatnich kilka dni, natychmiast omywała go kolejna fala lęku i mijało sporo czasu, zanim dochodził do siebie. Musiał się skupić, aby wrócić do normalnego rytmu oddychania i przekonać własny umysł, że bóle w klatce piersiowej nie są niczym niebezpiecznym. Vigdis nauczyła go tych technik, żeby mógł sobie lepiej radzić z przyspieszonym oddychaniem i napadami strachu, a on z czasem odkrył, że dzięki nim łatwiej jest odepchnąć nieprzyjemne myśli, po których przychodziły kolejne ataki. Teraz techniki te nie na wiele się zdały.

– Możecie się wreszcie zatrzymać, do cholery? – wrzasnął do ścian.

Potrafiły się poruszać, ale uszu, jak widać, nie miały. Viljar, nadal siedząc na prycy, otoczył kolana ramionami. Wiedział, że popada w obłąd, ale nie był w stanie tego powstrzymać. Jego zdrowy rozsądek nie mógł dojść do głosu. Viljar coraz bardziej oddalał się od rzeczywistości, wydawało mu

się nawet, że słyszy muzykę fortepianową, dobiegającą z górnego piętra komendy. Stał się bezsilnym świadkiem chwili, kiedy jego umiejętność logicznego myślenia rozsypywała się w pył.

W ostatniej próbie odzyskania panowania nad sobą Viljar zaczął mówić do swego strachu, co było kolejną sztuczką podsuniętą mu przez Vigdis. Wydawało się to wówczas nieco niedorzeczne, ale w tej sytuacji nie miał wyboru.

– No, chodź – powiedział. – Nie boję się ciebie. Nie jesteś niebezpieczny.

Wbił wzrok w niewielki punkt na ścianie przed sobą.

– Jesteś tylko emocją i szukasz idioty, którego możesz obłąkać. No, chodź bliżej – powtórzył.

Czuł, jak paraliżująca panika zaczyna go powoli opuszczać. Rozpromieniony skutecznością metody dziennikarz sięgał po coraz mocniejsze słowa i wypowiadał je coraz dobitniej, nadal wpatrzony w ten sam punkt na ścianie.

– Niech cię szlag trafi! Won! Spieprzaj jak najdalej, cholerny pasożycie! Znikaj!

Zaskoczony, zauważył, że lęki zaczynają ustępować, a ściany zostały zmuszone do cofnięcia się na miejsce. Wówczas Viljar skupił się ze wszystkich sił i przywołał racjonalne, rozsądne myśli. Nie było to łatwe, ale w końcu zdołał powrócić do równowagi. Muzyka fortepianu ucichła.

Jak ja się tu w ogóle znalazłem?

Pytanie, które sobie zadał, otwarło całkiem nową perspektywę.

To nie przypadek – ustalił szybko. Jestem tu dlatego, że tego sobie życzył morderca.

Ktoś usiłował obarczyć go winą. Ktoś próbował wepchnąć go do ula z dłońmi lepкими od miodu. Trzeba się wydostać.

W duchu zmówił modlitwę do wyższych instancji.

Kilka sekund później ktoś otworzył drzwi do celi.

Requiem – Sequenz

Jestem zadowolony. Każda, najmniejsza nawet sekwencja brzmi zgodnie z oczekiwaniami, a cały utwór zaczyna nabierać kształtu. Nie słyszę ani jednej fałszywej frazy, trzeba jedynie wprowadzić drobne poprawki, to tu, to gdzie indziej. Może kotły zamiast cymbałów? Podobają mi się uczucia, jakie towarzyszą nie tyle zabijaniu – wszak to tylko konieczność – ile tworzeniu.

Jakie to piękne, gdy rozmaite instrumenty zgrywają się i odzywają we właściwych momentach, gdy łączą swe brzmienie. Że też ludzie zachowują się w tak przewidywalny sposób. Każdy najdrobniejszy nawet ruch i każda podejmowana przez nich decyzja stają się częścią dzieła sztuki. Uśmiecham się do wieczornego słońca. Znalazłem sobie przytulny kąciok na tarasie, a bóle na chwilę skurczyły się i zamieniły w mało istotne szmery. Skosiłem trawę, a teraz relaksuję się z piwkiem i książką. Nagle olśniło mnie, że zrobiłem to po raz ostatni, a to sprawiło, że zwykłe koszenie trawy dostarczyło mi nowej przyjemności. Tak, trzeba się cieszyć prostymi rzeczami. Dzisiejszy dzień zaś był niczym wyzwolenie.

Zaczęło się ono w chwili, gdy wczesnym rankiem w Stord rozległ się stłumiony huk, i trwa nadal, gdy siedzę w jesiennym słońcu.

Trzeci zestaw informacji i zebranych materiałów znajduje się w torbie leżącej obok mnie. Kolejny krok będzie nieprzyjemny. Pierwsze dwa okazały się dziecinnie łatwe i za każdym razem miałem możliwość pozostawania w odpowiedniej odległości od wydarzenia. Byłem jego obserwatorem, a nie uczestnikiem. Z wielką radością przyglądałem się policji badającej zwłoki Rity Lothe. W całym tym zamieszaniu poruszałem się niespostrzeżenie – widziano mnie, ale zignorowano, dokładnie tak, jak to przewidziałem.

Dziś było tak samo. Tylko drobne zmiany. Afera z moim dziennikarzem to wielkie wyzwanie, ale sprawia mi sporo przyjemności. Policja odnalazła związek o wiele szybciej, niż sądziłem, a teraz muszę się tylko przekonać, czy na czas natrafią na właściwy trop.

Jutro i pojutrze przekonam się, czy naprawdę się do tego nadaję. Myślę o Jonasie. Gromadzę siły i szykuję się na najgorsze. Muszę przebrnąć przez ten etap, jeśli dzieło ma zostać ukończone. Co więcej, z chwilą gdy wyjdę z bezpiecznego cienia, bez wątplenia wzrośnie ryzyko popełnienia błędu.

Jak dotąd wszystko to była jedynie zabawa, seria ćwiczeń, które miały na celu sprawdzenie, czy jestem w stanie uruchomić plan. Chciałem się przekonać, gdzie leżą granice moich możliwości. Pragnąłem stać się częścią wielkiego dzieła.

Nadchodzą dni, gdy zagra cała orkiestra, lecz każdy kolejny instrument oznacza dla mnie zwiększoną presję. Zobaczą mnie. Wyczują. Będą mną.

Nadchodzi spektakularna chwila. Cieszę się na myśl o tym, co napiszą gazety po odnalezieniu trzeciej ofiary. Wtedy wszystko ujrzą. Kilka osób pewnie się połapie. Tak, nie ma wątpliwości, na pewno zrozumieją. Przecież taki jest sens. Niemniej to, że ktoś mnie zauważy, podczas nadchodzącej fazy nie ma większego znaczenia. Mój niepokój jest pozbawiony podstaw, ponieważ me dzieło jest dużo większe ode mnie, o wiele większe niż ból, który sobie zadaję podczas realizacji scenariusza...

Pora, aby wkroczyć do akcji. Pora stać się materialnym i wrażliwym na ciosy. Pora zamachnąć się młotem.

Maestro...

Komenda policji w Haugesund

Środa po południu, 15 października 2014 roku

Olav Scheldrup Hansen zamknął drzwi do prowizorycznego biura i opadł na skrzypiący fotel, który okazał się zbyt wysoki. Olav chciał go obniżyć, ale odkrył, że zaciął się mechanizm regulujący wysokość.

– Czemu kobietom tak bardzo zależy na sprawowaniu kontroli? – zapytał sam siebie, machając w powietrzu nogami.

Nie miał pojęcia, dlaczego Lotte zareagowała w ten sposób na zdjęcie, które pokazał podczas przesłuchania. Była to poszlaka, wskazująca na wcześniejszą znajomość Viljara Ravna Gudmundssona i Rity Lothe, ale miejscowa policjantka uważała najwyraźniej, że wszelkie konfrontacje tego typu należy najpierw ustalać z nią. To, że kazał aresztować Viljara, również jej nie zachwyciło. Oba spostrzeżenia potwierdzały to, co podejrzewał przez cały czas: Lotte Skeisvoll pedantycznie przestrzegała zasad i gdyby pozwolił jej na przejęcie inicjatywy, dochodzenie wzięłoby w łeb.

Lotte powinna sobie uświadomić, że nie jest w stanie samodzielnie kierować operacją. Wybrany przez nią zespół był tego najlepszym dowodem – większość jego członków poruszała się równie powoli i ospale jak wspinacz na ostatnich metrach przed zdobyciem szczytu Gaustatoppen.

Olav włączył laptopa. Odczekał, aż uruchomią się wszystkie funkcje, a wtedy zabrał się do prześwietlania osoby Viljara Ravna Gudmundssona. Miał zamiar przyłożyć się do tego bardziej niż ludzie w Haugesund, ponieważ był całkowicie przekonany, że aresztowany dziennikarz coś ukrywa. Wskazywały na to niektóre jego zachowania podczas przesłuchania. Pytanie brzmiało: co skrywa Islandczyk i dlaczego dobrowolnie wpełzł w sieć? Nie licząc samego strzału, który pozbawił życia Johannesesa Fredriksena w Stord, wszelkie inne działania przestępcy wskazywały na amatorszczyznę – morderca wszak nie uczynił nic, aby zamaskować to, co zrobił.

Facebookowy profil Rity Lothe otworzył się szybko w przeglądarce – Olav przeglądał go zaledwie godzinę temu. Wiedział, że nie znajdzie tam nowych, istotnych dla śledztwa fotografii, bo na całym profilu było ich zaledwie pięć, przy czym wszystkie dodane niedawno. Viljar Ravn Gudmundsson znajdował się tylko na jednym. Olav zadzwonił więc do Larsa Stoplego i kazał mu skonsultować zawartość profilu z rodziną Rity Lothe, tym bardziej że profil został założony dopiero w sierpniu i nie licząc pięciu zdjęć, zawierał jedynie siedem zmian statusu, a na liście znajomych było tylko czternaście nazwisk. Nikt z nich nie należał do rodziny. Ciekawe było to, że Rita zignorowała wiele zaproszeń do grona znajomych – zaproszeń zignorowanych było o wiele więcej niż zaakceptowanych. Wyglądało na to, że kobiecie zależało na prywatności na Facebooku, ale z drugiej strony chętnie udostępniała zawartość swego profilu, o ile rzecz jasna był autentyczny.

Następnie Olav zajął się Johannesem Fredriksenem, ale nie znalazł go na Facebooku, LinkedInie ani na Twitterze. Śledczy westchnął i podrapał się po głowie. Wyciągnął materiały, które zespół Lotte zebrał na temat Viljara Ravna Gudmundssona w ciągu dnia. Może lepiej poszukać rozwiązań przy użyciu staroświeckich metod?

Treść dokumentów nie naprowadziła go na trop tego, co Gudmundsson mógłby chcieć ukryć, ale przebieg jego kariery wzbudził zainteresowanie śledczego. Dziennikarz miał na swoim koncie wiele imponujących dokonań – odkrył i wydobył na światło dzienne sporo skandali i oszustw, których policja nie rozgryzłaby bez jego pomocy, i rozdmuchał mnóstwo innych spraw – ale w pewnym momencie najwyraźniej porzucił wszelkie ambicje. Po materiale z 2010 roku, dzięki któremu stał się omalże celebrytą, kolejne artykuły nie budziły już szczególnego zainteresowania. Zupełnie jakby Gudmundsson przełączył sterowanie na autopilota.

Czy może to mieć związek ze sprawą, w którą zamieszany był minister transportu Eliassen? – pomyślał Olav i zadzwonił do swego wydziału w Oslo, gdzie poprosił o przesłanie mu wszelkich materiałów dotyczących tej afery. Dowiedział się też, że Herman Eliassen nadal znajduje się w więzieniu.

Może istnieje jakiś inny związek z tą sprawą?

Powrócił do czytania akt Gudmundssona i szybko natrafił na kolejny ciekawy fakt. Tego samego dnia jeden z funkcjonariuszy przeprowadził rutynowe przesłuchanie redaktora naczelnego „Haugesunds Avis”. Podczas rozmowy ustalił, że zimą 2010 roku kierownictwo gazety poleciło Gudmundssonowi, aby poszukał pomocy psychiatrycznej. Zachowanie dziennikarza od dłuższego czasu było bowiem niestabilne – Gudmundssonowi zdarzało się reagować wybuchowo, co zaczynało przeszkadzać kolegom z pracy. Chwilę później Olav wybrał numer redaktora naczelnego, a z rozmowy, którą przeprowadził, dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował. Øveraas nie dość, że najwyraźniej nie przepadał za swoim podwładnym, to jeszcze nie miał zamiaru go kryć i oznajmił wprost, że w ich korporacji kariera Viljara dobiegła końca.

Olav zebrał z biurka wszystkie materiały i dorzucił do nich notatnik oraz długopis. Nadszedł czas na kolejną konfrontację z Gudmundssonem. Wyszedł z pokoju i minął biuro Lotte Skeisvoll. Było puste. W sumie to dobrze, bo nie zamierzał brać jej ze sobą.

Spytał napotkanych funkcjonariuszy o drogę i szybko dotarł do aresztu, a tam poprosił mijającego go policjanta o otwarcie celi. Drzwi stanęły otworem, a Olav zrobił krok i zamarł na progu. Na jego twarzy pojawiło się skrajne zaskoczenie.

W środku nie było nikogo.

Śledczy odwrócił się w stronę policjanta i spytał go, czy to jedyna cela dla podejrzanych. Ten pokręcił głową.

– Są jeszcze zwykłe cele dla przestępców, ale tam ich nie osadzamy.

Olav zawrócił więc w stronę swojego pokoju, ale po drodze natknął się na prawniczkę policyjną Synne Lie.

– Coś nie tak? – spytała ze sztucznym uśmiechem, który zupełnie do niej nie pasował.

Śledczy z Kripos spojrzał na chudziutką prawniczkę i wyładował na niej całą złość.

– Oczywiście, że coś jest nie tak, do cholery! Ktoś wypuścił Gudmundssona na wolność!

Synne Lie przechyliła lekko głowę i zerknęła na niego jak na wróbelka czekającego na okruszki.

– To ja podpisałam dokument zwolnienia go z celi na wniosek Lotte Skeisvoll, oficer kierującej dochodzeniem. Spodziewała się, że zwróci się pan do mnie, i poprosiła, abym przekazała, że powodem zwolnienia Gudmundssona są niezbite dowody, które w zupełności wskazują na innego sprawcę. Poprosiła mnie również, bym przypomniała panu, że aresztowanie i zatrzymywanie podejrzanych w areszcie nie należy do pańskich obowiązków. Przysłano pana, żeby pomógł pan w dochodzeniu, a nie przejął kierownictwo.

Mieszkanie Viljara na Austmannavegen, Haugesund

Środa wieczór, 15 października 2014 roku

Trafiają się dni z kiepską karmą, dni, kiedy każda podjęta decyzja prowadzi człowieka ku upadkowi. Wyrwanie się z tej spirali wydaje się niemożliwością, bo wszystko, co powiesz lub zrobisz, pociąga dalej na dno. Viljar ocknął się dopiero w chwili, gdy nieoczekiwanie pojawiła się Lotte i wypuściła go na wolność. Dziennikarz spojrzał na nią pytająco.

– A więc nie zostanę w areszcie?

– Nie, to na pewno jakieś nieporozumienie.

Nic w zachowaniu policjantki nie zdradzało, co było przyczyną tak nieoczekiwanego zwrotu wydarzeń.

– Wszystkie podejrzenia zostały wycofane? – spytał niepewnie Viljar, choć znał odpowiedź.

– Mogę ci obiecać, że przez najbliższych kilka dni nie spuścimy cię z oczu. Jeśli przyjdzie ci do głowy choćby zmienić kanał w telewizji, masz złożyć pisemne podanie w trzech kopiach. Nie jesteś wcale wolny od podejrzeń i pamiętaj, że gdy następnym razem trafisz do celi, stanie się to na moje życzenie.

Czas na wolności Viljar spędził dokładnie tak, jak to sobie obmyślił w celi. Odwiedzał miejsca, które z całą pewnością były objęte monitoringiem, skwapliwie chował rachunki z dokonanych zakupów i porozmawiał z sąsiadem w drodze do mieszkania. Po raz pierwszy od tygodnia zadzwonił też do ojca, bo wiedział, że rozmowy telefoniczne można namierzyć. Nigdy, przenigdy nie pozwoli już na to, bynie mieć alibi. Wciąż pamiętał przerażenie, jakie obudził w nim widok zbliżających się

ścian, a dłonie nadal drżały, choć siedział w ciszy i spokoju na sofie we własnym mieszkaniu. Wsunął pod wargę porcję snusu i zapalił kolejnego skręta.

Godzinę po powrocie do domu odwiedził go policjant i zwrócił mu komputer, który przeszedł gruntowną kontrolę w komendzie. Viljar z miejsca przystąpił do poszukiwań.

Natychmiast odnalazł otwarty profil facebookowy Rity Lothe. Ich wspólne zdjęcie w istocie było ostatnim, które zostało dodane. Zapisał wszystkie fotografie w jednym folderze, skopiował tam również zmiany statusu i zanotował nazwiska jej znajomych.

Potem przyjrzał się uważnie tłu ich wspólnego zdjęcia. Za sobą i Ritą widział jedynie czarne, obite skórą hokery stojące wokół mahoniowego baru w kształcie sześciokąta. Z sufitu zwisały kule dyskotekowe, a ściany pomalowano na ciemny kolor. Dostrzegł również charakterystyczną kanapę i fotele w takim samym stylu, a wtedy uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Bestastuå – powiedział głośno do siebie.

Był to nocny klub, który nazywano „rynkiem wtórnym”. Jeśli wierzyć plotkom, przybytek słynął z tego, że starsze panie po przejściach polowały tam na mężczyzn, ale Viljar jakoś nie zauważył, by któraś z nich stała się szczęśliwsza dzięki tym nocnym eskapadom.

W tym roku zajrzał do klubu tylko dwukrotnie: w marcu i przed kilkoma tygodniami. Za pierwszym razem jego wizyta miała związek z imprezą urządzoną przez sponsorów FK Haugesund, a za drugim dał się namówić Henrikowi Thomsenowi, który w sobotnią noc napatoczył się na niego i Øysteina Vindheima w Cafe MM. Mimo protestów obaj w końcu ulegli naleganiom tego idioty i pozwolili, by zaciągnął ich do Bestastuå.

Viljar wszedł na swoje konto bankowe i odszukał płatności z baru w Bestastuå, z niedzieli dwudziestego września odpowiednio o zero trzydzieści, pierwszej trzy, pierwszej czterdzieści siedem i drugiej dwadzieścia dwie. Coraz większe kwoty. Wszystko wskazywało na to, że w miarę upływu czasu miał coraz szerszy gest.

Z samej imprezy nie pamiętał wiele.

Przypominał sobie wejście do klubu i pierwszego drinka z Henrikiem, ale co było potem? Na pewno tańczył na parkiecie, pamiętał też jak przez mgłę kłótnię z jakimś potężnym facetem, który utrzymywał, że jest policjantem. Żadnej Rity Lothe sobie nie przypominał. Zapisał sobie, że musi później porozmawiać o tym z Henrikiem i Øysteinem.

Następnie Viljar zabrał się do sprawdzania znajomych Rity. Szybko

ustalił, że nie mieli żadnych wspólnych przyjaciół. Osobiście nie znał nikogo z krótkiej listy Rity, nie licząc dwóch miejscowych celebrytów, których wszyscy w Haugesund mieli wśród znajomych. Pierwszą z nich był oczywiście dziennikarz radiowy Hans Indbjo, a drugą twarz TV 2, Øyvind Fjeldheim. Większość pozostałych miała zamknięte profile i poszukiwanie nie doprowadziło go do żadnych odpowiedzi.

Wtedy obudziło się w nim podejrzenie. Śmierć Rity Lothe odbiła się w mediach szerokim echem, a mimo to żaden ze znajomych zmarłej nie pozostawił wpisu typu: *Spoczywaj w spokoju*. Nikt nie zareagował na jej tragedię. Żaden z czternastu znajomych. Nikt z rodziny. Przecież to się nie zgadzało! Wystarczy chwila po czyjejś śmierci, by na ścianie profilu pojawiły się dziesiątki serduszek, zapłakanych emotikonów i ostatnich pożegnań. To na pewno nie był właściwy profil Rity, choć ich wspólne zdjęcie było autentyczne.

Ktoś chce, żebym został kozłem ofiarnym – pomyślał Viljar.

Ciąg myśli przerwały mu odgłosy z korytarza. Dziennikarz zeszywniał.

Drzwi do jego mieszkania zostały nagle otwarte i Viljar usłyszał łupnięcie, jakby ktoś upuścił coś na podłogę. Dziennikarz zerwał się, ale zastygł, gdy ujrzał postać w przedpokoju.

– Ja pieprzę! A co ty tu robisz? – spytał, spoglądając na przygarbionego, niezgrabnego chłopaka. Patrząc na niego, trudno było się oprzeć wrażeniu, że nogi i ramiona wieszczą mu karierę w NBA, ale reszta ciała jest temu przeciwna.

Alexander odwrócił spojrzenie. Na jego twarzy na moment pojawiła się niepewność.

– Co, nie chcesz, żebym tu przychodził? – burknął niechętnie. – Jakaś laska śpi u ciebie?

Usłyszawszy pierwsze pytanie, Viljar chciał otworzyć ramiona i przytulić chłopca z całej siły, ale drugie zirytowało go do tego stopnia, że miał ochotę uderzyć go w twarz. Sprzeczne emocje sprawiły, że w rezultacie się nie poruszył. Stał, jakby zapomniał rozumu, a po chwili wykrztusił kilka słów, chcąc oduczyć Alexandra takiego tonu.

Reprimenda nie podziałała. Alexander rozejrzał się dookoła i zmarszczył nos. Przeczesał dłonią tłuste czarne włosy, rozdrapał jakiegoś pryszczaka i potrząsnął głową.

– Kurwa mać, ojciec, musisz zatrudnić jakąś Polkę do sprzątnięcia czy coś. Serio, no! Ta babka, z którą pracujesz, musiała tu posprzątać po odejściu glin. Syf na kólkach.

Viljar patrzył z powątpiewaniem na chłopaka. Ranveig się nie myliła – to nie było miejsce dla szesnastolatka. Dziennikarz umówił się z jego matką, że Alexander będzie spędzał dni powszednie u niej, a weekendy u ojca, ponieważ w sobotę i niedzielę często dorabiała sobie w kuchni szpitalnej. Zarobione w ten sposób pieniądze były istotnym dodatkiem do skromnego dochodu, jaki przynosił jej domowy salon fryzjerski. Przez ostatni rok Alexander nauczył się jednak ignorować wszelkie zasady i przychodził do ojca, kiedy mu się podobało.

Choć Ranveig posprzątała z grubsza mieszkanie, nadal śmierdziało w nim dymem papierosowym i zastarzałym potem. Puste pudełka po pizzy piętrzyły się w kącie przedpokoju, a rzeczy leżały tam, gdzie je rzucił. Syn patrzył na Viljara, kręcąc głową.

– Trudno uwierzyć, że to ja mam ADHD, a nie ty. Sprzątasz tu w ogóle, jak mnie nie ma?

Właściwą odpowiedzią było „nie”, ale Viljar nie chciał przyznawać mu racji.

– Posłuchaj no. Nie będziesz mi się tu wbijać, kiedy sobie chcesz, i obrzucać mnie błotem. Nie życzę sobie tego. Mnie ten bajzel nie przeszkadza, a ty powinienes teraz być u mamy.

Chłopak podszedł do zlewu kuchennego i odwrócił się plecami do ojca. Przez moment milczał, aż wreszcie wybuchnął:

– Nie zniosę już dłużej tej jebanej suki! – I z całej siły rzucił pełną do połowy szklanką mleka o ścianę.

Viljar się skulił. Wiedział, że powinien coś zrobić czy powiedzieć, ale zamiast tego opadł na taboret. Ramiona Alexandra drżały. Przez dłuższą chwilę w mieszkaniu zaległa absolutna cisza. Viljar chciał się podnieść, podejść do chłopaka i go objąć, ale mimo to ani drgnął. Nie potrafił zrobić tego, co powinien.

Alexander odwrócił się i spokojnie, bez emocji podszedł do wejścia do salonu. Otarł zwilgotniałe oczy rękawem zbyt dużej bluzy z kapturem. Viljar złapał go za rękę.

– Posprzątaj po sobie. Kawałki szkła są na całej podłodze.

Syn wyrwał mu się, odwrócił się gwałtownie do ojca i go popchnął.

– Odpieprz się ode mnie! Sam możesz to posprzątać! Czemu niby miałbym się tym przejmować, skoro masz to w dupie? A zresztą widzisz tu teraz jakąś różnicę?

Trzaskając drzwiami, Alexander ruszył w stronę niewielkiej klitki, która z pewnością nie była w pełni funkcjonalnym pokojem dla młodego

człowieka, co Viljar od dawna usiłował sobie wmówić. Kilka sekund później z głośników jego wieży ryknęły pierwsze takty *The Eternally Damned* grupy Einherjer.

Viljar westchnął i podjął próbę odnalezienia myśli, które przegnało pojawienie się Alexandra.

Kto próbuje połączyć mnie z tymi morderstwami?

Nie wydawało mu się, by miał wrogów gotowych posunąć się tak daleko. Jeśli rzeczywiście istnieli, musieli być w ten czy inny sposób związani ze sprawą Jonasa.

Viljar niechętnie oderwał wzrok od ekranu. Nie był w stanie popchnąć swych poszukiwań naprzód dopóty, dopóki nie uporządkuje myśli, a było to w tym momencie absolutnie niemożliwe – Alexander z czystej złośliwości puszczał teraz muzykę na cały regulator. Viljar wybrał numer do Hilde. Nie lubił do niej dzwonić, ale to było nieuniknione. Musiała tu przyjść i zabrać chłopaka!

Palce drżały mu lekko, gdy naciskał kolejne klawisze i musiał się skupić, by trafić we właściwe. Relacji między nim a matką Alexandra raczej nie można było nazwać dobrymi. Przygotował się w duchu na tyradę oskarżeń, którą Hilde ciskała w niego, zanim udało mu się wygłosić pierwsze zdanie. Czasami był przekonany, że zrobił dziecko Antychrystowi.

Cztery lata wcześniej

Torvastad, Karmøy

Piątek przed południem, 20 sierpnia 2010 roku

Jonas rozejrzał się niepewnie niczym jelen, który wietrzy zapach myśliwego w zaroślach. Wiedział, że nikt nie może ich tu dojrzeć, ale mimo to czuł rodzący się lęk.

Pomyśl tylko, co by było, gdyby...

Nie, nie mógł sobie pozwolić na takie rozważania. Nie mógł dokończyć tej myśli.

Jonas wpadł w wyciągnięte ramiona Fredrica. Tętno mu przyspieszyło, gdy wtulił twarz w jego szyję. Wciągnął w płuca mocny, świeży zapach jego perfum i poczuł przyjemny dreszcz, gdy otarł policzek o zarost przyjaciela. Fredric jedną ręką tulił go mocno do siebie, a drugą delikatnie gładził po plecach.

W powietrzu czuć było jeszcze lato. Temperatura sięgała dwudziestu stopni i słońce opromieniało zbrązowiałe uda Jonasa. Odsunął nieco kurczowo zaciśnięte ramię Fredrica i przesunął obie dłonie po mięśniach pleców przyjaciela. Ostrożnie wsunął dłoń w jego džinsowe szorty, a Fredric natychmiast zaczął szybciej oddychać. Całując go czule i delikatnie, Jonas zaczął przesuwając się od szyi w dół po jego klatce piersiowej.

Naraz wyprostował się i przyciągnął Fredrica do siebie. Pocałował go, najpierw namiętnie, a potem chciwie, zachłannie. Widział i czuł jego rosnące pożądanie. W tej chwili nie liczyło się nic innego. Nie było żadnych zmartwień, nie było strachu, gniewu czy wstydu.

Herman Eliassen był już historią. Wszystko, co zdarzyło się w pokoju hotelowym w Haugesund, zostało zmasane.

Fredric delikatnie ujął twarz przyjaciela w obie dłonie. Odsunął ją od siebie i przyglądał się uważnie. Jego kciuk to muskał nozdrza Jonasa, to znów dotykał jego skóry pod oczami, aż naraz Fredric jęknął i odrzucił głowę, gdy Jonas złapał go mocniej za pośladki. W chwilach podniecenia w oczach Fredrica zawsze pojawiał się łobuzerski błysk. Jonas uwielbiał to. Podniecenie narastało w nim, ale się opanował. Chciał się nacieszyć chwilą, rozkoszować cudownym dotykiem trzymającego go mocno nagiego, muskularnego ramienia. Ugryzł Fredrica w ucho i wyszeptał kilka czułych słów. Drugą, wolną dłonią pogładził przyjaciela po opalonej piersi i brzuchu. Raz po raz dotykał jego szortów, muskał go, kusił. Widział, że Fredric zaraz straci panowanie nad sobą, czuł, jak mocno wali jego serce.

Chwilę później, gdy sięgnął w dół, rozpiął mu spodnie i zsunął rozporek, ciało Fredrica niespodziewanie uwolniło swą energię, a on sam wtulił się w Jonasa i oddychał szybko, z trudem łapiąc powietrze. Jonas nie przeszkadzał mu i nie przejmował się tym, że będzie musiał się umyć. To, co się stało, było czyste i piękne, a nie brudne i nieczyste, jak zdarzenie z wczoraj. Znów odnalazł równowagę. Kochał i był kochany. Przez chwilę gładził Fredrica po plecach, a potem pozwolił się porwać fali rozkoszy, gdy jego przyjaciel pomógł mu uwolnić się od ciężaru, który nagromadził się w jego ciele przez ostatnią dobę.

Oprzytomnieli niespodziewanie, gdy rozległ się trzask pękającej gałązki. Serce Jonasa waliło jak szalone, rozglądał się w panice dookoła. Nagle poczuł niezbitą pewność, że ktoś ich zobaczył tu, w środku lasu.

Ogarnęło go przerażenie. Ledwie chwilę temu obaj unosili się na falach rozkoszy i nie liczyło się nic innego. Gdyby zostali odkryci, wyspa przestałaby być dla niego bezpiecznym miejscem. Dobrze wiedział, jak

zareagowałby ojciec, a dodatkowo musiałby liczyć się z konsekwencjami tego, co zrobił w tamtym pokoju hotelowym. Tymczasem ani przez moment nie pomyślał o tym, że naraził na niebezpieczeństwo również przyjaciela. Dopiero teraz zaczynał sobie uświadamiać, że jego decyzja może się odbić szerokim echem.

Jonas zdawał sobie sprawę, iż być może nadszedł kres. Być może ich cudowne, niewinne chwile dobiegły końca. Od tej pory mieli już się wypierać, kłamać i odgrywać swe role. Klamka zapadła. Nie było drogi odwrotu. Nie było sposobu, by cofnąć czas.

Komenda policji w Haugesund

Czwartek rano, 16 października 2014 roku

Lotte dostrzegła Olava Scheldrupa Hansena w chwili, gdy skręciła w korytarz prowadzący do pokoju konferencyjnego, i natychmiast uświadomiła sobie, że Hansen jest gotów do konfrontacji z nią. Ubrany jak zwykle w garnitur, z rzadkimi włosami zaczesanymi do tyłu, śledczy z Kripos stał przy drzwiach i czekał, ponury i zjeżony. Lotte podniosła telefon do ucha i udawała, że z kimś rozmawia. Mijając Hansena, wskazała aparat i weszła do pomieszczenia.

Grupa dochodzeniowa była już w komplecie. Jej członkowie czekali posłusznie, aż Lotte rozpocznie spotkanie. Policjantka zakończyła udawaną rozmowę i skinęła na Hansena, by zajął miejsce. Natychmiast skorzystał z okazji, chcąc przejąć inicjatywę, ale tym razem Lotte mu na to nie pozwoliła.

– Na wnioski i uwagi będzie czas na samym końcu – oznajmiła, mówiąc głośniej od niego. – Mamy dziś sporo do zrobienia, ale nasza prawniczka prosiła o możliwość zabrania głosu na początku spotkania. Chciała wyjaśnić kwestie proceduralne i nakreślić strukturę kierowania zespołem. Synne, jesteś gotowa?

Synne Lie wstała i klarownie przedstawiła role poszczególnych członków zespołu, a potem precyzyjnie omówiła kwestię dowodzenia. Żaden z członków grupy nie miał prawa podejmować żadnych kroków bez zgody oficera prowadzącego dochodzenie, a Lotte miała obowiązek omawiać z Synne wszystko, co miało związek z aresztowaniami, przeszukiwaniami,

przesłuchaniami i konfiskatą mienia. Wymieniając te kwestie, Synne zrobiła efektowną pauzę po słowie „aresztowania” i spojrzała prosto na śledczego z Kripos.

Zdecydowana postawa Lotte tego poranka okazała się słusznym posunięciem, ponieważ Olav był wzburzony i utracił inicjatywę. Policjantka miała lekkie wyrzuty sumienia, że pośrednio udzieliła mu nagany w obecności wszystkich pozostałych, ale nie było innego sposobu na odzyskanie kontroli nad własnym zespołem i dochodzeniem.

– A do kogo mamy się zwrócić w sytuacji, gdy będziemy mieli rozbieżne zdania odnośnie do dalszego postępowania? – zapytał Hansen z szyderym uśmiechem, tak aby nikt nie miał wątpliwości, że w pytaniu krył się sarkazm.

– Do mnie – odrzekła Synne Lie z łagodną, przyjazną miną. – Chętnie zapoznam się z pańską krytyką. O ile dobrze pamiętam oficjalne wytyczne, Kripos została poproszona jedynie o pomoc w dochodzeniu, a nie o przejęcie kontroli nad nim.

Lotte szykowała się, by przedstawić zebrane dowody, gdy w jej kieszeni zawibrował telefon. Zerknęła na ekranik i poprosiła wszystkich o pięć minut przerwy. Musiała odebrać.

Dzwoniła Anne. Lotte zakłęta w duchu, wychodząc z sali konferencyjnej. Całkiem zapomniała zająć się problemami siostry i przygotowała się na kolejną porcję skarg i wyrzutów. Tymczasem ku swemu zaskoczeniu usłyszała inną Anne, o wiele spokojniejszą, niepamiętającą już o problemach z wtorku. Heroina miała taki wpływ na ludzi. Zawsze pojawiały się nowe problemy, które przyćmiewały poprzednie.

– Lotte... Masz dziś czas, żeby się ze mną spotkać? Chciałabym porozmawiać o pewnej ważnej sprawie.

Zawsze było coś ważnego.

– Przed lanczem mam masę spraw na głowie. Może później? – zaproponowała Lotte. Nie chciała, aby Anne uznała, że siostra znów próbuje ją zbyć. Ciągle miała wyrzuty sumienia z powodu tego, że nie troszczyła się o nią jak należy, ale z drugiej strony pamiętała, że okazywanie narkomanom zbyt wielkiego wsparcia przynosi odwrotny efekt i utwierdza ich w przekonaniu, że życie w uzależnieniu nie jest niczym złym. Jedynym, co mogłoby zmotywować narkomana do wyrwania się z heroinowego piekła, była świadomość, że jego życie w istocie jest piekłem. Można było dzielić się z nimi pieniędzmi, jedzeniem czy troską, można było dać im pracę czy dach nad głową, ale do niczego to nie prowadziło.

– Dobra, może być po lanczu.

Lotte miała wrażenie, że w głosie siostry pojawił się ból, którego dawno już nie słyszała. Może rzeczywiście chodziło o coś ważnego.

– Okej, Anne. Spróbuję się stąd wyrwać za kilka godzin, ale nie mogę ci obiecać kiedy dokładnie, dobrze?

Po zakończonej rozmowie Lotte odetchnęła ciężko, odepchnęła wyrzuty sumienia na bok i wróciła do sali konferencyjnej.

– Pierwszy punkt na naszej liście to miejsca zbrodni. Lars, to twoja działka, prawda?

Lars Stople, który w przeciwieństwie do większości młodszych kolegów preferował papier i pisaki, podszedł do flipcharta i znalazł wolną stronę.

– Bez wątpienia mamy do czynienia z człowiekiem, który nie zamierza ukrywać własnych śladów – mówił, podkreślając najważniejsze punkty. – Pomyśleliśmy, że ogromna ilość śladów na miejscach zbrodni może mieć na celu wyprowadzenie nas w pole. Przeczesałiśmy zarówno mieszkanie Rity Lothe, jak i las za domem Johannes Fredriksena w Stord. W mieszkaniu Rity znaleźliśmy na butelce wina i kieliszku do koniaku dobrze zachowane odciski palców, które na pewno nie należą do ofiary. Te same odciski znaleźliśmy na książce Nesbø i plastikowej torbie, na które natrafiliśmy w lesie nieopodal drugiego miejsca zbrodni. Innymi słowy, nie ma wątpliwości, że ta sama osoba odwiedziła oba miejsca. Poza odciskami palców mamy również materiał biologiczny. Wkrótce otrzymamy pełną analizę DNA zabójcy, ale raczej nie spodziewamy się, że uda się nam dzięki niej zlokalizować go w naszej bazie danych.

Lotte podniosła się i podeszła do Larsa. Wyprostowała nogę stojaka, odkaszlnęła nerwowo i zwróciła się do starszego policjanta:

– A poszcęściło nam się z aptekami?

– Niestety nie. Tutaj niczego nie wskóraliśmy. Morderca musiał kupić środki znieczulające gdzieś poza miastem. Rozszerzyliśmy poszukiwania na sąsiednie gminy, ale tam też niczego nie znaleźliśmy.

– Dobra. Czy jest jeszcze coś, co może nas naprowadzić na tożsamość zabójcy, Lars? Bo z tego, co wiem, mamy już wystarczająco dowodów, żeby go posadzić, gdy tylko wpadnie w nasze ręce.

– Zgadza się. Istnieją dwie wytłumaczenia: albo morderca sądzi, że pozostaje całkowicie poza podejrzeniami, albo nie dba o to, czy zostanie zatrzymany, czy nie.

Lars zamilkł, ale Lotte dała mu znać, by kontynuował.

– Cóż, i to tyle. Wszystko, co teraz powiem, to tylko spekulacje.

Przeszukanie miejsc zbrodni doprowadziło nas do następujących pomysłów.

Zapisał na tablicy cztery punkty.

– Po pierwsze, sądzimy, że to mężczyzna. Mamy na to dowody, jak choćby fakt, że Rita Lothe uprawiała z nim seks niedługo przed śmiercią, ale pojawiły się również inne poszlaki. Znaleźliśmy krótkie siwe włosy, które na pewno nie należały do Rity. Identyczne zostały zebrane ze śpiwora w Stord. Wielkość odcisków palców z obu miejsc wskazuje na to, że mamy do czynienia z osobą o dużych dłoniach. Na koniec nie zapominajmy o tym, że wypchnięcie przez balustradę balkonu nieprzytomnej, ważącej około siedemdziesięciu kilogramów osoby wymaga pewnej siły fizycznej. Wszystko to wskazuje, że nasz winowajca jest mężczyzną – zakończył Lars i przeszedł do kolejnych punktów. – Po drugie, wiele przemawia za tym, że mężczyzna mieszka w Haugesund albo w bezpośrednim sąsiedztwie. Obu zabójstw dokonano w naszym okręgu, a maile trafiły do miejscowego dziennikarza. Po trzecie, sądzimy, że morderca liczy ponad czterdzieści lat. Nie mamy pewności, ale znów istnieje kilka poszlak. Jak już mówiłem, wiele ze znalezionych włosów jest siwych. Wiem, że młodzi ludzie również mogą siwieć, ale na ogół siwizna zaczyna się po czterdziestce. W Stord znaleźliśmy kuchenkę i resztki jedzenia, które nie cieszy się popularnością wśród młodych ludzi. Na koniec mamy jeszcze niedopałki z szalasu w Rommetveit, nie zwykłe pety, ale niedopalone resztki skrętów. Kolejna rzecz na wymarciu. Samodzielnie papierosy skręcają przecież głównie starsi ludzie i pijacy. No i po czwarte, mamy maile, ale to było zadanie Knuta, prawda?

Knud Veldetun wstał i podszedł do projektora. Wsunął pendrive'a do stojącego obok laptopa i otworzył PDF-y z mailami.

– Jak widzicie, oba maile wysłał ten sam nadawca. Adres steinaamli@gmail.com jest fikcyjny, a ściślej mówiąc, fikcyjna jest osoba, która się za nim kryje. Konto założono przed trzema tygodniami na nazwisko Stein Åmli, a uruchomiono je po raz pierwszy w poniedziałek rano, kiedy został wysłany pierwszy mail.

Knud odkaslnął i upił łyk wody ze szklanki.

– Wszyscy dobrze wiecie, jak łatwo jest założyć fikcyjne konto mailowe, więc nie będę się nad tym rozwodzić – podjął. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Lotte, zacznę od tego, że osoba zakładająca konto wykorzystała fałszywe nazwisko.

Lotte skinęła głową. W tej samej chwili po jej prawicy rozległo się ciężkie westchnienie, które oznaczało, że cierpliwość Hansena niedługo się

wyczerpie.

– Ciekawe natomiast jest to, że udało nam się pozyskać pomoc ludzi z Google'a – ciągnął, nie zważając na nic, Knut Veldetun. – Podzielili się z nami swoimi informacjami, wśród których znaleźliśmy kilka ważnych szczegółów. Przede wszystkim wiemy, skąd wysłano oba maile.

Kilku członków zespołu z zainteresowaniem podniosło głowy.

– Pierwszy mail odebrany przez Gudmundssona został wysłany z młodzieżowego centrum kultury Gamle Slaktehuset, tu, w Haugesund, w poniedziałek o ósmej pięć, a drugi z hotelu Rica Maritim we wtorek o szesnastej dwie. Oczywiście sprawdziliśmy oba miejsca i przesłuchaliśmy osoby, które podówczas były w pracy. Jak dotąd nie ma żadnych rezultatów, ale jeden z naszych speców od IT polecił, żeby sprawdzić, czy jest tam nieszyfrowana sieć Wi-Fi dla gości.

– Czy to oznacza – przerwała mu Lotte – że autor maili nie korzystał z komputerów na miejscu, ale przyniósł własny?

– Tak, korzystał ze smartfona albo z tabletu. Najprawdopodobniej nie wszedł do żadnego z budynków, ponieważ z ich sieciami można się połączyć, będąc w bezpośrednim sąsiedztwie, na przykład w samochodzie. Niestety, żadne z tych miejsc nie zostało wyposażone w monitoring i nie możemy sprawdzić, jakie samochody tam parkowały.

– Odłóżmy więc na razie maile na bok – zdecydowała Lotte. – Powrócimy do tematu, gdy pojawią się kolejne. Co jeszcze masz?

– Cóż, obawiam się, że niestety niewiele więcej.

Knut wyłączył projektor i usiadł. Wtedy odezwał się Lars Stople:

– A te dziwne kody u dołu maili? Dowiedzieliście się czegoś na ten temat?

– Nie. Pracuję nad tym, ale na razie są to jedynie liczby i litery bez żadnego znaczenia. Możemy w każdym razie wykluczyć tradycyjne narzędzia kodujące, które są wykorzystywane przez nas. Już to sprawdziliśmy.

Lars Stople napisał na planszy piąty i ostatni punkt.

– Istnieje jeszcze jedna rzecz, która mnie osobiście dała dużo do myślenia, a od której być może powinniśmy rozpocząć nasze śledztwo.

Zrobił efektowną przerwę, nabrał tchu i kontynuował:

– Przypuszczam, że nasz zabójca wykonuje zawód, dzięki któremu ma większy dostęp do informacji od zwykłych obywateli. Spróbowałem znaleźć jakieś informacje na temat uniewinnienia Lothe i Fredriksena w Internecie lub w starych gazetach, ale okazało się to całkowicie niemożliwe. Tymczasem zabójca w jakiś sposób zapoznał się z obiema

sprawami i być może ma dostęp do dawnych wyroków.

Lars zamilkł na moment, a potem sformułował swoją hipotezę.

– Podkreślam, że to jedynie spekulacje, ale przypuszczam, że poszukiwany przez nas człowiek pracuje w policji, sądzie, mediach albo kancelarii prawnej. Tylko w takich miejscach można dotrzeć do informacji, którymi posłużył się morderca.

– Ale z was grupa! – Olav Scheldrup Hansen odezwał się po raz pierwszy od początku zebrania. – Przez cały ten czas wygadujecie oczywistości, a nikt nawet nie wspomniał nazwiska Gudmundssona. Cóż. Dobrze, zgodzę się, że może ten dziennikarz nie jest naszym zabójcą, ale gdzieś tam czai się ktoś, kto świetnie się bawi, łącząc jego nazwisko ze wszystkim, co się dzieje. Pomyślcie o tym, jakich wrogów miał Gudmundsson. Może weźmy na przykład Eliassena? Sprawdziłem kilka rzeczy i wiem, że nadal siedzi w więzieniu, ale może są inni ludzie, którzy byli w jakiś sposób związani z tym skandalem? A może Eliassen jest człowiekiem tak wpływowym, że nawet w więzieniu potrafi pociągać za sznurki?

Olav Scheldrup Hansen rozłożył ręce.

– Dzięki metodzie eliminacji, którą posłużył się Stople, otrzymamy, jak sądzę, około tysiąca potencjalnych morderców w samym tylko okręgu. Tymczasem nasz punkt zaczepienia, czego nikt z was jakoś nie widzi, nazywa się Gudmundsson. Czy ktoś może skoczyć do magazynu i przynieść białe laski dla niewidomych? Na bogów, bardzo się nam przydadzą.

Redakcja „Haugesunds Avis”

Czwartek przed południem, 16 października 2014 roku

Trzeci wyrok śmierci wylądował w skrzynce odbiorczej Viljara, gdy dziennikarz przygotowywał się do stworzenia artykułu o podwójnym morderstwie. Pisanie o sprawie, w którą sam był wplątany, nie należało do przyjemności. Było to również poważne naruszenie zasad panujących w prasie, ale Johan Øveraas miał to głęboko w poważaniu. Co więcej, zamiast zwykłego tekstu kazał Viljarowi napisać osobisty reportaż.

„Wyprawa w głąb najciemniejszych tajemnic niewyjaśnionych morderstw” – powiedział.

Viljar miał ochotę go udusić, ale nie był to najlepszy dzień na kłótnię.

Pisząc taki reportaż, stawał się kimś w rodzaju przewodnika, prowadzącego czytelnika od jednego wydarzenia do drugiego. Było to

chore, niewdzięczne zadanie, które w dodatku narażało autora na ostrą krytykę, ale Viljar nie mógł protestować. Musiał się na wszystko godzić.

Przejrzał to, co zdołał już napisać. Miał przed sobą listę faktów ułożonych w porządku chronologicznym oraz dwie tabele z informacjami na temat obu ofiar i ksera obu otrzymanych maili. Jak do tej pory tekst, w którym Viljar opisał swoje przeżycia, liczył dwa tysiące słów. Oczywiście dziennikarz pisał w pierwszej osobie, aby zwiększyć dramaturgię. Gazeta dysponowała niezłymi zdjęciami z obu miejsc zbrodni, a tytuł został dobrany tak, aby zmusić czytelnika do zapoznania się z resztą tekstu:

Moje spotkanie z mordercą.

Nazywanie przeczytania maili spotkaniem było grubą przesadą, ale tak sobie życzył naczelny. Gazeta skwapliwie wykorzystywała każdy temat, który mógł wywołać większe zainteresowanie, a piątkowy numer miał pokazać prasie krajowej, że „Haugesunds Avis” zakasowała konkurencję. Dysponowała dostępem do informacji, o których „VG” czy „Dagbladet” mogły jedynie pomarzyć, i teraz trzeba było przedstawić je w możliwie najbardziej tabloidowy sposób.

Ranveig trafiła już do naczelnego na dywanik, co skończyło się nowymi obowiązkami, daleko wykraczającymi poza jej zwykły przydział. Viljar nie miał pojęcia, dlaczego Øveraas to zrobił, skoro w redakcji pracowało jeszcze wielu innych dziennikarzy zajmujących się bieżącymi informacjami, ale po naczelnym można było się tego spodziewać. Jeśli nie mógł wyładować złości na przedmiotach, przydzielał karne zadania, żeby pokazać, kto naprawdę rządzi w redakcji.

Na Ranveig spadł więc obowiązek skontaktowania się z policją, sprawdzenia faktów oraz przeprowadzenia wywiadów z rodziną i znajomymi ofiar. Ponadto musiała jeszcze porozmawiać z przyjaznym mediom psychiatrą i napisać krótki artykuł o tym, co popycha ludzi do podobnych czynów.

Ranveig miała więc mnóstwo pracy, a Viljar wiedział, że dodatkowo musi skończyć coś o akcji promocji czytelnictwa w Bibliotece Publicznej w Haugesund. Øystein powiedział mu o tym wczoraj przez telefon. Viljar przypuszczał, że Ranveig za nic w świecie nie odda tego tematu Thomsenowi, który nie napisał niczego pochlebnego od czasu, gdy w połowie lat osiemdziesiątych orkiestra symfoniczna z Nord-Rogaland wykonała *Stworzenie świata* Haydna. Potwierdziło się to kilka minut później, gdy Ranveig i Øystein przeszli obok jego biurka i pomachali mu.

Artykuły na monitorze Viljara zdecydowanie nie zasługiwały na nagrodę

dziennikarską. Była to mieszanina faktów, opisów i domysłów, która zawierała zbyt wiele spekulacji i balansowała na pograniczu prawdy. W niczym nie przypominały tekstów, z jakich kiedyś słynął. Na wszelki wypadek, aby znów nie ściągnąć sobie policji na głowę, Viljar wysłał mailem kopię do Lotte Skeisvoll. Nie wymagały tego wewnętrzne procedury gazety, ale policjantka powinna być na bieżąco.

Viljar nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego smaku w ustach. Wiedział, że krytycy prasowi nie podarują mu tak niefachowego artykułu. Podniósł głowę i natrafił na spojrzenie Henrika Thomsena, który uśmiechnął się szeroko i pokazał mu podniesiony kciuk. Viljar zignorował go.

Jako dziennikarz upadłem nisko, ale nie sięgnąłem jeszcze takiego dna jak on – pocieszył się.

Sygnał dźwiękowy przychodzącej wiadomości rozległ się w chwili, gdy wysyłał maila ze wszystkimi załącznikami do Lotte. Serce natychmiast zabiło mu szybciej. Nie miał najmniejszej ochoty sprawdzać poczty, ale przewyciężył wstręt. Przecież musiał to wiedzieć.

DO: Viljar Ravn Gudmundsson

Jak dotąd, drogi Viljarze, wszystko rozwija się zgodnie z planem. Państwo ma moc prawodawczą, a ja jestem zarówno władzą sądowniczą, jak i wykonawczą. Tak to w praktyce wygląda. Pańska rola to wzięcie na siebie odpowiedzialności przedstawiciela czwartej władzy. Pan ma być tym, który opowiada. Jak dotąd nie wywiązał się pan ze swego zadania, czym jestem rozczarowany. Zmusza mnie pan do sięgnięcia po mocniejsze metody, aby przyciągnąć pańską uwagę.

Piszę do pana, ponieważ wiem, że jest pan uczciwym człowiekiem i potępi to, co mam zamiar zrobić, ale jednocześnie będzie pan mógł zrozumieć moje oburzenie i frustrację z powodu rozpadu państwa prawa.

Istnieją prawa mające nas uchronić przed sytuacjami, w których ludzie zdobywają zbyt wielką władzę. Nie powinno się mówić niczego złego o tych, którzy są owym prawom posłuszni, przyznają się do winy i ponoszą sprawiedliwą karę. Moja uwaga kieruje się więc ku tym innym – tym, którzy nawet w godzinie sądu unikają kary i wymykają się na wolność. To hieny żerujące na społeczeństwie, tchórzliwe, zachłanne i wykrętne. Zaslugują na karę, którą im wymierzam. Staję się jednocześnie sędzią

i katem. Wiem, że poniosę konsekwencje moich czynów, ale gdy nadejdzie ta chwila, stawię karze czoło z podniesioną głową. Zanim to nastąpi, ludzie będą ginąć z mojej ręki – wszyscy co do jednego winni, którzy na swój sposób uniknęli prawomocnej kary.

Co roku coraz więcej ludzi ginie w wypadkach powodowanych przez tych, którzy prowadzą samochody, motocykle lub łodzie w stanie nietrzeźwym. Raz za razem widzimy winnych, którzy zostają wypuszczeni na wolność, gdyż nie można udowodnić, że to oni prowadzili pojazd w chwili zdarzenia. W innych przypadkach testy nie wykazują zawartości alkoholu we krwi, ponieważ próbki zostały pobrane zbyt późno. Oto osoby, które nie chcą wziąć odpowiedzialności za swe czyny. Wymykają się sprawiedliwości, gdyż społeczeństwo daje im taką możliwość. Nie chcą pokutować za swe grzechy nawet wtedy, gdy niewinni ludzie tracą przez nie życie. Gardzę nimi.

Jedną z nich jest kobieta, która zostanie osądzona za spowodowanie śmierci innego człowieka podczas prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwym. Nie była nigdy karana, ale nie zostanie to poczytane za okoliczność łagodzącą. Ofiara dowie się o karze, która zostanie wymierzona jutro, w piątek, 17 października 2014 roku.

16.10.14
Stein Åmli
GS8-1

Viljar poczuł się źle po przeczytaniu wiadomości. Jej autor zwrócił się do Viljara bardziej poufale niż dotychczas. Nie było wątpliwości, że śledzi przebieg wydarzeń, bo wiedział, że „Haugesunds Avis” jak dotąd milczy na temat maili.

Należało powstrzymać tego człowieka, ale działał on w takim tempie, że Viljar czuł się jak stenograf, który jest w stanie zaledwie rejestrować kolejne zdarzenie. Akcja rozwijała się zbyt szybko.

– I co tam, Gudmundsson? Masz jakieś nowe maile?

Po plecach dziennikarza spłynął nieprzyjemny dreszcz. Pospiesznie zamknął laptopa i odwrócił się spokojnie w kierunku nieproszonego gościa, próbując opanować emocje.

– A co ty tu, do cholery, robisz, Hans? Nie macie przypadkiem biur po drugiej stronie? Wystarczy mi urwanie głowy z tą bandą od marketingu.

Tylko tego brakuje, żebyście wy zaczęli plątać się nam pod nogami.

Dziennikarz radiowy uśmiechnął się głupkowato.

– To już nie można wpaść i przywitać się ze starymi przyjaciółmi?

Położył nacisk na ostatnie słowo.

– Rzadko kiedy się zgadzamy, Hans, ale chyba nie ma wątpliwości co do tego, że raczej za sobą nie przepadamy, co? – Viljar wyciągnął papierosa i wstał. Chciał jak najszybciej pozbyć się Indbjo ze swojego stanowiska pracy.

– Posłuchaj, wchodzę na antenę za dziesięć minut, a teraz nie mówi się o niczym innym, jak tylko o tym podwójnym morderstwie. Rozumiem, że ten facet uprzednio kontaktuje się z tobą. Nie miałbyś może ochoty odpowiedzieć w radiu na kilka pytań?

Viljar spojrzał na chudzielca.

– Ciekawe, co za idiota napakował ci tych bzdur do głowy, Hans. Nie możesz wierzyć każdej naćpanej świrusce, która dzwoni z cynkiem.

– Ja w nic nie wierzę. Ja mam pewność. Moje źródło nigdy jeszcze mnie nie oszukało i nie sądzę, żeby tak było teraz. Poza tym należymy przecież do tego samego domu medialnego! Przecież powinniśmy się dzielić informacjami. Nieraz o tym rozmawialiśmy, a jeśli się ze mną nie zgadzasz, możemy obgadać tę sprawę z Øveraasem.

Viljar wbił w Indbjo twarde spojrzenie, jakby mocą swoich myśli chciał go zmusić, aby rozpuścił się i znikł bez śladu.

– Tak czy owak, mam tylko jeden komentarz dla słuchaczy Radia 102 i możesz go zacytować, jeśli będziesz chciał... – Indbjo skwapliwie wyjął dyktafon z kieszeni i go włączył. Dramatyczne wprowadzenie słuchaczy w temat zabrało mu jakieś trzydzieści sekund, po czym podsunął mikrofon Viljarowi.

– Rozmawiam z dziennikarzem „Haugesunds Avis” Viljarem Ravnem Gudmundssonem. Czy zechciałbyś się podzielić ze słuchaczami swoim komentarzem do tej sprawy?

– Wal się! – ryknął Viljar do mikrofonu. Z zadowoleniem zauważył, że kropelki śliny wylądowały na szklach okularów Indbjo. Żałował tylko, że jego słowa nie poszły na antenie.

Plac Ratuszowy, Haugesund

Czwartek po południu, 16 października 2014 roku

Lotte Skeisvoll spojrzała z wyższością na Viljara, który nie miał wielkiej ochoty stawić się na spotkanie po otrzymaniu trzeciego maila.

Ludzie powinni przestać narzekać na czas reakcji policji – pomyślał dziennikarz.

Usiedli na ławce na placu. Strumyczki deszczówki w szczelinach między kostkami brukowymi przypominały migotliwą fugę.

– A więc uważasz, że cała ta sprawa jest wymierzonym w ciebie spiskiem? – spytała Lotte, nie kryjąc sceptycyzmu. – To właśnie chcesz powiedzieć?

– Niczego nie uważam, Lotte. Podsuwam tylko taką możliwość. To jedynie hipoteza – odparł dziennikarz i opuścił spojrzenie. Pluskał podeszwą buta w płytkiej kałuży.

– W porządku, Viljar. Załóżmy przez moment, że masz rację. Są tacy, którzy ciebie uważają za sprawcę. Jeśli to ty masz rację, pojawiają się dwa ważne pytania. Kto miałby taki spisek uknuć i dlaczego?

Viljar spojrzał szybko na nią, a potem przeniósł wzrok na Olava Scheldrupa Hansena, który siedział obok. Po chwili znów opuścił głowę.

– Nie mam pojęcia.

Lotte westchnęła. Nie po raz pierwszy słyszała od niego tę odpowiedź.

– Zbudowałeś wspaniałą teorię spiskową, ale nie masz pojęcia, kto za nią stoi ani też kto nią kieruje? O co chodzi? Masz jakiś cholerny kompleks mesjasza?

Viljar patrzył przed siebie, nie odwracając głowy. Emanowała z niego niechęć do całego świata. Przyglądał się ludziom, którzy pośpiesznie wsiadali do samochodów na Haraldsgata bądź wyskakiwali z nich.

Jacy oni nieświadomi – pomyślał.

– On chce czegoś ode mnie. Przecież sama chyba to widzisz w tych mailach. Mam wrażenie, że chce mnie obarczyć współwiną. Przydzielił mi rolę teatralną, którą muszę odegrać.

– Viljar... Kto to jest i dlaczego tego chce? W przeciwieństwie do ciebie regularnie mam do czynienia z podobnymi sprawami i wiem, że najważniejszą kwestią zawsze jest odkrycie motywu. W całym dochodzeniu chodzi o ustalenie motywu działania przestępcy. Nikt nie uczyniłby z ciebie kozła ofiarnego, gdyby nie miał ku temu powodu.

Viljar pokręcił głową. Nerwowo skubał farbę odłóżającą od ławki. Nie zareagował na słowa policjantki.

– To, co mówisz, jest głupie. Równie dobrze mógłbyś zadzwonić w środku nocy do kolegi interesującego się piłką nożną i powiedzieć mu, że jakieś dwie nieznane ci drużyny rozegrały gdzieś mecz, a potem spytać, jaki był wynik. Rozumiesz mnie, Viljar? To, co nam mówisz, będzie pozbawione sensu, dopóki nie połączysz swoich rewelacji z jakimś nazwiskiem czy imieniem.

Lotte podniosła się gwałtownie i chciała odejść, ale Viljar ją zatrzymał.

– Te kody różnią się od siebie, Lotte.

– Hę?

– W każdym mailu znajdują się litery i liczby. Za każdym razem są inne.

Lotte usiadła ponownie i energicznie potarła drobną plamkę na swoim żółtym płaszczu przeciwdeszczowym. Zaciśnęła mocno usta. Widać było, że z trudem panuje nad emocjami.

– Dopiero teraz to zauważyłeś, Viljar? Co się stało z tym dziennikarzem, którym kiedyś byłeś? Przecież pracujemy nad tą sprawą od chwili, gdy pojawił się drugi mail!

Znów chciała wstać, ale wtedy Hansen ocknął się i położył jej dłoń na ramieniu.

– Mogę ci zadać parę pytań, Gudmundsson? – spytał, patrząc na Viljara, który ostrożnie skinął głową, nie odrywając wzroku od czubków swoich butów. – Opowiedz mi o sprawie Eliassena. Skoro mamy szukać motywu, myślę, że powinniśmy zacząć od tego.

Dziennikarz zareagował, jakby uderzył w niego piorun. Przez moment rozglądał się w panice, aż wreszcie znalazł w sobie siłę i odwagę, by spojrzeć policjantowi w oczy.

– Mowy nie ma!

Olav Scheldrup Hansen wpatrywał się w niego twardym wzrokiem.

– O czym nie ma mowy? Czemu tak reagujesz? Nie chcesz o tym rozmawiać czy może wyklucasz udział Eliassena?

Viljar milczał.

– Od jak dawna zmagasz się z problemami psychicznymi?

Dziennikarz kilkakrotnie otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć, ale na powrót je zamknął. Drżącymi rękami wyjął pudełko ze snusem i wsunął porcję pod wargę. Kilka sekund później sprawiał wrażenie, jakby odzyskał panowanie nad sobą.

– Co masz na myśli, mówiąc „problemy psychiczne”?

Scheldrup Hansen usiadł na skraju ławki i spojrzał prosto na Viljara.

– Na przykład stany lękowe, depresję, ataki agresji, manię prześladowczą, myśli samobójcze, stronienie od towarzystwa. Chyba znasz te pojęcia, co?

Viljar nie odpowiedział na pytanie. Siedział nieruchomo z obwisłymi ramionami i patrzył przed siebie, a śledczy nadal pytał o jego zdrowie psychiczne, okresy nasilania się dolegliwości oraz nagłe zmiany w życiu. Dziennikarz wciąż się nie odzywał, aż po kilku minutach Hansen dał sobie spokój. Oboje śledczy wstali i odeszli.

Po ich zniknięciu Viljar pozostał na ławce jeszcze przez jakąś chwilę. Tylko jedna osoba dysponowała taką wiedzą na jego temat, a była nią jego psycholog. Wyglądało na to, że Vigdis zawiódła zaufanie, które w niej pokładał.

Czy psycholog może coś takiego zrobić? Czy może zdradzić czyjeś sekrety policji?

Biblioteka Publiczna w Haugesund

Czwartek po południu, 16 października 2014 roku

Ranveig słuchała z roztargnieniem. Øystein Vindheim paplał jak najęty o zbliżającej się akcji promującej czytelnictwo. Z entuzjazmem, którego można by pozazdrościć, pokazywał plakaty i transparenty. Artykuł miał zająć maksymalnie pół strony w porannej gazecie, ale energiczny bibliotekarz już zabrał dwie godziny jej cennego czasu. Był miły i dowcipny, ale dziennikarka miała już dość.

Fotograf zrobił, co do niego należało, i już dawno zajął się kolejnym zadaniem, ale Ranveig tkwiła w bibliotece niczym zakładniczka. Kampania, której zaplanowanie najwidoczniej zajęło Øysteinowi większą część jesieni, miała na celu obudzenie zainteresowania czytaniem książek wśród ludzi, którzy nie odrywali oczu od ekranów telewizorów i niekończących się seriali. Chciał zachęcić mieszkańców miasta, by zerwali z hegemonią komórek, płaskich ekranów oraz tabletów i urządzili we własnych salonach kąciki z książkami. Ranveig raczej powątpiewała, by kampania odniosła jakikolwiek skutek, ale uśmiechała się i okazywała pozytywne nastawienie.

Po kolejnym długim monologu bibliotekarza uznała, że nadszedł czas, by mu przerwać. Øystein spojrzał na nią błagalnie.

– Przykro mi, ale muszę jeszcze napisać trochę tekstów na temat obu zabójstw do jutrzejszego wydania porannego. Mam nadzieję, że wiesz,

o czym mówię?

Bibliotekarz ze zrozumieniem pokiwał głową, ale nie odezwał się ani słowem.

– Tak to już bywa w naszym fachu, gdy dzieje się coś podobnego – dodała Ranveig. – Wszystko staje na głowie.

Nie czuła się komfortowo w sytuacji, w której musiała zbyć sympatycznego, w pełni zaangażowanego w swój projekt człowieka, i miała wrażenie, że powinna się dalej usprawiedliwiać.

– Dobrze wiem, co masz na myśli – odparł Øystein. – Też miewamy dni, kiedy nie wiadomo, za co się złapać. Kiepska sprawa z tymi morderstwami.

– Tak. Zupełnie nie rozumiem, co popycha człowieka do popełnienia takich czynów. Trzeba mieć niezłe namieszane pod sufitem, żeby wypchnąć kobietę z siódmego piętra.

Øystein Vindheim znowu pokiwał głową.

– Takie rzeczy dzieją się właściwie tylko w książkach – powiedział i uprzejmie otworzył drzwi przed Ranveig.

– Nie wiem, czy ktoś pisze o takich rzeczach. Ta sprawa jest naprawdę dziwna – stwierdziła Ranveig i odwróciła się na progu, by podać rękę bibliotekarzowi.

Øystein się roześmiał.

– A więc nie czytujesz w ogóle kryminałów! W *Człowieku mroku* Unni Lindell występuje identyczne zdarzenie. Kobieta zostaje wyrzucona z piętra wieżowca.

Ranveig uśmiechnęła się do stojącego przed nią mola książkowego. Ten człowiek przypadł jej do gustu.

– W dyskusji na temat kryminałów z bibliotekarzem stoję na straconej pozycji. Uwierzę ci na słowo – powiedziała i uścisnęła jego dłoń.

– Artykuł pójdzie rano do druku? – zawołał Øystein, gdy Ranveig była w połowie schodów prowadzących do biblioteki. Dziennikarka uniosła kciuk i pomachała drugą dłonią.

Ranveig miała więc niecałe dwie godziny na napisanie trzech tekstów i wiedziała, że nie jest w stanie podołać obowiązkowi w regulaminowym czasie pracy. Uznała więc, że dokończy w domu, tym bardziej że jej mąż i córka byli właśnie w odwiedzinach u dziadków w Grinde. Miała cały dom do własnej dyspozycji.

Zarzuciła torebkę na ramię i skierowała się w stronę placu Ratuszowego. Deszcz nadal padał i kobieta nawet nie zauważyła, że przemokła. Fale niskiego ciśnienia nadciągały jedna po drugiej znad Morza Północnego

od schyłku sierpnia aż do końca kwietnia i w tym okresie tylko raz robiły sobie przerwę. Znikały, gdy nad ulicami unosiły się trącane przez wiatr lampki świąteczne. Pogrążona we wspomnieniach Ranveig uśmiechnęła się do swego miasta, a ono odpowiedziało tym samym.

W domu na Risøy rozsiadła się na kanapie z netbookiem na kolanach. Uruchomiła klucz Citrix z hasłami do sieci redakcyjnej, a potem otworzyła edytor tekstu. Na ławie stał dzbanek świeżo zaparzonej herbaty korzennej, kupiła sobie również w drodze do domu niewielką tabliczkę czekolady, którą pokruszyła i wsypała do kryształowej miseczki.

Już miała się zabrać do pisania, gdy spostrzegła coś, co przyciągnęło jej uwagę. Biblioteczka była pełna kryminałów, których sama nigdy nie czytała. To Rolf przepadał za taką literaturą. Z miejsca, w którym siedziała, widziała tytuły. Unni Lindell należała do ulubionych autorek jej męża. On sam nigdy tego nie przyznał – nie zdarzało się, by rozmawiali o literaturze tego typu – ale niezliczoną ilość razy sprzątała książki ze stolika nocnego swego męża i wiedziała co nieco o gustach Rolfa.

Człowiek mroku stał na końcu półki. Ranveig odłożyła netbooka i wzięła książkę. Jej okładka robiła nieprzyjemne wrażenie – na młodą dziewczynę w letniej sukience w kwiaty, stojącą nad brzegiem rzeki, pada cień potężnego, silnego mężczyzny. W pozornej idylli pojawia się więc groźny mrok. Ranveig przeszył lekki dreszcz. Nie przepadała za takimi książkami.

Czemu ludzie nie mogą pisać o czymś przyjemniejszym? – pomyślała, przekartkowując początek powieści. Przeczytała kilka stron i odnalazła fragment o kobiecie mieszkającej na wysokim piętrze w bloku. Zajrzała dalej i przekonała się, że Øystein Vindheim miał rację. W świecie książek również dochodziło do takich tragedii. Po przeczytaniu kolejnego fragmentu uświadomiła sobie, że na tym morderstwie wcale się nie skończy, i odłożyła książkę na półkę.

Niech Cato Isaksen żyje w spokoju w swoim powieściowym świecie – pomyślała. Wokół mnie jest wystarczająco dużo śmierci i nieszczęścia.

Usiadła na kanapie, wzięła komputer na kolana i pracowała intensywnie przez jakiś czas, chcąc skończyć artykuły, aż w jej głowie zaczęła się formować nowa myśl. Ranveig miała wrażenie, że przypomina się jej jakiś szczegół, ale musiała najpierw porozmawiać z Viljarem i przekonać się, czy to ma sens. Wzięła do ręki telefon, by do niego zadzwonić, a wtedy zauważyła, że aparat był od kilku godzin wyciszony. Na ekranie widniał komunikat, że Viljar trzykrotnie próbował się do niej dodzwonić. Westchnęła z rezygnacją i wybrała jego numer, ale usłyszała jedynie

komunikat poczty głosowej.

– Cześć, Viljar. Widzę, że dzwoniłeś. Miałam wyciszony telefon. Możesz zadzwonić raz jeszcze? Wydaje mi się, że natrafiłam na coś, co ma związek z twoją sprawą, ale muszę to najpierw omówić z tobą. Już przestawiłam telefon na normalny tryb.

Ostatnia informacja nie była konieczna, ale rozmowa z pocztą głosową zawsze wytrącała ją z równowagi.

Ulica Haraldsgata, Haugesund

Czwartek po południu, 16 października 2014 roku

Ogródek przed Cafe Espresso na ulicy Haraldsgata latem jak lep na muchy przyciągał z okolicy wykolejeńców wszelkiej maści. Słowo ogródek było może lekką przesadą, ponieważ na bruku przed lokalem stały jedynie cztery rozklekotane stoliki. Nie dało się też ukryć, że pozostali mieszkańcy miasta omijali przybytek szerokim łukiem, zwłaszcza że część stołów zwykle zajmowali zmęczeni życiem narkomani z brudnymi psami na smyczach. W październiku jednakże klienci nie dopisywali.

Boże drogi, naprawdę minęło sześć lat! – Lotte pokręciła głową.

Patrzyła na drobną dziewczynę, siedzącą samotnie na zewnątrz kawiarni. Dziewczyna pochylała się nad stolikiem, obojętna na deszcz pluskający dookoła. Upłynęło aż sześć lat od chwili, gdy zginęli ich rodzice, a Anne niedługo później została pochłonięta przez ulicę i opuściła dom. Lotte czasem zadawała sobie pytanie, czy w ogóle jeszcze pamięta swoich rodziców. Bywało, że nie pojawiali się w jej wspomnieniach przez długie tygodnie i z coraz większym trudem przypominała sobie ich twarze oraz głosy.

O siostrze myślała jednak często, każdego ranka, każdego dnia, każdego wieczoru.

Gdzie jesteś? Żyjesz? Jak bardzo musiałaś się dziś upodlić? Marzniesz? Jesteś zdrowa, nic cię nie boli? Myślisz o mnie?

Pytania tłoczyły się w jej głowie. Wiedziała, że zawsze będzie się o nią troszczyć. Nawet gdyby umarła, Lotte nigdy nie przestałaby o niej myśleć.

Już dawno dała sobie spokój z liczeniem godzin, które spędziła na pogotowiu ze zbuntowaną siostrą. Anne nie potrafiła wyciągnąć wniosków z tego, że życie na ulicy pociąga za sobą konsekwencje. Za każdym razem wyglądało to podobnie. W przeciwieństwie do Lotte

Anne była spięta i nerwowa. Drżała, przeklinała i zachowywała się agresywnie, czemu trudno było się dziwić, bo jako narkomanka stała na straconej pozycji we wszystkich sytuacjach. Niemal wszędzie traktowano ją z niechęcią i spychano na koniec kolejki w izbie przyjęć. Inni pacjenci i personel szpitala krzywo na nią patrzyli, a lekarze nie traktowali jej problemów poważnie i nie chcieli jej przyjmować. Lista upokorzeń nie miała końca i za każdym razem było to poniżające przeżycie.

Lotte odsunęła te myśli i podeszła do kawiarni. Idąc, rozglądała się w poszukiwaniu innych znajomych twarzy z narkotykowego środowiska Haugesund, nikogo jednak nie wypatrzyła. Chciała zabrać Anne do jakiegoś ciepłego miejsca, ale wiedziała, że to niemożliwe. Zapięła szczelniej kurtkę przeciwdeszczową.

– Przegoniłaś resztę gangu, co? – spytała Lotte, siadając obok siostry.

– Tak.

Lotte spojrzała na Anne i uśmiechnęła się.

– Dogadałam się z Ingjerd z kawiarni. Mogę tu siedzieć, pod warunkiem że nie przyjdą tamci z psami. Prościzna – rzekła Anne, wbiła wzrok w ziemię i zamilkła. – Ale się na ciebie naczekałam – odezwała się wreszcie. – Masz jakiś *cash* przy sobie?

– Nie, do jasnej cholery. Dobrze wiesz, że nie będę ci dawać forsy na to gówno, w którym siedzisz.

Ku jej wielkiemu zdumieniu Anne uśmiechnęła się do niej. Wspaniale było znów widzieć jej uśmiech, nawet jeśli trwał zaledwie kilka sekund. Wyjaśnienia pojawiły się po chwili.

– Za towar płacę sama, nie pamiętasz? Ale czekałam na ciebie tak długo, że zgłodniałam. Ingjerd dała mi coś do zjedzenia, tylko musiałam obiecać, że zapłacisz.

Lotte z ulgą wyłuskała z portfela banknot pięćdziesięciokoronowy. Anne weszła do środka, by zapłacić, lecz gdy wróciła, wydawała się bardziej niespokojna. Lotte była wyczulona na najmniejsze nawet zmiany nastroju u siostry, ponieważ wiedziała, że mogą oznaczać kłopoty.

– Coś nie tak?

Anne rozejrzała się szybko i odpowiedziała:

– Nie, nic. Nie brałam od kilku godzin i zaczynam już czuć skutki. Mogłam sobie strzelić małą działkę, ale na haju byśmy sobie nie pogadały. Nigdy nie traktujesz mnie wtedy poważnie.

Lotte uniosła brwi. Skoro Anne z własnej woli powstrzymała się od strzału w żyłę, żeby móc porozmawiać z siostrą, musiała mieć coś

ważnego do przekazania. Nie było co do tego wątpliwości.

– Opowiadaj.

Anne odkaszlnęła i poruszyła się niespokojnie na krześle, a potem wypaliła:

– Potrzebuję forsy, Lotte, ale nie na to, co myślisz. Nie na dragi, nie jestem też nikomu nic winna.

– Jeśli nie chodzi o narkotyki ani dług, to o co? Stać cię na jedzenie i dach nad głową, tego jestem pewna – oznajmiła Lotte i wbiła w siostrę surowy wzrok. Był to nieświadomy odruch, wypracowany podczas niezliczonych rozmów i przesłuchań.

– Chcę pójść na odwyk, Lotte. Chcę zerwać z tym na dobre.

Nigdy wcześniej Anne niczego takiego nie powiedziała. Nigdy wcześniej ani razu nie zająknęła się, że chciałaby rozpocząć nowe życie. Przez krótką chwilę Lotte nie była w stanie wykrztusić ani słowa, ale po chwili odzyskała głos.

– Naprawdę? Nie robisz sobie jaj? Chcesz zerwać z tym świństwem?

Anne wpatrywała się w siostrę.

– Tak, chcę tego. Naprawdę. Mam już dosyć. Problem w tym, że na miejsce w klinice państwowej czeka się minimum rok, a tyle czasu to ja nie mam.

– Co? Jesteś chora? Złapałaś coś?

– Nie, chodzi o inną rzecz, ale pieprzyć to. To nie jest takie istotne. Ważne jest to, że chcę się wyrwać z nałogu, i to zaraz, a nie za rok. To jednak sporo kosztuje, a ja nie mam forsy.

– Dobra, a o jakiej kwocie mówimy?

Lotte wiedziała o prywatnych klinikach wystarczająco dużo i właściwie nie potrzebowała odpowiedzi, ale musiała spytać.

– Siedemdziesiąt pięć tysięcy – odparła Anne ze wzrokiem wbitym w stół.

Lotte wiedziała, że to dla jej siostry trudna chwila. Niejednokrotnie przecież Anne próbowała udowodnić, jak dobrze sobie radzi bez jej pomocy.

– To naprawdę spora suma, Anne. Jeśli wpiszesz się na listę oczekujących, może zwolni się miejsce wcześniej, przed upływem roku. Na Boga, połowa ludzi na liście umiera z przedawkowania, nim nadejdzie ich kolej.

– Tak, wiem. Tak to właśnie bywa. Ludzie umierają.

Słowa Anne wbiły się w ciało Lotte niczym harpun. Tak, ludzie odchodzili z tego świata, bo nie mogli już dłużej czekać na pomoc. Niemniej Lotte nie była w stanie wyczarować siedemdziesięciu pięciu tysięcy koron. Nie miała takiej kwoty na koncie, nie miała też mieszkania, które mogłaby

dać pod zastaw. Oferta kredytu na osiemnaście procent, o której kiedyś słyszała, nie była już dostępna. Musiała załatwić te pieniądze w inny sposób.

– Świetnie, Anne, ale co otrzymasz w zamian?

– Miejsce od razu. Nawet od jutra, jeśli będę chciała. Detoks. Opiekę lekarską. Terapię. Seminaria. Sześć miesięcy z wszystkimi zabiegami, pełnym wyżywieniem i zakwaterowaniem. I ofertę na kolejne sześć miesięcy, gdyby się okazało, że nie jestem gotowa.

– Rany...

Lotte nie miała pojęcia, że jej siostra potrafi się tak wystawiać – mówiła ze swobodą wykształconego eksperta do spraw rodziny. Było to niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Lotte poczuła w sercu wielką radość i chciała objąć siostrę ze wszystkich sił, ale coś ją powstrzymywało. Narkoman, który potrzebował pieniędzy, był gotów zrobić dla nich wszystko, a siedemdziesiąt pięć tysięcy to niezła fortuna. Co więcej, statystyki skuteczności ośrodków rehabilitacyjnych stanowiły dość przykrą lekturę. Niewielu spośród tych, którzy kończyli terapię, udawało się wrócić do normalnego życia.

– Gdzie leży ten ośrodek, Anne?

– Nazywa się Vangseter i znajduje się w Jeunaker na północ od Hønefoss. Znam dwóch ludzi, którzy po pobycie tam zerwali z nałogiem. Mają tam o wiele lepsze wyniki niż ośrodki państwowe. Aha, ja ci zwrócę te pieniądze. Załatwię sobie jakąś pracę.

– Kto ci da pracę po tym, co przeszłaś? – spytała Lotte, choć wiedziała, że nie powinna okazywać tyle cynizmu.

– A więc w ogóle mi nie wierzysz, do cholery? – warknęła Anne, po czym pochyliła się nad stołem i skryła twarz w dłoniach.

Lotte przeprosiła i pogładziła ją po głowie, żeby siostra wiedziała, jak bardzo jej przykro. Anne wstała i obie uściśniły się serdecznie. Rozstały się kwadrans później, przy czym Anne obiecała, że zacznie zmniejszać dawki.

Cztery lata wcześniej Kvalsvik, Haugesund

Niedziela wieczór, 22 sierpnia 2010 roku

Fredric pchnął przyjaciela z taką siłą, że chłopak stracił równowagę i musiał złapać się skały. Barańce połyskiwały w blasku zachodzącego słońca, które po raz ostatni obejmowało cały świat przed zanurzeniem się w morzu.

– Ty to chyba masz źle w głowie. Wiesz, co właśnie zrobiłeś? Czy ty w ogóle zdajesz sobie z tego sprawę?

Mewa, która leciała w ich kierunku, skręciła w ostatniej chwili, gdy była tak blisko, że mogli ją pochwycić rękami. Wrzasnęła, uderzyła skrzydłami i wzbiła się wyżej, a potem przemknęła nad dachami chat na zboczu za punktem widokowym. Jonas uniósł głowę i powiódł za nią wzrokiem, a wtedy zauważył, że Fredric ma łzy w oczach.

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłeś, Jonas? Mieliliśmy doskonały plan, który się nie powiódł. Szkoda, jasne, ale to, co zrobiłeś, to już skrajna głupota! Wszyscy będą wiedzieć, że to my. Rozumiesz to, prawda?

– Nie, Fredric, nikt się nie połapie. Nie jesteśmy jedynymi. On miał ich wielu.

Fredric powoli obrócił głowę ku Jonasowi. Zaśmiał się nerwowo, niepewnie, a w jego oczach błysnęło niedowierzenie.

– Przestań żartować, Jonas. To wcale nie jest zabawne.

– Eliassen sam to powiedział, tak od niechcenia, jakby to było coś nieistotnego. Ta zboczona świnią ma jeszcze jedną parę w swoim klubie.

– Kurwa mać! – Fredric poderwał się, odwrócił w stronę morza i jeszcze głośniejszym głosem powtórzył przekleństwo.

Jonas siedział przez chwilę, aż nabrał odwagi, wstał i podszedł do przyjaciela. Objął go od tyłu ramionami.

– Nie mogłem pozwolić na to, żeby temu kutasowi uszło to na sucho. Wykorzystywał nas przez cały rok i odepchnął w chwili, kiedy mogliśmy osiągnąć to, na czym nam zależało.

Stali długo i wpatrywali się w Røvær, powoli zalewane wieczornymi cieniami. W oddali widzieli kontury wyspy Utsira, ostatniego kawałka Norwegii na bezkresnym morzu.

– Po tym, co zrobiłeś w hotelu, nikt nie będzie ci wierzył. Eliassen przedstawi cię jako kogoś szalonego, niebezpiecznego i nieobliczalnego.

– Nie.

– Nie? Zostawiłeś go w pokoju hotelowym w kałuży krwi, pochlastanego gdzie tylko się dało. To cud, że jeszcze tego nie zgłosił na policję, a ty nie gnijesz w więzieniu.

– Pomyśl trochę, Fredric. Nie zgłosił tego, zgadza się. Zastanów się więc, dlaczego tego nie zrobił. Odpowiedź nasuwa się sama. Gdyby opowiedział komuś o tym, co się stało, musiałby jednocześnie przyznać, że o szóstej rano w pokoju hotelowym był u niego siedemnastoletni chłopak. Najlepszą obroną dla Hermana Eliassena jest zaprzeczanie, że w ogóle cokolwiek się

wydarzyło.

Fredric pokręcił głową i kopnął kępę trawy wyrastającą między dwoma kamieniami.

– Wystarczy jedna taka afera, a Herman Eliassen może się pożegnać z karierą w Partii Centrum – rzekł. – Może się wypierać do woli, a i tak nic to nie da.

– Mylisz się. Nie dojdzie do niczego takiego. Chcę anonimowo przekazać tę historię do prasy. Dziennikarz może porozmawiać z tobą, jeśli będzie miał wątpliwości. Eliassen na pewno nie zdradzi naszych nazwisk, bo będzie się upierał, że nasze zeznania są fałszywe.

– Znalazłeś kogoś, kto o tym napisze?

Jonas uśmiechnął się po raz pierwszy i zacisnął mocniej dłonie na ramionach Fredrica. Niebo zmieniło kolor na stalowoszary.

– Nawiązałem kontakt z Viljarem Ravnem Gudmundssonem z „Haugesunds Avis”. Eliassen jest już martwy.

Redakcja „Haugesunds Avis”

Czwartek po południu, 16 października 2014 roku

Jonas...

Imię to przemykało w podświadomości Viljara od chwili, gdy otrzymał pierwszego maila. Minęło już kilka lat od dnia, w którym Jonas stanął przed drzwiami dziennikarza i wręczył mu brzemienne w skutki list, ale Viljar pamiętał nadal najdrobniejsze szczegóły spotkania. Pamiętał, w co chłopak był ubrany, pamiętał zapach świeżo skoszonej trawy, wściekły deszcz za oknem i ten wzrok pełen niepokoju.

Nie zapomniał niczego. Na siatkówce jego oczu przesuwały się niezwykle wyraźne obrazy, zupełnie jak w technologii HD. Nie mógł zapomnieć owego krótkiego, ale napiętego spotkania, które wywróciło jego życie do góry nogami.

W poniedziałek, gdy dostał pierwszego maila, Jonas natychmiast pojawił mu się przed oczami.

Czy to ma związek z tą starą sprawą? – pomyślał, ale natychmiast odepchnął skojarzenie jak najdalej od siebie. Nie chciał nad tym rozmyślać, nie sprawiało mu to żadnej przyjemności, ale musiał to sprawdzić. Istniało zaś tylko jedno miejsce, w którym mógł zacząć węszyć.

Dzień pracy dobiegł końca, ale Viljar nie miał jeszcze ochoty iść do domu.

Pragnął przejrzeć archiwa dotyczące tamtej sprawy, a na to był najlepszy czas, gdy w redakcji nie było już nikogo poza stróżami i dziennikarzami pracującymi w redakcji informacyjnej. Gdzieś brzęczało Radio 102. Viljar rzadko zmuszał się do słuchania programów tej stacji, ale akurat dzisiaj chciał być na bieżąco z tym, co ma do powiedzenia Indbjo. Chciał wiedzieć, czy Hans uznał za stosowne podzielić się ze słuchaczami informacją o Viljarze i jego związku z podwójnym morderstwem. O dziwo, jak dotąd do tego nie doszło. Hans Indbjo nie pisał ani słowa o mailach.

Gdyby rekiny prasowe z Akersgata zważały coś takiego, telefony z pewnością rozdzwoniłyby się natychmiast. W Oslo pojawiłyby się wielkie nagłówki. Owocem tak ekscytującej sprawy byłyby serie artykułów na pierwszych stronach gazet, a w nich relacje ze zdarzeń, komentarze, analizy, bicie piany i kolejne teorie spiskowe. Wszystko, co wywoływało przerażenie i panikę, było żyłą złota. W ten sposób podnoszono sprzedaż.

Viljar wypalił papierosa na parkingu i wszedł do windy. Idąc w stronę swego biurka, zastanawiał się, w jaki sposób powrócić do sprawy Jonasa tak, aby się przy tym nie poparzyć. Wiedział, że nie będzie to łatwe, ale nie mógł tego tak pozostawić. Nie mógł udawać, że nic się nie stało.

Po chwili znalazł się w sali redakcji, a wtedy przeżył spore zaskoczenie. Na jego fotelu siedział naczelny, z wyraźnym zdumieniem czytając coś z ekranu komputera. Podniósł się na widok Viljara, ale dziennikarz zdążył dostrzec, co Øveraas czytał. Zaskoczony sytuacją naczelny, zamiast przeprosić bądź się wytłumaczyć, z miejsca przeszedł do ofensywy:

– Cóż, Gudmundsson, tak to już teraz będzie. Wsadziłeś kij w gniazdo os, więc nie dziw się, że cię pilnuję.

Jego słowa wydawały się zarówno starannie dobrane, jak i nie na miejscu.

– No dobra, jasne – rzekł Viljar ze spokojem. – Ale czy istnieje jakiś konkretny powód, dla którego grzebiesz mi w komputerze?

W oczach Øveraasa błysnęła panika. Widać było, że jego umysł gorączkowo szuka jakiegoś genialnego pomysłu, który uratowałby go z tej bolesnej sytuacji, ale nic mu nie przyszło do głowy.

– No przecież już powiedziałem. Sprawdzam, czy zrobiłeś to, co do ciebie należy.

Wymówka była grubymi nićmi szyta, ale Viljar postanowił się nią zadowolić. Przesadnie uprzejmym gestem poprosił naczelnego, by ten wyniósł się z jego miejsca pracy. Øveraas wyszedł. Na niczym innym dziennikarzowi nie zależało.

Ochota, by natychmiast zabrać się do analizy sprawy Jonasa, znikła równie szybko, jak banda ćpunów z Bytunet na widok policji. Wyjął telefon i uświadomił sobie, że dzwoniła do niego Ranveig. Dotknął klawisza Oddzwoń, ale monotony sygnał połączenia po chwili został zastąpiony przez równie monotony komunikat poczty głosowej. Postanowił, że zadzwoni później, zebrał swoje rzeczy, włożył płaszcz i ruszył w stronę wyjścia, a potem cofnął się i upewnił, że komputer został wyłączony.

W drodze na parking wyłowił kluczyki do samochodu, ale zauważył, że w kieszeni nie ma telefonu. Zatrzymał się i przetrząsnął pozostałe kieszenie, ale doszedł do wniosku, że musiał zostawić komórkę na biurku. Chciał zawrócić po nią, ale wtedy jego uwagę przyciągnęła sytuacja na parkingu. Henrik Thomsen, dziennikarz zajmujący się kulturą, stał pochylony przy jakimś samochodzie i rozmawiał przez uchylone okno z kierowcą. Było zbyt daleko, by mieć pewność, kto nim jest, ale Viljar od razu rozpoznał auto. Był to stary rzech należący do Hansa Indbjo.

Kilka sekund później Thomsen okrążył samochód i usiadł na fotelu pasażera, choć Viljar nie miał pojęcia, w jaki sposób niezwykle wysoki dziennikarz wcisnął się do niewielkiej fiesty Indbjo.

Jasna cholera – pomyślał. Czyżby Flip i Flap knuli coś razem? Niewykluczone więc, że Indbjo wszedł w posiadanie informacji, o których nigdy nie powinien był nawet usłyszeć.

Komenda policji w Haugesund

Czwartek po południu, 16 października 2014 roku

Olav Scheldrup Hansen nie uważał się za szczególnie przewrażliwionego, ale nigdy dotąd nie spotkał tak zamkniętej i zajętej sobą grupy dochodzeniowej. Każdy jego krok spotykał się z małostkowymi zachowaniami bądź wręcz oporem. Nie miał wątpliwości, że uważano go za piąte koło u wozu. Za ciężar.

Od chwili jego przybycia do miasta upłynęła zaledwie doba. Przyjechał do Haugesund z mnóstwem dobrych intencji i otwartym umysłem, ale Lotte Skeisvoll uznała za stosowne odrzucić jego pomoc, a do tego najwyraźniej wciągnęła całą grupę do tej bezcelowej rozgrywki o władzę.

W głębi duszy Olav układał już plany odzyskania równowagi w prowadzeniu sprawy. Wyglądało na to, że cała grupa jest ślepo posłuszna

Skeisvoll, a więc musiał powoli, krok po kroku zyskać ich zaufanie. Musiał im pokazać i uświadomić, że jest oficerem śledczym Kripos, podczas gdy Lotte Skeisvoll nie wyściubiła nosa poza miejscową komendę.

Po trzecim mailu powstało ogromne zamieszanie. Nie było wątpliwości, że mieli maksimum dwanaście godzin, a może o wiele mniej, by zapobiec kolejnemu morderstwu. Lotte rozesłała swoje stadko we wszelkich możliwych kierunkach i kazała Olavowi przejrzeć archiwa w poszukiwaniu kierowców, którzy spowodowali wypadek w stanie nietrzeźwym, ale zostali uniewinnieni. Przyjechał z Oslo, by wspierać dochodzenie od strony taktycznej, a tymczasem przydzielono go do przeglądania starych dokumentów sądowych. Przecież czymś takim mógł się zająć dosłownie każdy. Olav przeczuwał, że Lotte w ten sposób publicznie zaznaczyła swą pozycję, i poprzysiągł sobie, że upokorzy ją przy następnej dogodnej okazji.

Szukanie zatrzymanych pijanych kierowców okazało się prostym zadaniem. Komenda dysponowała dobrymi wyszukiwarkami, a większość zatrzymań dotyczyła mężczyzn. O wiele trudniej było odnaleźć tych, którzy zostali uniewinnieni. Musiał w tym celu wywoływać po kolei dokument za dokumentem, wpisując osobno numer każdej sprawy, co trwało całe wieki.

Przejrzenie wszystkich wyroków sądowych do 2006 roku zabrało mu dwie godziny. Lista wynotowanych kobiet liczyła dwadzieścia nazwisk i Olav czuł się jak idiota. Wykonana przez niego praca nie miała żadnego sensu. Przecież na podstawie takiego zestawienia nie będą w stanie zapewnić bezpieczeństwa potencjalnej ofierze, bo nazwisk było po prostu zbyt wiele! Im dłużej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Lotte przydzieliła mu tę harówkę tylko po to, by trzymać go jak najdalej od właściwego śledztwa. Zirytowany i wzburzony, machnął na nią ręką i zamiast tego zaczął układać mapę dochodzeniową, na której pracowicie zaznaczył wszystkie szczegóły obu zabójstw. Listę z nazwiskami uniewinnionych kobiet wysłał mailem do Lotte.

Niech z nimi robi, co jej się żywnie podoba – pomyślał. Strata czasu i tyle. Szkoda tylko, że stawką tej zabawy jest ludzkie życie.

Risøy, Haugesund

Czwartek wieczór, 16 października 2014 roku

Ranveig chciała się wcześniej położyć, ale nie udało jej się zasnąć. Myśli, które kotłowały się w jej głowie, nie miały zamiaru ustąpić. Czuła, że w mailach wysłanych do Viljara kryło się coś jeszcze, co zostało przeoczone. Gdyby jej przeczucie się sprawdziło, policja mogłaby zacząć dochodzenie z innej strony. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Lotte Skeisvoll, ale nie miała na to wielkiej ochoty. Wciąż pamiętała awanturę po pierwszym mailu. Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby tylko Viljar odpowiadał na telefon. Przeleżała w łóżku jeszcze kwadrans, po czym uznała, że sen już nie nadejdzie. Westchnęła ciężko, opuściła nogi na podłogę i poczłapała do ciemnego salonu, gdzie podgrzała filiżankę herbaty w ekspresie Tassimo. Herbata właściwie powinna mieć działanie uspokajające i usypiające, ale Ranveig nigdy tego nie odczuła, choć próbowała wielokrotnie. Miała znów nadzieję na cud.

Ponownie wzięła do ręki książkę Unni Lindell i odnalazła opis pierwszego zabójstwa. Nie podobało jej się to, co czytała. Nie potrafiła pogodzić się z tym, że ludzie mogą być tak mściwi i przepełnieni złością.

Z drugiej strony nie rozumiała też tego, że ktoś ma ochotę na czytanie tak okropnych opisów czy oglądanie filmów, w których przemoc i śmierć były głównymi elementami. Nigdy nie pociągały jej takie klimaty, ale wiedziała, że z takimi przekonaniem jest żałośnie osamotniona wśród swoich przyjaciół. Większość znanych jej ludzi przepadała za krwią, gwałtami i spektakularnymi metodami tortur w książce czy na ekranie. Przepełnione okrucieństwem filmy i powieści pochłaniały większość ich wolnego czasu, ale Ranveig wiedziała, że żaden z nich nie byłby w stanie zdobyć się na taki czyn.

W tym tkwi paradoks – pomyślała dziennikarka.

Włączyła światło i odsunęła żaluzje. Na zewnątrz była ciemna noc, choć kilku spośród jej zabawowych sąsiadów najwyraźniej właśnie zakończyło beforeparty. Pokrzykując i śmiejąc się, pozamykali drzwi i ruszyli w stronę centrum, przypuszczalnie po to, by rozpocząć długą, wesołą noc w knajpkach na nabrzeżu. Jeden z nich pomachał do Ranveig, która odpowiedziała tym samym. Nie znała tego człowieka, ale ten uśmiechnął się do niej i krzyknął na wiwat. Sekundę później Ranveig zrozumiała

powody jego zachowania – stała przecież naga w panoramicznym oknie. Pospiesznie cofnęła się od okna i narzuciła na siebie biały szlafrok.

Usiadła na sofie, podkurczyła nogi i ujęła filiżankę z herbatą. Trzymała ją oburącz, tak jak należało pić herbatę. Obie dłonie powinny obejmować filiżankę, tak jak ptak otacza skrzydłami świeżo wyklute pisklę. Nie miała pojęcia, skąd jej to przyszło do głowy, ale nie było to szczególnie uciążliwe przyzwyczajenie i pozwalała mu żyć własnym życiem. Kilka minut później zasnęła w tej pozycji. Filiżanka spoczywała na kolanach, wciąż w dłoniach Ranveig.

Torvastad, Karmøy

Noc z czwartku na piątek, 17 października 2014 roku

Płomienie huczały i sięgały ku nocnemu niebu. Stary drewniany dom trzeszczał i jęczał, pożerany przez wściekły ogień. Strażacy krzyczeli i uwijali się wokół rozszalałego piekła, rozwijając sikawki i szukając miejsc do ich podłączenia. Jedna z belek lada chwila groziła zawaleniem, widać było też, że południowa ściana opiera się ciężko na kominie. Uratowanie domu nie wchodziło już w rachubę, a mimo to strażacy pracowali gorączkowo, jak gdyby czyjeś życie nadal było w niebezpieczeństwie. Za taśmami rozciągniętymi przez policję zgromadził się spory tłum gapiów – nic nie przyciągało żadnych sensacji ludzi bardziej od pożarów. W ciszy obecni przyglądali się z fascynacją nieszczęściu, które w najgorszych koszmarach mogło przytrafić się im samym, tragedii, która mogłaby pochłonąć wszystko, co mają. W tłumie gapiów znajdował się również zespół TV Haugaland, a fotograf z „Haugesunds Avis” przycisnął się jak najbliżej taśm, by zrobić lepsze zdjęcia.

Lotte Skeisvoll bez przerwy zerkąta na dom, jakby budynek miał się zawalić w każdej chwili. Nie miała tu nic do roboty i jej obecność na miejscu zdarzenia była pozbawiona sensu, ale mimo to stała jak w transie i wpatrywała się w szaleństwo płomieni.

– Nie musisz tu być, Lotte, mamy sytuację pod kontrolą. Dom był pusty, a zanim przybyliśmy, w środku była już ekipa straży pożarnej w specjalnych kombinezonach. André Ferkingstad nie mieszkał tu od czterech lat – oznajmił Knut Veldetun i położył dłoń na ramieniu Lotte. Kobieta z nieobecną miną kiwnęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca.

Dom budził w niej smutne wspomnienia. Nadal pamiętała ową ponurą

niedzielę w sierpniu cztery lata temu, kiedy to rodzina Ferkingstadów przeżyła tak wielką tragedię. Wydarzenie to przez długie tygodnie nie schodziło z pierwszych stron gazet w całym kraju.

Policjantka odwróciła się i ruszyła powoli przed siebie. W skroniach dudniło jej ze zmęczenia. Zatrzymała się przy właścicielu domu, ale podobnie jak cztery lata temu nie zdołała spojrzeć mu w oczy. W jego wzroku kryło się bowiem coś nieubłaganego, co zawsze przejmowało ją dreszczem.

– Przykro mi z powodu pożaru – powiedziała, kopiąc kawałek gruzu.

André Ferkingstad w pierwszej chwili nie odezwał się nawet słowem, jakby przebywał w wymiarze, z którego istnienia nikt inny nie zdawał sobie sprawy. Nagle ocknął się, ujął dłonie Lotte i się uśmiechnął.

– To nic takiego. Jak widać, nadszedł czas, by Bóg zamienił tę pełną grzechów norę w kupkę popiołu.

Lotte wyprostowała się, uwolniła dłonie i poszła do samochodu. Po drodze natknęła się na nocnego reportera z „Haugesunds Avis” oraz irytującego jak zwykle Hansa Indbjo, którzy próbowali ją zatrzymać, ale wyminęła ich bez słowa. Niech sami sobie radzą.

Otworzyła samochód pilotem, wsiadła do środka, ale uchyliła okno, żeby móc słyszeć to, co się działo na zewnątrz. Nie chciała spuszczać pożaru z oczu. Niespodziewanie poprzeczne belki płonącego domu zwały się jednocześnie i konstrukcja się zapadła, wzbijając tumany iskier.

Zaskoczona Lotte ujrzała, jak Ferkingstad unosi ręce nad głowę, jakby chciał bić brawo. Postanowiła sprawdzić, czy właściciel nie planuje jakiegoś oszustwa z ubezpieczeniem.

Gość sprawia wrażenie, jakby sam podpalił ten dom – pomyślała i wolno ruszyła samochodem po gruntowej drodze. W lusterku wstecznym po raz ostatni ujrzała dom Ferkingstadów i jego samego, jak wsiadał do starej toyoty corolli, zaparkowanej przy drodze.

Risøy, Haugesund

Noc z czwartku na piątek, 17 października 2014 roku

Ranveig zbudził powtarzający się rytmicznie, drżący odgłos. Otworzyła oczy i jej wzrok padł na leżący na ławie telefon, znowu wyciszony, ale nastawiony na wibracje. Dzwonił Øveraas. Nie miała pojęcia, czego mógł od niej chcieć o tak późnej godzinie, ale odebrała połączenie.

– Ranveig?

– Mmmm?

– Posłuchaj, mam nadzieję, że cię nie obudziłem, ale chciałbym, żebyś coś dla nas sprawdziła.

– Teraz? Wiesz, która jest godzina? – Ranveig odwróciła telefon, aby spojrzeć na cyfrowy zegarek po drugiej stronie. – Już prawie wpół do drugiej, Øveraas. Nie masz kogoś na dyżurze, kto mógłby się tym zająć?

– Znasz najszlachetniejsze prawo Murphy’ego, Ranveig. Wszystko, co może pójść źle, pójdzie źle, i to w najgorszym możliwym momencie. Thomsen jest w Stavanger na jakimś koncercie w tamtejszej hali. Nie pamiętam, kto miał grać, ale chyba nie byle kto, bo Thomsen nie mógł się doczekać. Stiansen ma urlop, a chłopaki z nocnego dyżuru razem z fotografem pojechali pół godziny temu do Torvastad, gdzie wybuchł pożar.

– No dobra. A więc co jest tak ważne, że nie może poczekać do rana? Przecież gazeta jest już w druku, prawda?

– Najważniejszy jest Internet, Ranveig, nie zapominaj o tym. Dostaliśmy z niezależnych od siebie źródeł dwa cynki, że Stein Vikshåland nie żyje. Policja nie chce tego potwierdzić, ale w wypadku celebrytów zawsze tak postępują. Informatorzy mówią, że znaleziono go w domu. Nie odpowiada na nasze telefony i nie odpisuje na wiadomości, co, jak sięgam pamięcią, nigdy mu się nie zdarzyło. Facet ma takie parcie na szkło, że numer do gazety ma ustawiony na szybkim wybieraniu.

Stein Vikshåland był przypuszczalnie największym krajowym celebrytą pochodzącym z Haugesund. Wydał dwie skandalizujące książki, które sprzedały się w nakładzie blisko stu tysięcy egzemplarzy, a między publikacjami zaciekle atakował norweskie elity kulturalne. Uwielbiał wywlekać czyjeś sekrety i prowokować, a jego zachowanie graniczyło z brakiem etyki. Z osoby praktycznie nieznaney w niezwykle krótkim czasie stał się bywalcem niemal wszystkich telewizyjnych debat. Powoływano się na niego w krajowych gazetach, czasopismach i kanałach TV. Vikshåland uczestniczył we wszelkich sferach życia celebrytów, choć był zniechęcony przez wszystkich, nie tylko przez najbardziej zagorzałych trolli internetowych, produkujących komentarze pod artykułami na stronach „VG”. Mimo to media wprost za nim przepadały. Wystarczyło wykorzystać wizerunek Steina Vikshålana w ten czy inny sposób, by natychmiast zwiększyć oglądalność programu czy liczbę sprzedanych egzemplarzy gazety.

Rewelacje naczelnego zaskoczyły Ranveig i dziennikarka musiała stoczyć

wewnętrzną walkę. Stein Vikshåland był playboyem, przy którym jego koledzy pisarze wydawali się wieść wręcz zakonne życie, ale jego śmierć to całkowite zaskoczenie. Dopiero co skończył czterdzieści lat! Ranveig musiała przyznać, że Øveraas nie przesadzał. Taka informacja nie mogła czekać do rana.

– Powiedziałeś, że to się stało u niego w domu, tak? Ale gdzie konkretnie? W tej klitce, w której pisze, w Tømmerdalen, czy w Zameczku „Se og Hør” na Salhusvegen?

Nazwa willi Vikshålanda powstała po tym, jak „Se og Hør”, popularny norweski tygodnik, zamieścił liczącą siedem stron relację z parapetówki u Steina – sprawozdanie to było najdłuższe w historii gazety.

– Serio uważasz się za dziennikarkę kulturalną? Przecież wszyscy wiedzą, że ten gość nigdy tam nie przebywał. Kupił tę willę tylko po to, żeby mieć się czym chwalić.

– Wiem o tym, Øveraas. Powiedziałeś jednak, że dostałeś cynk od informatorów, a oni mogą wiedzieć coś więcej niż my.

– Okej, ale gość na pewno zszedł w Tømmerdalen. Jeden z informatorów wymienił tę nazwę. Dałabyś radę podskoczyć tam i zadzwonić do mnie, jak się czegoś dowiesz?

Ranveig się zgodziła i ubrała się pospiesznie. Skoro nie doszła do żadnych logicznych wniosków w sprawie Viljara, równie dobrze mogła wyjść i popracować. Zarzuciła na ramię torbę z aparatem fotograficznym oraz teleobiektywem, znalazła klucze i skierowała się do wyjścia.

Tømmerdalen, Haugesund

Noc z czwartku na piątek, 17 października 2014 roku

Ranveig zaparkowała samochód między zardzewiałą toyotą corollą i nieco nowszym audi przy sklepiku Kiwi w Skåredalen. Plotki, gdy dotarły do mediów społecznościowych, niosły się jak dziki ogień po stepie i dziennikarka nie chciała utknąć wśród karetek, wozów innych ekip i tłumów ciekawskich gapiów, którzy „przypadkiem” znaleźli się w pobliżu.

Było ciemno. Ciężkie, ołowiane chmury ścigały się, by zająć najlepsze partie nieba nad miastem. Ranveig miała nadzieję, że jeszcze przez chwilę deszcz nie lunie. Nie miała ochoty na przeprowadzanie wywiadów w środku nocy w kompletnie przemoczonym ubraniu.

Gdy skręciła za róg, kierując się ku szkole, uświadomiła sobie, że coś się

nie zgadza. Widziała z tego miejsca dom Vikshålanda, oddalony zaledwie o dwieście metrów, ale nie było przy nim absolutnie nikogo. Żadnych karettek, żadnych dziennikarzy, żadnych gapiów. Westchnęła ciężko, uświadomiwszy sobie, że fatygowała się na darmo. Mimo to postanowiła podejść bliżej. Niewielki domek, który pisarz odziedziczył po rodzicach, wyglądał na opuszczony. W oknach było ciemno, a z zielonej skrzynki na listy wysypywała się korespondencja. Jeśli cynk był prawdziwy, do śmierci musiało dojść w Zameczku na Salhusvegen.

Ranveig wyjęła telefon i wybrała numer do Øveraasa.

– Øveraas, „Haugesunds Avis”.

– Tu Ranveig. Słuchaj, stoję przed domem na Tømmerdalen, ale nie ma tu żywej duszy. Takiej, która miałaby właśnie opuścić trupa, też nie – dodała kwaśno.

– Serio? Dziwne, bo na Salhusvegen też nie ma nikogo. Sprawdziłem to po rozmowie z tobą.

– Wygląda na to, że ktoś postanowił zrobić nas dzisiaj w konia.

Ranveig straciła cierpliwość. Miała za sobą męczący dzień, a teraz jeszcze to. Marzyła wyłącznie o tym, by wrócić do domu i wczłgać się pod kołdrę, najlepiej zanim jej sąsiad wróci z imprezy i urządzi afterparty.

– Posłuchaj, Ranveig – odezwał się Øveraas. – Myślę, że czas zbierać się do domu. Wygląda na to, że to była zmyłka. Przykro mi, ale...

Dziennikarka rozłączyła się i wsunęła telefon do torebki. Stary drewniany dom, pochodzący z początków lat siedemdziesiątych, górował nad nią niczym niemy świadek jej rozczarowania. Ranveig poczuła się samotna i opuszczona, choć następny budynek znajdował się w odległości pięćdziesięciu metrów, a od reszty cywilizowanego świata Tømmerdalen dzieliła ją jedynie kręta droga szutrowa biegnąca od szkoły i dalej. Przez ostatnich pięć – sześć lat w okolicy powstawały coraz to nowe place budów.

Szuter zgrzytał pod podeszwami jej butów, gdy odwróciła się od domu pisarza ekshibicjonisty i ruszyła w drogę powrotną. Pisząc o nim, nierzadko sama używała ostrych słów. W recenzji jego ostatniej powieści *Z hotelu Cæsar na Skippergata* nazwała go narcyzem i wyrachowanym oportunistą. Jej zdaniem książka była zaledwie luźnym zlepkiem relacji o kontaktach wymienionych z nazwiska ludzi kultury z przedstawicielami przestępczości zorganizowanej oraz o ich doświadczeniach z prostytutką, narkotykami i przyjmowaniem łapówek. Narrator powieści, chowając się za założeniem, iż jest to połączenie fikcji i rzeczywistości, łamał wszelkie normy etyczne obowiązujące pisarzy i wielokrotnie popełniał grzech konfabulacji. Nie

precyzował przy tym, które fragmenty zostały przez niego wymyślone, a które nie. Zdaniem Ranveig nie to było najgorsze w powieści – najbardziej przeszkadzała jej nachalność, z jaką Vikshåland na każdym kroku lansował siebie i swe wypaczone wartości.

Idąc, pokręciła gwałtownie głową, jakby chciała się otrząsnąć z fragmentów osobowości Vikshålanda, które oblażyły ją niczym wszy. Dziennikarka miała dobre serce i mało kto wywoływał u niej niechęć, ale ten człowiek budził jak najgorsze odczucia. Vikshåland, zachwycony sobą egoista, uosabiał bowiem zmiany w norweskim społeczeństwie, które coraz bardziej upodabniało się do niego.

Obejrzała się po raz ostatni w stronę domu, a wtedy to ujrzała. Nie tylko ujrzała, lecz także usłyszała. Za budynkiem błysnęło światło, a potem rozległ się niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek odgłos kamienia uderzającego o betonowy mur. Ranveig zatrzymała się i przykucnęła za krzakiem. Ktoś był za domem pisarza. Światło mogło pochodzić z miniaturowej latarki, a z tego, co wiedziała, w królestwie zwierząt istniał tylko jeden gatunek, który potrafił się posługiwać latarkami. Innymi słowy, nie było mowy o kocie czy zabłąkanej sarnie. Nie miała tylko pojęcia, czy nieznajomy zdawał sobie sprawę z jej obecności. Kilka sekund później znów błysnęło, tym razem dwukrotnie i jaśniej, co oznaczało, że właściciel latarki zbliżył się do południowego narożnika domu.

Ranveig tkwiła nieruchomo, ale jej serce biło gwałtownie, a umysłem zawładnął pierwotny lęk – ten sam instynkt, dzięki któremu człowiek w trakcie ewolucji zostawił inne gatunki w tyle, jeśli chodzi o trudną sztukę przeżycia. Dzięki reakcji *fight or flight* ludzie, którzy stanęli w obliczu niebezpieczeństwa, od tysięcy lat rzucali się do walki bądź do ucieczki. Ranveig jednakże nie miała ochoty ani na jedno, ani na drugie. Chciała się tylko przekonać, kto się skrada za budynkiem należącym do Vikshålanda. Istniało w sumie spore prawdopodobieństwo, że był to inny, nader ambitny dziennikarz – pozostałe media również mogły dostać cynk.

Chwilę później usłyszała brzęk szkła i jej przekonanie nagle wyparowało. Wiedziała o wielu dziennikarzach, którzy mieliby wielką ochotę wkraść się w życie prywatne celebrytów, ale żaden z nich nie zdobyłby się na włamanie. W głowie dziennikarki panował zamęt, gdy ujrzała światło ponownie, tym razem przez okienko piwnicy. Nieznajomy był już w środku. Ranveig ostrożnie wychynęła z kryjówki i podkrađła się w kierunku narożnika domu. Sunęła przygarbiona, najciszej jak mogła, tak jak żołnierze na filmach.

Przypadła do ściany budynku, odczekała kilka sekund i wyjrzała zza rogu. Wszelkie systemy alarmowe w jej ciele jednocześnie zawyły, gdy uświadomiła sobie, że patrzy prosto w oczy uśmiechniętego mężczyzny. Była przekonana, że intruz wlaźł do piwnicy, tymczasem jemu nawet nie przyszło to do głowy. Stał w odległości zaledwie metra od niej i czekał. Przerażona Ranveig otworzyła usta, by wrzasnąć ze wszystkich sił, ale przerwał jej silny, precyzyjny cios w głowę. Wszelkie zmysły w ułamku sekundy przestały działać, a ból dotarł do ośrodka nerwowego w mózgu. Ranveig straciła przytomność.

Dziennikarka otworzyła oczy jakieś pół godziny później i natychmiast uświadomiła sobie, jak wielkie głupstwo popełniła. Człowiek, który ją uderzył, zwabił ją w pułapkę. Cekał na nią przez cały czas.

Po co to zrobił? Kompletnie mu odbiło czy co?

Rozpoznała go natychmiast, gdy wyjrzała zza rogu, choć doznanie graniczyło z surrealistycznym. Nigdy by się nie spodziewała, że kiedyś go tu zobaczy. Gdyby nie zaskoczenie, które całkiem ją sparaliżowało, być może udałoby się jej uniknąć ciosu.

Ranveig znalazła się w pułapce.

Nie pozwolę, żeby mnie złamał! – pomyślała, a wtedy ujrzała, że jej głowa, dłonie i stopy są mocno przywiązane do belki, a ona nie jest w stanie nawet drgnąć. Jej prześladowca mógł z nią zrobić wszystko, co mu się żywnie podobało. Usta zakleił jej taśmą. Dziennikarka próbowała wrzasnąć, ale rozległ się jedynie stłumiony, niewyraźny skowyt. Na samą myśl o tym, co napastnikowi może przyjść do głowy, zrobiło jej się niedobrze.

Zdecydowanie, z jakim jeszcze kilka sekund temu chciała stawić mu opór, znikło, przegnane przez przerażenie i coraz większą panikę. Pragnęła obetrzeć łzy, lecz nie mogła poruszyć nawet mięśniem. Świat dookoła niej był niewyraźny i rozmazany, ale wkrótce dostrzegła dobrze sobie znaną postać, coraz wyraźniejszą, idącą ku niej. Już wiedział, że odzyskała przytomność. Uśmiechał się, ale w uśmiechu tym nie było ani cienia życzliwości.

Redakcja „Haugesunds Avis”

Piątek rano, 17 października 2014 roku

Poranna kawa i papieros były same w sobie motywacją, aby wyczołgać się

z łóżka i udać do pracy. Viljar cieszył się każdą sekundą codziennego seansu na parkingu przed siedzibą domu medialnego. Często docierał tu wcześniej niż zwykle, aby mieć absolutną pewność, że będzie tam sam, a rytuał wrósł tak mocno w jego osobowość, że czasami brakowało mu go w weekendy i podczas urlopów. Próbował go wówczas oczywiście zrekompensować odpowiednimi dawkami używek w domu, ale nie przynosiły one tego samego kojącego efektu. W głębi duszy Viljar wiedział, że należy do tego typu ludzi, którzy nigdy nie będą w stanie rzucić palenia. Kiwał głową na widok cierpiących na przewlekłe choroby płuc, wyposażonych w butle tlenowe i maski pacjentów, którzy kaszląc, wychodzili z garażu przed miejscowym szpitalem, gdzie zbierali się palacze. Rozumiał ich i wiedział, że jemu również pisany jest podobny los.

Jego myśli powróciły do tego, co zobaczył wczoraj. Chcąc się dowiedzieć, co Henrik Thomsen knuje z Hansem Indbjo, ruszył w ślad za nimi niczym zmęczony życiem detektyw z amerykańskiego serialu z lat osiemdziesiątych. Wiedział, że być może zawładnęła nim paranoja, ale coś się nie kleiło. Obaj, Thomsen i Indbjo, byli idiotami i z pewnością pasowali do siebie, ale z tego, co Viljar wiedział, nie istniała między nimi szczególna zażyłość.

Dziennikarz wszedł więc do samochodu i ruszył w ślad za nimi. Trzymał się w odpowiedniej odległości, ale jednocześnie na tyle blisko, by widzieć, co robią. Po przejechaniu przez most nad Karmsundet Indbjo zatrzymał się na stacji Shella na Avalsnes. Thomsen wygramolił się z auta i przez dłuższą chwilę rozmawiał z jasnowłosą dwudziestolatką, po czym pojechali dalej i zatrzymali się na Skåredalen, gdzie Thomsen znów wysiadł i wręczył komórkę jakiemuś nastolatkowi. Z takiej odległości Viljar nie widział żadnych szczegółów, ale dopowiedział sobie resztę kilka minut później, gdy przejechał obok nastolatka i ujrzał, że chłopak wkłada kartę SIM do smartfona.

Viljar śledził Thomsena i Indbjo jeszcze przez jakiś czas. Widział, jak minęli Torgbakken i skręcili w lewo w Strandgata, a tam Thomsen zniknął we wnętrzu drewnianego domu. Z tabliczki na drzwiach wynikało, że tu właśnie mieszka. Indbjo pojechał dalej. Viljar wszedł później do Fotballpuben, gdzie oglądano mecz, a w drodze powrotnej zajrzał przez szczelinę w żaluzjach do domu Thomsena. Dziennikarz oglądał telewizję.

Viljar zgasił drugiego papierosa na talerzyku, który przyniósł ze sobą, wylał resztę letniej kawy na asfalt i westchnął z zadowoleniem, czując znajome, odurzające działanie nikotyny we krwi. Wsunął porcję gumy antynikotynowej do ust, po czym udał się do środka wraz z pozostałymi

dziennikarzami. Codzienny poranny rozgardiasz w środku przycichł, gdy koledzy i koleżanki zauważyli znużonego palacza w mokrym od mżawki, rozwianym płaszczu. Najwidoczniej znali już zawartość dzisiejszego numeru gazety. Viljar w duchu uśmiechnął się do siebie – niewykluczone, iż pogarda i brak zaufania ze strony kolegów był dowodem największego uznania, na jakie mógł liczyć dziennikarz w świecie współczesnych mediów.

Viljar zasiadł za swoim biurkiem. Upewnił się, że nikt nie uruchamiał jego komputera, i odnalazł komórkę, którą zapomniał zabrać poprzedniego dnia. Siedem nieodebranych połączeń – pięć od Ranveig po południu i wieczorem oraz dwa późnym wieczorem od Øveraasa.

Ciekawe, czego szef chciał ode mnie o północy – pomyślał Viljar.

Słyszał już, że redakcja zbiera się na poranne kolegium. Viljar przeciągnął się, zdjął płaszcz i postanowił, że z uśmiechem na ustach stawi współpracownikom czoło. Mimo wszystko był autorem materiału, który poszedł na pierwszą stronę, i choć przez chwilę mógł się powygrzewać w blasku chwały. Minął rok i jeden dzień od chwili, gdy wydarzyło się to po raz ostatni.

Gwar i rozmowy znów ucichły, gdy zarejestrowano jego obecność, ale tym razem ciszę przerwał sam Johan Øveraas. Naczelny z przesadnie przyjaznym uśmiechem wygłosił pochwałę, na którą Viljar na dobrą sprawę zasługiwał.

– Spójrzcie: oto bohater dnia we własnej osobie. Cała Norwegia klika po naszych stronach, serwery ledwie to wytrzymują, a „VG”, „Dagbladet”, TV 2 i NRK przy swoich artykułach zamieściły linki do twojego materiału. Udało się przyciągnąć sporą uwagę.

Øveraas kołysał się na boki niczym trącony kręgiel, a Viljar miał wrażenie, że wielu z obecnych przypuszczalnie nie zarejestrowało pochwały. W chwilach ekscytacji redaktor naczelny zachowywał się tak komicznie, że mało kto zwracał uwagę na jego słowa.

Naraz Viljar zauważył, że miejsce zajmowane przez Ranveig jest puste, a dziennikarka zazwyczaj należała do tych, którzy zjawiali się w pracy najwcześniej. Bez słowa wskazał jej krzesło, a naczelny zmarszczył lekko brwi i zamrugął, jakby coś dostało mu się do oka. Odkaslnął raz i drugi, ale Viljar nie miał cierpliwości do teatralnych zachowań przełożonego.

– Johan, co z Ranveig? Nie powinna być dziś w pracy?

Naczelny pokiwał głową.

– Taaa – odparł niepewnie. – No, powinna.

– Ale?

Johan Øveraas westchnął z rezygnacją i wyjaśnił:

– Może zasnęła? Musiała zająć się pewną sprawą późno w nocy i pewnie nie zdążyła się wyspać.

– Zasnęła? Czy Ranveig kiedykolwiek zasnęła, odkąd zaczęła tu pracować? Co robiła w nocy?

– Miała się zająć śmiercią Steina Vikshålanda.

Wszyscy obecni natychmiast odwrócili głowy w stronę redaktora naczelnego, wstrząśnięci jego słowami. Øveraas zrozumiał, że palnął głupstwo i uniósł obie dłonie.

– Przykro mi, panie i panowie. Wiadomość okazała się wyssana z palca. Vikshåland żyje i ma się świetnie. Niestety, jak zapewne powie wielu z was. Redaktorzy dyżurni dostali dziś w nocy dwie informacje telefoniczne o tym, że znaleziono Vikshålanda martwego w jego domu. Ranveig pojechała, żeby to sprawdzić, i przekonała się, że mamy do czynienia z oszustwem. Zadzwoiła do mnie z Tømmerdalen po północy z informacją, że wokół domu Vikshålanda nie ma ani śladu zamieszania. W Salhusvegen było podobnie.

Viljar poczuł, że po plecach spływa mu zimny dreszcz. Miał wrażenie, że coś jest bardzo nie w porządku.

– Dlaczego Ranveig? – zadał kolejne pytanie. – Przecież ona nie zajmuje się wiadomościami bieżącymi. Co więcej, nie miała wczoraj dyżuru!

Widział, że Johan Øveraas zgarbił się nieco, coraz bardziej poirytowany. Szef nie znosił, gdy ktoś krytykował jego postępowanie.

– Wiesz co? To akurat jest moja decyzja i moja odpowiedzialność! Nie dość, że cholerni dyżurni zajmowali się inną sprawą, to jeszcze nie można było się do ciebie dodzwonić, a Henrik Thomsen był na jakimś koncercie w Stavanger. Nie miałem nikogo do dyspozycji, Gudmundsson. Wystarczy ci taka odpowiedź?

Viljar chciał jeszcze coś dodać, ale się rozmyślił, wstał i skierował się do wyjścia.

– A tak w ogóle to dokąd się wybierasz, do cholery? – zawołał Johan Øveraas za Viljarem. Dziennikarz zatrzymał się, odwrócił w stronę naczelnego i oznajmił dobitnie:

– Mogę ci zagwarantować jedno, Johan. Ranveig nie zasnęła. A skoro jej tu nie ma, przyszło mi do głowy, że należy jej poszukać. Bo gdyby zachorowała, na pewno dałaby nam znać.

Johan otworzył usta, ale zrezygnował i machnął dłonią, czym usprawiedliwił pretensje Viljara i jednocześnie wyprawił go w teren. Johan

Øveraas potrafił zachować się jak człowiek – pod warunkiem że tego chciał.

Haugesund

Piątek rano, 17 października 2014 roku

Viljar był przekonany, że sprawa jest mocno podejrzana. Øveraas nie kontaktował się z Henrikiem Thomsenem, ponieważ sądził, że Thomsen przebywa w Stavanger. Mówiąc o tym, pokazał członkom redakcji strony poświęcone kulturze, na których znajdowała się relacja z wczorajszego koncertu. Wszystko wskazywało jednak na to, że Thomsen napisał ją w domu.

Dziennikarz nie był więc w ogóle zaskoczony, gdy kilka minut po wyjściu z redakcji przekonał się, że na miejscu parkingowym przed domem Ranveig nie ma jej samochodu. Zadzwoił do drzwi, ale zgodnie z jego oczekiwaniami nikt mu nie otworzył. Spróbował po raz czwarty tego ranka skontaktować się z nią przez telefon, lecz nadal bez rezultatu. Z krótkiej rozmowy, którą odbyli wczoraj, wynikało, że do jutra ma być w domu sama, ponieważ jej mąż i córka przebywali u teściów w Grinde.

Viljar skorzystał z aplikacji 1881^[4] i znalazł numer komórki jej męża. Nie chciał do niego dzwonić, ale wiedział, że musi. Ranveig mogło przecież przyjść do głowy, by po nieudanej interwencji w środku nocy pojechać do Grinde, choć było to mało prawdopodobne.

Kiedy po drugiej stronie usłyszał wreszcie zaspany głos Rolfa, postanowił udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Cześć, Rolf. Obudziłem cię? Słuchaj, Ranveig ma chyba wyciszoną komórkę. Możesz ją obudzić? Mam kilka pytań.

Niewinne słowa obudziły w nim potworne wyrzuty sumienia, ale nie miał najmniejszej ochoty pocieszać wystraszonego, zatroskanego małżonka.

– Eee... Posłuchaj, Ranveig jest w pracy, wiesz? Zatrzymaliśmy się w Grinde i nie widziałem się z nią od wczoraj. Zadzwoń może do redakcji.

– Dobra, przepraszam, że zawracałem ci głowę.

Viljar udawał, że nic się nie stało, ale jego niepokój jeszcze bardziej przybrał na sile. Ranveig znikła i nikt nie miał pojęcia, co się z nią stało – ani koledzy z pracy, ani rodzina. Viljar uruchomił samochód, zawrócił i skierował się na północny wschód, ku Tømmerdalen. W drodze zadzwonił do Øveraasa, żeby sprawdzić, czy Ranveig przysłała do redakcji, ale nadal jej nie było.

Powietrze było ciepłe i wilgotne, gdy kilka minut później wjechał na drogę szutrową prowadzącą do szkoły Skåredalen na granicy Tømmerdalen. Zatrzymał samochód na parkingu przed budynkiem szkoły i szybko ustalił, że nie ma tam auta Ranveig. Postanowił więc rozejrzeć się wokół domu Steina Vikshålanda.

Stary budynek, mroczny i cichy, górował nad nim, kiedy dziennikarz nacisnął dzwonek. Viljar słyszał, jak odgłos niesie się po pustym korytarzu, nie wywołując żadnej reakcji. W domu nie było żywego ducha. Cisza i spokój. Viljar przyłożył ucho do drzwi, ale nadal nic nie było słychać. Dom najwyraźniej stał pusty od wielu tygodni. Listonosz przypuszczalnie zarzucił już próby wepchnięcia kolejnych przesyłek do skrzynki, z której wysypywała się korespondencja, i układał zaprenumerowane czasopisma na niej. Najstarsze z nich liczyło ponad tydzień. Viljar znów odwrócił się w stronę domu.

Byłaś tu w nocy, Ranveig. Ale co się z tobą stało?

Pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi. Dziennikarz ruszył w stronę samochodu, a po drodze po raz piąty wybrał numer koleżanki. I to właśnie wtedy, na szutrowej drodze prowadzącej do domu Vikshålanda, czas się zatrzymał.

Od chwili, gdy usłyszał dźwięk, do momentu, gdy zrozumiał, co to tak naprawdę oznacza, minęła niecała sekunda, ale dla Viljara trwało to dziesięć razy dłużej. Wszystko rozgrywało się w zwolnionym tempie. Dziennikarz zatrzymał się i odwrócił jednym płynnym ruchem, i w kilku długich susach znalazł się w miejscu, z którego dobiegał odgłos. Znał dzwonek Ranveig równie dobrze jak własny. *Angie* Rolling Stonesów nie dało się pomylić z niczym.

Aparat leżał w trawie przy rogu domu. Viljar podniósł go i w tej samej chwili dotknął czerwonego przycisku na własnym telefonie. *Angie* urwała się w połowie refrenu. Dziennikarz się rozejrzył. Nie było wątpliwości, że Ranveig przytrafiło się coś złego i że zdarzyło się to dokładnie tutaj.

Spojrzał na komórkę. Wiele osób próbowało się dziś z nią skontaktować: Johan Øveraas, Rolf, jakiś zablokowany numer, a dziesięć minut temu Øystein Vindheim. Viljar wyciszył telefon i wsunął go do kieszeni.

Ruszył wzdłuż tylnej ściany budynku, co chwila zatrzymując się i nasłuchując. Przez cały czas wydawało mu się, że słyszy jakieś odgłosy dochodzące z wnętrza domu. Skądś niósł się nieprzyjemny jęk skargi i minęła chwila, nim Viljar uświadomił sobie, że to bezlistne gałęzie brzozy trą o szybę starego okna. Z obory niedaleko stąd dobiegało muczenie

krowy. Viljar zrobił jeszcze kilka kroków i odkrył, że ktoś rozbił okienko piwniczne, ale otwór był zbyt mały, żeby człowiek zdołał się przez niego precyzyjnie przesuwać. Dziennikarz szedł dalej, aż dotarł do tarasu. Mógł teraz zawrócić lub wejść na taras i kontynuować poszukiwania. Zdecydował się na to drugie.

Ze sporym wysiłkiem zdołał wspiąć się na balustradę i zeskoczyć po drugiej stronie. Zależało mu na tym, by wylądować miękko i nie zrobić przy tym hałasu. Przecież w środku mógł być ktoś, kto źle reagował na pojawienie się intruza.

Viljar podniósł głowę i zerknął do środka przez podwójne panoramiczne okno. W pierwszej chwili jego umysł nie zdołał pojąć tego, co ukazało się oczom. Viljar patrzył bowiem na pięknego białego anioła, który odwzajemniał jego spojrzenie.

Coś jest nie tak – pomyślał, drapiąc się po głowie. Chyba ulegam halucynacjom.

Zacisnął powieki i rozwarł je ponownie, a wtedy poczuł się, jakby ktoś uderzył go młotem między oczy. Na środku pokoju, w odległości zaledwie trzech metrów od niego, kołysała się Ranveig, ubrana w białą suknię. Jedyne, co różniło ją od postaci z szopki betlejemskiej, było to, że nie unosiła się w powietrzu dzięki swym skrzydłom. Na jej szyi zaciskała się zwisająca z belki lina.

Cztery lata wcześniej

Restauracja Samson, promenada Haugesund

Wtorek po południu, 24 sierpnia 2010 roku

Nie licząc wysokiego, chudego kelnera, który uwijał się między stołami i wycierał blaty, w ogródku restauracji Samson siedziała jedynie para w średnim wieku, zaszyta gdzieś na samym końcu. Małżonkowie palili papierosy i pili piwo, całkowicie pochłonięci rozmową. Niedaleko wejścia przycumował właśnie statek linii Flaggruten i po brukowanym nabrzeżu rozlał się tłum pasażerów.

Jonas odgarnął rozjaśnioną od słońca grzywkę i spoglądał na mijających go ludzi. Czuł się tu nagi i bezbronny.

Viljar Ravn Gudmundsson nadszedł swobodnym, beztroskim krokiem dziesięć minut po umówionej godzinie i usiadł obok niego. Był przeraźliwie chudy i miał długie, rzadkie włosy, przez co łatwo byłoby go pomylić z jakimś miejskim wykolejeńcem.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, będę nagrywać naszą rozmowę.

Jonasowi nie spodobało się to zbytnio, ale kiwnął głową. Z trudem namówił Viljara, by ten samodzielnie zrobił zdjęcia do materiału, ponieważ nie życzył sobie, aby ktokolwiek poza dziennikarzem dowiedział się, kto stoi za sprawą. Viljar niechętnie przystał na jego warunki.

– Jesteś sam? Podobno miało was być dwóch?

Jonas poczuł narastające napięcie. Podczas rozmowy telefonicznej Gudmundsson wydawał się tryskać entuzjazmem, ale teraz zachowywał się niczym rzucający oskarżenia prokurator.

– Fredric będzie za pół godziny.

Viljar zwinął papierosa, zapalił go i wsunął paczkę z tytoniem do kieszeni dżinsowej kurtki.

Ten facet robi skręty? Na Boga, kto to jest? Niedobitek z lat siedemdziesiątych czy co?

Gudmundsson wypuścił przez nos kłąb dymu, papieros drżał lekko w kąciку ust. Dziennikarz zaciągnął się – rozżarzony koniec skręta ożył – i uśmiechnął się do chłopaka, pozbywając się resztek sceptycyzmu.

– Zastanawiam się, czy dobrze cię zrozumiałem. Utrzymujesz, że minister transportu płaci młodszym członkom partii za usługi seksualne?

– Nie, nie mówimy tu o seksie na sprzedaż. On przymila się do nas, młodych chłopaków, i obiecuje karierę w partii, jeśli pozwolimy mu na większą intymność. Ale w tej propozycji kryje się groźba. Jeśli nie zechcesz stać się jego „przyjacielem”, wylatujesz na zbity pysk.

– W jakim wieku są ci chłopcy?

– Powiedzmy, że tylko większość z nich ukończyła już osiemnasty rok życia.

Viljar Ravn Gudmundsson zacisnął powieki niczym nurek, który po raz pierwszy w życiu ma pogrążyć się w głębinach. Papieros groził wypadnięciem z ust.

– Większość ma osiemnaście lat, powiadasz. Czyli nie wszyscy, tak? Herman Eliassen uprawiał seks z nieletnimi chłopakami?

– Tak. Wielokrotnie.

– Do spotkań między Eliassenem i tymi chłopakami dochodziło na zebraniach dla nowych członków Partii Centrum, dobrze cię rozumiem?

Jonas nabrał tchu. Czuł, że nadchodzi moment, gdy przyzna się, że sam został wykorzystany w ten sposób przez Eliassena.

– Tak, niestety. Jedną z historii usłyszałem od członka tej grupy. To, co mi opowiedział, zgadza się mniej więcej z tym, czego sam doświadczyłem.

– Czyli jesteś jednym z tych, których wykorzystywał?

– Tak. Wielokrotnie przez cały rok. Aż do tego lata sądziłem, że oprócz mnie nie ma nikogo innego. Że w grę wchodzi uczucia.

– Rozumiesz, że twoje zeznania mogą zostać uznane za próbę zemsty? – spytał napastliwie dziennikarz. – Za chęć odegrania się za to, że cię rzucił.

– A czy to będzie miało jakiegokolwiek znaczenie? – wycedził Jonas przez zaciśnięte zęby. – Eliassen świadomie wykorzystał seksualnie mnie i wielu innych młodych ludzi. To niedopuszczalne, żeby człowiek obdarzony społecznym zaufaniem dopuszczał się takich czynów.

Jonas przeciągnął palcem wskazującym po gardle. Viljar złapał dyktafon i go wyłączył.

– Co ty, do cholery, wygadujesz? Przeprowadzam z tobą wywiad, a nie siedzę na rozprawie sądowej – oznajmił i odpalił od skrzyta następnego papierosa. Spojrzał przy tym na Jonasa z przebiegłym uśmiechem. – Wiesz, co ja teraz robię? Próbuję uratować twój tyłek. Muszę ci zadać serię podchwytliwych pytań, bo w przeciwnym razie ruszy za tobą cały tłum przygłupów z norweskiej prasy, domagając się kolejnych odpowiedzi. Poza tym te pytania są konieczne. Trzeba na nie odpowiedzieć, zanim się zaatakują jednego z najważniejszych polityków w kraju.

Viljar zaciągnął się mocno papierosem, a Jonas z zaskoczeniem skonstatował, że spomiędzy ust dziennikarza wypłynęła kilka sekund później jedynie cieniutka smużka dymu.

– Nie chcemy, żeby inni dziennikarze i przydupasy Eliassena szukali cię w młodzieżówce partii. Postępujemy tak zawsze, żeby chronić informatora, a choć nie jest to do końca etyczne, nie będę się wyłamywał, bo chcę cię obronić. Rozumiesz?

Jonas z rezygnacją pokiwał głową. Na następne pytania Viljara odpowiadał już najlepiej jak umiał, a potem pozował do serii zdjęć pod światło, którymi posługiwano się w prasie, kiedy należało zachować w tajemnicy tożsamość rozmówcy. Na zdjęciach widać było tylko ciemną sylwetkę młodego mężczyzny, który siedzi przygarbiony i spogląda na wody kanału.

Tømmerdalen, Haugesund

Piątek po południu, 17 października 2014 roku

Alfred Isvik, najbliższy sąsiad Steina Vikshålanda w Tømmerdalen, był właścicielem niewielkiego gospodarstwa. Właśnie wsiadał do traktora, gdy rozległy się pierwsze krzyki. Natychmiast wyskoczył z maszyny. Wrzaski dobiegające z domu pisarza nie ustawały, a z sąsiednich domostw nadbiegali już inni ludzie. Źródłem hałasu był jakiś człowiek, który stał na tarasie domu Vikshålanda, wrzeszczał, kopał i walił w okna salonu z taką zajadłością, że odgłosy niosły się po całej dolinie. Rozdzierające serce wrzaski zdradzały, że mężczyzna całkiem stracił panowanie nad sobą.

Alfred wraz z drugim sąsiadem przedostali się przez ogrodzenie, aby pomóc nieszczęśnikowi, lecz przekonali się szybko, że faceta ogarnęło szaleństwo, jakiego obaj nie widzieli na oczy. Z największym trudem zdołali oderwać go od szyb, na których pojawiły się już zauważalne pęknięcia. Nieznajomy wrzeszczał, gryzł i drapał. Był chudy i niewysoki, ale przerażenie uczyniło go nieludzko silnym. Po chwili Alfred zdołał zablokować dłonie intruza tak, by ten nie był w stanie zrobić sobie krzywdy, a sąsiad nadal próbował unieruchomić jego nogi. Wspólnymi siłami udało im się wreszcie go unieszkodliwić, a histeryczny wrzask przeszedł w zwykły szloch.

Alfred puścił mężczyznę i poprosił któregoś z sąsiadów, by go zastąpił. Nigdy dotąd nie widział człowieka w tak skrajnej rozpacz. Podrapał się

po głowie i popatrzył na obezwładnionego nieszczęśnika. Mężczyzna leżał na tarasie, szlochał i wciąż powtarzał to samo słowo:

– Ranveig...

Alfred spojrział w tamtym kierunku i wtedy ją dostrzegł.

– Kurwa mać!

Inni sąsiedzi, zaalarmowani jego okrzykiem, również podnieśli głowy. Alfred cofnął się i nagle poczuł, jak zawartość jego żołądka wzbiera bez ostrzeżenia, a potem wymiociny rozbryzgnęły się na tarasie. Przypominająca anioła kobieta, która kołysała się na sznurze w salonie, stanowiła groteskowy widok. Przekrwione oczy, świadectwa śmierci pełnej bólu i przerażenia, wpatrywały się prosto w niego i przebijały jego duszę niczym pociski. Twarz powlokła już bladość, a język nabrzmiął. Wszystkie szczegóły mówiły o tym, że kobietę spotkał straszny koniec, ale najgorsza była ta biel. Biała suknia, białe buty, biały pasek, biała opaska we włosach, biały lakier do paznokci...

Gdy przed domem Steina Vikshålanda zatrzymała się pierwsza karetka, Alfred i Viljar siedzieli obok siebie. Dziennikarz trzymał papierosa w drżącej dłoni i zaciągał się co chwila.

Tømmerdalen, Haugesund

Piątek po południu, 17 października 2014 roku

Widok Ranveig sprawił, że świat przed oczami Viljara zalała ciemność. Dziennikarz nie pamiętał, co się działo do chwili, gdy ocknął się w tłumie nieznanym sobie ludzi. Z miejsca, w którym leżał, nadal widział Ranveig i zrozumiał, że nie jest w stanie nic zrobić, by jej pomóc. Nie znalazł się w złym śnie, z którego miał się niebawem obudzić. Nadal tkwił w rzeczywistości, pozbawionej pozorów, nieubłaganej i nieodwracalnej. Nie było pigułek, które mogłyby zmienić ten świat. Nie było sposobu, by odwrócić to, co się stało. Nie było sposobu, by okropny widok znikł na zawsze. Mrok rozlewał się powoli w ciele Viljara i wnikał we wszystkie nerwy, przesłaniał wszelkie komórki. Bezsilność i rezygnacja zdobywały nad nim władzę.

Czy to musi tak boleć?

Miał wrażenie, że jego ciało toczy zaraza. Atakowały go mdłości, bóle, zawroty głowy...

Zapalił kolejnego papierosa. Apatycznie przyglądał się ratownikom

z załogi karetki, którzy zbliżyli się, mówili do niego, potrząsali nim. Odpowiadał obojętnie. Nie zależało mu, by komukolwiek pomóc. Nic już nie miało znaczenia. Przez niego niewinny człowiek stracił życie. Niespodziewanie zrozumiał symbolikę – to on stał się tu aniołem śmierci. Nagle uświadomił sobie, że powinien trzymać się z dala od innych ludzi. Powinien ich chronić przed sobą.

Viljar trwał w takim stanie do momentu, gdy ujrzał znajomą twarz, a potem poczuł zdecydowane szarpnięcie za ramiona.

– Cholera, Viljar! Musisz się obudzić!

Dziennikarz podjął pierwszą próbę wyrwania się z transu. Zamrugał i spojrzał pytająco na Lotte Skeisvoll, która stała nad nim. Za nią dostrzegł ratowników medycznych rozkładających nosze.

– Pobudka, Viljar! Nie mamy teraz czasu na to, żebyś bawił się w warzywko. Jeśli się nie ockniesz, zaraz zawlekę cię do szpitala. Opowiadaj. Co tu się działo?

Viljar złapał Lotte za rękę i przycisnął ją z całej siły do siebie, a potem skinął głową. Ciemnobrązowe zdecydowane oczy Lotte Skeisvoll błagały go, by się ocknął.

Tømmerdalen, Haugesund

Piątek po południu, 17 października 2014 roku

Ból głowy groził rozsądzeniem czaszki. Lotte wiedziała, że jest zmęczona, a do tego czuła się zniechęconą, wściekłą, przerażoną i sfrustrowaną. Była w stanie, do którego pasował każdy z tych przymiotników, a dzień przeistoczył się w prawdziwe piekło policyjnego śledczego. Śmiertelna powaga niczym ołowiana chmura zawisała nad miejscem zdarzenia na Tømmerdalen i Lotte z trudem znalazła w sobie motywację do działania. Wykrzesła z siebie resztkę sił, by móc spojrzeć w oczy każdemu z członków zespołu i rozdzielić istotne zadania. „Ucz się od deszczu, gdyż zawsze może jeszcze spaść kolejna kropla” – śpiewał Ole Paus w jednej z piosenek. Lotte musiała odnaleźć ową kroplę w każdym ze swoich ludzi.

Miała wrażenie, że właśnie to zdarzenie uświadomiło jej podwładnym, że to wszystko dzieje się naprawdę. Przypuszczalnie dopiero teraz zrozumieli, że poszukiwany przez nich człowiek nie ma za grosz poczucia sprawiedliwości, choć w mailach pisze coś całkowicie innego. Być może przyczyną było też to, że śledczy na własne oczy ujrzeli, jak bardzo

nieprzewidywalny był morderca w doborze swoich ofiar. Najprawdopodobniej jednak największe wrażenie na wszystkich zrobił fakt, że nie patrzyli na ofiarę zbrodni w afekcie. Przesłanec zadał sobie trud, by urządzić inscenizację i przygotować dla nich ścieżkę zwątpienia i przerażenia. Nadszedł moment zwrotny śledztwa, kiedy to zabójca otwarcie rzucił im rękawicę.

Gdy Lotte Skeisvoll ujrzała Ranveig, wiszącą niczym eksponat na makabrycznej wystawie lalek, uświadomiła sobie, że w jej życiu rozpoczął się nowy etap. Wiedziała, że widok ten nigdy jej nie opuści. Ranveig wisiała nieruchomo, z głową jakby w pokorze opuszczoną ku ziemi, a biały strój sprawiał, że wydawała się czysta i niewinna. Morderca zadbał o wszelkie szczegóły, a biel podkreśliła dramaturgię. Był to świadomy wybór, który wyraźnie pokazywał, na czym zależało zabójcy. Chciał ich sprowokować. Chciał zademonstrować własną siłę. Zdawał się mówić: „Skoro jeszcze się nie przebudziliście, zróbcie to teraz”. Lotte wykrzykiwała rozkaz za rozkazem. Nie chciała zapomnieć o żadnej procedurze ani przeoczyć żadnego szczegółu, a każdy ślad pozostawiony przez sprawcę miał znaczenie. To nie lenistwo czy niedbalstwo mordercy sprawiły, że poprzednie miejsca zbrodni roily się od pozostawionych przez niego śladów. To były wskazówki.

On nie robi żadnego nieprzemyślanego kroku – pomyślała Lotte.

To, że z początku uznano go za amatora, zapewniło mu wspaniałą kamuflaż i dużo swobody, ponieważ policja nie potraktowała go z należytą powagą, mimo że dokonał dwóch zabójstw. Nadszedł czas na zmianę strategii.

Lotte miała przed sobą Viljara Gudmundssona, który również zaczynał dostrzegać rozmiary gry, w którą wkręcił ich morderca. O ile, rzecz jasna, ktoś byłby gotów potraktować poważnie choć część papki, którą Viljar napisał do dzisiejszego wydania „Haugesunds Avis”. Norweska prasa kryminalna zareagowała z entuzjazmem na artykuł o tajemniczych mailach od mordercy, a tabloidy natychmiast ochrzciły go Katem. Dziennikarze kryminalni jeden po drugim opuszczali duszne sale rozpraw i porzucali swe żmudne śledztwa, aby udać się najkrótszą możliwą drogą do Haugesund. Do południa liczba dziennikarzy w Mieście Śledzi miała się zwiększyć pięciokrotnie, a potem ci wszyscy ludzie zaczną dzwonić do niej...

Policjantka potrząsnęła kilkakrotnie Viljarem i odniosła wrażenie, że Islandczyk powoli dochodzi do siebie. W jego oczach pojawiło się coś na kształt zdecydowania.

Doskonale, Viljar, pora, żebyś się pozbierał – pomyślała.

Po kilku minutach udało jej się doprowadzić do tego, że Viljar zaczął mówić. Opowiedział jej o wszystkim, co się zdarzyło, i Lotte zrozumiała, że Ranveig pojechała do Tømmerdalen wyłącznie dlatego, że gazeta otrzymała nocne cynki od informatorów.

Ale skąd informator miałby wiedzieć, że wyślą akurat Ranveig?

Lotte rozprostowała zeszywniałe nogi i stwierdziła, że ból głowy nasilił się jeszcze bardziej. Potarła czoło dłonią. Za jej plecami i taśmami rozciągniętymi przez policję zgromadziło się już pełno ludzi, a właściciel domu nadal nie raczył się pokazać. Jednemu z ludzi Lotte udało się skontaktować z nim za pośrednictwem agenta. Połączenie z Rygą okazało się kiepskiej jakości, ale pisarz zdołał przekazać, że wyjechał tydzień wcześniej, co później zostało potwierdzone przez wydawnictwo. Na pytanie, czy ktoś miał dostęp do domu, odpowiedział, że klucz leży pod wycieraczką.

Lotte wygładziła kołnierzyk bluzki i spojrzała na tłum gapiów. Znowu uderzyła ją nierealność tej sytuacji.

Gdyby to był jakiś kiepski amerykański serial detektywistyczny, morderca znajdowałby się pewnie w tłumie – pomyślała.

Przecież oni zawsze wracają na miejsce zbrodni. Niestety, rzeczywistość wcale nie było taka prosta.

Requiem – Offertorium, Domine Jesu

Wiem, że powinienem brać tabletki uśmierzające ból, przepisane mi przez lekarza przed weekendem, ale nie mam na to ochoty. Wytłumią ból, ale otumanią mnie, odbiorą mi umiejętność kontrolowania sytuacji i możliwość obserwacji. Nie będę w stanie słyszeć muzyki...

Czuję, jak prawdziwe życie przepływa przez moje ciało niczym dzikie podniecenie. Palce u rąk i nóg mrowią, mięśnie napinają się, krew huczy w żyłach. Włosy się podnoszą. Pojawia się erekcja.

Taśma policyjna pieści mnie czule po brzuchu, lekka niczym piórko. Mam wrażenie, że moją skórę muskają miękkie kobiece palce. Palce Ranveig były miękkie, nawet gdy rozdrapywały mi ramiona. Ukryłem skaleczenia, ale nadal je czuję. Za każdym razem, kiedy ich dotykam, czuję w żołądku ssanie podobne do tego, które odczuwa pasażer mknącej w dół kolejki górskiej. To cudowne, ekscytujące i oszałamiające doznanie. Ranki są pozostałością

po resztkach energii życiowej Ranveig, przekazanej przez jej paznokcie na moje ramiona w chwili, gdy zaciskałem pętlę na jej szyi. Potem objąłem mocno jej ramiona i nogi i zawisłem wraz z nią. Ciężar dwóch ludzkich ciał sprawił, że lina wżarła się mocno w jej ciało, nie na tyle, by pękł kręgosłup, ale dzięki mnie Ranveig umarła szybciej.

Uczucie, które ogarnęło mnie w chwili jej śmierci, nagłe i niekontrolowane, całkiem mnie zaskoczyło. Nigdy dotąd nie doświadczałem żadnych chorych fantazji erotycznych i nie łączyłem śmierci ze sferą seksualną. Moje zbliżenia cielesne były raczej normalne i rzadko kiedy realizowałem jakąkolwiek ukrytą fantazję, stąd moje ogromne zdumienie. Część mózgu odpowiedzialna za logikę wyjaśnia to poczuciem władzy nad życiem i śmiercią oraz ekscytacją z powodu robienia czegoś zakazanego, wzmocnioną drżeniem ciała osoby umierającej w moich ramionach. Tak można tłumaczyć ów niespodziewany orgazm, choć wątpię, by te emocje można było tak nazwać. Wrażenie, które mnie wówczas zalało, było niczym punkt kulminacyjny płonącego pożądania, niczym nagłe spełnienie spływające jak srebrzysta struga, niczym cudowna erotyczna wizja, która wyrywa ze snu nastolatka.

Stoję i rozkoszuję się tym wspaniałym wspomnieniem, wpatrzony w policjantów biegnących naokoło jak spłoszone myszki. Nie widzą kota, ale może wyczuwają, że jest gdzieś w pobliżu? Widzę, że Lotte Skeisvoll przygląda się gapiom.

Wie może o czymś? Rozumie już, co się rozgrywa wokół niej?

Nie wiem. Chyba nie, ale jestem pewien tego, o czym teraz myśli. Wyrzuca sobie, że nie potraktowała tej sprawy z właściwą powagą. Jest na siebie zła. Wścieka się, że nie zrozumiała zawczasu, że sprawa jest znacznie większa, niż sugerowałyby to maile. Przepętnia ją rozpacz, że nie udało się ochronić zmarłej i że nie zorientowała się dość szybko, co się święci.

Będzie się zastanawiać, skąd wiedziałem, kogo gazeta wyśle tu w nocy. Zabawne jest to, że sam tego nie wiedziałem. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że innym dziennikarzom w tym czasie robota będzie palić się w rękach, że tak to ujmę.

Gdyby plan A nie wypalił, na wszelki wypadek zdobyłem już klucz do mieszkania Ranveig.

Nie rozumiem tylko jednej rzeczy: dlaczego policja nie podjęła żadnych starań, by ją chronić? Mam wrażenie, że pracują wolniej, niż przewidywałem. Nie mam nic przeciwko temu, bo to jeszcze bardziej

ułatwia mi zadanie, ale nie podobają mi się takie fałszywe nuty. Wszystkie instrumenty muszą przecież grać harmonijnie. Zależy mi na tym, aby policja wypełniała instrukcje co do joty, ale nie chcę przerabiać tego, czym dysponuję od tak dawna. Nie trzeba wiele zmieniać, wystarczy kilka poprawek w partyturze. Nic nie zagrazi memu wstępowi do *Domine Jesu*.

Widzę, jak Viljar Ravn Gudmundsson się podnosi. Najwyższy czas. Muszę uważać, żeby nie załamał się zbyt wcześnie. Wyzaczyłem mu odpowiedni moment w partyturze – nadejdzie chwila, gdy ujrzy swe występki, ale na razie jest mi potrzebny, aby grać pierwsze skrzypce. Dlatego w sumie szkoda, że to Viljar odnalazł Ranveig jako pierwszy, ale przynajmniej mamy teraz więcej dramatyizmu.

Usuwać się na bok, by mnie nie zauważył. Gdyby do tego doszło, mógłby nabrać jakichś podejrzeń. Balansuję teraz na krawędzi. Jestem tego świadom, ale z drugiej strony od samego początku zdawałem sobie sprawę z tego, że gdy nadejdzie punkt zwrotny, granica między sukcesem a porażką stanie się cieniutka i delikatna niczym koronka.

Viljar to zranione zwierzę. Jest niebezpieczny, ale tak naprawdę nie potrafi już się obronić. Dokładnie do tego stanu chciałem go doprowadzić na etapie komponowania dzieła, a teraz wystarczy odpowiednio poruszać batutą, aby wszystko ułożyło się jak należy.

Idę przed siebie i gawędzę z któryś z sąsiadów, a ból niemalże rozsadza mi głowę. Wykorzystuję go, by pokazać współczucie i empatię, co sprawia mi dużo radości.

Niespodziewanie słyszę szmer, który przebiega przez tłum gapiów. Odwracam się, chcąc ujrzeć, co wywołało tę reakcję. W drzwiach pojawiają się pracownicy pogotowia z noszami, na których leży Ranveig, oczywiście przykryta białym prześcieradłem. Jeszcze więcej bieli. Widzę tylko biel, równie czystą jak sama Ranveig. Biel niewinności. Była winna czy nie? Jest mi to całkowicie obojętne.

Gdybym mógł wprowadzić gdzieś jakieś zmiany, przeredagowałbym kolejne maile czekające na wysłanie. To trochę żałosne, gdy zarówno ich nadawca, jak i adresat wiedzą, że to kupa bzdur, ale tak już musi być. Każdy element musi się znaleźć w odpowiednim miejscu w wielkim dziele sztuki, choć widzę, że nie jest ono jeszcze gotowe.

Przypomina mi się coś, co zapamiętałem sobie z lekcji mojego starego nauczyciela sztuki. Edvard Munch malował wiele wersji swoich obrazów i za każdym razem, gdy ukończył jedną z nich, dochodził do wniosku, że wcale mu się nie podoba, i zabierał się do nowej. Istnieje więc wiele

rozmaitych wersji *Madonny* i *Dziewcząt na moście*. Edvard Munch był jednakże w uprzywilejowanej sytuacji. Ja mam tylko jedną szansę, by stworzyć wiekopomne, kompletne dzieło sztuki. Nie ma miejsca na poprawki. We mnie kryje się tylko jeden jedyny *Krzyk*.

Tømmerdalen, Haugesund

Piątek po południu, 17 października 2014 roku

Lotte Skeisvoll rozglądała się i zapamiętywała szczegółowo obrazy dookoła siebie. Próbowwała skupić uwagę na szczegółach, które mogły opowiedzieć coś więcej o okolicznościach, a być może również o przyczynach zbrodni. Morderca przecież pozostawił po sobie mnóstwo śladów tylko dlatego, że chciał, by na nie natrafiła.

Podczas oględzin poprzednich miejsc zdarzeń technicy dochodzeniowi poświęcili mnóstwo czasu i środków na zabezpieczenie fizycznych i biologicznych śladów, które mogły pomóc zidentyfikować sprawcę. Bez wątpienia procedurę należało tu powtórzyć, ale Lotte poprosiła ich, aby nie przykładali do tego aż tak wielkiej wagi, a zamiast tego skupili się na poszukiwaniu innych śladów, które mogłyby popchnąć śledztwo naprzód.

– A niby dlaczego? – spytała Åse, która rzadko otrzymywała podobne wytyczne.

Lotte wpatrywała się przez dłuższą chwilę w szefową techników, a potem uznała, że najlepiej będzie nie owijać w bawełnę.

– Jeśli ten człowiek stanie kiedyś przed sądem, opowie nam absolutnie wszystko od początku do końca. Wystarczy wówczas dosłownie kilka dowodów, żeby przypisać go do miejsca zbrodni. Nie musimy zbierać setek biologicznych śladów, które dokumentują każdy jego najdrobniejszy ruch.

Åse Fruholm uniosła ręce z ponurą, niemal urażoną miną, ale się poddała.

– No dobra. Oszczędzisz mi w ten sposób masę czasochłonnej pracy, ale pamiętaj, że to ty bierzesz odpowiedzialność za tę decyzję. Nie licz na to, że będę nadstawiać za ciebie karku, gdy się okaże, że się pomyliłaś. Tylko ty dostaniesz w dupę i nikt poza tobą.

Lotte pokiwała głową i dwadzieścia minut później miała pomieszczenie wyłącznie do swojej dyspozycji. Już chciała zacząć gruntowne oględziny, gdy zabręczał jej telefon. Dzwonił Knut Veldetun, spięty i zdenerwowany, jakby właśnie zdawał ustny egzamin. Drżącym głosem wyrzucał z siebie

zdania, które nie łączyły się w logiczną całość. Lotte musiała go uspokoić i poprosić, by zaczął raz jeszcze. To trochę pomogło.

– Sprawdziłem historię Ranveig Børve, tak jak mi kazałaś – powiedział i urwał.

– No, opowiadaj!

– Myślę, że udało mi się znaleźć związek, ale nie do końca rozumiem, jak to mogło umknąć.

– O czym ty gadasz?

Lotte zauważyła, że odezwała się ostrzej, niż zamierzała. Knut był młodym funkcjonariuszem i wcale nie trzeba było reagować agresywnie, gdy coś kwestionował, ale odruchowo przyjęła pozycję obronną.

Czyżby o czymś zapomniała?

– Widzę w naszych dokumentach, że Ranveig Børve została w 2004 roku oskarżona o jazdę w stanie nietrzeźwym i doprowadzenie do wypadku, w którym zginęła jedna osoba. Została później uniewinniona, ponieważ nie można było udowodnić, że to ona prowadziła pojazd. Sama przez cały czas utrzymywała, że kierował jej kolega, a ona sama spała na przednim siedzeniu, bo trochę za dużo wypiała.

Knut zrobił dramatyczną przerwę.

– Nie powinniśmy byli tego sprawdzić?

– Do kurwy nędzy, sprawdziliśmy to! Zbadaliśmy każdy pieprzony przypadek uniewinnienia za spowodowanie wypadku podczas jazdy po pijanemu od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku!

Usłyszała, jak Knut odkaslnął kilkakrotnie, co oznaczało, że jeszcze nie opanował zdenerwowania.

– No dobra, ale dlaczego...? To znaczy, jak to się stało, że...? No bo moim zdaniem powinniśmy to wiedzieć, no nie? Kto sprawdzał tych ludzi?

Ostatnie pytanie wstrząsnęło nią z siłą błyskawicy uderzającej w transformator. Scheldrup Hansen! Ten cholerny, upierdliwy dziad!

– Jasna cholera, Knut, to Hansen się tym zajmował! Zawalił sprawę, bo wysłał mi listę uniewinnień wczoraj wieczorem i Ranveig tam nie było. Jestem tego pewna.

Lotte spoglądała z niedowierzaniem w swój telefon. Niespodziewanie uświadomiła sobie, że gdyby otrzymała kompletną listę, mogłaby uratować Ranveig. Obudziło w niej to rozpacz. Nie zaznała tego uczucia od chwili, gdy natknęła się na siostrę leżącą bez życia na ulicy i w pierwszej chwili sądziła, że Anne nie żyje. Odepchnęła od siebie nieprzyjemne wspomnienie. Nie mogła sobie teraz pozwolić na złość, rozpacz czy wyrzuty

sumienia. Obiecała sobie, że los Olava Scheldrupa Hansena zostanie przypieczętowany przy kolejnej okazji.

Zacisnęła powieki i przez moment oddychała miarowo. Przegoniła wszelkie zbędne myśli i wyobraziła sobie, że zewsząd otaczają ją cisza i mrok, a potem powoli otworzyła oczy i skupiła się. Przesuwała spojrzenie od jednego przedmiotu do drugiego, analizując każdy z nich. Większość w ogóle nie została ruszona z miejsca i nadal pokrywała je cieniutka warstwa kurzu. Inne zostały do czegoś wykorzystane lub przyniesione do środka.

Jednym z takich przedmiotów była torebka z paskami zaciskowymi na stole, co tłumaczyło ślady na nadgarstkach i kostkach Ranveig. Próba wyrwania się z zaciągniętych pasków zawsze kończy się tym, że plastik wrzyna się w ciało. Lotte zauważyła, że technicy znaleźli już odciski palców na torebce.

Obok niej leżało zjedzone do połowy jabłko, które mocno zbrązowiło, co oznaczało, że leżało tu od kilku godzin. Człowiek, które je napoczął, ogryzał je dokładnie i metodycznie, co mogło wskazywać na jakieś zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Lotte pamiętała, że kiedyś sama tak postępowała.

Na podłodze, w miejscu, nad którym wisiała Ranveig, ciągnęła się strużka moczu, co oznaczało, że w chwili śmierci kobieta kołysała się niczym wahadło. Znaczyło to również, że w chwili powieszenia nie złamała karku, ale po prostu udusiła się, kołysząc się w przód i w tył. Samo w sobie było to jednak intrygujące odkrycie. Zazwyczaj wieszany człowiek miota się rozpaczliwie, przez co krople moczu padają wszędzie dookoła, natomiast tutaj utworzyły równą strużkę. Czyżby umierała w bezruchu?

Lotte rozejrzała się dalej. Bałagan w pomieszczeniu mówił wszystko i nic. Przewrócony taboret. Deska do prasowania i żelazko w kuchni, najwyraźniej wykorzystane do wyprasowania sukni, którą Ranveig miała na sobie w chwili śmierci. Gazety, czasopisma, książki. A krople krwi na podłodze? Czy to ważne, że znajdowały się akurat w tym miejscu? Czy to ważne, czyja to była krew: zabójcy czy ofiary? Czy to istotne, w jaki sposób Ranveig kołysała się w chwili zgonu? Czy naprawdę warto było spisywać wszystkie dane z trzech miejsc zbrodni? Czy znajdą cokolwiek ponad to, co morderca chciał, żeby zobaczyli?

Nie. Niespodziewanie uświadomiła sobie, że musi poszukać czegoś, czego morderca nie przewidział. W przeciwnym razie będą zmierzać krok po kroku tam, dokąd to sobie zaplanował. Nadszedł czas, by przełamać schemat

i wykonać jakieś nieoczekiwane posunięcie. Odwróciła się od miejsca zbrodni i wyszła z domu. Gdy opuszczała teren ogrodzony przez policję, oślepiły ją pierwsze flesze. Zatrzymała się, by odpowiedzieć na pytania dziennikarzy.

Wszyscy już tu są – pomyślała. Osiągnąłeś swój cel.

Komenda policji w Haugesund

Piątek po południu, 17 października 2014 roku

Lotte pchnęła szklane drzwi pokoju Larsa Stoplego i opadła na fotel ledwie pięć minut po tym, jak odebrała od niego telefon. Wszystko inne mogło poczekać.

– Opowiadaj!

Lars Stople zerknął na nią znad prostokątnych okularów, odkaszlnął i rozłożył ręce.

– Co mam ci powiedzieć? Większość usłyszałaś przez telefon. Stein Åmli doszedł wczoraj do wniosku, że pora zmienić adres mailowy, co jeszcze bardziej utrudniło nam zadanie, bo dobrze nam się współpracuje z ludźmi z Google'a. Gdyby napisał kolejnego maila z tego serwera, otrzymalibyśmy lokalizację w ciągu godziny. Teraz przesiadł się na Hotmail, co oznacza, że dopiero dziś przed południem dowiedzieliśmy się, skąd wysyła maile. Hotmail nie kwapi się do współpracy tak bardzo jak Google, jeśli w dochodzeniu nie bierze udziału Interpol. Na szczęście udało nam się ich w końcu przekonać.

– A więc znamy lokalizację, tak? Ale co to dla nas tak naprawdę oznacza, skoro facet korzysta z otwartych sieci? – spytała Lotte. Zauważyła, że starszy funkcjonariusz ma przekrwione oczy i lekko drżące dłonie, co wskazywało na stres i brak snu.

Lars Stople zastanowił się nad jej słowami.

– Taaak... Co to oznacza? Mail został wysłany z serwerów „Haugesunds Avis”, które znajdują się w siedzibie domu medialnego. Nie mają tam otwartej sieci, czyli napisano go na którymś z komputerów stacjonarnych w redakcji, dziale marketingu lub w Radiu 102. Zdaniem ekspertów będzie bardzo trudno ustalić, którego komputera użyto. Pewność mamy tylko co do jednego szczegółu – zabójca znajdował się w budynku koncernu o godzinie dwunastej trzydzieści i był zalogowany do komputera biurowego.

Lars Stople westchnął, pochylił się, zdjął okulary i potarł oczy.

– To jeszcze nie koniec, prawda? – spytał.

– Nie, Lars. To nie koniec. Przykro mi, ale obawiam się, że morderstwa będą się powtarzać, dopóki nie złapiemy tego człowieka – odparła Lotte i spojrzała z rezygnacją na kolegę.

Zabójca działał zbyt szybko. Nim policja zdołała uporać się z analizą miejsca zbrodni i wdrożyć dalsze śledztwo, pojawiały się kolejne maile, a po nich następne ofiary. Lotte znów skupiła uwagę na Larsie, który wpatrywał się w pustkę przed sobą.

– O czym myślisz? – zapytała.

Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie pokręcił głową.

– Przestań, Lars. Powiedz, co cię gryzie.

– To nie moja działka, więc chyba lepiej, żebym trzymał dziób na kłódkę, prawda?

– Nie wygaduj głupot. Znamy się od pierwszego dnia mojej służby w komendzie. Zawsze możesz ze mną porozmawiać, bez względu na to, co cię gryzie.

– No dobrze, super, ale tak się składa, że nie jesteś mistrzynią świata w oddzielaniu spraw osobistych od zawodowych, a więc, proszę, nie odbierz tego źle.

Lotte już chciała coś powiedzieć, ale Lars przerwał jej, unosząc dłoń:

– Posłuchaj. Zdaję sobie sprawę, że nie przepadasz za Hansenem, i bogowie jedynie wiedzą, że ten człowiek, pomimo swego stanowiska, nie należy do najbystrzejszych na tym świecie, ale myślę, że powinnaś zakopać topór wojenny i pogadać z nim. Potrzebujemy jego i jego doświadczenia.

Lars Stople nie miał pojęcia o tym, czym Hansen zajmował się ostatnio, i doprawdy nie mógł wybrać gorszej chwili na przedstawienie takiej propozycji. W sercu Lotte wezbrała furia. Policjantka poderwała się, przewracając krzesło na podłogę.

– Wiesz co? Nie wpięprzaj się w moje metody! Hansen to chyba najbardziej niekompetentny gość, jakiego w życiu poznałam, a to, że ty i paru innych podstarzałych weteranów uważacie, że jego metody są najlepsze, świadczy tylko o tym, że jesteście cholernymi palantami z lat siedemdziesiątych. Rozejrzyj się, Lars! Zdejmij okulary, a przekonasz się, że nowoczesne metody śledcze zostawiły w tyle zarówno ciebie, jak i Hansena oraz resztę zgredów!

Wyszła z pokoju Larsa i zatrzasnęła drzwi z taką siłą, że pamiątki na biurku policjanta zadrżały lekko. W drzwiach innych pomieszczeń pojawili się zaskoczeni ludzie.

– Idźcie wszyscy w cholerę! – ryknęła, aż echo poszło.

Dwie minuty później czerwona ze złości Lotte Skeisvoll bez pukania wtargnęła do biura naczelnika Arnsteina Guldbrandsena. Ten, zaskoczony, uniósł głowę, ewidentnie nieprzyzwyczajony do takich wizyt.

– Co to, do jasnej...

– Chcę złożyć oficjalną skargę na Olava Scheldrupa Hansena za zaniedbanie służbowe – powiedziała zdecydowanym głosem Lotte. Decyzję podjęła już dawno, ale nie sądziła, że przyjdzie ją przedstawić w ten sposób. Ale Guldbransen nie wydawał się szczególnie poruszony jej słowami.

– Aha – odezwał się ze spokojem. – A z jakich powodów, jeśli wolno spytać?

– Przeszkadza w prowadzeniu śledztwa, gromadzi wokół siebie ludzi, żeby osłabić mój autorytet, i nie wywiązuje się z przydzielonych mu obowiązków. Wczoraj jego niedbalstwo doprowadziło do śmierci Ranveig Børve.

Arnstein Guldbransen uniósł brwi i poprosił Lotte, by usiadła, a potem wysłuchał jej wersji historii. Przez moment milczał i zastanawiał się, a potem odpowiedział wyważonym tonem:

– Rozumiem, że nie rozmawiałaś o tym z samym Olavem i nie słyszałaś jego wyjaśnień.

– Nie. Nie znoszę tego człowieka. Chcę, żeby stąd zniknął.

– O tym akurat nie ty decydujesz, Skeisvoll. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, rozmawiałem dziś z Olavem. Spędził kilka godzin w moim biurze wraz z szefem Kripas Ovem Fiską.

Z twarzy Lotte odpłynęły wszelkie kolory.

– Powiem to tylko raz, Lotte. Olav Scheldrup Hansen to arogancki kutas, który uważa się za ucieleśnienie doskonałości. Co do tego się zgadzamy. Przyszedł razem z Fiską, ponieważ ten doszedł do wniosku, że współpraca między Hansenem a tobą źle się układa.

– Trudno się, kurwa, dziwić...

– Przestań! – Guldbransen uderzył dłonią w stół i wbił spojrzenie w podwładną. – Dość już tego! Mamy trzy zabójstwa, a tobie i Hansenowi najwidoczniej bardziej zależy na udowodnieniu, kto ma większe jaja, niż na rozwiązaniu sprawy. Cholera, okazujecie kompletny brak szacunku zarówno ofiarom zbrodni, jak i ich bliskim. Niech to szlag, jesteśmy w końcu policją, a w policji chodzi o to, żeby ze sobą współpracować!

Lotte wstrzymała oddech i w duchu policzyła do trzech.

– Bóg mi świadkiem, że próbowałam z nim współpracować, Guldbransen.

– Gównie prawda. Uczestniczyłam w spotkaniach, którym przewodniczyłaś, a to, co tam zobaczyłam, było po prostu żałosne. Od pierwszych chwil zależało ci tylko na tym, żeby nikt nie zagroził

twojemu autorytetowi. Myślisz, że obecni na zebraniu ludzie nie widzieli protekcyjnych spojrzeń, którymi obrzucałaś Hansena? Myślisz, że nikt nie zauważył, że nigdy nie pozwalasz mu zabrać głosu, kiedy o to prosi? Że zawsze ignorujesz jego pomysły? Od początku odnosisz się do niego z ironią i sarkazmem, a wczoraj, próbując go dalej ośmieszyć, przesadziłaś jak nigdy wcześniej. Przydzieliłaś mu robotę, której podołałaby zwykła biurwa, podczas gdy reszta grupy zajęła się zadaniami operacyjnymi! Zdajesz sobie sprawę z tego, jak niskie to było? Poczułem się doprawdy zażenowany, kiedy o tym usłyszałem.

Lotte uspokoiła się nieco podczas tyrady szefa, ale nie miała zamiaru składać broni.

– Biurwa, jasne. Rzeczywiście, żałuję teraz, że nie przydzieliłam tej pracy jakiejś sekretarce. Może Ranveig Børve nadal by żyła, ale Hansen niestety nie podołał tak łatwemu zadaniu.

– Słusznie, Lotte. Gdybyś zleciła to sekretarce, Ranveig nadal by żyła, ale podjęłaś inną decyzję. Obciążyłaś tą robotą kogoś innego. Postanowiłaś, że przydzielisz ją człowiekowi, który uznał, że wykonywanie takich zadań jest poniżej jego godności. To ty ponosisz za wszystko odpowiedzialność! Wyobraź sobie taki scenariusz, Lotte: oto każę ci przejrzeć wszystkie karty magnetyczne wydane w zeszłym roku i znaleźć te, w których pojawił się pewien drobny błąd. Jak sumiennie wywiązałaś się z tego zadania?

Lotte naraz poczuła przypływ poczucia winy. Wyobraziła sobie, z jaką wściekłością zareagowałaby na takie polecenie Guldbrandsena. Na pewno wykonałaby zadanie mało sumiennie, o ile w ogóle by się do niego wzięła. Zacerwieniła się po uszy.

– *Sorry* – przyznała. – Zaczynam kapować. Ale jestem tak cholernie zła na tego gościa! Nie jestem w stanie z nim pracować!

– Ale nie masz wyboru.

– Przepraszam, co ty właśnie powiedziałaś?

– Że nie masz wyboru. Od tej pory chcę widzieć, jak ze sobą współpracujecie. Jak dotąd kiepsko sobie radzisz jako oficer prowadzący dochodzenie, a nie tego oczekuję od moich podwładnych. Scheldrup Hansen od dwóch dni prosi cię o dostęp do archiwów sądowych, żeby znaleźć związki ze sprawami, którymi zajmował się Gudmundsson. Raporty nie wskazują na to, abyś to zrobiła. Spodziewam się, że wreszcie zaczniesz wykonywać porządną policyjną robotę. Masz kilka dni na to, by udowodnić, że potrafisz wznieść się ponad osobiste różnice i współpracować z Kripos jak należy. Hansen to idiota, ale w tej chwili jest

również naszym sojusznikiem. Zaczynij wykorzystywać go do tego, do czego się nadaje.

Lotte skinęła szefowi głową, odwróciła się i wyszła z gabinetu, układając w myślach nowy plan dnia. W pierwszej kolejności musiała porządnie przeprosić Larsa Stoplego, a potem czekało ją spotkanie z Olavem Hansenem.

Redakcja „Haugesunds Avis”

Piątek po południu, 17 października 2014 roku

Viljar siedział w sali konferencyjnej, ale nie dostrzegał ani kolegów, ani otoczenia. Wpatrywał się w gołe ściany. Jego zdaniem urządzenie takich spotkań zaledwie kilka godzin po tym, jak straszliwy los odebrał im Ranveig, nie miało najmniejszego sensu, ale współpracownicy z redakcji uważali inaczej. Chcieli się spotkać, zapalić świeczki, obejmować się i ścisnąć, podczas gdy Viljarowi zależało tylko i wyłącznie na tym, aby dano mu święty spokój. Nie miał ochoty dołączać do żałobnego chóru. Wymienianie uścisków z ludźmi, których ledwie poznawał na korytarzach, oznaczało inwazję w jego strefę intymną.

Przemówienie Øveraasa, podczas którego naczelny co chwila ocierał łzy, przypominało węgierski film festiwalowy i Viljar nie mógł tego słuchać. Podniósł się i podszedł do stołu, na którym stało zdjęcie Ranveig otoczone świeczkami. Przyglądał mu się przez kilka sekund, a potem odwrócił się na pięcie i zdecydowanym krokiem wyszedł z pomieszczenia.

Przy wyjściu natknął się na Henrika Thomsena, który go zatrzymał. Viljar próbował się przepchnąć, ale wysoki dziennikarz koniecznie chciał z nim porozmawiać.

– O, Viljar. Słuchaj, przykro mi! Wiem, że byliście blisko z Ranveig. Smętnie się zrobiło, no nie?

Viljar z niedowierzaniem wpatrywał się w Thomsena.

– Smętnie? Przepraszam, ty naprawdę użyłeś tego słowa? Thomsen, czy tobie zostało choć trochę rozumu w tym pustym łbie? Nie wiem, czy w całym mieście znajdzie się ktoś równie niezwykły jak Ranveig. A może pogadasz z ich córką, co? Spytaj: „Co tam, Victoria? Trochę smętnie, no nie?”. A jej mąż? Zapytałeś może, czy i jemu nie zrobiło się smętnie?

– Nie... Ja tylko...

– Udajesz wielce przejętego, ale tak naprawdę w głębi serca odczuwasz

jedynie lekki dyskomfort z powodu tego, że coś takiego wydarzyło się akurat w naszej małej redakcji. Ty nigdy nie potrafiłeś okazać nikomu ani odrobiny empatii, Henrik. Nie ma jej w twoich artykułach, nie widać jej w pracy ani w życiu osobistym.

– Ja pieprzę, Gudmundsson, czy ty w ogóle sam siebie słyszysz? Próbowałem ci tylko powiedzieć, że jest mi przykro z powodu tego, co zaszło. Żałuję, że nie było mnie przy niej, kiedy doszło do napaści. Żeby w taki sposób odebrać życie niewinnej, bezbronnej dziewczynie? Co za skurwysyństwo!

– A gdzie byłeś? – Viljar z agresją wpatrywał się w puste oczy Thomsena. Kwestia ta dręczyła go od chwili, gdy Øveraas powiedział, że nie mógł wysłać Thomsena, bo redaktor kulturalny przebywał w Stavanger na koncercie. Tymczasem Henrik w ogóle nie opuścił Haugesund.

– O co ci chodzi? – Thomsen odwrócił wzrok. Widać było, że jest wytrącony z równowagi.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

– W Stavanger. Miałem napisać recenzję z koncertu...

– Akurat!

– Jak mam to rozumieć? Przecież tam byłem.

– To nieprawda. Widziałem cię w Haugesund.

Henrik Thomsen rozejrzał się z paniką w oczach i kilka razy zakaszłał nerwowo.

– Musiałeś widzieć kogoś podobnego. Przeczytaj recenzję, do cholery, a sam się przekonasz, że tam byłem!

– Z przyjemnością ją przeczytam, Henrik, ale nie zmienia to faktów. Najpierw Hans Indbjo obwioził cię po mieście, a potem zajadałeś chipsy i popijałeś piwko przy ostatnim sezonie *Gotowych na wszystko*. Widziałem to przez okno, kiedy przechodziłem obok twojego mieszkania kilka godzin później.

Thomsen zdecydowanym ruchem odsunął Viljara z drogi i wszedł do pokoju konferencyjnego.

Viljar przez chwilę zastanawiał się, czy nie udać się za Thomsenem i nie próbować wycisnąć z niego odpowiedzi, ale machnął ręką. To nie miało właściwie znaczenia. Mało co miało teraz jakiegokolwiek znaczenie. Wyciągnął paczkę z tytoniem i przyjrzał się swoim szlochającym kolegom, którzy chodzili bez celu po pokoju.

Oto idealna ilustracja ostatnich wydarzeń – pomyślał Viljar. Morderca stworzył wszechświat, w którym wszyscy krążą wokół siebie, nie mając

pojęcia o tym, co robią ani dokąd zmierzają.

Niespodziewanie poczuł w sobie pragnienie, by jak najszybciej stąd wyjść. Nie chodziło mu jednak o to, aby zaspokoić głód nikotynowy czy wreszcie znaleźć się z dala od innych ludzi. Nie, Viljar zapragnął raz na zawsze uwolnić się od tego miejsca. W redakcji nie znajdował już tego, co kiedyś stanowiło treść jego życia.

Szedł przez opustoszałe biuro. Odwrócił spojrzenie, gdy mijał biurko Ranveig, ale zatrzymał się po paru krokach, odwrócił i podszedł do niego. Wydawało mu się, że nadal wyczuwa delikatną woń perfum z zapomnianej bluzki, przewieszanej przez fotel, a wtedy znów pochwycił go gorzki żal. W gardle poczuł ucisk i ze wszystkich sił powstrzymał nadciągającą rozpacz. Wszędzie widział ślady pozostawione przez żyjącą Ranveig. Z biurka uśmiechało się zdjęcie rodzinne. Tu i ówdzie wisiały kolorowe karteczki, na których zapisała ważne rzeczy do zrobienia. Jej charakter pisma, wełniane kapcie, które kupiła na zimowym kiermaszu, obgryziony ołówek, pastylki IFA, pamiątki i pozostałości po wszystkim, co się działo przed ową straszną nocą.

Komputer Ranveig nie został wyłączony, a od brzegów wygaszonego ekranu odbijała się mała piłeczka, ciągnąca za sobą smugę kolorów.

Viljar wiedział, że nie ma prawa tu przebywać, nie mówiąc już o dotykaniu czegokolwiek. Ciekawość jednakże wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem i dziennikarz poruszył myszką leżącą obok klawiatury. Niestrudzona piłeczka natychmiast przerwała swą podróż, a oczom Viljara ukazał się ostatni artykuł, nad którym pracowała Ranveig, ów materiał o bibliotece, który wyszedł w papierowej wersji gazety dziś rano. Viljar przejrzał go przed poranną odprawą. Obok tekstu znajdowało się zdjęcie uśmiechniętego Øysteina przy stosie książek.

Ciche chrząknięcie za jego plecami wyrwało go z zadumy. Świadom tego, że przy tym stanowisku pracy nie ma czego szukać, Viljar odwrócił się błyskawicznie i ujrzał Johana Øveraasa wraz z Lotte Skeisvoll.

– Czego ty, do cholery, tu szukasz? – Policjantka zrobiła krok naprzód, aby złapać go za rękę, ale Viljar zdołał się wyrwać. Przecisnął się między nimi i uciekł, ignorując wołanie, by się zatrzymał. W recepcji na dole wyjął kopertę, wsunął do niej swoje klucze, zakleił ją i napisał na niej nazwisko naczelnego. Był gotów wyjść z pracy, tym razem na dobre.

Komenda policji w Haugesund

Piątek po południu, 17 października 2014 roku

W prowizorycznym biurze, które przydzielono Olavowi Hansenowi, nadal wisiał słodki zapach płynu po goleniu szefa Kripas, Ovego Fiski. Woń potu również nadal dało się wyczuć. Pomieszczenie było ciasne i duszne. Siedzący przy biurku Olav przyglądał się własnym dłoniom, które nadal lekko drżały po precyzyjnie wyrażonej reprimendzie, jaką właśnie usłyszał od swego przełożonego. Wysłuchał go cierpliwie, nie próbując mu przerywać ani się sprzeciwić, by pozostać w jego łaskach, a chwilę później zdobył się na kolejne poświęcenie, tym razem w rozmowie z Lotte Skeisvoll. Wydawała się równie poruszona, jak on sam, ale podała mu rękę i poprosiła go, aby się zajął tym, na czym zna się najlepiej – profilowaniem.

Hansen otworzył odpowiednie programy na komputerze i wpisał wszystkie dostępne dane. Zmienił niektóre parametry ze względu na Lotte, która nie miała wątpliwości, że ślady pozostawione przez sprawcę nie wynikają z jego niedbalstwa. Wprowadził dane ofiar, informacje na temat narzędzia zbrodni, ramy czasowe, niekończący się ciąg relacji świadków i opisał poziom przemocy podczas zabójstw. Sporo czasu poświęcił na spisanie własnych przemyśleń oraz pomysłów i teorii grupy dochodzeniowej. Pierwsze dwa raporty z obdukcji oraz sprawozdania z trzech miejsc zbrodni znalazły się z kolei w opracowanym przez FBI programie wykorzystywanym do poszukiwania morderców.

Hansen wiedział z doświadczenia, że uzyskany w ten sposób profil nie będzie zbyt wiarygodny. Program komputerowy umiał bowiem korzystać jedynie z tych danych, które zostały do niego wprowadzone, i udzielać odpowiedzi na podstawie zawartych w nim algorytmów. Nie potrafił logicznie myśleć. Nie brał pod uwagę uczuć, sentymentów i przypadków losowych. Swego czasu Hansen łapał morderców, którzy nie mieli dosłownie nic wspólnego ze swoimi profilami, ale nauczył się wykorzystywać program do celów, dla których został stworzony – program podsuwał śledczemu nowe pomysły i sposoby patrzenia na sprawę, wychwytywał też szczegóły przeoczone w natłoku, który pojawiał się przy każdej sprawie.

Wprowadzenie wszystkich elementów zabrało parę godzin. Nadal brakowało informacji z kilku przesłuchań, nie było też jeszcze raportu z obdukcji Ranveig Børve, który miał dotrzeć dopiero za jakiś czas. Olav wstał więc i udał się po kawę, podczas gdy komputer nadal opracowywał profil. Po chwili, już trzymając filiżankę, śledczy przyjrzał się bacznie

wynikom, a wtedy poczuł falę gorąca. Rozsiadł się wygodniej i raz jeszcze dokładnie przeczytał dokument. Na jego ustach powoli wykwitł uśmiech, kto wie, czy nie pierwszy od chwili przybycia do Haugesund.

W głębi duszy Hansen czuł, że bez pomocy komputera również powinien dojść do takich wniosków, ale program wykonał swe zadanie jak należy.

Wskazał bowiem, że poszukiwany jest człowiekiem, który ma oko do szczegółów. Mieli do czynienia z analitykiem. W swoich dotychczasowych rozważaniach Olav nie brał tego pod uwagę. Zgadzał się, że mordercą był mężczyzna, ponieważ są oni bardziej skłonni do planowania i dokonywania seryjnych zabójstw, ale analityczna natura przestępcy umknęła w chaosie, który zabójca pozostawił po sobie w miejscach zbrodni.

Przestępstwa zostały popełnione przez osobę, która zachowywała precyzję we wszystkim, co robiła. Należało oczywiście założyć, że forma maili i zawarty w nich przekaz nie odgrywają większej roli, a bałagan w miejscu zdarzenia to nie rezultat niedbałości, a przemyślana aranżacja. To, że plan się powiódł, a policja uznała, że ma do czynienia z amatorem, wskazywało, że zbrodniarza cechuje ponadprzeciętny talent analityczny.

Morderca planuje nie tylko to, w jaki sposób zabije swoje ofiary, ale również to, jak na nie zareagujemy – pomyślał Hansen i postukał długopisem w blat biurka. W ten sposób może sterować obiema stronami rozgrywki niczym wytrawny szachista, który przez cały czas wie, jakie ruchy będzie musiał wykonać jego przeciwnik, i dzięki temu potrafi zaplanować kolejne posunięcie.

Olav odwrócił się na swoim obrotowym fotelu. Wyciągnął bloczek z samoprzylepnymi kartkami i napisał jedno słowo: *Policjant?*

Nie wiedział, dlaczego to zrobił, ale w sposobie działania mordercy było coś, co przypominało policjanta. Przecież każdy z nich wie, w jaki sposób myślą i działają członkowie grupy śledczej.

Pozostałe informacje pomogły w nakreśleniu ponurego wizerunku zabójcy. Według programu istniało spore prawdopodobieństwo, że mężczyzna był człowiekiem samotnym, bezdzietnym i mającym wysokie mniemanie o sobie, a do tego takim, który dobrowolnie nie zrezygnuje z realizacji swych planów. Był to tak zwany *stayer*, seryjny morderca, który nie przestaje zabijać. Jedynym pozytywnym sygnałem było to, że przypuszczalnie nie zniknie tak jak inni przestępcy we wcześniejszych sprawach.

Zabójca przypuszczalnie miał współczynnik IQ powyżej przeciętnej,

a zatem zapewne również wyższe wykształcenie i zawód, w którym posługiwał się wiedzą akademicką, taki jak lekarz, prawnik, nauczyciel, architekt, dziennikarz czy redaktor. W policji było wielu pracowników, którzy studiowali prawo.

Najciekawszy szczegół Hansen znalazł pod koniec dokumentu. Program analizował profil również po to, aby przedstawić wiarygodne słabości przestępcy. Wśród propozycji znalazły się: brak umiejętności elastycznego myślenia, brak umiejętności dostosowywania się do nagłych zmian, brak talentu do improwizacji.

Olav pokiwał głową, jakby na ekranie komputera właśnie ujrzał wróżbę wyroczni.

No tak. Nie ma się czemu dziwić – pomyślał.

Dopóki wszystko układało się tak, jak przestępca sobie tego życzył, dopóty był on niepokonany.

Pora na jakieś amatorskie zagranie z naszej strony – pomyślał Hansen i podszedł do drukarki, by wyciągnąć z niej dokument. Wszyscy znali historię mistrza szachowego pokonanego przez amatora, który nie korzystał z przepisowych strategii. Gdyby amator grał tak, jak należy, nie miałby szans, ale zastosował nieprzewidzianą taktykę i zmusił mistrza do improwizacji, a w wynikłym bałaganie nawet amator ma spore szanse na zwycięstwo.

Centrum Haugesund

Piątek wieczór, 17 października 2014 roku

Knajpa Captain's Cabin była przystanią dla znużonych dusz. Rzeczywiście, ludzie, którzy tu przychodzili, od dawna już nie dbali o swe ciała, a w ich pustych czaszkach i zmęczonych oczach kryły się jedynie dusze. Nie oznaczało to bynajmniej, że spotykali się tu wyłącznie pijacy i kobiety niestroniące od tanich uciech – byłoby to zbyt wielkie uproszczenie – ale sporo ich tu trafiało. Wielu z nich wrosło wręcz w pokład statku, zupełnie jakby zostali przymocowani do desek śrubami, i uchodziło przez to niemal za część wyposażenia. Inni rzucali kotwicę w Captain's Cabin sporadycznie. Viljar należał do tych ostatnich.

Był młodszy od swoich kompanów do kielicha obojga płci, ale mało się tym przejmował. Jego zdaniem długo można by szukać miejsca, w którym lojalność i prawdziwa przyjaźń były bardziej cenione niż w tej knajpie. Nie

należało oczywiście ufać wszystkim, którzy tu trafiali, ale prostoduszność, szczerść i uczciwość cieszyły się tam wielkim uznaniem, stanowiły wręcz integralne elementy knajpy. Słowa, które tu padały, na pewno tu nie zostawały, ale bez wątpienia przytaczano je dalej szczerze i bez przeinaczeń, a to zawsze coś.

Viljar długo włóczył się bez celu po Haraldsgata, aż wreszcie, około trzeciej nad ranem, przekroczył próg knajpy. W jego głowie nadal szalały myśli, a napady lęku bez przerwy czaiły się w pobliżu. Dziennikarz odpędził je trzykrotnie, po czym uznał, że nie ma innego sposobu, jak tylko uspokoić zszargane nerwy alkoholem. Rozsądek podpowiedział mu, że z całkowitą pewnością nie jest to najlepszy pomysł dnia, ale w takich chwilach rozum nie miał wiele do powiedzenia. Wybór padł na Captain's z jednego prostego powodu – nikt nie wiedział, że Viljar od czasu do czasu bywał w tej spelunie, i dziennikarz wierzył, że może tam być niewidzialny. Wiedział, że zostanie zauważony przez personel oraz stałych bywalców, ale ci nigdy nie wściubiali nosa w nie swoje sprawy i nie zadawali pytań, na które nie chciałby odpowiedzieć. Im wystarczało, że pił.

Jakieś cztery godziny po tym, jak trafił do knajpy, pozbył się wreszcie lęków, choć nadal odczuwał wielki smutek. Żal przewiercał mu głowę i wbijał się w serce niczym hak. Viljar wiedział, że utracił jedyną osobę, którą przy odrobinie dobrej woli mógłby nazwać przyjaciółką. Ranveig oczywiście tak by tego nie określiła, ale Viljar nie miał wątpliwości. Tak, była przyjaciółką. Nie kryła się w tym ani odrobina romantyzmu czy seksualności, skądże. Łączyła ich czysta przyjaźń i coś na kształt umiejętności rozumienia toku myśli drugiej osoby. Ranveig jednakże odeszła z tego świata, a Viljar wiedział doskonale, że był jednym z decydujących fragmentów układanki, która doprowadziła do jej śmierci. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że cała afera miała związek z Jonasem. Viljar sięgnął dna i nie wierzył w zbiegi okoliczności. Szczegóły sprawy sprzed czterech lat krążyły wokół niego. Świadomość tego, co się wówczas wydarzyło, miała go prześladować przez resztę życia, ale w tej chwili nie chciał o tym myśleć. W tej chwili liczył się dla niego tylko i wyłącznie smutek. Żal oraz gniew. W jego oczach znów stanęły łzy. Zauważyła to któraś ze stałych bywalczyń speluny, która podeszła i otarła jego policzek pomarszczoną dłonią. Jej palce cuchnęły tytoniem i czymś, co wskazywało, że niechętnie myje ręce po wizycie w toalecie. Viljar zmarszczył nos, ale nie odepchnął dłoni od siebie. Ów przelotny dotyk sprawił, że poczuł się lepiej.

Kobieta, która z godnością przedstawiła się imieniem Magda,

wybełkotała mu do ucha kilka sprośności, a palec, który przed sekundą dotykał jego policzka, przesunął się w kierunku krocza. Ta część jego ciała najwidoczniej żyła własnym życiem i Magda mruknęła z zadowoleniem, gdy zauważyła, że jej starania nie pozostały bez efektu. Jednocześnie w głowie Viljara odezwał się dzwonek alarmowy. Nie była to kobieta, z którą chciałby się obudzić rano. Dziennikarz wstał gwałtownie i zataczając się, ruszył w stronę męskiej toalety. Zanim rozpiął spodnie przy pisuarze, dwa razy sprawdził, czy aby na pewno zamknął drzwi na zasuwkę. Magda wyglądała na taką, która mogłaby wtargnąć tu w ślad za nim.

Gdy kilka minut później wyszedł z toalety, Magdy już nie było, a jego stół został zajęty przez grupę ludzi z Bergen i Oslo. Viljar nie chciał się wyklócać o miejsce i chwiejnym krokiem skierował się prosto w stronę baru. Wystarczyło, by podniósł palec, a barmanka od razu wiedziała, o co chodzi. Kufel piwa znalazł się na kontuarze tuż przed nim. Viljar wiedział, że wypił już za dużo, ale po przeżyciach tego dnia nadal kotłowały się w nim emocje i nie widział innego rozwiązania, jak tylko szukać zapomnienia w alkoholu. Tym, co szykował dla niego poranek, na razie się nie przejmował.

Ludzie czytający jego artykuł w porannym wydaniu „Haugesunds Avis” mogliby odnieść wrażenie, że Viljar jest człowiekiem wyluzowanym i zrównoważonym. Historia o jego prywatnej korespondencji z pierwszym seryjnym mordercą w Fiordach Zachodnich miała posmak sensacji, a sam reportaż – bądź raczej komentarz – równie dobrze nadawał się do prasy kolorowej. W każdym razie Viljar zaprezentował w nim siebie jako kogoś, kto panuje nad sytuacją i wie więcej od innych. Minusem było to, że materiał opatrzone serią zdjęć z nim samym, przez co mógł wszędzie zostać rozpoznany. Jak na złość działo się to akurat tego dnia, kiedy chciał, żeby cały świat trafił szlag.

Najpierw cały świat, a potem jego samego.

* * *

Grupka z Bergen i Oslo otoczyła Viljara przy barze i z niemałym trudem pociągnęła go za sobą w stronę własnego stołu. Dziennikarz był już wówczas tak pijany, że pozostali musieli wlać w niego trzy filiżanki kawy, nim ten uświadomił sobie, że ma towarzystwo. Wybełkotał kilka niewyraźnych zdań, ale nikt go nie zrozumiał. Nabrał więc tchu i krzyknął głośno i wyraźnie:

– Dziennikarze!

Rozbawione twarze wokół stołu odwróciły się w jego kierunku.

– O rany! Bohater dnia wrócił do życia! – zawołał jeden z nieznanym, który najwidoczniej wziął na siebie zadanie wodzireja. Cechowała go wrodzona potrzeba, aby mówić kilka decybeli głośniej, niż wypadało, przerywał komentarze kolegów o wiele dłuższymi historyjkami o sobie i własnych przeżyciach, a każdą anegdotę usiłował przebić własną, oczywiście zabawniejszą. Bez trudu sterował w ten sposób rozmową przy stole wedle własnego uznania. Teraz jego wzrok padł na Viljara. Nie było wątpliwości, że nieznanomy doskonale się bawi. – Uratowaliśmy cię od straszego losu. Mało brakowało, a zwałibyś się na ziemię, choć barmanka nie przestawała wlewać w ciebie piwa. Zabawne miejsce, nie da się ukryć – oznajmił mężczyzna i rozejrzał się na prawo i lewo, by mieć pewność, że jego słowa dotarły do wszystkich.

Viljar próbował wykrztusić jakieś podziękowania, ale język odmówił mu posłuszeństwa i dziennikarzowi udało się jedynie wydać kilka nieartykułowanych dźwięków. Jego kolega po fachu w tym czasie usiadł okrakiem na krześle bliżej Viljara. Pozostali, szczerząc się i śliniąc niczym spuszczone ze smyczy psy, skupili na nich uwagę.

– Skoro prowadzisz korespondencję z naszym Kubą Rozpruwaczem i wiesz wszystko o tej sprawie, nie wiesz przypadkiem o tym, do czego doszło dziś rano?

– Wiem. – Viljar spróbował się uśmiechnąć, ale na jego twarzy pojawił się jedynie krzywy grymas.

Dziennikarz z Oslo mrugnął do kolegów, przysunął się jeszcze bliżej i pochylił się w stronę Viljara. Niektóre ze śliniących się psów majstrowały już nerwowo przy dyktafonach. Zwęszyły łatwą zdobycz i były gotowe rozszarpać ją na strzępy.

– No to opowiedz nam o tym, co? – Obcy dziennikarz ponaglił go, szarpiąc za ramię.

– Dziś rano okazało się... – zaczął Viljar, ale słowa uwięzły mu w gardle. Pozbierał myśli i zaczął raz jeszcze: – Dziś rano okazało się, że jestem ślepy. Zamknięty w swoim egoistycznym światku, nie widziałem bowiem, że narażam innych na niebezpieczeństwo.

Siedzący wokół stołu wymienili niepewne spojrzenia.

Czy jest coś, czego oni jeszcze nie wiedzą?

– Zabita kobieta była od wielu lat moją najbliższą przyjaciółką. Była też fantastyczną osobą i... i...

Viljar znów nie mógł wykrztusić ani słowa. Oczy mu zwilgotniały, świat się rozmył, zdania się rozsypały.

– Pracowała z Viljarem w „Haugesunds Avis” – odezwał się ktoś zdecydowanym tonem. Człowiek, który wypowiedział te słowa, stanął chwilę później przy stole zajętym przez dziennikarzy i położył dużą, silną dłoń na ramieniu Islandczyka. – Jak widzicie, Viljar jest w cholernie kiepskim stanie – ciągnął, patrząc na zebranych. – Stracił dziś koleżankę i przyjaciółkę. Myślę sobie, że wyciąganie z niego jakichkolwiek informacji w takiej chwili to kompletne nieporozumienie.

Dziennikarz z Oslo podniósł się i chciał klepnąć w ramię niespodziewanego gościa, ale ten go powstrzymał:

– Siadaj, do cholery. Z daleka widać, co z ciebie za wesz. To, że nazywasz się Joar Mo i masz posadkę w wiadomościach TV 2, nie oznacza, że możesz robić wszystko, co ci się podoba. Wystarczy jeden telefon, a twój przełożony dowie się, że próbujesz wyciągnąć informacje z zalanego w trupa świadka. Tak się nie robi, o czym wiesz zarówno ty sam, jak i reszta tej cholernej sfory.

Viljar poczuł, że przybysz podnosi go z krzesła. Poczuł się jak kot złapany za skórę na karku.

– Młody Ravn Gudmundsson niniejszym opuszcza imprezę – ciągnął mroczny głos. – Już dość dzisiaj przeszedł. Jeśli chcecie się czegoś dowiedzieć, zapytajcie go jutro rano. To, co usłyszycie od niego dzisiaj, będzie równie wiarygodne jak plotki o afterparty w pokoju hotelowym Tronda Giskego^[5] po festiwalu filmowym.

Wyszli na zewnątrz, a wtedy Viljar stracił równowagę i osunął się do rowu. Gdy spróbował się podnieść, zauważył, że dłonie ma lepkie od wymiocin. Mężczyzna, który wyprowadził go z knajpy, pomógł mu jednak i tym razem. Ruszyli przed siebie. Ramie w ramie szli opadając w dół ulicą Strandgata, aż dotarli do skrzyżowania przy Kaibakken. Minęli samochód policyjny zaparkowany przed restauracją Egon, ale siedzący w pojeździe funkcjonariusz nie zwrócił uwagi na zalanego do nieprzytomności człowieka. Szukał wszak mordercy, a nie pijaka, wleczonego przez kumpla po ulicach miasta.

Cztery lata wcześniej

Torvastad, Karmøy

Środa, 25 sierpnia 2010 roku

W chwilach gdy ojciec stawał się milczący i poważny, w sercu Jonasa budził się lęk. Co prawda ojciec nigdy nie był człowiekiem szczególnie gadatliwym, ale zawsze cechowały go pobożność i łagodność, a w jego przyjaznych oczach widać było życzliwość. Zdarzało się jednak, że nachodziła go śmiertelna powaga. Wydawał się wówczas nieobecny duchowo, a jego gęste brwi schodziły się i układały w złowróżbny znak na zmarszczonym czole. Jego twarz wyrażała napięcie, wręcz dzikość. Poruszał się seriami nerwowych, chaotycznych ruchów i cała rodzina wiedziała, że lepiej trzymać się od niego z daleka. Matka szybko wypełniła domowe obowiązki i postanowiła udać się do Haugesund na zakupy. Chciała zabrać ze sobą Jonasa i jego małą siostrę Ine. Ojciec nie skomentował tego, ale gdy Jonas skierował się do drzwi wyjściowych, zdecydowanym ruchem złapał go za ramię.

– Ty zostajesz – oznajmił.

Nie dodał ani słowa. Matka obrzuciła syna niespokojnym spojrzeniem, a Jonas w duchu pożałował, że nie zdoła już wyskoczyć na zewnątrz. Dłoń zaciśnięta na jego ramieniu oraz dwa wypowiedziane przez ojca słowa przekreślały tę opcję. Ojciec był wszak głową rodziny i jego polecenia nie podlegały dyskusji. Gdy matka i siostra zamknęły za sobą drzwi, ojciec puścił jego ramię i bez słowa wrócił do salonu. Usiadł na fotelu i demonstracyjnie wziął do ręki Biblię oraz okulary do czytania. Jonas udawał, że nie dostrzega jego zachowania. Siedział na krześle przy oknie i czekał cierpliwie.

Po chwili André Ferkingstad się podniósł. Nadal milczący i zamknięty w sobie, podszedł spokojnie do drzwi prowadzących na taras i przekręcił w nich klucz, a potem pozamykał okna w kuchni. Nie zaszczycając syna nawet spojrzeniem, odwrócił się i znikł w korytarzu. Jonas usłyszał szcęk zamka. Serce biło mu jak szalone. Coś niedobrego wisiało w powietrzu. W ustach poczuł smak krwi. Przygryzł sobie język, ale nawet nie poczuł bólu.

Kurwa, i co ja teraz zrobię?

Ojciec zatrzymał się w drzwiach dzielących korytarz od salonu. Nie mówił głośno, ale otaczająca ich cisza była tak przejmująca, że Jonas usłyszałby go nawet, gdyby tamten szeptał.

– Dom jest zamknięty. Jesteśmy sami. Wszystko, do czego tu teraz dojdzie, będzie miało tylko jednego świadka, a jest nim Bóg. Jonasie, czy

istnieje coś, o czym ja oraz Bóg powinniśmy wiedzieć? Możesz teraz oczyścić swe serce z grzechów, gdyż Bóg spogląda miłosiernie na tych, którzy żałują swoich występków. Ja również okażę ci wyrozumiałość.

Jonas nieświadomie nabrał tchu. Ojciec wydawał się całkowicie panować nad sobą, ale w jego rzekomym spokoju kryła się groźba. Przyglądał się synowi z odległości kilku kroków, ani na chwilę nie spuszczał zeń wzroku. Przechylił lekko głowę niczym stróżujący pies, który czeka, aż intruz wykona fałszywy krok. Nie było nawet sensu udawać, że się nie boi. Ojciec hipnotyzował go jak szykujący się do ataku drapieżnik i Jonas czuł, że mu się nie wymknie. W końcu chłopak zdołał przełknąć ślinę i chrząknąć na tyle, by móc wykrztusić kilka słów:

– O czym ty mówisz, tato? Czyżbym zrobił coś, co uznałeś za złe?

Słowa może i nie były najsensowniejsze, ale Jonas miał nadzieję, że uda mu się dzięki nim dowiedzieć, ile ojciec wie.

Mężczyzna podszedł bliżej. Nadal milczał, ale zacisnął pięści. Jonas zauważył, jak bieleją mu kłykcie. Ojciec spokojnie, powoli kręcił głową, jakby złapał go kurcz szyi.

– To nie ja decyduję o tym, co jest złe, Jonasiu. Bóg to czyni. Zrobiłeś coś, co łamie Jego prawa? Przyznaj się, synu.

Chłopak uświadomił sobie, że zaraz popuści w spodnie. Spokój ojca przerażał go. Jonas błagał go w myślach, by zaczął krzyczeć, wrzeszczeć, walić pięściami w stół, cokolwiek. Z normalnymi reakcjami potrafił sobie poradzić.

– Mam czyste sumienie wobec Boga, ojciec. Nie zgrzeszyłem przeciwko żadnemu z Jego przykazań, jeśli o to ci chodzi.

André Ferkingstad położył palec na ustach, ucinając wypowiedź syna. Słowo „chodzi” zostało przerwane w połowie.

– Wiesz, co mówimy w domu modlitwy o dziesięciorgu przykazaniach, Jonasiu. To uproszczenia, sformułowane tak, aby nawet małe dzieci mogły je zapamiętać i zrozumieć. Ty zaś jesteś dorosłym mężczyzną. Po co Bóg miałby dyktować całą księgę, skoro istnieje dziesięć prostych przykazań?

Ojciec zbliżył się jeszcze o krok. Przy każdym wypowiedzianym przez niego słowie Jonas czuł na twarzy jego ciepły oddech.

– Czym jest grzech, Jonasiu? Cóż, grzech jest występkiem wobec Boga. Czy kiedykolwiek zgrzeszyłeś wobec Niego? Jeśli bierzesz rzecz, która do ciebie nie należy, jesteś złodziejem. Jeśli kiedykolwiek darzyłeś kogoś nienawiścią, Jezus mówi, że dopuściłeś się zabójstwa we własnym sercu. Jeśli pożądałeś seksualnie innego człowieka, dopuściłeś się niewierności w swym sercu.

Czym mam rozumieć, Jonasiu, że jesteś człowiekiem bez grzechu? Czy takie kłamstwo chcesz wmówić własnemu ojcu?

Jonas nie potrafił zatrzymać zdradzieckich łez, które napłynęły mu do oczu. Wiedział, do czego ojciec bywał zdolny w takich chwilach, i pamiętał, że jedynym sposobem na uniknięcie jego gniewu jest okazanie pokory, ale nie umiał się do tego zmusić. Tym razem nie był w stanie.

– Co ja zrobiłem? Nie rozumiem, o co ci chodzi, tato.

W oczach ojca błysnęło nagle z wątpienie, jakby przez pokój przemknął duch. Trwało to zaledwie mgnienie oka, ale wystarczyło, by rozbudzić nadzieję w sercu Jonasa. Ojciec nie miał o niczym pojęcia. Trawiły go jedynie podejrzenia.

– Są w naszej wspólnocie tacy, którzy twierdzą, że powinienem się za ciebie modlić. Że powinienem czytać ci Biblię. Ci ludzie twierdzą, że być może nie zrozumiałeś jak należy tego, co zostało napisane w Pierwszym Liście do Koryntian, w szóstym rozdziale, od szóstego do dziewiątego wersetu. Wiesz, o czym mówią te wersety, Jonasiu?

Chłopak pokręcił głową, jakby nie miał pojęcia, choć dobrze pamiętał ich treść.

– Wiesz, o czym mówią?! – ryknął ojciec tak gwałtownie, że drobinki śliny wylądowały na twarzy Jonasa. Maskę opanowania znikła bezpowrotnie, a na twarzy ojca pojawiły się zarówno desperacja, jak i wściekłość, ale dla chłopaka była to ulga. Nieobliczalna wściekłość była łatwiejsza do zniesienia niż wyrachowany chłód.

Mężczyzna złapał syna za kołnierz koszuli i przycisnął do ściany.

– Oto słowa Pana: „Czyż nie wiecie, że niesprawiedliwi nie posiadają królestwa Bożego? Nie łudźcie się! Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołożnicy, ani rozwiązli, ani mężczyźni współżyjący ze sobą, ani złodzieje, ani chciwi, ani pijacy, ani oszczercy, ani zdierycy nie odziedziczą królestwa Bożego”^[6].

Cytat podsunął Jonasiowi ostatni, rozpaczliwy pomysł.

– Tak, tato! Żałuję! Nie powinienem był sięgać po alkohol na imprezie klasowej. Wiem, że źle postąpiłem. Wiem, że zgrzeszyłem. Prosiłem już Boga o wybaczenie za moje grzechy.

Nie miał pojęcia, skąd się brały jego krokodyle łzy, ale był gotów przypisać to skrajnemu przerażeniu.

Uścisk osłabł. Ojciec wydawał się nieco zaskoczony wyznaniem, na co Jonas skrycie liczył. Przyznając się do innego grzechu, mógł zmylić ojca i sprawić, by ten zapomniał o innych podejrzeniach.

– Ty... Ty piłeś alkohol? Czy o to im chodziło?

– Komu, tato? Parafii? Dobrze wiesz, że ludzie z parafii dopatrzą się grzechu we wszystkim, co mówisz i robisz. Pamiętasz, co mówili o mamie zimą? Pamiętasz to? Że dopuszcza się cudzołóstwa, bo poszła bez ciebie na przyjęcie wigilijne w pracy?

Jonas dobrze wiedział, co robi. Ojciec wstawił się wówczas za mamą i całej rodzinie groziło wykluczenie z parafii.

– Mama nie zrobiła niczego złego, ale ja tak. Piłem alkohol, ale prosiłem Boga o wybaczenie. Nie interesuje mnie, co sądzi o tym nasza społeczność. Odpowiadam przed Bogiem, a nie przed nimi.

Ojciec wpatrywał się w niego. Wyglądał, jakby cała energia opuściła go w jednej chwili. Wydawał się znudzony, wręcz wyczerpany. Zakaszłał.

– Odejdź, synu, i nie grzesz już.

Jonas wymknął się z pokoju. Nie mógł wprost uwierzyć w to, że udało mu się wyjść cało z tej sytuacji. Niemniej ktoś w parafii znał jego sekret i tylko czekać, aż zrezygnuje z aluzji i powie ojcu wprost, o co chodzi. Wówczas nie będzie już mógł liczyć na ułaskawienie czy wybaczenie.

Ojciec potępi go na wieki.

Osiedle Austmanna, Haugesund

Sobota rano, 18 października 2014 roku

Słońce świeciło Viljarowi w oczy. Chciał przewrócić się na drugi bok i spać dalej, ale uświadomił sobie, że to niemożliwe. Nie dość, że nie leżał we własnym łóżku, to jeszcze nie mógł się w ogóle poruszyć. Ciężki, otępiały umysł nie był w stanie odtworzyć żadnych faktów. Dziennikarz spróbował rozchylić powieki, chcąc przynajmniej ustalić, gdzie się znajduje, ale natychmiast tego pożałował. Ostre światło wdarło się w jego oczy i pomknęło po włóknach nerwowych, wywołując straszliwy ból. Viljar się skulił.

Zrezygnowany spróbował znów zapaść w sen, ale jego ciało już odkryło, że się przebudził, i zaczęło się domagać zaspokojenia trzech podstawowych potrzeb. Miał pełny pęcherz, był potwornie spragniony, a ścierpnięte plecy bolały jak rzadko. Innymi słowy, musiał się podnieść, i to szybko.

Wargi popękały mu w kilku miejscach, gdy z trudem rozchylił usta, posklejane po pijackiej nocy. Nadal nie otwierając oczu, mozolnie dźwignął się do pozycji siedzącej, a potem powoli wstał. Ze zdziwieniem

zarejestrował, że wciąż ma na sobie to samo ubranie i te same buty co wczoraj, a noc spędził na krótkiej sofie w salonie.

Przynajmniej jestem w domu – pomyślał i poczłapał do toalety.

Musiał się przytrzymać umywalki, żeby się nie przewrócić podczas opróżniania pęcherza. Czuł, że kolana lada chwila mogą się pod nim ugiąć. Pospieszny rzut oka w lustro potwierdził jego podejrzenia – miał sporego guza na czole, choć za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć, skąd guz się tam wziął. Gdy Viljar skończył, uświadomił sobie, że w mikroskopijnej ubikacji unosi się zapach moczu, co wystarczyło, by zbuntował się żołądek. Viljar, wciąż ze spodniami opuszczonymi do kolan, złapał się umywalki, pochylił głowę i wyrzucił z siebie resztki wszystkiego, co spożył wczoraj. Nie miał wątpliwości, że czeka go o wiele gorszy dzień niż ów feralny poniedziałek. Musiał jak najszybciej udać się do łóżka.

Ruszył do sypialni, lecz kątem oka dostrzegł w salonie nowy szczegół, który zupełnie tam nie pasował. Zatrzymał się i odwrócił powoli. Spod narzuty na czarnym skórzanym fotelu wystawała para wielkich butów. W jego mieszkaniu był ktoś obcy! Ktoś leżał na fotelu, przykryty narzutą, i się nie ruszał.

Włosy natychmiast stanęły Viljarowi dęba. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zawrócić i raz jeszcze spróbować opróżnić żołądek, ale zamiast tego przywołał resztki odwagi i zbliżył się do zakrytego ciała. Widział jedynie kosmyki włosów z jednej strony i wielkie buty z drugiej, a ciało wydawało się zgięte w nienaturalny sposób. W mózgu Viljara pojawiły się pierwsze sygnały ostrzegające go, że wcale nie ma ochoty oglądać tego, co przykrywała narzuta, ale mimo to wyciągnął rękę i odsunął przykrycie. Potem opadł na sofę i pokręcił głową.

Ja pieprzę, co tu się działo? – pomyślał, patrząc na mężczyznę na fotelu. Westchnął ciężko i musnął palcami guza na czole. Nie było wątpliwości, że w jego pamięci pojawiła się spora luka. Rozejrzał się po pokoju, zrozpaczony, aż doszedł do wniosku, że ukrywanie tożsamości gościa mija się z sensem. Ciało przecież nadal tu leżało i nic nie wskazywało na to, by miało zniknąć. W tej samej chwili nieznamy mężczyzna ocknął się i wymamrotał kilka niezrozumiałych słów. Viljar potrząsnął kolegą.

Henrik Thomsen najpierw otworzył jedno oko, a potem drugie. W przeciwieństwie do Viljara wcale nie wydawał się zaskoczony ani też szczególnie poruszony tym, gdzie się znajduje. Zdołał nawet parsknąć nieszczerym śmiechem, gdy się podnosił. Stary mebel zaskrzypiał pod jego ciężarem.

Thomsen spojrzał na Viljara i pokręcił głową.

– Rany... A więc duch powrócił ze świata zmarłych? Znajdziesz może trochę kawy dla dżentelmena, który spędził całą noc w najmniej wygodnym fotelu świata?

– Daruj sobie te dowcipy, Henrik. Bardziej współczuję fotelowi niż tobie. Co ty tu, do cholery, robisz?

Henrik Thomsen z udawanym oburzeniem spojrzał na Viljara.

– No cóż... Niewdzięczność to waluta obowiązująca na całym świecie, rozumiem. Dla twojej informacji: zalałeś wczoraj pałę do tego stopnia, że gdybym cię nie podniósł, obudziłbyś się z twarzą na krawężniku. Bóg zresztą raczy wiedzieć, czy w ogóle byś się obudził.

Viljar przez chwilę podejrzliwie przyglądał się koledze, a potem począpał do kuchni i drżącymi rękami uruchomił ekspres do kawy. Wrócił do salonu i wręczył Henrikowi filiżankę z parującą czarną kawą. Sam poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

– Trzymaj. – Henrik podał mu paczkę z tytoniem. – Wypadła ci wczoraj na schodach, ale podniosłem. Pomyślałem sobie, że pewnie będziesz chciał dzisiaj jakoś ukoić nerwy.

Viljar wziął od niego paczkę, wyciągnął spod stołu wypełnioną do połowy popielniczkę, a potem zapalił starego skręta. Zaciągnął się mocno. Dym wniknął w głąb jego płuc i wywołał falę kaszlu, jak u osiemdziesięcioletniego pacjenta oddziału pulmonologicznego.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego zdaniem autorytetów medycznych palenie ma szkodzić – oznajmił Henrik, ale Viljar się nie roześmiał.

W milczeniu wypili kawę. Wyglądało na to, że żaden z nich nie miał szczególnej ochoty, by rozpocząć nieuniknioną rozmowę. Mierzyli się spojrzeniami niczym dwaj kowboje, stojący naprzeciwko siebie o wschodzie słońca. Henrik w każdym razie wziął na siebie rolę Buda Spencera. Viljar był nieco bardziej ociężały niż Terence Hill, ale to on wystrzelił jako pierwszy.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego chciało ci się podnosić mnie wczoraj z chodnika?

Henrik westchnął ciężko, zupełnie jakby nadeszła pora uwolnienia się od ciężaru, który od dawna leżał mu na sumieniu.

– Wiem, że pewnie mi nie uwierzysz, ale tak naprawdę to był jedynie przypadek. Tak się złożyło, że wpadłem wczoraj do Captain's Cabin. Nie żebym był stałym bywalcem, ale moja siostra czasami tam zagląda i to jej szukałem.

Henrik zrobił efektowną przerwę. Upił łyk kawy i podjął:

– W środku ujrzałem ciebie w, łagodnie mówiąc, kiepskim stanie. Właśnie szykowałeś się, żeby zdradzić wszystkie tajemnice świata przedstawicielom większości norweskich tabloidów. Uznałem, że należy uratować cię z opresji, wyciągnąłem cię z lokalu i przywlokłem tutaj. Z początku planowałem zostawić cię na schodach, ale po tym, jak wywaliliłeś się na chodniku, uznałem, że może ktoś powinien się tobą zająć. Wprowadziłem cię więc do mieszkania i ułożyłem na sofie.

– A wtedy odkryłeś to – rzekł Viljar i wskazał stół stojący w salonie.

Na blacie leżały stosy papierów, których nie powinien oglądać nikt poza samym Viljarem. Zamyślony Henrik pokiwał głową i odrzucił do tyłu cienkie, siwiejące włosy.

– Tak – przyznał. – Wtedy odkryłem to.

Viljar z rezygnacją pokręcił głową i wbił wzrok w podłogę. Unikał spojrzenia Thomsena. Wiedział, że Henrikowi można by założyć trzy kłódki na gębę, a i tak wypaplałby każdy sekret komu by się dało. Viljar nie miał wątpliwości, że to wszystko skończy się tabloidową sensacją.

– No i? Co sobie pomyślałeś? – wyszeptał cicho, ale Henrik zrozumiał pytanie.

– Myślę, że masz poważny problem ze sobą. Nie bądź idiotą. Materiał, który masz na stole, to nawet nie rewelacja. To prawdziwa bomba, do cholery!

Viljar pokiwał głową, ale się nie odezwał. Notatki i wycinki prasowe, które pochodziły sprzed liczącej cztery lata sprawy Jonasa, nie były przeznaczone dla niczyich oczu poza jego własnymi. To samo dotyczyło listu, który napisał do niego Jonas.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób udało ci się to ukryć przed redakcją, ale nie ma dwóch zdań, że teraz ten materiał wybuchnie jak granat i pourywa ci ręce – ciągnął Henrik.

Viljar znał się na ludziach na tyle, by widzieć, że Thomsen w głębi duszy cieszy się z tej sytuacji.

– Moja kariera dziennikarska i tak dobiegła końca. W dupie mam to wszystko, że tak to ujmę. Po tym, co się wydarzyło wczoraj, nie potrafię już ciągnąć tej roboty i myślę, że nadszedł czas, by cała prawda wyszła na jaw. Mam na myśli również wszystko to, co łączyło mnie ze sprawą Jonasa.

Henrik Thomsen zmrużył oczy i przyjrzał się uważnie siedzącemu przed nim wrakowi człowieka.

– No i tu się mylisz, Gudmundsson. Jak dotąd, wiemy o tym tylko my

dwaj i najwyższy czas zastanowić się, co z tym zrobić.

Viljar podniósł wzrok.

O co chodzi tej gnidzie? – pomyślał.

– Powinieneś ukryć to wszystko. Tak się składa, że mam własne tajemnice, które wczoraj zaczęły mnie osaczać. Wraz z Hansem Indbjo czasami łapiemy tu i tam niezłe płatne fuchy: koncert w Stavanger, festiwal w Danii, nocne wydarzenia kulturalne w Stord. Pełnopłatne nadgodziny i rekompensata w formie wolnego dnia.

Broda najwidoczniej łaskotała Thomsena w szyję, bo dziennikarz podrapał się wściekle.

– Mamy, rozumiesz, kilku młodych pomocników, którzy nader chętnie biorą na siebie zadanie zrobienia kilku zdjęć, powiedzenia paru słów o koncercie czy nagrania paru momentów w dobrej jakości, a wszystko to za pięćset koron i darmowy bilet dla osoby towarzyszącej. Wszyscy na tym wygrywają, kapujesz? Możemy sobie nawzajem pomóc, Viljar. Jeśli będziesz trzymał gębę na kłódkę w sprawie mojej recenzji ze Stavanger, ja nie pisnę ani słowa o tym, co zobaczyłem na twoim stole. Nikt nie musi wiedzieć o tym, że od czasu do czasu pozwalam sobie na mały wybryk. Nikt też nie musi wiedzieć o tym, co tak naprawdę doprowadziło do tego, że sprawę Jonasa trafił szlag.

Viljar pokręcił głową.

Co za bzdury – pomyślał.

Nie wierzył w to, że taki układ się sprawdzi. Miał już tego dość. Dość kłamstw, dość tajemnic, dość dręczących go lęków. Musiał położyć wszystkiemu kres.

Henrik Thomsen westchnął i zacisnął palce na grzbiecie nosa, a potem przez chwilę masował czaszkę za uszami. Viljar najwyraźniej nie był jedynym, którego dręczył uporczywy ból głowy.

– Poza tym – dodał Thomsen – mam jeszcze małego asa w rękawie. Wydaje mi się, że odkryłem coś w kwestii tego seryjnego mordercy. Coś, co może zaprowadzić policję w stronę rozwiązania problemu. Jeśli obiecasz, że nie puścisz pary z gęby, podzielę się tym z tobą. Jeśli nie, olewam całe to dochodzenie.

To wystarczyło, by zaintrygowany Viljar uniósł głowę.

– Ja pieprzę, Henrik! Skoro coś wiesz, nie możesz zachować tego dla siebie! Przecież tu chodzi o Ranveig!

Jego słowa nie wywarły jednak większego wrażenia na Henriku, który z obojętnością wzruszył ramionami. W głębi duszy Viljar nie wierzył,

by tamten natrafił na coś, co mogłoby doprowadzić do przełomu w śledztwie, ale nie chciał wypuścić szansy. Ze swej strony nie miał najmniejszej ochoty rozmawiać z Øveraasem o tym, że Thomsen pozwalał sobie za dużo w pracy, i o tym, że najprawdopodobniej aż nader chętnie dzielił się z Indbjo wszystkim, co wiedział, ale nie sądził, by układ z Thomsenem mógł mu w jakikolwiek sposób zagrozić.

Przez moment Viljar spoglądał na popielniczkę, a potem westchnął ciężko.

– Świetnie, Henrik. Zgadzam się na twoją propozycję. Cóż takiego odkryłeś, na co policja jak dotąd nie wpadła? Może i uważasz się za geniusza, ale taki mądry to ty wcale nie jesteś.

– Dobra, Viljar. Spróbuj wrzucić ten swój ociężały mózdzek na wyższe obroty i posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia. I nie przerywaj, póki nie skończę, okej?

Viljar nie odpowiedział. Zamiast tego skinął głową i zapalił kolejnego peta wyłowionego z popielniczki.

– Chodzi o zabójstwo Ranveig. Z tego, co zrozumiałem, wisiła w salonie ubrana w białą suknię. Dziwi mnie, że nikt w całej redakcji nie dostrzega w tym wyraźnego odniesienia. Policja również nie jest szczególnie zainteresowana tym, w jaki sposób Ranveig została powieszona, a jedynie grzebią w waszych układach i wypytyują, czy nie znamy ludzi, który mieliby motyw do zemsty.

– W naszych układach? – Viljar spojrział z zainteresowaniem na gadzinę na fotelu.

– Olej to. Policja jedynie goni własny ogon. Dziwi mnie to, że oni w ogóle nie widzą związków z filmem.

Viljar się pochylił. Miał wrażenie, że ból głowy za moment przebije się przez czaszkę i wystrzeli na zewnątrz. Nie miał pojęcia, o czym głądził Thomsen.

– Z filmem? Z jakim filmem?

Thomsen przez moment spoglądał na Viljara ze zdziwieniem, a potem wziął telefon i odnalazł zwiastun *Upadłych aniołów*, jednej z powieści o Vargu Veumie, które zostały przeniesione na ekran kilka lat temu.

Na niewielkim ekranie pojawił się sam Varg Veum, grany przez Tronda Espena Seima. W krótkim filmiku Viljar ujrzał kilkakrotnie szczegóły, które natychmiast skojarzyły mu się ze sprawą – białe suknie i powieszona kobiety. Morderca skopiował więc mrozący krew w żyłach scenariusz z jednego z najpopularniejszych filmów w Norwegii, a nikt nie dostrzegł

związku.

Nikt, co należało podkreślić, poza idiotą Henrikiem Thomsenem.

Biblioteka Publiczna w Haugesund

Sobota rano, 18 października 2014 roku

Biblioteka Publiczna była starym, zacnym budynkiem, wznoszącym się naprzeciwko zachwycającego kościoła Naszego Zbawiciela w samym centrum miasta. Ból głowy po całonocnej libacji wcale nie zelżał i Viljar z niechęcią spojrzął na wejście. Zatrzymał się i wypalił trzeciego papierosa tego dnia, przy czym zauważył, że ludzie wchodzący do środka obrzucają go gniewnymi spojrzeniami. Nie miał pojęcia, co śmierdzi bardziej – papieros czy może wymięte, przepocone ubranie, w którym spał. Przypuszczalnie niesmak wywoływały oba czynniki.

Chwilę później drzwi za nim otworzyły się i wysoki, szczupły mężczyzna wysunął głowę ze środka.

– Ej, tu przy wejściu obowiązuje zakaz palenia! Nie możesz przenieść się na parking?

– Cześć, Øystein!

Człowiek za drzwiami wysunął głowę jeszcze bardziej. Na jego twarzy pojawiła się podejrzliwość.

– O, cześć! To ty, Viljar? Zupełnie cię nie poznałem. Przejdiesz na parking?

Ostatnie zdanie, wygłoszone przez bibliotekarza mało przyjaznym tonem, bynajmniej nie było pytaniem. Øystein należał do ludzi, którzy wyrażają polecenia w formie pytań. Viljar nie odpowiedział, tylko pstryknął palcami. Wypalony do połowy papieros zatoczył łuk nad krzakami i wylądował na asfalcie, a dziennikarz odwrócił się i ruszył w ślad za kolegą do środka.

– Dobrze, że cię tu zastałem, Øystein – powiedział Viljar, kaszlnął i spytał: – Pamiętasz może ten wieczór, kiedy spotkaliśmy Henrika Thomsena na nabrzeżu i wylądowaliśmy w Bestastuå?

Øystein Vindheim przyglądał się Viljarowi przez dłuższą chwilę, a potem ostrożnie skinął głową.

– Hm... Przecież to było nie tak dawno temu. Dziwi mnie tylko, że ty to pamiętasz. Piłeś wtedy za dwóch.

Viljar machnął ręką. Dręczył go tak potężny kac, że nie miał nawet ochoty wspominać wcześniejszych pijatyk.

– Rozmawiałem dziś z Henrikiem Thomsenem i naszło mnie pytanie. Słuchaj, czy może robiłeś nam jakieś zdjęcia podczas tej imprezy? On chyba nie, a ty?

Øystein Vindheim uniósł brwi aż ponad oprawki okularów.

– Że co? Czy ja robiłem zdjęcia? Poszedłem do domu po dziesięciu minutach, Viljar. Nie trawię tego idioty i nie miałem ochoty na zmarnowanie całego wieczoru w jego towarzystwie.

– Czyli poszedłeś sobie?

– He, he, a więc się nie pomyliłem. Niczego nie pamiętasz. Zamówiłem taksówkę, ale do końca chciałeś mnie zatrzymać. Ruszyłeś nawet w ślad za mną po schodach, ale zatrzymałeś się gdzieś w połowie. Natknąłeś się na znajomych, o ile dobrze pamiętam.

Viljar miał wrażenie, że przypomina sobie chwilę, gdy stał na schodach z Øysteinem, ale były to jedynie niespójne urywki, których w żaden sposób nie mógł ze sobą połączyć. Odpędził je więc i przeszedł do przyczyny swoich odwiedzin:

– Tak, jasne. To nie pierwszy raz, kiedy Thomsen wymyśla jakieś głupoty. Posłuchaj, przyszedłem tu z innego powodu. Potrzebuję pomocy w pewnej sprawie i coś mi mówi, że jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Viljar zatrzymał się przy kontuarze i zaczekał, aż Øystein go okrąży i zajmie bezpieczne miejsce od strony regałów i półek z książkami. Bibliotekarz zerknął na Viljara i się uśmiechnął.

– No dobrze. Jeśli to ma związek z książkami, myślę, że mogę ci pomóc. Wszystko zależy od tego, czy będę miał na to ochotę.

Uśmiech Øysteina był sztuczny, a spojrzenie pozbawione emocji.

– Co ty pieprzysz? – Viljar spojrzał na niego z niedowierzaniem.

Øystein Vindheim od zawsze był wzorem przyjaciela. Skąd się wzięła jego nieoczekiwana wrogość?

– Tak się składa, że akurat dziś nie chce mi się marnować czasu na „Haugesunds Avis”. Mam na pieńku z dziennikarką, która napisała o nas wczoraj. Błędnie przytoczyła moje wypowiedzi, a na domiar złego złośliwie ignoruje moje telefony. Mam wrażenie, że wy tam jaja sobie robicie, Viljar.

Dziennikarz stał nieruchomo, bez słowa. Na jego twarzy pojawił się nowy, obcy wyraz, który bibliotekarz najwyraźniej od razu zauważył.

– O co chodzi? Powiedziałem coś nie tak? Musicie nauczyć się znosić nieco krytyki, kiedy...

Nie zdołał dokończyć zdania, ponieważ Viljar z całej siły walnął pięścią w kontuar, aż zadrżał stos zwróconych książek.

– Dziennikarka, która przeprowadzała z tobą wywiad, została w nocy zamordowana, Øystein. Jestem przekonany, że odebrałaby twój telefon

i przeprosiła za błędne zacytowanie twoich wypowiedzi, ale niestety założono jej pętlę na szyję i powieszono.

– Na Boga, Viljar! To Ranveig...

– Tak! – przerwał mu Viljar i zasłonił twarz dłońmi. Walczył ze wszystkich sił, by nie stracić panowania nad sobą. Øystein pobladł jak trup, a jego zwyczajowy uśmiech znikł bez śladu. Zacisnął dłonie na krawędzi blatu, aż kłykcie mu pobielwały. – Przepraszam za obcesowość. Ja na serio potrzebuję pomocy.

Minęło dobrych kilka sekund, zanim Øystein ocknął się z oszołomienia.

– Jasne, jasne. Mów, o co chodzi. Naprawdę mi przykro. Przecież to musiał być jakiś koszmar...

Nieco niezgrabnie próbował poklepać kolegę po ramieniu. Viljar ujął jego dłoń i uściśnął z wdzięcznością.

– Przychodzę właśnie w tej sprawie. Ktoś wysunął teorię, że zabójca wzoruje swe morderstwa na scenach z książek i filmów.

– Z książek? Czyli to *copycat*?

Viljar zerknął na wysokiego bibliotekarza. Sam nie wpadł na to słowo, ale idealnie pasowało do sytuacji. Przecież *copycat* to naśladowca, człowiek, który odtwarza to, co inni ludzie zrobili, lub w tym przypadku, jeśli brać słowa Henrika Thomsena na poważnie, co napisali.

– Ranveig została powieszona w salonie. Miała na sobie białą koszulę nocną. Mówi ci to coś?

Viljar znał odpowiedź, ale chciał usłyszeć potwierdzenie od Øysteina. Ten spoglądał na dziennikarza z przerażeniem. Nie było na świecie człowieka, którym nie wstrząsnęłyby szczegóły, jakich policja na szczęście nie przekazała mediom.

Øystein potrząsnął głową i zapatrzył się przed siebie, a potem potaknął. Viljar zauważył, że bibliotekarz potrzebował zaledwie kilku sekund, by dojść do tego samego wniosku co Henrik. Podobieństwo zabójstwa do książkowej sceny było uderzające, choć policja nie odnalazła związku przez całą dobę. A może... Nie, tego przecież nie wiedział.

– Tak. Przychodzi mi na myśl powieść *Upadłe anioły* Gunnara Staalesena, w której ofiary były wieszane po zabiciu. Wszystkie miały na sobie białe suknie.

– Zgadza się, Øystein, ale Thomsen utrzymuje, że te „anioły” wieszano w białych sukniach tylko w filmie. Co ty na to?

– Żartujesz? Przecież to chyba niemożliwe. Staalesen nie zgodziłby się na wprowadzenie tak dużych zmian w stosunku do oryginału!

Viljar wzruszył jedynie ramionami. Nie miał pojęcia i właściwie go to nie obchodziło. Øystein Vindheim zamyślił się na moment.

– A do tego mamy jeszcze pierwsze morderstwo.

Viljar wpatrywał się w niego bez słowa. Wszelkie skojarzenia tego ranka przychodziły mu z trudem. Øystein, widząc jego pytające spojrzenie, pospieszył z wyjaśnieniami:

– Tak, rozmawiałem już o tym z Ranveig Børve. Mam na myśli tę kobietę, która wypadła z balkonu. Ta sama sztuczka.

Viljar wreszcie sobie przypomniał i natychmiast uświadomił sobie wagę odkrycia. Przecież Ranveig odkryła ten związek już w czwartek!

– Wyjaśnij mi to. Pomysł na morderstwo został zaczerpnięty z filmu czy z książki?

Zamiast odpowiedzieć, bibliotekarz odwrócił się i podszedł do jednego z regałów. Wprawnie odszukał właściwą pozycję i wręczył ją Viljarowi. Był to *Człowiek mroku* Unni Lindell. Viljar obrócił książkę i spojrzął na tekst na tylnej okładce. Natychmiast zrozumiał, że to strzał w dziesiątkę.

– Książka rozpoczyna się od tego, że pewna kobieta zostaje wyrzucona z balkonu własnego mieszkania w bloku. Przypomniałem sobie o tym w chwili, gdy po raz pierwszy przeczytałem o zabójstwie w gazecie, ale wówczas pomyślałem, że to jedynie zbieg okoliczności.

– Przyszło ci to do głowy, ale nie powiedziałaś nic policji?

– He, he! Rozumiem twoją reakcję, ale musisz wiedzieć, że wiele przestępstw popełnianych w Norwegii przypomina zdarzenia z kryminałów. Pisarze robią swój research, sam wiesz. Ale to, z czym mamy do czynienia, jest całkiem chore...

Øystein Vindheim wbił wzrok w jakiś punkt w oddali i opuścił bezwładnie ręce. Wyglądał teraz, jakby ktoś powiesił go na stojaku, by wysechł.

Viljar przedstawił mu wszystko, co wiedział o drugiej ofierze, dilerze samochodowym zabitym strzałem w głowę na schodach przed swoim domem. Vindheim pokręcił głową. To zdarzenie nie przywodziło mu na myśl żadnej sceny ze znanej mu literatury. Viljar już chciał machnąć ręką i wyjść, gdy Øystein poprosił go, by poczekał.

Chwilę później wrócił z dwiema koleżankami, które tego dnia miały dyżur. Przedstawił im w skrócie opis zdarzenia i spytał, czy przypadkiem ostatnio nie przeczytały o czymś podobnym w książce. Przez chwilę rozprawiali we trójkę, aż jedna z bibliotekarek, drobna, radosna kobieta z ciemnymi włosami, powiedziała coś, co sprawiło, że Viljar aż się

poderwał.

– A może to Jo Nesbø? Mam wrażenie, że w jednej z jego książek jakiś cwany adwokat zostaje zabity strzałem ze sporej odległości na schodach przed własnym domem. Zabójca czekał przez całą noc, a korzystał z jakiejś starej broni z drugiej wojny światowej...

– Oczywiście! – rozpromienił się Øystein. – To się działo w pierwszym tomie trylogii z Oslo, z Harrym Hole w roli głównej! Tym o weteranie frontowym... Jak ona się nazywała? *Trzeci klucz*? Nie, to chyba ta wcześniejsza...

– *Czerwone gardło*?

– Tak! – wtrąciła się ciemnowłosa bibliotekarka. – *Czerwone gardło*. Dzięki, Ruth. To na razie tylko luźny pomysł, ale niewykluczone, że tego właśnie szukamy.

Podeszła do regału i wyjęła książkę.

– Do tego morderstwa nie doszło na początku powieści. – Øystein podał egzemplarz Viljarowi. – Nie pod koniec, ale na pewno w drugiej połowie.

Dziennikarz podziękował zdawkowo. Wziął obie książki i ruszył w stronę wyjścia, kiedy niespodziewanie rozległo się piekielne wycie alarmu. Øystein zerwał się i wyłączył urządzenie.

– A karta biblioteczna?

– Chyba nie mam – wymamrotał spłoszony Viljar i wbił wzrok w podłogę. Wstyd mu było przyznać się przed kolegą, że od wielu lat nie odwiedził biblioteki.

– Cholera, a więc najwyższy czas, żebyś ją sobie wyrobił! Siadaj tutaj! – rozkazał Øystein i przystąpił do pracy.

Po wyjściu z biblioteki Viljar przystanął i rozejrzał się po centrum Miasta Śledzi. Na parkingu przed Europarkiem dostrzegł człowieka, z którym niedawno się spotkał. Henrik Thomsen szedł w stronę swojego samochodu wraz z mężczyzną, którego Viljar poznał w zupełnie innych okolicznościach.

Wiele lat temu przeprowadził z nim wywiad w związku z jakąś kradzieżą. Przypominał sobie, że facet miał na imię Arve, nazwiska nie pamiętał, ale wiedział, że to twarz znana w mieście. Henrik otworzył bagażnik, tak aby jego towarzysz mógł włożyć do środka wielkie pudło.

Viljar stał przez moment, pogrążony w myślach, i odprowadził wzrokiem mijający bibliotekę samochód. Nie miał już wątpliwości, że człowiek, który siedzi na fotelu pasażera, jest muzykiem grającym w orkiestrze symfonicznej Nord-Rogaland od czasów, gdy Viljar był nastolatkiem.

Jakie to typowe dla Thomsena – pomyślał. Nie akceptuje niczego poza

kulturą wysoką.

Sąd w Haugesund

Sobota rano, 18 października 2014 roku

Za każdym razem, gdy Lotte Skeisvoll znalazła się przed nowym budynkiem sądu w Haugesund, pojawiał się to samo wspomnienie z dzieciństwa. Wraz z Anne stały na podłodze w swoim starym domu w Solvang, ubrane jedynie w rajstopy. Wokół nich leżały stosy klocków Lego. Lotte pamiętała, że zawsze zależało jej, by Anne miała najładniejsze i najlepsze klocki, podczas gdy ona sama zadowalała się resztą, mało ciekawymi elementami, z których ledwie udawało się zbudować dom. Kończyło się tym, że wznosiła dziwną konstrukcję z kilkoma słupkami na jednym końcu i podłużnymi oknami różnej wielkości na drugim. Anne zawsze się śmiała na widok domków, które siostrze udawało się sklecić z resztek.

Biały budynek sądu w Haugesund przypominał jej konstrukcje z lat dziecięcych. Instytucja w sobotnie przedpołudnia była zazwyczaj zamknięta, ale Lotte wiedziała, że dziś odbywało się tam spotkanie dotyczące więzienia, więc wykorzystała okazję, by spróbować porozmawiać z kimś z zarządu.

Wiał ostry wiatr, a deszcz siekł o nawierzchnię, gdy policjantka przecięła ulicę Knuta Knutsena, aby przejść z placu Ratuszowego do sądu. Wbiegła do bezpiecznego, zadaszzonego wejścia i oparła dłonie o szyby drzwi wejściowych, aby zajrzeć do środka. Nie pomyliła się. Tuż obok stał sędzia André Ferkingstad, pogrążony w rozmowie z jednym z najlepszych obrońców w mieście.

Lotte zastukała w szybę, chcąc przyciągnąć ich uwagę. Ferkingstad natychmiast ją rozpoznał i podszedł bliżej, by otworzyć. Adwokat odszedł w chwili, gdy Lotte wślizgnęła się do środka i otrzepała ubranie z deszczu.

– Nie sądzę, aby pani obecność była konieczna na spotkaniu dotyczącym więzienia, Skeisvoll. Nie ma pani na mojej liście.

– Nie, nie chodzi o to. Mam kilka pytań i być może pan bądź ktoś z kolegów zna odpowiedzi. Dotyczą one morderstw, którymi się zajmujemy.

Spokojny, stateczny członek wspólnoty religijnej natychmiast pobladał i rozejrzał się nerwowo.

– Nic o tym nie wiem!

Lotte była zaskoczona. Nie przyszła do sądu, żeby go o cokolwiek

oskarżyć! Niespodziewanie przed jej oczami pojawiło się wspomnienie rozradowanego Ferkingstada, stojącego przed płonącym domem, i zrobiło jej się zimno. Po jej plecach spłynął dreszcz. Ten człowiek mógł być nieobliczalny.

Nie skomentowała jego odpowiedzi, ale zamiast tego wyjęła notatnik. Zauważyła, że jeden z rogów nieco zamókł, co natychmiast wywołało jej irytację.

Staję się coraz bardziej nieuważna. Nie radzę sobie z najprostszymi rzeczami.

– Nie wiem, ile wie pan z gazet, ale chodzi o mordercę, który najwyraźniej ma dostęp do akt sądowych. Pytanie, z którym tu przychodzę, brzmi: kto, oprócz nas, z policji, i was, urzędników sądowych, ma dostęp do szczegółów najrozmaitszych rozpraw?

André Ferkingstad spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Wszystkie wyroki są publiczne, a więc teoretycznie może być to każdy.

Lotte westchnęła. Ferkingstad najwyraźniej nie należał do najbystrzejszych ludzi świata. Nie zależało jej na wysłuchiwanie oczywistości.

– Nie o to mi chodziło. Oboje wiemy, że nikt nie jest w stanie wygooglować, czy nasz sąsiad nie był skazany za jazdę po pijanemu lub łamanie zasad obyczajności. Kto oprócz nas i was ma dostęp do takich informacji? Adwokaci? Dziennikarze? Firmy ochroniarskie?

– Na pewno nie firmy ochroniarskie, a w prasie czy w kancelariach adwokackich ludzie potrafią się dogrzebać do takich informacji, jeśli im na nich zależy, ale...

– Ale?

André Ferkingstad podrapał się z zadumą po gęstej brodzie, a potem z rezygnacją rozłożył ręce.

– Wystarczy jedynie tu przyjść i poprosić o dostęp do akt. W systemie znajdują się tylko najświeższe sprawy, a jeśli ktoś życzy sobie zajrzeć do dokumentów dotyczących starszych spraw, musi się skontaktować bezpośrednio z nami. Lub z wami. Wszystkie dokumenty są przecież archiwizowane w komendzie policji.

– Często się zdarza, że ktoś prosi o dostęp do starej sprawy?

– Nie, prawie nigdy. Ale jeśli ma pani na myśli sprawę z gazet, ten dziennikarz zaglądał do nas często przed kilkoma laty. Nieprzyjemny facet, a do tego uparty i dociekliwy. Trudno było z nim wytrzymać.

– Gudmundsson?

– Tak. Jego twarz z tym aroganckim uśmieszkiem satysfakcji spoglądała na mnie z każdego kiosku z gazetami. To hiena, która wywęszy krew i łajno z odległości mili!

Lotte zauważyła, że policzki Ferkingstada poczerwieniały z gniewu. Nie był jedynym, który reagował z niechęcią i odrazą na pozbawiony smaku reportaż Viljara w dzisiejszym wydaniu gazety. Mało komu podobało się tabloidowe podejście.

– Prowadzicie tu może rejestr takich zapytań? Czy można się dowiedzieć, kto przeglądał jakie wyroki?

Ferkingstad potwierdził skinieniem głowy.

– Tak, ale musiałbym znać numery spraw, o które konkretnie chodziło, a po kilku dniach miałbym gotową listę. Nie mamy komputerowego rejestru, w każdym razie jeśli chodzi o sprawy sprzed dwa tysiące dziesiątego roku.

Lotte zamknęła oczy. Kolejne zatrzaśnięte drzwi, a czasu pozostawało coraz mniej. Morderca nie robił długich przerw między kolejnymi zabójstwami, przez co policja miała ograniczone możliwości działania. Przymuszczalnie było to elementem jego planu – chciał zmusić policjantów do pracy na wysokich obrotach, aby nie mieli czasu do namysłu.

– Okej. Proszę spróbować odnaleźć te nazwiska, najszybciej jak się da – rzekła Lotte i podała rozmówcy trzy numery spraw.

Gdy Ferkingstad otworzył drzwi, aby wypuścić ją na zewnątrz, oboje ujrzeli wysokiego człowieka zmierzającego w stronę wejścia. Szedł z pochyloną głową, chroniąc dłońmi twarz przed siekącym deszczem. Był to Øystein Vindheim.

Ferkingstad uśmiechnął się szeroko i klepnął przybysza w ramię.

– Nie jesteś w bibliotece, bracie?

Vindheim potrząsnął głową, aby otrząpać się z kropli deszczu.

– Wyszedłem wcześniej, żeby coś zjeść, i postanowiłem zabrać kurtkę, którą zostawiłem tu w zeszły czwartek. Wygląda na to, że dziś się przyda.

– Jesteście braćmi? Przecież nosicie inne nazwiska!

Vindheim odwrócił się do Lotte i się uśmiechnął.

– Nie widzi pani podobieństwa? – spytał i przysunął się do Ferkingstada.

– Jesteśmy braćmi przyrodnimi. Mieliśmy tę samą matkę, ale różnych ojców. Ja odziedziczyłem piękno, a on jest bestią.

Øystein trącił go przyjaźnie w bok, André Ferkingstad wyglądał, jakby źle znosił dowcipy brata.

Lotte miała ochotę wypytać go o spotkanie z Ranveig Børve przed

dwoma dniami, ale nie chciała tego robić w obecności Ferkingstada.

Wyszła na zewnątrz i już miała schować notatnik, gdy ku swemu zdumieniu uświadomiła sobie, że podczas spotkania z Ferkingstadem zapisała tylko jedno słowo: *Policja?*

Muszę się skupić. Pora wziąć się do pracy.

Wygładziła kartkę, która zagięła się w rogu, zamknęła drzwi za sobą i pognąła w stronę komendy. Gdy była na wysokości Starej Rzeźni, zatrzymał się przy niej z piskiem opon radiowóz na sygnale. Knut Veldetun, który z niego wyskoczył, wyglądał na poruszonego.

– Cholera, Lotte! Znowu wyciszyłaś telefon? – zawołał, podbiegając do niej. – Wskakuj do wozu, jedziemy do szpitala. Anne przedawkowała.

Lotte Skeisvoll złapała Knuta za ramiona. Kolana się pod nią ugięły, ale dobrze zbudowany policjant złapał ją w porę.

– Dalej, Lotte, wsiadaj. Olav przejął dochodzenie. My jedziemy do szpitala.

W tym momencie nie było na całym świecie takiego dochodzenia, które miałyby znaczenie dla Lotte. Świat nagle stanął na głowie. Knut wiedział tylko tyle, że Anne została znaleziona nieprzytomna na ulicy. Nie miał pojęcia, czy jeszcze żyła.

Cztery lata wcześniej

McDonald's, Oasen Norheim

Sobota po południu, 28 sierpnia 2010

Dłonie Jonasa drżały, ale ukrył je pod stołem. Miał problemy z oddychaniem. W barze śmierdziało tłustymi frytkami. Serce biło jak szalone i nie chciało się uspokoić. Przed sobą widział okazałe wydanie „Haugesunds Avis”, w której pół strony zajmowało zdjęcie Hermana Eliassena, a dwie kolejne wypełnione były politycznymi oskarżeniami. Cały materiał był podpisany nazwiskiem Gudmundssona. Chłopak miał więc przed sobą wszystko to, o czym marzył. Patrzył na finalną zemstę, na mocny gwóźdź do politycznej trumny Eliassena, gdyż kolejne dochodzenia miały zniszczyć jego karierę raz na zawsze.

A mimo to wszystko trafił szlag. Gudmundsson przeoczył jeden drobny szczegół, ziarenko piasku, które mogło przeważać szalę. Rozpoznanie Jonasa ze zdjęć było niemożliwe, ale w lewym rogu zdjęcia widać było stół, przy

którym rozmawiał z dziennikarzem, a na blacie leżał otwarty notatnik. Słowa, które Gudmundsson napisał drukowanymi literami u góry strony, były niewidoczne gołym okiem, ale pod lupą nabierały kształtu.

Wywiad z Jonasem Ferkingstadem.

Reszta była nieczytelna, ale to nie miało znaczenia. Viljar Ravn Gudmundsson ujawnił nazwisko informatora, nie powiadamiając go o tym. Schrzaniał to, co było najistotniejsze. Nie zatroszczył się o anonimowość źródła.

Jakby tego było mało, nie odbierał teraz telefonów. Odzywała się jedynie poczta głosowa. Jonas łudził się więc, że nikt w domu bądź w najbliższym otoczeniu nie sięgnie po szkło powiększające podczas czytania artykułu. Gdyby mógł, wykupiłby cały nakład i spaliłby go. Jego życie nagle zamieniło się w koszmar. Miał wrażenie, że wszyscy się na niego gapią, że szepczą za jego plecami i pokazują go sobie palcami. Podniósł się gwałtownie, strącając szklankę z colą na podłogę, czego w ogóle nie zarejestrował. Bez zastanowienia wypadł z baru. Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza. Musiał się zastanowić.

Nadal drżąc na całym ciele, usiadł na ławce obok kościoła w Norheim. Próbował raz jeszcze odczytać napis bez lupy. Nie dało się. Mógł tylko mieć nadzieję, że dziennikarze z Oslo nie odczytają jego nazwiska. Że wezmą pod uwagę to, że przecież jest ofiarą. Niepotrzebnie się jednak łudził.

Chwilę później otrzymał wiadomość tekstową z nieznanego numeru. Człowiek, który podawał się za reportera TV 2, chciał dać mu możliwość skomentowania słów Hermana Eliassena, który utrzymywał, że artykuł zawiera same bzdury, a informator dziennikarza to szukający zemsty kandydat do młodzieżówki, który nie znalazł się w grupie przyjętej do partii i poczuł się pokrzywdzony.

Skoro telewizja odkryła jego nazwisko, wszelkie nadzieje Jonasa legły w gruzach. Pozostawało jedynie kwestią czasu, nim cały świat rzuci się na niego.

Nie było drogi odwrotu. Wieczorem wszyscy będą wiedzieć.

Muszę wziąć sprawę we własne ręce – pomyślał. Muszę zyskać czas do jutra rana. Potem daję dyla.

Wyświetlił raz jeszcze wiadomość od dziennikarza telewizyjnego. Drżącym palcem dotknął ikonki Odpowiedz i zmówił w duszy modlitwę, by jego pomysł wypalił.

– Sandgren, TV 2.

– Dzień dobry, tu Jonas Ferkingstad. Mam dla pana propozycję. Skoro

chce pan jutro wieczorem ujawnić moje nazwisko, jestem gotów dziś wieczorem udzielić panu szczerego wywiadu. Tylko TV 2, nikt inny.

Szpital w Haugesund

Sobota przed południem, 18 października 2014 roku

Pokój był biały. Białe ściany, biały sufit, biała pościel, biała skóra. Anne wyglądała, jakby wreszcie zaznała spokoju. Jej jasne włosy spływały falami wzdłuż policzków na ramiona, matowe i pozbawione życia. Znikły wszelkie zmarszczki z jej twarzy, przez co przypominała teraz drobną, śliczną lalkę. Lalkę, która nagle mogła otworzyć oczy i wydać z siebie mechaniczne: „Mama!”. Tyle że Anne niczego takiego nie zrobiła. Leżała nieruchomo, a na jej plecach nie było przycisku, który przebudziłby ją natychmiast do życia. Jej baterie były całkiem rozładowane.

Lotte patrzyła na siostrę innymi oczami. Po raz pierwszy od wielu lat widziała w niej bezbronną, małą dziewczynkę, tę samą, która z nich dwóch zawsze była tą wesołą i roześmianą, tą, która zawsze miała w zanadrzu dowcip lub zabawną historyjkę. Tą, którą zawsze intrygowało, jak wszystko działa. Ciekawiło ją życie, choć nigdy nie przyszło jej do głowy, że świat jest pełen zła i niebezpieczeństw. Jako małe dziecko była delikatna niczym pisklę w gnieździe. Wszyscy dokładali starań, aby nikt jej nie rozczarował, nie zranił czy nie skrzywdził. Zawsze miała o innych dobre zdanie i nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że ktoś może ją oszukać. W chwili śmierci rodziców życie wymierzyło Anne pierwszy potężny cios, zupełnie jakby siedziała w rozpędzonym samochodzie, który wypada z drogi i uderza w przeszkodę, zamieniając ciała pasażerów w krwawą masę. Lotte zaś nie zauważyła chwili, gdy Anne zaczęła wyślizgiwać się jej z rąk. Działo się to bowiem powoli, krok po kroku, a zaczęło się od drobnych problemów. Potem pojawiły się nieco większe, ale wciąż zrozumiałe, a potem te duże i niebezpieczne, które uruchomiły dzwonki alarmowe w głowie Lotte.

Z tego, że jej siostra znalazła się na krawędzi przepaści, zdała sobie sprawę, gdy ujrzała pierwsze strzykawki. Od tego dnia wstyd regularnie pukał do jej drzwi. Lotte nie potrafiła tego uzasadnić ani wyjaśnić, ale skupiła się wówczas na tym, by ochronić siebie, a nie siostrę. Rozpacz, troskę i bezradność upchnęła w ciemnym kącie swego umysłu, a potem zatrzęsnęła za nimi drzwi i zamknęła je na dwa zamki. Nikt nie miał prawa zaglądać do tego zakątka.

Dopiero w tej chwili, gdy wokół otaczała ją niewinna biel, zamknięte dotąd uczucia wypłynęły na powierzchnię. Nie próbowała ich powstrzymać. Łzy płynęły po jej twarzy, gdy szeptem powtarzała imię siostry. Czuła podświadomie, że nadszedł punkt krytyczny. Nigdy więcej nie okaże obojętności wobec tego, co się dzieje z jej siostrą. Nie można było udawać, że to już jej nie obchodzi.

Lekarzom cudem udało się ocalić Anne przed śmiercią. Jej serce przestało bić i minęła dłuższa chwila, nim ratownicy medyczni przystąpili do resuscytacji.

– Nie mamy jeszcze pewności, czy nie nastąpiło trwałe uszkodzenie mózgu – wyjaśniła jedna z pielęgniarek. – Ale obawialiśmy się, że może być znacznie gorzej. Samodzielnie oddycha i ma czucie w kończynach. Nie będziemy jej na razie wybudzać, a do tego czasu nie mogę pani powiedzieć nic więcej o jej stanie.

Radość z tego, że Anne udało się przeżyć najgorsze, przyćmiła nowa niepewność. Czy to możliwe, że Anne zostanie przykuta do łóżka na resztę życia? Myśli Lotte rozbiegły się we wszystkich kierunkach i nagle poczuła palący wstyd, gdy złapała się na zastanawianiu się nad tym, że nie ma czasu ani warunków, by zajmować się wymagającą opieką siostrą.

Czy ja zawsze muszę być taką egoistką? – przeszło jej przez myśl i wyobraziła sobie, jak strzela się w ucho.

Zadumę przerwał sygnał telefonu. Zdecydowała, że dopóki siedzi u boku siostry, nie będzie odczytywać żadnych maili czy SMS-ów. Nie będzie już stawiać obowiązków zawodowych przed rodziną.

Chwilę później do pokoju wślizgnęła się grupka lekarzy w białych fartuchach. Znużone spojrzenia, ciche mamrotanie, okulary na końcu nosa. Jeden z nich podszedł do Lotte i poprosił ją grzecznie, by czekała na zewnątrz do końca wizyty.

– Uzналиśmy, że Anne musi jeszcze przez kilka godzin leżeć w spokoju – powiedział po kontroli. – Zobaczysz się pani z siostrą później, choć nie mogę obiecać, że nastąpi to od razu. Takie rzeczy czasami muszą trochę potrwać.

Lotte wyszła i usiadła na jednej z kanap ustawionych przed świetlicą dla pacjentów. Wyjęła telefon i zaczęła przeglądać wiadomości. Nie spodziewała się, że otrzyma aż tyle życzeń szybkiego powrotu do zdrowia dla Anne i nikt nie miał jej za złe, że bez słowa opuściła grupę.

Czyżbym już zaczęła dopatrywać się cynizmu w każdym człowieku?

Uśmiechnęła się lekko, rozbawiona swoją postawą. Wycierając zwilgotniałe oczy, czytała jednego SMS-a za drugim, aż zwróciła uwagę

na wiadomość od Viljara. Zauważyła już, że dzwonił do niej parokrotnie, ale nie miała na razie ochoty angażować się w jego problemy.

Zmieniła zdanie natychmiast po przeczytaniu SMS-a.

Cześć, Lotte. Wpadłem na coś ważnego. Morderca kopiuje sceny z kryminałów. Sprawdziłem wszystko w bibliotece. Znaleźliśmy trzy zabójstwa w różnych książkach. Zadzwoń jak najszybciej!

Czy to możliwe?

Lotte westchnęła z rezygnacją i zastanowiła się. Czy czytała już kiedyś o czymś podobnym? Skoro jak dotąd nikt tego nie odkrył, morderca zapewne doszedł do wniosku, że w policji pracują same ptasie mózdzki.

Wybrała numer Viljara. Dziennikarz odebrał po pierwszym sygnale.

– Możemy się jakoś spotkać, Lotte? Trudno będzie rozmawiać przez telefon. Powinnas to zobaczyć na własne oczy.

Lotte przygryzła wargę. Nie, nie powinna. Anne potrzebowała jej tutaj. Lepiej wysłać Hansena albo kogoś innego.

– Wiesz co, nie mam teraz możliwości. Moja siostra jest w szpitalu. Mogę ci podesłać śledczego z Kripos?

– A będę mógł go kopnąć przy tym w jaja?

Lotte westchnęła. Najwyraźniej nie była odosobniona w niechęci do oficera Kripos. Może rzeczywiście powinna sama się tym zająć. Znów odezwały się w niej wyrzuty sumienia, ale odkrycie Viljara również nie mogło czekać. Obiecała mu, że dotrze na miejsce za pół godziny, i się rozłączyła.

Nabrała głęboko tchu i powoli wypuściła powietrze. Nauczyła się tej sztuczki na zajęciach jogi, a pomagała ona oczyścić ciało ze zmartwień, zbędnych myśli i złych uczuć.

– Teraz musisz się skupić – powiedziała do siebie. – Anne być może nie obudzi się do rana, a więc nie zauważy, że mnie nie ma. W każdym razie nie od razu. Odwiedzę Viljara i sprawdzę, co ma do powiedzenia, a potem zajrzę do lekarza szpitalnego i postaram się o zwolnienie. Nie jestem w stanie jednocześnie zajmować się Anne i prowadzić dochodzenia.

Austmannavegen, Haugesund

Sobota przed południem, 18 października 2014 roku

Po wizycie w bibliotece Viljar pozwolił, by apatia znów nim zawładnęła. Nie powiedział niczego Lotte, ale w jego skrzynce znajdował się nowy, nieotwarty jeszcze mail, wysłany na adres redakcyjny. Jego tytuł nie pozostawiał cienia wątpliwości co do zawartości.

Wyrok nr 4.

Viljar nie chciał go otwierać. Nie miał najmniejszej ochoty czytać kolejnych makabrycznych listów. Poprzedni dotyczył przecież Ranveig. Myśl o tym, że jego koleżanka miałaby być przestępcą zasługującym na karę śmierci, była zarówno przerażająca, jak i cholernie niesprawiedliwa. Los Ranveig uświadomił jednak Viljarowi, że zabójcy wcale nie zależało na tym, by dopaść osoby zasługujące na karę. Jemu chodziło o to, by przypisać winę za przestępstwa tym, których zamierzał zabić.

Akersgata przebudziła się z drzemki. Prasa brukowa prześcigała się w historycznych opisach zbrodni. Z gazet, które kupił po drodze, wyzierały ogromne zdjęcia Tømmerdalen. „VG” kusiło czytelnika nagłówkiem *Ostatnia ofiara Kata*. „Dagbladet” przyjął „poważniejszy” wariant i ochrzcił swój materiał tytułem: *Kolejne zabójstwo w Haugesund – ludzie uciekają z miasta*. W każdym bloku informacyjnym i w każdych wiadomościach pojawiał się temat Kata. Wszędzie sugerowano, że Ranveig miała na koncie czyn przestępczy.

Ranveig opowiadała mu o tej imprezie. Spała na fotelu pasażera i obudziła się w chwili, kiedy doszło do wypadku. Kierowca uciekł z miejsca zdarzenia, zostawiwszy kluczyki w stacyjce. Potem zeznawał, że Ranveig ukradła mu samochód. Dziewczyna została oskarżona o jazdę po pijanemu, ale uniewinniona ze względu na materiał dowodowy. Nikt nie był w stanie wykazać, że to ona prowadziła.

Wykorzystanie tego wydarzenia jako powodu, dla którego Ranveig zasługiwała na śmierć, było żałosne oraz śmieszne i Viljar czuł, że morderca również zdaje sobie z tego sprawę. Nie, on wybrał Ranveig, by zadać mu osobisty cios.

W całym tym zamieszaniu chodzi o mnie. Lotte może sobie wierzyć, w co chce. To wendeta, która się skończy, gdy zniknę.

Postanowił, że gdy przyjdzie Lotte, otworzy maila, ale poprosi, by przeczytała go sama. On nie chciał znać jego treści. Co więcej, nie miał zamiaru pozostać dłużej w mieście. Ponadto jego obowiązkiem było przedstawić jej teorię, którą ułożyli wraz z Øysteinem Vindheimem, a resztą powinna już się zająć policja. Stawka zrobiła się zbyt wysoka.

Mam dość własnych upiórów – pomyślał, gdy rozległ się dzwonek

do drzwi.

Na progu stała Lotte lub, ściśle mówiąc, jej wrak. Nie powiedzieli do siebie ani słowa. Viljar otworzył szerzej drzwi, by ją wpuścić, i kątem oka zauważył, że kobieta płakała. Na jej policzkach dostrzegł ślady łez, a oczy były zaczerwienione. Włosy i ubranie miała w nieładzie.

Nie zdejmując płaszcza, przeszła obok niego i wkroczyła do salonu. Opadła na najbliższy fotel i odetchnęła głęboko. Wyglądała, jakby ktoś właśnie ją odarł z wszystkiego tego, co składało się na jej osobowość i wyjątkowość. Viljar miał przed sobą zombie w świetle dnia. Usiadł na sofie naprzeciwko niej, odwrócił ku niej swój stary komputer i wskazał maila.

W oczach Lotte na moment pojawiła się rozpacz. Wbiła wzrok w ekran i otworzyła maila, po czym przeczytała go dokładnie. Gdy skończyła, z zatroskaną miną pokręciła głową, a potem otworzyła usta po raz pierwszy od wejścia do mieszkania Viljara:

– No i co? Czytałeś?

Viljar pokręcił głową. Wyciągnął paczkę z tytoniem, nie zważając na ostrzegawcze spojrzenie Lotte. Byli w jego mieszkaniu, a tu panowały jego własne zasady. Skręcał papierosa zawsze, gdy robiło się nieprzyjemnie. Lotte skrzywiła się i rozejrzała w poszukiwaniu okna, które mogłaby otworzyć. Zwlokła się z fotela i powłócząc nogami, podeszła do okna kuchennego.

– Tym razem chce dopaść jakiegoś przemytnika. Znów zmienił serwer – powiedziała i wyjęła telefon, by przekazać najnowsze rewelacje. Obiecała, że prześle maila Olavowi. Viljar czekał, aż skończy rozmawiać, by podzielić się kolejnym spostrzeżeniem.

– To jest bez sensu – oznajmił. – Nie znajdziecie go na podstawie informacji, które wam zostawia. Ten mail może wam wręcz ograniczyć poszukiwania, a morderca znów dopnie swego. Ciekawe są natomiast te litery i liczby na dole. Cóż one oznaczają?

Lotte obrzuciła go badawczym spojrzeniem i ponownie skierowała uwagę na ekran. Przesunęła maila na sam dół.

– AH1-2.

– Super. Dzięki temu wkrótce się dowiemy, w jaki sposób ofiara zostanie zamordowana – rzekł dziennikarz.

Czuł, że natrafił na ważną wskazówkę, ale sprawa była tak wyczerpująca, że Viljar nie odczuwał ani odrobiny satysfakcji.

– Mam dokładnie taką ochotę na zabawę w zgadywanki jak

na towarzystwo uwielbiających tajemnice dziennikarzy bez pracy. Jeśli widzisz w tym coś nowego, to mi powiedz!

– Ów kod wskazuje na konkretne morderstwo w jakiejś powieści, a ściśle mówiąc, w kryminale napisanym przez kogoś o inicjałach AH. W tym przypadku będzie to drugie morderstwo w jego lub jej pierwszej książce.

– Anne Holt?

– Na przykład, ale może ich być więcej. Trzeba to sprawdzić. Jeśli to rzeczywiście Anne Holt, to mamy szczęście. Mam jej wszystkie książki. – Viljar wskazał kciukiem ogromny regał z książkami, który zajmował całą ścianę aż po sufit. Choć w całym mieszkaniu był bałagan jak w melinie narkomanów, na półkach panował wzorowy porządek.

– Nie sądziłam, że czytasz. Eee...

Viljar lekceważąco machnął ręką.

– Mam to wszystko po mojej eks.

Lotte wstała i podeszła do półki. Powoli, ostrożnie przesunęła palcem po grzbietach książek.

– Jak się nazywał jej debiut?

– *Ślepa bogini*. Powieści są poustawiane według dat wydania.

Lotte pokiwała w zadumie głową i zdjęła właściwą książkę z półki. Zaczęła ją kartkować, ale przerwała i odwróciła głowę ku Viljarowi, nadal siedzącemu na sofie.

– Musimy to czytać czy znasz odpowiedź?

– Pojęcia nie mam. Sama musisz poszukać odpowiedzi.

Lotte z powieścią w ręku wróciła na fotel.

– A te pozostałe? Co to za książki?

– Pierwsza to *Człowiek mroku* Unni Lindell, w której kobieta zostaje wyrzucona z balkonu we własnym mieszkaniu w bloku. Drugie było najtrudniejsze do rozgryzienia, ale doszliśmy do tego, że to *Czerwone gardło* Jo Nesbø, gdzie adwokat zostaje zastrzelony na schodach własnego domu. O tym trzecim nie ma co w ogóle mówić. Przecież widzieliśmy film.

– *Upadłe anioły*... – wyszeptała Lotte.

W całej norweskiej kinematografii nie było bardziej przerażających scen od tych, w których przypominające anioły ofiary w białych koszulach nocnych zwisały z sufitu, ale Viljar postrzegał ten motyw w inny sposób. Jemu sceny już zawsze miały się kojarzyć z Ranveig.

Cisza w mieszkaniu wydawała się wręcz bolesna, ale trwała na szczęście zaledwie kilka sekund. Viljar wyciągnął dłoń ku Lotte. Policjantka zrozumiała, że chodzi mu o książkę, którą trzymała. Oddała ją, a sama

wybrała numer do komendy.

Dziesięć minut później miała odpowiedź.

– Posłuchaj...

W powieści człowiek zostaje zastrzelony z bliska z pistoletu dużego kalibru. Scena, krótka i brutalna, dzieje się przed drzwiami jego własnego domu. Jeden strzał i *game over*. Jeśli dobrze odgadli i Anne Holt była właściwym wyborem, wiedzieli, jak będzie wyglądać kolejne morderstwo.

– A może są jacyś inni?

Lotte spojrzała na regał.

– Musicie to porządnie sprawdzić – rzekł Viljar. – W *Upadłych aniołach* morderca inspirował się jedynie wersją filmową, ale myślę, że to Holt. Pozostała trójka – Gunnar Staalesen, Unni Lindell i Jo Nesbø – to przecież znani norwescy autorzy kryminałów.

Lotte pokiwała głową. Mieli więc odpowiedź zarówno na pytanie „co nastąpi”, jak i „w jaki sposób”. Pozostało teraz odkryć, kto jest ofiarą oraz gdzie i kiedy dojdzie do zabójstwa.

Viljar zerknął na zamyśloną Lotte i poczuł przypływ współczucia. Była odpowiedzialna za sprawę, której rozwiązać się nie dało. Jak dotąd morderca okazał się zbyt szybki.

Komenda policji w Haugesund

Sobota po południu, 18 października 2014 roku

Trzy godziny po spotkaniu między Lotte a Viljarem w centrali operacyjnej w komendzie panowała napięta atmosfera. Lotte przedstawiła Hansenowi wszystko, czego się dowiedziała od dziennikarza, i zabrała się do pracy. Śledczy z Oslo wiedział, że myślami była nadal przy siostrze, co było niedopuszczalne, ale postanowił, że nie będzie robił żadnych uwag. Cieszył się, że mógł pokierować dochodzeniem. Opracował listę koniecznych posunięć i zabrał się do wydawania zwięzłych poleceń członkom grupy.

– Knut! Twoim zadaniem będzie odnalezienie wszystkich przemytników, którzy zostali uniewinnieni przez sąd w Haugesund od roku dwa tysiące drugiego aż do dziś. Wybierz sobie dwóch funkcjonariuszy do pomocy. Wszystkie urlopy weekendowe są wstrzymane, a więc będziesz miał spory wybór. Uzgodniłem z sędzią André Ferkingstadem, że możecie spotkać się z nim w sądzie. Pomoże wam szybciej dotrzeć do odpowiednich spraw.

Następnie Olav spojrzał na Larsa Stoplego.

– Lars! Masz bogate doświadczenie terenowe i znasz ludzi ulicy. Zakładam, że znasz również kilka osób, które maczały palce w przemyśle. Szmuglerami narkotyków nie zwracaj sobie głowy. Mail wyraźnie sugeruje, że chodzi o przemytników, którzy nie płacą podatków przy sprzedaży alkoholu oraz papierosów i w ten sposób unikają odpowiedzialności społecznej. Wiesz, kogo mam na myśli. Spróbuj pogadać z kimś takim, może podrzucą nam kilka ciekawych nazwisk. Weź ze sobą kilku ludzi, którzy znają środowisko, okej?

Wiedział, że starszy funkcjonariusz zrobi to, o co został poproszony, i nie czekał na jego skinienie głowy czy odpowiedź.

– Ja zaś zajmę się zespołem z Kripos, który należy wprowadzić w temat. Reszta grupy będzie badać okoliczności wcześniejszych zabójstw, ale bądźcie w pogotowiu. Niewykluczone, że czeka nas niebawem akcja.

Ludzie siedzący wokół stołu pokiwali głowami, a potem rozeszli się do zadań.

Dwie godziny później Olav Scheldrup Hansen otrzymał listę, na której znajdowało się siedem nazwisk z adresami. Siedem potencjalnych ofiar.

Muszę wyeliminować niektóre z nich – pomyślał i skinął na Larsa Stoplego. Nie możemy być w siedmiu miejscach jednocześnie. Mam nadzieję, że Stople mi pomoże.

– Otrzymaliśmy siedem nazwisk, Lars. Czy mógłbyś mi powiedzieć, jakich utrudnień możemy się spodziewać podczas prób uchronienia ich przed zabójcą?

Lars podrapał się po głowie i przejrzał listę. Był sumiennym człowiekiem i potrzebował czasu, by odpowiedzieć na to pytanie jak należy, tymczasem Hansen miał ochotę nim potrząsnąć. Nim Hansen stracił cierpliwość i ofuknął go, Lars odkaśliął i rzekł:

– Z tym nie będzie problemów. – Wskazał trzecie nazwisko na liście. Był to Johan Gundersen, zamieszkały przy Fjellvegen 8H w Haugesund.

Olav wypuścił powietrze z płuc, czekając na wyjaśnienia.

– Johan mieszka na ósmym piętrze, w tym samym bloku co Rita Lothe – wyjaśnił po chwili starszy policjant. – Istnieje tylko jedno wyjście z klatki schodowej i wystarczy dwóch ludzi, by zablokować tam ruch.

– Dobrze, Lars. Dokładnie takiego toku myślenia się spodziewałem. Po tym, co od ciebie usłyszałem, myślę, że możemy ze spokojem skreślić Gundersena z tej listy. Może spać spokojnie.

– Dlaczego? – Lars spoglądał z niedowierzaniem na przełożonego. Ten się uśmiechnął.

– Nasz człowiek nie jest głupi. Nigdy się nie zdarzyło, by przestępca wykorzystał dwukrotnie to samo miejsce zbrodni. On dobrze wie, że sąsiedzi będą przez jakiś czas czujni i przewrażliwieni. Będą bacznie przyglądać się ludziom, którzy wchodzą do bloku i z niego wychodzą. Ryzyko jest zbyt wielkie.

Lars Stople pokiwał głową.

– Tego tu – wskazał palcem ostatnie nazwisko – Ivara Staursethego też można skreślić. Zapadł się.

– Co? Co to znaczy, że się zapadł?

– Szukamy go od dwóch tygodni. Był zamieszany w sprawę z narkotykami, ale znikł, zanim udało nam się go aresztować. Jego mieszkanie jest pod stałą obserwacją, stąd wiemy, że go w nim nie ma. Mój informator zapewnił mnie, że „Ivers” zwiął z Norwegii, a teraz popija tropikalne drinki w jakimś cieplejszym kraju.

Śledczy z zadowoleniem pokiwał głową. Staruszek może i powoli pociągał za spust, ale strzelał amunicją dużego kalibru. Hansen nie spodziewał się aż takich rewelacji. Pozostało pięć nazwisk.

– Reidun Samland... Jej skreślić nie możemy, ale zapewnienie jej ochrony będzie łatwiejsze niż w przypadku reszty – ciągnął Lars, wskazując na adres przy jej nazwisku.

– Røvær? Gdzie to jest?

– To mała wyspa jakieś dziesięć kilometrów na zachód od miasta. Morderca musiałby skorzystać z promu bądź własnej łodzi, żeby tam dotrzeć, i na pewno nie zdołałby przybić do brzegu niezauważony. Żeby go powstrzymać, wystarczy kilku obserwatorów, którzy zatrzymają się u pani Samland i poinformują nas, jeśli coś się będzie działo.

– Co oznacza, że jeśli wyślemy dwóch ludzi na tę wyspę, będziemy mogli wykorzystać resztę zespołu do obstawienia pozostałych czterech adresów?

Lars pokiwał głową i postawił krzyżyki przy reszcie nazwisk.

– Rozumiem, że działamy otwarcie i na sygnale?

Zdaniem Hansena otwarte działanie policji było najbezpieczniejszym rozwiązaniem. Za wszelką cenę nie mogli dopuścić do tego, by morderca podkraść się niespostrzeżenie do ofiary. Widoczna obecność policji mogła go odstraszyć.

– Tak. Radiowozy mają parkować możliwie jak najbliżej mieszkań na tej liście.

Lars znów skinął głową. Olav zadał sobie w myślach pytanie, czy nie był to wypracowany manewr, który Stople stosował w każdej rozmowie

z przełożonym – najpierw ostrożne pytanie, a potem potakiwanie.

– A więc nie ewakuujemy potencjalnych ofiar? Nie umieszczamy funkcjonariuszy w ich domach?

– Wówczas poszukiwany będzie musiał czekać. Nie będzie miał możliwości działania. Tymczasem nasza obecność na miejscu będzie wyzwaniem dla jego przerośniętego ego. Zapewne wykorzysta okazję i spróbuje nas przechytrzyć. Ten człowiek jest bardzo pewny siebie i będzie szukał każdej, najdrobniejszej nawet okazji, żeby dopiąć swego.

Lars wydawał się niepokieszony. Zakaszłał i zdobył się na kolejne pytanie.

– Czyli sugerujesz, żebyśmy wykorzystali tych czworo ludzi w charakterze *sitting ducks*? Nie wydaje mi się, aby Lotte się na to zgodziła.

Olav odprowadził go na bok. Nie życzył sobie, by ten dziadek mieszał się do jego taktyki oraz planów, i uznał, że warto go zrugać.

– Posłuchaj no, Lars. Lotte i ja zgadzamy się co do kolejnych kroków, a ty podajesz je w wątpliwość. Takie rzeczy przeszkadzają w prowadzeniu dochodzenia, wiesz? Negatywne nastawienie i brak umiejętności współpracy. Rozumiesz?

Olav czekał na odpowiedź, ale tym razem nie doczekał się ani kolejnych pytań, ani skinienia głową.

Requiem – Offertorium, Hostias

Czuję jedynie spokojny puls, delikatne, elektryczne uderzenia. Doskonale znam własne ciało. Wyczuwam każdą, najdrobniejszą nawet zmianę w otoczeniu – morską bryzę, która łaskocze mnie w szyję, zapach ludzi, którzy mijają mnie na Haraldsgata, woń kebabu i hot dogów z cebulą. Każdy impuls z zewnątrz jest wzmocniony, nic mnie nie omija. Jestem drapieżnikiem na polowaniu. Podążam tropem zwierzyny.

Dziś rano poczyniłem ostatnie przygotowania, a potem rozpoczął się prawie niemożliwy do wytrzymania dziesięciogodzinny okres oczekiwania. Z początku czekanie sprawiało mi przyjemność i obudziło we mnie ekscytację, jakiej dotąd nie zaznałem, ale już dawno uleciała, a zastąpiły ją niecierpliwość i niepokój. Nie chcę już czekać. Chcę znów poczuć, jak z ciała trzymanego przeze mnie człowieka uchodzi życie.

Sposób wybrany na dziś jest najprostszy z możliwych i potrwa zaledwie trzy sekundy. Otwierające się drzwi, palec na cynglu i huk broni. Tak, pistolet to w istocie łatwy wybór.

Na szczęście policja nadal nie ma pojęcia, kim jestem. Jak dotąd udało mi się umknąć przed ich radarami, co w sumie jest dość śmieszne. Nikt nie zadał policji ani jednego krytycznego pytania, nikt nie zmarszczył brwi i nie wytknął im nieskuteczności. Stróże prawa biegają dookoła jak kurczaki z uciętymi głowami.

Ich nieoczekiwany brak kompetencji oznacza dla mnie więcej pracy. Muszę znów wprowadzić poprawki do partytury, coś dodać, coś innego usunąć. Nie wygląda to źle, ale oryginał podobał mi się bardziej.

Rozwój wydarzeń wcale nie był tak przewidywalny. Doszło do kilku niespodzianek.

Uśmiecham się lekko do siebie, pogrążony we wspomnieniach. Jestem do tego przygotowany. W końcu pracuję z ludźmi, a ci nie są bezwolni jak kukiełki w teatrzyku. Robią nieoczekiwane rzeczy, podejmują irracjonalne decyzje, słuchają serca, a nie rozumu. Mimo wszystko muszę stwierdzić, że jestem zadowolony. Może nie wszystko idzie zgodnie z planem, ale dźwięki w harmonii są równie przewidywalne jak ruchy figur szachowych. Mogę je doprowadzić tam, dokąd zechcę, do miejsca, z którego będę mógł je wybrać jedną po drugiej. Kiedy gra dobiegnie końca, moje posunięcia zostaną uwiecznione w książkach historycznych. Nigdy nie zostaną

zapomniane.

Dom Arnfreda Simonsena wydaje się wręcz stworzony na moje potrzeby. Stoi na skraju lasu naprzeciwko cmentarza Naszego Zbawiciela, dzięki czemu dziecinnie łatwo się do niego podkraść i później od niego oddalić. Prowadzi do niego dwustumetrowa ścieżka, z której łatwo można uciec. Nikt nie zobaczy tego, co się wydarzyło. Kogo zaniepokoi widok biegacza na ścieżce? Co więcej, przejście podziemne na Karmundsgata przesłania początek ścieżki.

Przejście podziemne jest coraz bliżej. Spoglądam przez ramię, nie widzę jednak nikogo w pobliżu. Biegnę spokojnie przed siebie, ale przyspieszam w chwili, gdy przejście zasłania mnie przed oczami przypadkowego obserwatora. Wbiegam do lasu, kładę się wśród suchych liści i czekam. Mija pięć minut, nikt nie przechodzi. Drzewa rosną niezbyt blisko siebie i łatwo jest zbliżyć się do domu. Dostrzegam czerwony dach, w którym odbija się światło latarni ulicznych stojących wzdłuż Salhusvegen. Podnoszę się i przemykam na skraj lasu, a tam przyklękam na jedno kolano, oddycham głęboko przez moment i wycofuję się bezszelestnie, ponieważ nie jestem sam. Z czoła spływają mi kropelki potu, serce bije coraz szybciej.

Na uliczce przy cmentarzu stoją dwa radiowozy z wirującymi światłami. Tego na pewno nie zaplanowałem! Czuję narastającą panikę. Spokój, który towarzyszył mi do tej pory, to element kontroli nad sytuacją. Wystarczył ułamek sekundy, by spokój ten znikł bezpowrotnie. Ogarnia mnie wściekłość, nie na policję, która wszak wykonuje jedynie swe zadanie, ale na siebie samego. Powinienem był poczekać z mailem do popołudnia, tak jak to początkowo planowałem. Staję się nazbyt pochopny! Policja miała wystarczająco dużo czasu, by uruchomić własne metody. Jestem niedbały. Niecierpliwy i nieostrożny. A przecież obiecałem sobie, że będę nad sobą panował.

Pochylam głowę ku liściom i oddycham. Uspokajam puls i oddech. Mózg przecież potrzebuje tlenu, żeby myśleć jasno, a to konieczne do odzyskania kontroli. Muszę odzyskać panowanie nad sytuacją, by dokończyć zadanie. Muszę je wypełnić, by nie zniweczyć dzieła sztuki. Muszę działać racjonalnie. Logicznie. W prosty sposób. Spoglądam na samochody. W każdym siedzi dwóch ludzi. Przechodnie zapewne pomyślą, że to kontrola drogowa, której celem jest zatrzymywanie pijanych kierowców na Salhusvegen, ale ja wiem swoje. Mają mnie odstraszyć. Uchronić Arnfreda Simonsena przed losem, jaki mu zgotowałem.

Kusi mnie, aby mimo wszystko przeprowadzić pierwotny plan, ale nie

wolno słuchać serca. Nadal uspokajam oddech, aż moje myśli powracają do odpowiedniej częstotliwości. Strategia jest jasna. Skoro policja czuwa tu, zapewne obstawia również inne możliwe miejsca. Czas więc na plan B. Wstaję z uśmiechem i ruszam w drogę powrotną. Bardzo podoba mi się plan B.

Centrum Haugesund

Sobota wieczór, 18 października 2014 roku

Lotte Skeisvoll było niewygodnie. Siedziała wciśnięta w tylne siedzenie samochodu policyjnego i spoglądała przez okno, które bez przerwy zaparowywało i trzeba było je wycierać. Klimatyzacja najwyraźniej miała gorszy dzień i działała jedynie na przednią szybę. Szturchnęła Hansena, który siedział na przednim siedzeniu.

– Czy możemy raz jeszcze omówić operację? Nie rozumiem kilku szczegółów.

Hansen nie miał zamiaru się odwracać, ale mruknął pod nosem i jeszcze raz powtórzył briefing sprzed kilku minut. Tym razem jednak mówił powoli, jakby zwracał się do kogoś mało inteligentnego, kto potrzebował czasu, by przetrwać informacje.

– Ograniczyliśmy nadzór policyjny do czterech miejsc. Funkcjonariusze działają w mundurach, a radiowozy mają włączone światła. Chcemy pokrzyżować mordercy plany, tak aby zaczął improwizować. Nadażasz?

Olav zerknął przez ramię. Lotte pokiwała głową.

– Z czterech obstawianych przez nas adresów dwa znajdują się w centrum, jeden na Salhusvegen przy cmentarzu i jeden w Skudeneshavn. Do tego wysłaliśmy dwóch ludzi na Røvær, żeby niańczyli pewną panią, która również może być na celowniku mordercy. Pierwszy z adresów w centrum to ten stary dom po drugiej stronie ulicy, tuż przy wejściu do Palestine Restaurant. Mieszka tam Jomar Palsgård, dla przyjaciół Jompa, pięćdziesiąt pięć lat, alkoholik. Skazywany wielokrotnie, ale kilka razy uniewinniony. Ma słabość do polskiej wódki i polskich papierosów. W centrum mamy jeszcze jeden radiowóz, tuż przy stadionie. Mieszka tam pewien imigrant, który nazywa się... Poczekaj.

Olav Scheldrup Hansen wyłowił telefon z kieszeni kurtki i zaczął przeglądać notatki.

– O, mam. To Heilu Manstrawi, lat czterdzieści, skazany za nielegalne

srowadzanie i sprzedaż papierosów z Nigerii. Kto, do ciężkiej cholery, miałby ochotę palić nigeryjskie papierosy? Nieważne. Został uniewinniony, ponieważ jakimś sposobem zdołał przekonać sąd, że papierosy sprowadził na własny użytek. Czterdzieści dwa kartony. Zapłacił karę za nielegalny import, ale uniknął więzienia, bo nie udowodniono mu sprzedaży.

Pomysł Hansena nie przypadł Lotte do gustu, ale nie wiedziała, jak go skrytykować. Czuła, że przewrażliwiony na swoim punkcie Hansen może się obrazić i przestać z nią rozmawiać.

– Z czystej ciekawości... co sprawiło, że zdecydowałaś się akurat na taką strategię nadzoru? Jakby to ująć... Co nakazuje logika: chronić potencjalne ofiary w ich domach czy może zabrać je w jakieś bezpieczne miejsce?

Scheldrup Hansen wyprostował się na siedzeniu. Lotte wiedziała z doświadczenia, że śledczy nie lubi takich pytań, ale odpowiedział spokojnym tonem:

– Morderca musi ulec napięciu. Demonstrując naszą obecność, zmuszamy go, żeby zaczął działać irracjonalnie. Próbujemy wytrącić go z równowagi, tak aby zaczął grać według naszych zasad. Innymi słowy, przejmujemy inicjatywę.

Lotte dostrzegła sens w argumentacji Olava, ale strategia nadal jej się nie podobała. Na jej oczach toczyła się ryzykowna rozgrywka, w której nie mogli ponieść porażki. Chciała zadać kolejne pytania, ale zrezygnowała. Była na to zbyt zmęczona.

Zerknęła na swoje dłonie, które lekko drżały. Niepokój. Troska. Wstyd. Minęło zaledwie kilka godzin od chwili, gdy Anne została uratowana od śmierci, a Lotte już wróciła do pracy, choć poprzysięgła, że tego nie zrobi. Znowu praca była dla niej ważniejsza od rodziny.

Dlaczego to zrobiłam? – myślała. Przecież moja obecność tutaj nie ma żadnego znaczenia!

Z jej oczu bez ostrzeżenia popłynęły łzy i Lotte odwróciła się, aby Hansen i drugi z policjantów nie dojrzeli tego w lusterku wstecznym. Czuła, że jej siostra jeszcze nigdy nie znalazła się tak blisko wrót do nieba, a w dni takie jak te Lotte wolała poczuć adrenalinę, niż siedzieć i się zamartwiać. Nie sądziła zresztą, by Bóg miał coś przeciwko takim wyborom.

Otarła łzy brzegiem dłoni i obiecała sobie, że po akcji wpadnie do szpitala. Musiała odwiedzić siostrę. Nie mogła jej całkiem zdradzić. W takiej chwili tym bardziej powinna jej pokazać, że siostra może na niej polegać. Pytanie natomiast brzmiało, czy tak jest naprawdę.

Olav rozmawiał cicho z drugim z policjantów. Lotte nie rozumiała ani

słowa. Miała wrażenie, że celowo zatajają przed nią treść rozmowy. Czuła się ignorowana na tylnym siedzeniu, pusta i bezużyteczna. Niby uczestniczyła w zabawie, ale nikt nie brał jej na poważnie. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Naraz jej myśli wypełniły dźwięczne głosiki z najstarszych wspomnień z dzieciństwa – patrzyła wówczas, jak inne dzieci bawiły się w berka, chowanego czy klasy, ale sama nie chciała w tym uczestniczyć. Mogła przecież przegrać, a to by się jej nie spodobało.

Czy i tym razem tak było? Czyżby zrezygnowała z kierowania dochodzeniem tuż po tym, jak natrafiła na przeciwności? Czy oddanie dowodzenia dużym, twardym facetom nie było najbezpieczniejszym rozwiązaniem, dzięki czemu mogła usunąć się w cień i patrzeć na to, co robią inni? Lotte pokręciła głową i odsunęła myśl od siebie. Wcale tak nie było. Nadal trzymała ster. Nadal była szefową grupy dochodzeniowej. Sęk w tym, że siedziała na tylnym siedzeniu...

Jej myśli rozproszył nagle głos, który dobiegł z głośnika radia policyjnego. Wzywał ich jeden z wozów patrolowych.

– Słyszemy strzały! Powtarzam, słyszemy strzały. Nie przy stadionie, ale gdzieś dalej, chyba w pobliżu Fjellvegen. Słyszemy wyraźnie dwa strzały. Powtarzam, dwa wystrzały. Mamy opuścić pozycję czy wyślecie inne patrole?

– Jesteście pewni, że to broń palna? – spytał śledczy z Kripos. – Fjellvegen, tak? Czy to nie tam, gdzie znajdują się wysokie bloki?

– Potwierdzam. Nie mam pewności, czy strzały dobiegły akurat stamtąd, ale kierunek i odległość chyba się zgadzają.

– Do wszystkich patroli! Powtarzam, do wszystkich patroli! Ruszajcie do wieżowców na Fjellvegen. Dobiegają stamtąd strzały z broni palnej. Pod 8H mieszka potencjalna ofiara.

Lotta nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Potencjalna ofiara w blokach? Bez ochrony?

– Co ty, do cholery wyczyniasz, Olav?

– Wykreśliliśmy tego człowieka z naszej listy. Mieszka na wysokim piętrze i trudno uwierzyć w to, żeby zabójca popełnił zbrodnię w tym samym rewirze co wcześniej. Ponadto tam mieszka mnóstwo ludzi i nie udałoby mu się niespostrzeżenie wejść i wyjść z bloku, tym bardziej po tym, jak wystrzeli.

– Ja pieprzę, jesteś największym idiotą, jakiego w życiu poznałam! – wrzasnęła Lotte. Zewsząd słychać było syreny radiowozów zbliżających się do Fjellvegen.

Dwa samochody policyjne ostro zahamowały na parkingu przed wieżowcami, a w oddali połyskiwały błękitne światła kolejnych. Przed wejściem do jednego z bloków zebrała się grupka gapiów. Lotte, Hansen oraz trzeci policjant wyskoczyli na zewnątrz i przywarli do boku auta. Śledczy z Kripos krzyknął, by wszyscy się cofnęli, ale miejscowi stali jak zaczarowani.

Minutę później na parkingu zatrzymał się trzeci pojazd, a do Fjellvegen nadciągały kolejne. Knut Veldetun, który przyjechał w drugim radiowozie, chwycił za megafon i nakazał zebranym się rozejść. Powoli tłum zaczął się rozpraszać, ale w zachowaniu ludzi nie było paniki ani przerażenia. Jeden z gapiów ruszył w stronę radiowozów, nie okazując pośpiechu. Lotte chciała się podnieść, ale Olav natychmiast ściągnął ją w dół.

Kobieta czuła w całym ciele, że coś się nie zgadza. Zazwyczaj, gdy pojawia się jakieś niebezpieczeństwo, ludzie w pośpiechu szukają schronienia, a ci tutaj okazywali jedynie ciekawość. Potwierdzało to zachowanie mijającego ich człowieka, który zatrzymał się przed samochodami i spojrzał na kryjących się za nimi policjantów.

– Dał dyla – oznajmił sucho i wskazał mieszkania studenckie obok bloku.

Lotte podjęła kolejną próbę podniesienia się, ale tym razem nikt już jej nie powstrzymywał.

– Co tu się stało? I kto niby dał dyla? – zapytała, dając znak pozostałym, by również wstali. Mężczyzna zerknął w stronę wejścia do bloku.

– Jakiś gość wystrzelił dwa razy, wybiegł na zewnątrz, wskoczył na rower i pojechał tamtędy! – objaśnił i wskazał jeszcze raz miejsce, w którym Fjellvegen skręca za mieszkaniami studenckimi i prowadzi dalej ku Geitafjellet. Lotte złapała go za rękę i odprowadziła na bok.

– Widziałeś go?

– Nie za bardzo. – Zapytany zastanowił się. – Mignęły mi jego plecy, kiedy odjeżdżał na rowerze, ale był już daleko, kiedy wyszedłem. W każdym razie był ubrany na czarno, a na głowie miał kaptur.

– Skąd wiesz, że to był mężczyzna?

– Nie no, tego to na sto procent nie wiem. Tak mi się tylko wydawało.

– Czy w bloku są może jacyś poszkodowani?

Żrenice mężczyzny rozszerzyły się, gdy uświadomił sobie, że w istocie ktoś mógł zostać ranny.

– O Boże, to całkiem możliwe, ale...

– Ale?

– Nie mam pojęcia. Ludzie wybiegali z mieszkań, ale jakoś nie przyszło mi

do głowy, że facet mógł kogoś postrzelić. Przecież ktoś zacząłby wówczas wrzeszczeć. Może nawet widzielibyśmy ofiarę!

– Zostań tutaj. Chcę z tobą porozmawiać po sprawdzeniu wszystkich mieszkań. Czy słyszałeś, z którego piętra dobiegły strzały?

Mężczyzna był najwyraźniej zaskoczony. Pokręcił głową i spojrzał pytająco na Lotte.

– Z piętra? Nie, nie sądzę, żeby ten człowiek był gdzieś wysoko. Myślę, że strzelał w wejściu. Sam mieszkam na pierwszym piętrze i wybiegłem z domu niemal natychmiast. Gość uciekał już na rowerze, a więc strzały musiały paść gdzieś blisko. Stawiałbym na wejście do klatki.

Lotte rozumiała coraz mniej. Skoro podejrzany strzelał w wejściu na klatkę schodową, na pewno nie chodziło mu o to, aby kogoś trafić. Przebiegła przez parking i zatrzymała się przy drzwiach do bloku, gdzie kilku policjantów przeprowadzało już oględziny. Stał tam również Scheldrup Hansen.

– Idźcie najpierw do mieszkania 8H i sprawdźcie, czy nikogo tam nie ma.

– Kto tam mieszka? – spytała Lotte.

– Johan Gundersen, samotny mężczyzna, czterdzieści trzy lata, oskarżony o przemyt, ale uniewinniony cztery lata temu. Jest na naszej liście.

– A mimo to nie dostał dziś ochrony?

Śledczy z Kripos wydawał się wytrącony z równowagi, a jego twarz wyrażała coś pomiędzy złością a niepewnością. Lotte nie miała pojęcia, dlaczego popełnił tak wielki błąd. Przecież sprawa z Ranveig powinna go czegoś nauczyć.

– Próba zastrzelenia kogoś na ósmym piętrze to czysta głupota! Człowiek, który podjąłby taką próbę, zostałby przecież zauważony przez dziesiątki ludzi!

– Nie, Olav! Głupotą jest sądzić, że poszukiwany przez nas człowiek kieruje się logiką i zdrowym rozsądkiem! Głupotą jest szykować operację według własnego widzimisię i ryzykować przy tym życie niewinnych ludzi! Służymy w policji, Olav. Naszym zadaniem jest chronienie ludzi, a nie narażanie ich na niebezpieczeństwo. Niech cię szlag!

Przecisnęła się obok Hansena i pognała po schodach na ósme piętro. W połowie drogi pożałowała swojej decyzji – przecież w wieżowcu na pewno znajdowała się winda. Westchnęła ciężko i ruszyła w górę, mijając funkcjonariuszy, którzy zaglądali do innych mieszkań. Przed drzwiami oznaczonymi 8H stał Knut Veldetun i rozmawiał z człowiekiem, który nie mógł być nikim innym jak tylko Johanem Gundersenem.

Bijący od niego smród alkoholu Lotte wyczuła już na półpiętrze, a wzrok męczyzny świadczył o tym, że nie był to pierwszy drink tego wieczoru. Stał przed Knutem półnagi, narzuciwszy jedynie podarty sweter na ramiona. Paradował z wydatnym brzuchem. Musiało upłynąć sporo czasu, odkąd ostatni raz widział swoje genitalia.

Mniejsza o to – pomyślała Lotte. Żyje, a to jest najważniejsze.

Pokręciła głową i dała Knutowi znać, że wraca na dół.

Na białym tynku między pierwszym a drugim piętrem widać było wyraźnie dziury po kulach. Policjantka nadal nie mogła doszukać się w tym sensu. Nie miała pojęcia, co mogło skłonić człowieka do oddania dwóch strzałów w ścianę i uciezki. Chciał ich wystraszyć? Pokazać, że nadal panuje nad sytuacją i jest w stanie zabijać swoje ofiary?

Wyczerpana fizycznie i psychicznie, wróciła do radiowozów. A może strzały na klatce schodowej oddał ktoś inny, a nie ścigany przez nich morderca? Może to tylko jakiś zbieg okoliczności? Odpowiedź nadeszła dwie minuty po tym, jak rozsiadła się na przednim siedzeniu radiowozu.

Prędzej mnie szlag trafi, niż pozwolę, by Scheldrup Hansen usiadł tu raz jeszcze choć na chwilę – pomyślała.

W tej samej chwili usłyszała głos w radiu policyjnym:

– Centrala alarmowa. Jest tam kto?

Lotte westchnęła i wyciągnęła mikrofon z uchwytu na desce rozdzielczej.

– Tu radiowóz numer pięćset pięćdziesiąt cztery. Mówi Skeisvoll. O co chodzi?

– Otrzymaliśmy zgłoszenie o strzelaninie na Djupaskarsvegen przy stadionie. Jesteście może w pobliżu?

Lotte poczuła, że krew odpływa jej do stóp. Zrobiło jej się zimno. Patrol policyjny stał tam przez cały wieczór, ale wraz z innymi przybył na osiedle, co dało mordercy swobodę działania w całym mieście. Mógł teraz robić to, co mu się żywnie podobało, i Lotte uświadomiła sobie, że los imigranta z Djupaskarsvegen 21B jest właściwie przesądzony. Nacisnęła klakson, by wezwać resztę, choć wiedziała, że jest już za późno.

Gdy trzy minuty później radiowozy na sygnale dotarły na Djupaskarsvegen, przed domem Manstrawiego również zgromadził się tłum ludzi, ale ci, w przeciwieństwie do gapiów na osiedlu, byli przerażeni. Niektórzy krzyczeli, inni płakali, jeszcze inni stali nieruchomo i patrzyli bez emocji przed siebie. Drzwi domu stały otworem, a na progu leżał trup nigeryjskiego przemytnika papierosów.

Lotte poddała się. Przekazała Larsowi wiadomość, że będzie nieosiągalna

przez telefon, i oddaliła się bez żadnych wyjaśnień. Miała serdecznie dosyć swojej pracy i mało obchodziło ją, że za takie podejście może oberwać.

To się chyba nazywa zaniedbanie obowiązków służbowych – pomyślała, idąc w stronę przejścia nad szosą. Przynajmniej szef będzie miał na kogo rzucić winę, kiedy będzie próbował się wybielić na porannej konferencji prasowej.

Szpital znajdował się w odległości zaledwie dwóch minut spaceru, a w nim leżał ktoś, kto na nią czekał. Ktoś, kto nadal pozostawał przy życiu, przynajmniej na razie.

Austmannavegen, Haugesund

Sobota wieczór, 18 października 2014 roku

Tego wieczoru Viljar zamknął się w swoim mieszkaniu w towarzystwie Johnny'ego Walkera, choć wiedział, że to kiepski wybór.

Nudziarz z tego Johnny'ego – pomyślał. Mało mówi i śmierdzi jak stary dziad.

Po tym, jak Lotte w pośpiechu opuściła jego mieszkanie, Viljar zrobił to, co sobie wcześniej postanowił – zadzwonił do gabinetu swojej psycholożki. Chciał się dowiedzieć, co przekazała policji, ale Vigdis zaprzeczyła, by powiedziała im choć słowo. Najwyraźniej jeszcze się z nią nie skontaktowali. W trakcie rozmowy telefonicznej psycholożka od razu się domyśliła, że coś poszło nie tak. Krótkie wyjaśnienia Viljara wystarczyły, by wystawiła mu czterotygodniowe zwolnienie lekarskie z powodu długotrwałego stresu.

Ostatnie lata życia wypełniły mu zmagania z wszechogarniającym, niszczycielskim mrokiem, ale zawsze starczało mu siły woli, by powrócić do równowagi. Co więcej, nie miał wyboru. Nie mógł przecież zapominać o Alexandrze. Chłopak mieszkał u matki, ale mimo wszystko Viljar nie mógł się poddać. Brakowało mu wewnętrznego głosu, który powiedziałby mu, że wszystko jakoś się ułoży. Że wszystko kiedyś minie.

Wystarczyło zamknąć oczy, a znów widział białą postać Ranveig. Miał wrażenie, że nie ma tyle whisky na świecie, by zatrzeć to wspomnienie, a wypalony na siatkówce obraz będzie mu towarzyszył przez całą wieczność.

Viljar dopił zawartość kolejnej szklanki whisky, która jeszcze przed chwilą była pełna po brzegi, i uświadomił sobie, że nalał alkoholu do szklanki

do mleka. Siedział w czterech ścianach jak jakiś przeklęty pijak, żłopał whisky ze szklanki do mleka i użalał się nad sobą? Nagle postanowił, że zajmie się tym, czym zająć się trzeba. Na pierwszym miejscu na jego liście znalazł się mail do naczelnego, w którym zdradzi hasło do skrzynki. Następnie się spakuje...

Dwadzieścia minut później, gdy Viljar ponownie usiadł na sofie, wszystko było gotowe. Na podłodze stały dwie torby z przypadkowo wybranymi rzeczami. Spakował też paszport oraz portfel z kartą kredytową i kartą do bankomatu. Mail został wysłany i Viljarowi pozostało jedynie ustalić, dokąd właściwie mógłby się udać.

Przejrzał ofertę linii lotniczych. Jak dotąd nie podróżował zbyt wiele i było mu w zasadzie obojętnie, gdzie wyląduje. Zależało mu tylko na tym, aby znaleźć się jak najdalej stąd, aby trafić tam, gdzie nikt nie będzie nań krzywo patrzył, gdy otworzy sobie flaszkę po śniadaniu, stroniąc od innych.

Może do Alicante? Czemu nie?

Viljar opłacił przelot, wydrukował bilet i umieścił go między paszportem a portfelem w jednej z toreb, a potem wyciągnął się na sofie. Ustawił budzik w telefonie na dziesiątą rano, dzięki czemu będzie miał jeszcze chwilę, by strzelić sobie drinka przed odjazdem autokaru na lotnisko w Stavanger. Przed zapadnięciem w sen odmówił krótką modlitwę o to, by w samolocie nie spotkać nikogo znajomego. Chciał po prostu uciec. Schować się. Znaleźć się jak najdalej od tego cholerstwa, które go otaczało.

Kiedy znajdował się między snem a jawą, odwiedził go Jonas. Viljar ujrzał jego młodą, niewinną, piękną twarz, jego jasne, przydługie włosy, jego ostrożny uśmiech, który Viljar źle zrozumiał w chwili, gdy brał od niego list. Spotkali się zaledwie dwa razy, ale nie było dnia, by Jonas nie nawiedził go w koszmarach. Prześladował go w każdej minucie dnia, pojawiał się niemalże co noc we śnie. Viljar wiedział, że Jonas nigdy go nie opuści, a teraz był bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Stał przed drzwiami wejściowymi do mieszkania Viljara z nowym listem w rękach. Nie tym samym co wcześniej, bo wsuniętym w różową kopertę. Po chwili dziennikarz uświadomił sobie, że Jonas nie jest sam. Obok niego stała Ranveig, która trzymała go za rękę. Była piękna jak zwykle, ale na widok jej białej sukni serce Viljara zaczęło dziko walić.

Zerwał się ze snu, gdy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Viljar był złany zimnym potem. Coś mu mówiło, że głośno wrzeszczał, gdy ujrzał we śnie Ranveig i Jonasa na swoim progu. Wciąż oszołomiony i nie do końca rozbudzony, poczłapał ku drzwiom. Podświadomie spodziewał

się, że gdy je otworzy, ujrzy obie postacie ze swego koszmaru. Tymczasem stało się inaczej.

Gdyby był bardziej przytomny, być może zareagowałby w porę. Być może. Tymczasem człowiek, który zadzwonił do drzwi, wdarł się do środka, zanim Viljar zdołał otworzyć usta. Złapał Viljara za głowę i z ogromną siłą uderzył nią o ścianę przy drzwiach. Sekundę później umysł dziennikarza był już uwolniony od wszelkiego fizycznego bólu.

Cztery lata wcześniej

Torvastad, Karmøy

Niedziela przed południem, 29 sierpnia 2010 roku

Wątpliwość zacisnęła żelazne palce na gardle Jonasa. Wiedział, że powinien wyjść – ba, wybiec! – teraz, póki to jeszcze możliwe, ale nie był w stanie wyrwać się z domu.

– Pospiesz się, Jonas! Nie mamy, cholera, całego przedpołudnia. Twój ojciec będzie tu lada chwila! – Fredric niecierpliwie przebierał nogami.

– Zawsze przychodzi dopiero po wypiciu kawy wraz z innymi wiernymi po nabożeństwie, sam dobrze wiesz.

– Ale wszyscy już chyba słyszeli plotki, Jonas. Twój stary siądzie za kierownicą, jak tylko ktoś go zagadnie na schodach przed kościołem.

Jonas się ociągał. Wiedział, że Fredric ma rację, ale dom, którego nienawidził ze wszystkich sił, nagle wydał mu się miejscem o wiele bezpieczniejszym. Chłopak miał wrażenie, że dom pochyla się ku niemu i szepcze, by nie robił niczego głupiego.

Jonas chwycił spakowaną torbę. Zerknął na list, który zostawił mamie i siostrze. Prosił w nim, aby mu wybaczyły i aby nigdy nie wyparły się dobrych wspomnień. Prosił, aby pamiętały o wszystkich dobrych rzeczach, które się zdarzyły, zanim parafia otoczyła ich prorocत्वami końca świata, zanim w ścianach domu zagnieździł się strach przed grzechem i opuściło ich zwykłe ludzkie dobro. Poprosił je nawet, aby opiekowały się ojcem. Spróbowały go przekonać, by go zrozumiał. W głębi duszy wiedział, że to niewiele da. Ojciec mu nigdy nie wybaczy tego, że wzgardził łaską Pana, która niesie bezpieczeństwo i pokrzepienie, a wybrał potępienie oraz grzech.

Nie było innego sposobu. Musiał uciekać. Wiedział, że ojciec lada moment zrozumie, że został oszukany, i czym prędzej wróci do domu, by go

ukarać. Jonas wrzucił ostatnią torbę do samochodu i stanął raz jeszcze na podwórku przed starym domem. Miał ochotę się pomodlić, ale zrezygnował z tej myśli, bo czuł, że zachowałby się wówczas jak obłudnik.

Pomysł, na który wpadł podczas rozmowy z dziennikarzem z „VG”, zapewnił im sporo czasu. Jonas obiecał, że w niedzielę wieczorem udzieli gazecie wywiadu, pod warunkiem że dziennikarze nie ujawnią jego tożsamości. Powiedział rozmówcy, że potrzebuje czasu, by przygotować rodzinę na te rewelacje. Tamci się zgodzili.

Wieczorem zanosilo się na niezłe zamieszanie, gdy dziennikarze „VG” uświadomią sobie, że zostali wystrychnięci na dudka. Trzeba było liczyć się z tym, że zaczną kwestionować jego wiarygodność, ale rano uśmiechnęło się do niego szczęście i otrzymał nieoczekiwaną pomoc. Do NRK zgłosił się pewien młody człowiek z Surnadal, który opowiedział o swoich przeżyciach, gdy jako szesnastoletni członek młodzieżówki został uwiedziony przez obecnego ministra transportu. Eliassen sprawował wówczas jedynie funkcję naczelnika okręgu, ale zeznania potwierdzały jedynie, jakim był człowiekiem i jakie szkielety leżały w jego szafie.

Teraz chodziło tylko o to, by zwać stąd, zanim ojciec pozna prawdę. Istniała możliwość, że już dowiedział się o wszystkim i jest w drodze do domu, przed czym ostrzegał Fredric.

– Jasna cholera, Jonas! Musimy spadać! – wołał niecierpliwie. Silnik samochodu mrucał, ale Jonas nadal stał jak skamieniały i wpatrywał się w dom. Nie reagował na wołanie przyjaciela, a ocknął się dopiero, gdy Fredric wyskoczył z samochodu i chwycił go za ramię. – Co ty wyprawiasz, Jonas? Musimy się stąd wynosić! Oni zaraz mogą tu wrócić!

– Ine... Mała Ine... Ona tu będzie całkiem sama, Fredric. Sama z ojcem. Ona ma tylko mnie i mamę, choć mama nie jest do końca taka jak kiedyś. Ine będzie tu taka samotna... – Jonas walczył ze łzami. Troska o młodszą siostrę była spoiwem, które łączyło go z domem lat dziecińczych.

– Ona da sobie radę, Jonas, a ty... Cóż, jak ojciec cię dorwie, będzie po tobie. Odjedźmy stąd, dobrze?

Jonas spojrział na ukochanego, a w jego wzroku pojawiło się coś na kształt niedowierzania. Niczym żywy trup dał się zaprowadzić do samochodu, a wtedy Fredric wskoczył za kierownicę i nacisnął pedał gazu. O ścianę uderzyły kamyki spod opon. Samochodem zarzuciło na ostrym zakręcie i chłopak z trudem odzyskał panowanie nad nim.

Ujechali zaledwie sto metrów, kiedy wydarzyło się to, co się musiało stać. Na zwirowej drodze pojawił się zmierzający prosto ku nim czarny opel

corsa ojca. Droga była tak wąska, że dwa samochody nie mogły się swobodnie wyminąć. Fredric ostro zahamował i skręcił.

– Kurwa! Kurwa mać! – wrzasnął.

Nie było już drogi ucieczki. Obaj zaraz mieli ujrzeć pełnię gniewu Andrégo Ferkingstada. Patrzyli, jak drzwi corsy się otwierają, a ojciec Jonasa wysiada z auta. Stał przez sekundę z zaciśniętymi pięściami, a potem powoli ruszył w ich kierunku.

Czas zwolnił. Każda sekunda rozciągała się w wieczność, przepełnioną zrujnowanymi marzeniami. Chłopcy siedzieli jak sparaliżowani i czekali na to, czego nie mogli uniknąć. Postać ojca potężniała z każdym krokiem. Nie mieli żadnych wątpliwości. Wiedział o wszystkim. Jego twarz wydawała się jak wykuta z kamienia, a spojrzenie nieprzejednane. Krzyk przelatującej w pobliżu wrony był jedynym dźwiękiem, który zakłócał ciszę, przynajmniej do chwili, gdy Fredric usłyszał słowa, które wyszeptał do niego Jonas. Ciche, niemal niesłyszalne, ledwie głośniejsze od wydechu.

– Jedź, Fredric.

– Co? – Chłopak nie wierzył własnym uszom.

– Jedź! – powtórzył głośniejsz Jonas. – Jedź! Jedź! Omiń go z lewej! Wystarczy miejsca! Tylko rusz wreszcie!

Fredric zareagował natychmiast. Wcisnął pedał gazu i zwolnił sprzęgło. Jego samochód przemknął obok ojca Jonasa i skręcił w lewo, by wyminąć corsę poboczem. Słyszeli krzyk ojca oraz głośne łupnięcie, gdy mężczyzna rąbnął pięścią w jadące z dużą prędkością auto.

Z tego, że od katastrofy dzielą ich ułamki sekund, zdali sobie sprawę dopiero w chwili, gdy samochód Fredrica gnał już po trawie. Tylne drzwi opla były otwarte, a dwa metry przed ich maską stała, wrzeszcząc, mała dziewczynka. Żaden z nich nie zdołał nawet zareagować. Usłyszeli trzask, gdy zderzak uderzył ją na wysokości kolan i posłał na maskę. Uderzyła w szybę, przetoczyła się po dachu i spadła na ziemię, gdzie znieruchomiła w nienaturalnej pozycji. Dopiero wtedy Fredric zdołał wcisnąć pedał hamulca. Auto przejechało jeszcze kawałek, nim się zatrzymało. Przez chwilę panowała absolutna cisza, aż wreszcie eksplodowały krzyki. Matka Jonasa wyskoczyła z samochodu i przypadła do nieruchomego dziecka, klękając w kałużę krwi. Ojciec zaś ryczał i biegł, nie ku dziewczynce, ale ku nim.

Fredric wrzucił bieg i dodał gazu. Jonas siedział nieruchomo obok niego. Nie reagował, nie protestował. Nie krzyczał. Płacz w żaden sposób nie był w stanie załagodzić czarnej rozpacz. Gdy auto ponownie znalazło się na drodze, ujrzeli w lusterku wstecznym, że ojciec wreszcie się zatrzymał.

Groził im zaciśniętymi pięściami i wykrzykiwał coś, czego nie mogli usłyszeć. Jonas nie miał pojęcia, co robi jego przyjaciel. Siedział nieruchomo i wpatrywał się tępo przed siebie, nic nie widząc. Z jego twarzy znikły wszystkie kolory. Bez ostrzeżenia zwymiotował na koszulę i kolana.

Fredric otarł łzy i szlochał cicho, dodając gazu na drodze prowadzącej w stronę Karmsundbroa. Kobieta, która chciała przejść na drugą stronę szosy przy podstawówce w Bø, cofnęła się przestraszona. Fredric nawet jej nie zauważył. Nie było już drogi odwrotu. Żaden z nich nie był w stanie pomóc Ine.

Djupaskar, Haugesund

Noc z soboty na niedzielę, 19 października 2014 roku

Olav Scheldrup Hansen był nieprawdopodobnie zmęczony i niewiele dzieliło go od popadnięcia w apatię. Musiał przyznać, że zarówno on, jak i cały zespół dochodzeniowy zostali wystawieni na pośmiewisko. Zrobili z siebie idiotów. Padli ofiarą najprostszej odwracającej uwagę sztuczki w historii. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że ścigany wodzi ich za nos. Ledwie usłyszeli o strzałach, natychmiast wskoczyli do samochodów i przyjechali na osiedle, dając tym samym mordercy mnóstwo swobody. Nigeryjczyk, trafiony w głowę z bliska, osunął się na próg swego domu i wyzionął ducha, zanim zrozumiał, co się dzieje.

Było niewiele krwi, co oznaczało, że serce przestało bić w chwili, gdy kula przeszła mózg.

Mam jego śmierć na sumieniu – pomyślał Olav.

Najbardziej irytowało go to, że całą operację zaplanował prawidłowo. Wybrał najbardziej prawdopodobne ofiary i przewidział, że zabicie Johana Gundersena będzie się wiązało ze zbyt wielkim ryzykiem, przez co zabójca na pewno wybierze inny cel. Wszystko się zgadzało, ale mimo to dali się wyprowadzić w pole. Nie było wątpliwości, że większość decyzji podjętych tego wieczoru wynikała z błędnej oceny sytuacji.

Wystarczyłby jeden człowiek czuwający na osiedlu. Policjanci, zamiast afiszować się ze swoją obecnością, powinni byli ukryć się w mieszkaniach, przez co morderca sam wpadłby w pułapkę. Gdyby ewakuowali potencjalne ofiary, nikt by nie zginął. On tymczasem wybrał radiowozy na sygnale. Chciał obudzić w przestępcy przerażenie i zmusić go do popełnienia fatalnego błędu. Morderca tymczasem oparł się presji. Dwa

wystrzały w klatce schodowej – i proszę! Cała jednostka policyjna wyłączona z akcji.

Dali popis rażącej nieudolności, ale Hansen nie chciał reagować tak jak Lotte. Pragnął z godnością przetrzymać napór nawałnicy. Nie miał zamiaru uciekać z podkulonym ogonem, gdy tylko robiło się za gorąco. Czy ona naprawdę sądziła, że można dowodzić zespołem i umykać przed odpowiedzialnością, gdy się popełni błąd? Kapitan pozostaje na okręcie do końca, nawet gdy okręt zaczyna tonąć. Tymczasem Lotte Skeisvoll jako pierwsza tego wieczoru zeszła do szalupy ratunkowej i pokazała tym samym swoją prawdziwą naturę.

Próba wystraszenia zabójcy przyniosła pewne rezultaty, ponieważ zdobyli na jego temat sporo informacji. Dwóch świadków widziało, jak jedzie na rowerze, a najbliższy sąsiad ofiary na Djupaskar widział zabójstwo z okna swego salonu. Morderca został więc po raz pierwszy zauważony, i to nie jeden raz, a trzy razy. Stał się nieostrożny i zaczął ryzykować. Co więcej, dowiedzieli się paru innych rzeczy, które mogły pomóc w dochodzeniu. Dzięki dwóm wyraźnym śladom stóp w miękkim piasku przed domem Nigeryjczyka znali rozmiar buta zabójcy, a dalsze badania powinny ujawnić, jaki to był rodzaj buta. Dzięki informacjom od naocznych świadków mogli zaś ustalić przybliżony wzrost i wagę sprawcy.

Dane te znacznie ograniczały liczbę podejrzanych. Z tego, co rozumiał, w chwili pojawienia się trzeciego maila w siedzibie redakcji przebywało zaledwie pięć czy sześć osób, które nosiły buty tego rozmiaru, a do tego dorównywały zabójcy wzrostem i wagą.

Szkoda, że nie mam możliwości pobrania próbek DNA od reszty podejrzanych – pomyślał Scheldrup Hansen i spojrzał na otaczający go chaos. Przyjrzał się uważnie gapiom, których tłumy oblegały taśmy rozciągnięte przez policję. Większość tych ludzi zatrzymała się po drodze do domu po imprezie w którymś z lokali na nabrzeżu wewnętrznym. Rozmawiali przyciszonymi głosami, jakby bali się przeszkadzać zmarłemu.

Gdy Hansen tak stał, pogrążony w myślach, zauważył człowieka, który trzymał się nieco z tyłu, za plecami innych gapiów. Miał na sobie czarną kurtkę i trzymał rower.

Czy to może być on? – uświadomił sobie niespodziewanie Olav.

Wielu ludzi wierzyło w to, że przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni. Hansen śmiał się z podobnych przekonań, ale przecież wszystko w tej sprawie przypominało perypetie opisane w jakimś odrzuconym przez wydawcę manuskrypcie wypalonego pisarza. Olav odwrócił się powoli

w stronę jednego z techników i zapytał, czy robił może zdjęcia ludzi stojących przed taśmami. Technik podniósł głowę i zmarszczył krzaczaste brwi, które ułożyły się w grubą, komicznie wyglądającą linię.

– Nie. A powinienem?

– Tak, ale zrób to dyskretnie. Zrób to tak, żeby nikt się nie zorientował. Skup się przede wszystkim na człowieku z rowerem, który stoi jakieś dziesięć metrów za resztą, po prawej. Jeden ze świadków mówił o kimś podobnym.

Krzaczaste brwi powróciły na poprzednie miejsce. Technik chciał się odwrócić w kierunku wskazanego człowieka, ale śledczy z Kripos w porę złapał go za rękę.

– Nie!

Technik pokiwał głową i ruszył w stronę tłumu gapiów, gdzie zajął się fotografowaniem licznych śladów stóp. Nie kierował się w stronę rowerzysty, ale Olav zauważył, że przyklęknął i zabrał się do wymiany obiektywu. Przypuszczalnie planował niby przypadkiem omieść aparatem całą okolicę.

Technik wrócił kilka minut później. Wskazał obszar, który rzekomo badał przed chwilą, i zaczął coś mówić, gestykulując przy tym intensywnie. Jednocześnie pokazywał Olavowi ekran aparatu. Seria zdjęć przedstawiała wyraźne, ostre zdjęcia wszystkich gapiów.

Nie wyłączając rowerzysty – uświadomił sobie z zadowoleniem Olav.

Nieznajomy zakrył twarz kapturem, ale coś w jego sylwetce wyglądało znajomo. Hansen nie wiedział, czy chodzi o sposób poruszania się, postawę czy coś innego, ale nie miał wątpliwości, że kiedyś już widział tego człowieka. Spotkali się w jakiejś sytuacji, ale gdzie?

Olav Scheldrup Hansen ruszył ostrożnie w kierunku nieznajomego, ale zanim się zbliżył, ten wskoczył na rower i objechał skrzyżowanie z Karmsundsgata, a potem znikł w kierunku Flotmyr. Śledczy posłał w ślad za nim jeden z patroli, ale po upływie dziesięciu minut usłyszał meldunek, że nie udało się go zatrzymać.

– Cholera! Co tu się dzieje? – zaklął głośno Hansen.

Walnął pięścią w deski pokrywające ściany domu.

Lotte Skeisvoll nie ma prawa się o tym dowiedzieć – pomyślał. Udusiłaby mnie bez litości.

Komenda policji w Haugesund

Niedziela rano, 19 października 2014 roku

Przed niecałym tygodniem wszystko w komendzie było w idealnym porządku. Wszyscy spodziewali się spokoju na służbie i nikt nie oczekiwał problemów czy niebezpieczeństw. Każda kolejna niedziela była leniwym piknikiem na trawie, aż tu nagle padł grom z jasnego nieba. Naczelnik Arnstein Guldbransen chrząknął, westchnął i z rezygnacją pokręcił głową, a potem oddał Lotte zwolnienie lekarskie.

– Jesteś najlepsza spośród moich śledczych, Lotte, i tak naprawdę nie mogę się bez ciebie obyć, twoje zachowanie w tej sprawie wszystko jednak komplikuje. Ten świstek ratuje ci skórę i uniemożliwia mi zawieszenie cię w obowiązkach służbowych, ale oboje wiemy, że wczoraj wieczorem dopuściłaś się czegoś niewybaczalnego. Nikomu nie wolno opuszczać miejsca zbrodni w taki sposób.

– Naprawdę źle się czułam, Arnstein...

Lotte nie miała zamiaru pozwolić na to, by szef podważył jej zwolnienie lekarskie. Tylko dzięki niemu wciąż miała uzasadnioną nadzieję na odzyskanie pracy. Naczelnik znów westchnął.

– Super. Rozumiem, że będziesz się trzymać oficjalnej wersji. Dobrze więc. Ja również się nią zasłonę, gdy pozwolę ci wrócić do obowiązków, ale powinnaś wiedzieć, że wszyscy ludzie uczestniczący w śledztwie domyślą się, że to stek bzdur.

– Nie mogę komentować tego, co ludzie myślą i w co wierzą. Źle się czułam i musiałam natychmiast udać się do lekarza. Nic nie poradzę, jeśli ktoś ma inne zdanie. Żadne z nas, ani ty, ani ja, nie potrzebuje plotek, hipotez czy zwykłego gadania za plecami, żeby wyrobić sobie zdanie w jakiejś sprawie.

Kąciki ust Arnsteina Guldbransena drgnęły lekko. Spojrzał na Lotte znad okularów.

– Gdybyś ty nie była tak cholernie zdolna, Lotte.

Następnie kazał jej odejść i wysłał wiadomość do Olava Hansena, by wprowadził Lotte w temat.

* * *

Lotte odetchnęła z ulgą po wyjściu z gabinetu Guldbransena. Nie miała pewności, czy szef przyjmie jej wytłumaczenie i uzna zasadność zwolnienia lekarskiego. Wiedział przecież, że Lotte mogła namówić któregoś z lekarzy

w szpitalu do wypisania zaświadczenia, uzasadniając to tym, że policjantka musiała się zająć swoją siostrą.

Nie miała pojęcia, co się działo po tym, jak opuściła miejsce przestępstwa. Anne przebudziła się i wstępne badania wskazywały na to, że nic jej nie będzie. Udało im się kilkakrotnie zamienić parę słów, ale Lotte była zbyt zawstydzona, by pamiętać cokolwiek z ich rozmów. W końcu, około trzeciej nad ranem, zasnęła, a obudziła się, gdy szlochająca Anne usiadła na brzegu łóżka i drżącymi rękami zaczęła wciągać na siebie brudne ubrania, w których została znaleziona na ulicy.

Nic nie było w stanie powstrzymać narkomana na głodzie. Znikły obietnice rzucenia nałogu i wyjścia na prostą. Anne nie potrzebowała już Lotte przy sobie. Teraz pomoc jej mogła tylko jedna rzecz, a tego w szpitalu nie było.

Nikły błysk w oczach siostry, który Lotte widziała w nocy, również znikł. Z radia w poczekalni napływały dobrze jej znane strofy śpiewane przez Johnny'ego Casha, przypominające teraz mroczny omen.

...The needle tears a hole – The old familiar sting...

Komenda policji w Haugesund

Niedziela przed południem, 19 października 2014 roku

Olav Scheldrup Hansen jeszcze nigdy nie czuł się taki mały. Jak dotąd rozrośnięte ego rekompensowało wszelkie braki fizyczne, ale nawet ono skurczyło się, gdy szedł za plecami Knuta Veldetuna. Ten człowiek był wprost ogromnych rozmiarów i razem wyglądali wręcz sztucznie, niczym florencka rzeźba renesansowa. Pomimo swego wzrostu policjant poruszał się miękko jak kot. Patrząc na niego, Olav nagle zatęsknił za własną młodością.

– Spróbowałeś skontaktować się z Gudmundssonem wszelkimi sposobami, Knut? – zapytał policjanta, który otworzył przed nim drzwi radiowozu, jakby Olav nie mógł tego zrobić sam. – Co ci powiedzieli w redakcji?

Młody policjant spojrzął przez ramię i odpowiedział:

– Dostał czterotygodniowe zwolnienie lekarskie i nie ma go w pracy.

Obaj siedzieli już w jednym z radiowozów parkujących przed komendą. Olav cieszył się, że potężny policjant nie chce iść pieszo, ale nie mógł uwolnić się od myśli, że razem stanowią dość komiczny widok. Knut, który mościł się za kierownicą, nie miał wystarczająco dużo miejsca dla nóg i wyglądał równie nieszczęśliwie jak Bubba Smith w roli Mosesa Hightowera w pierwszej części *Akademii Policyjnej*.

Przed blokami na Austmanna przyciągnęli pierwsze ciekawskie spojrzenia. Była niedziela i większość mieszkańców osiedla korzystała z łagodnej jesiennej aury. Dzieci bawiły się na trawnikach na lewo od bloku B, a rodzice siedzieli cierpliwie, nie spuszczać pociek z oczu. Obaj policjanci wysiedli z samochodu i ruszyli przed siebie, udając, że nie zdają sobie sprawy z tego, że wszyscy na nich patrzą. Każde posunięcie policji było natychmiast łączone ze sprawą Kata, a w mieście roiło się od dziennikarzy i kamer telewizyjnych.

Knut i Olav stanęli przed drzwiami do klatki schodowej i zadzwonili pod numer mieszkania Viljara Gudmundssona. Kilka kolejnych prób nie przyniosło rezultatu, więc Olav sięgnął po starą sztuczkę pod tytułem: „Zapomniałem kluczy, a muszę wejść”. Naciskał jeden przycisk po drugim, aż wreszcie rozległ się brzęczyk i mogli wejść do środka. Viljar mieszkał na drugim piętrze, co Olav powitał z ulgą.

Knut nie wsiadłby do windy, nawet gdyby facet mieszkał na dwudziestym piątym – pomyślał gorzko.

Zadzwonili do drzwi, ale nikt nie otworzył. Wtedy Knut załomotał głośno, aż w korytarzu rozległo się echo, ale nadal nie było reakcji. Już mieli się odwrócić i odejść z kwitkiem, gdy jakaś kobieta wysunęła głowę zza sąsiednich drzwi.

– Nie ma go w domu – oznajmiła, zerkając na obu policjantów.

Najwyraźniej nie miała zamiaru nic dodać, więc Olav przejął inicjatywę:

– Skąd pani wie? Widziała go pani dzisiaj?

Kobieta pokręciła lekko głową. Wpatrywała się w Knuta, całkiem ignorując Olava. W jej wzroku pojawiło się pragnienie, czego nie udało jej się ukryć.

– Nie, gdzie tam – odpowiedziała po chwili. – Nie wiem, czy dzisiaj był u siebie. W każdym razie niczego nie widziałam ani nie słyszałam. Ale wczoraj był w domu, to wiem. Obudził mnie głośny huk z jego mieszkania. Ubrałam się i podeszłam do drzwi, żeby się przekonać, czy wszystko gra, ale mignęły mi tylko jego plecy. Schodził na dół.

– Dobrze. Jest pani pewna, że to był on? Przecież widziała pani tylko jego plecy.

– No a kto miałby to być? Przecież to w jego mieszkaniu słyszałam ten hałas, a po tym, jak wyszedł, było już całkiem cicho.

– W co był ubrany? Może pani coś o tym powiedzieć? A może był pijany?

Kobieta stojąca na progu potrząsnęła głową i roześmiała się:

– Czy był pijany? Cóż, byłabym zdziwiona, gdyby był trzeźwy, że tak to ujmę. Rzadko się zdarza, że ktoś trzeźwy przewróci wieszak na ubrania i nie podniesie go po sobie.

– Czyli przewrócił wieszak? Wydawało mi się, że widziała pani jego plecy, kiedy szedł po schodach.

Kobieta westchnęła z rezygnacją i wyszła na klatkę schodową. Miała na sobie tylko jedwabny top, który ledwie zakrywał nagie, smukłe uda. Knut przewrócił oczami i nieco zawstydzony, usiłował patrzeć wszędzie, tylko nie na nią.

– Spójrzcie no przez to. – Wskazała judasza w drzwiach. – Gdyby otworzył drzwi, zobaczylibyście wieszak przy przeciwległej ścianie.

Gestem zaprosiła ich do środka. Nawet nie próbowała odsunąć się od Knuta, gdy policjant pochylił się, by spojrzeć przez wizjer.

– I podeszła pani do drzwi po tym, jak już zniknął?

Kobieta w topie spojrzała na śledczego, jakby był idiotą.

– No pewnie. Przecież musiałam sprawdzić, czy wszystko gra. Rumor był, że hej, mówię panu.

Olav Scheldrup Hansen podejrzewał, że pomocna sąsiadka usiłuje zamaskować swą wścibskość.

– Spoglądała pani przez judasza, żeby się przekonać, czy z Viljarem wszystko w porządku, choć już zszedł po schodach?

Przez twarz kobiety przemknęła niechęć.

– Przecież ja nie wiem, czy to był na pewno Viljar – odezwała się powoli, cedząc słowa wyraźnie, jakby rozmawiała z głupkiem. – Tylko mi się wydaje, że to był on. Zobaczyłam mężczyznę w czarnej kurtce z kapturem. Szedł, jakby dźwigał jakiś worek. Rano mieliśmy wywóz śmieci, no to uznałam, że znosi swoje na dół.

Scheldrup Hansen pociągnął kolegę za rękaw i dał mu znać, że muszą się zbierać. Knut zerknął z zaskoczeniem na śledczego z Kripos i zszedł w ślad za nim po schodach. Poczzerwieniał lekko, gdy kobieta posłała za nim spojrzenie, w którym kryło się wyraźne zaproszenie.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, Olav kazał młodszemu policjantowi odnaleźć dozorcę lub administratora budynku.

– Nie podoba mi się to wszystko – dodał. – Od samego początku Gudmundsson jest nierozzerwalnie związany z całym tym bałaganem. Musimy uzyskać zgodę na przeszukanie jego mieszkania. Nie powinno być z tym problemów, zważywszy na zeznania sąsiadki, przewrócony wieszak oraz to, że nie możemy się z nim skontaktować. Znajdź, proszę, kogoś, kto ma klucze, a ja zajmę się formalnościami.

Knut podbiegł do grupy młodych rodziców siedzących na ławce. Któres z nich musiało wiedzieć, kto dysponuje wszystkimi kluczami.

Gdy po upływie trzydziestu minut po raz drugi stanęli przed drzwiami do mieszkania Viljara, towarzyszyła im grupa techników z komendy. Wyraźnie zdenerwowany dozorca obrócił klucz w zamku, ale drzwi przesunęły się zaledwie o kilka centymetrów i się zatrzymały. Blokowało je coś dużego i ciężkiego. Olav nie miał cierpliwości i naparł na nie ze wszystkich sił, aż w końcu szpara była na tyle szeroka, że zdołał wcisnąć się do środka.

Trzy sekundy później wystawił z mieszkania głowę. Wystarczyło kilka słów, by wszyscy zrozumieli powagę sytuacji:

– Knut, ogłoś alarm!

Haugesund

Niedziela przed południem, 19 października 2014 roku

W pomieszczeniu nadal czuć było nasmołowanymi deskami pokładu, słonym morzem, wodorostami i świeżo wypatroszonymi rybami. Każda z tych woni przywodziła na myśl wspomnienie słonecznego, spokojnego dzieciństwa.

Stare deski trzeszczały. Słysząc było delikatny plusk fal i ciche poskrzypywanie cum, które zmagają się z przyptywem. Gdzieś niespiesznie pyrkął silnik dwusuwowy, co chwila rozbrzmiewał ostry krzyk mewy.

Jestem na zacumowanej łodzi?

Leżał całkiem nieruchomo. Podłoga się nie kołysała. Rejestrował zapachy i odgłosy morza, ale nie znajdował się na łodzi.

Innymi słowy, stały grunt.

Podświadomość przetłumaczyła bodziec, nieświadomie odebrany przez mózg. Słaba woń potu. Potem jakiś dźwięk. Ledwie wyczuwalna aura ciepła, jakby tuż przy nim znajdowała się druga osoba.

Tutaj ktoś jest!

To był zapach pożądania albo... Albo przerażenia?

Współczesny człowiek jest w znacznej mierze pozbawiony tych instynktów. Pojawiają się one jedynie w nielicznych sytuacjach, kiedy nie działają inne zmysły. Na przykład zmysł wzroku.

A może to właśnie przede wszystkim wzrok uwalnia nieznane dotychczas instynkty? Wszak to najmocniejszy z ludzkich zmysłów i tak potrzebny, że bez niego człowiek musi wzmocnić pozostałe zmysły, aby móc przeżyć. Musi nauczyć się czytać palcami, interpretować słuchem mowę ciała, szacować odległość za pomocą echa, rozpoznawać ludzi po zapachach czy intuicyjnie wyczuwać niebezpieczeństwo.

Dziki zwierzę w miarę możliwości zawsze będzie próbowało zamaskować kalectwo. Zawsze będzie chować swoje słabe strony. Komuś, kto ma czarną opaskę na oczach, trudno jest ukryć to, że nie widzi. Przyczajony drapieżnik potrafi bezbłędnie rozgryźć słabość swej ofiary i utwierdza się w przekonaniu o własnej niezniszczalności.

Świadomość, że nie jest sam w pomieszczeniu, była dla Viljara o wiele trudniejsza do zniesienia, niż fakt, że niczego nie widzi. Czuł czyjąś obecność. Wiedział, że gdzieś obok niego znajduje się milczący nieznajomy, gdzieś przy skrzypiącej drewnianej ścianie, gdzieś pośród zapachu smoły.

Nie miał pojęcia, kim jest tamten. Nadeszła jego, Viljara, kolej. Przeznaczenie wreszcie go dopadło i przygotowało do ostatniej podróży. W głębi duszy zawsze wiedział, że ten moment kiedyś nadejdzie. Przeszłość go dogoniła.

Ból głowy był trudny do wytrzymania, a opróżnione wczoraj pół butelki taniej whisky wcale nie pomagało. Jakby tego było mało, leżał na twardej drewnianej podłodze na brzuchu, z rękami i nogami związanymi z tyłu. Żebra bolały go niemal tak samo jak głowa, ale łupania w czaszce nic nie mogło przebić.

Viljar był przekonany, że lada chwila opadną go i sparaliżują lęki, ale tym razem było inaczej. Rzeczywistość okazała się o wiele gorsza niż wszelkie strachy, które mógł sobie wyobrazić. Fizyczny ból był tak intensywny, że spychał na bok wszelkie myśli o tym, co się mogło wydarzyć. Strzał w skroń byłby w tym momencie wybawieniem. Viljar nie musiałby się już niczym przejmować. Po raz pierwszy natrafił na coś, co okazało się mocniejsze od lęków.

Nie ruszał się. Leżał nieruchomo. Oddychał spokojnie. Nie chciał, by nieznajomy domyślił się, że już się przebudził. Musiał zyskać trochę czasu.

Czasu na co?

Gdzieś pośród tego bólu, pośród spowijającego go mroku znajdowało się rozwiązanie. Tak, na pewno gdzieś musiało jakieś istnieć. Wystarczy jeszcze chwilę poleżeć nieruchomo, a na pewno do niego dotrze. Zawsze tak bywało. Przez całe jego życie rozwiązania zawsze pojawiały się zniemacka tuż przed nim i udawało mu się przewyciężyć problem. Czy aby na pewno? Cóż, prawie zawsze.

Z Jonasem się nie udało.

Wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebował, rozwiązania nie było.

Z przepaską na oczach nie miał pojęcia, czy jest dzień, czy noc. Nie wiedział, jak długo przebywał w tym pomieszczeniu. Z zewnątrz nie dobiegały żadne odgłosy. Nie słyszał silników samochodów ani żadnych innych dźwięków wskazujących na bliskość tętniącego życiem miasteczka. Przepuszczalnie znajdował się w jakimś domu na nabrzeżu, ale na pewno nie w którymś z budynków stojących wzdłuż nabrzeża wewnętrznego w Haugesund. Słyszałby wówczas ludzkie głosy. Nie było wątpliwości, że dom, w którym się znalazł, stał gdzieś na uboczu. Mógł właściwie być gdziekolwiek. Ktoś go tu przywiózł, ale nieprzytomny Viljar nie pamiętał niczego z drogi. Próbował sobie przypomnieć, co się działo w jego

mieszkaniu na kilka sekund przed tym, jak cały świat zalała ciemność, ale jego wspomnienia były mgliste i zamazane. Wydawało mu się, że zarejestrował twarz napastnika, ale doszedł do wniosku, że pada ofiarą własnej podświadomości, która po prostu podsunęła mu najbardziej prawdopodobnego sprawcę.

Pamiętał dźwięk dzwonka u drzwi. Przypominał sobie również, że wstał, aby otworzyć, ale potem zalała go ciemność. Tak naprawdę nie widział żadnej twarzy. Rozumiał to teraz doskonale. Napastnik zasłonił twarz czarną bandaną albo szalem, a kaptur na głowie zakrył resztę. Kolejnymi wspomnieniami były plusk fal, zapach smoły i potworny ból.

Gdy myśli Viljara uganiały się w poszukiwaniu jakichkolwiek odpowiedzi, w pomieszczeniu rozległ się odgłos. Kroki. Ktoś szedł po podłodze. Dziennikarz wszelkimi siłami powstrzymał nagłą ochotę, by zacząć wrzeszczeć. Kroki były niemalże bezgłosne, ale na pewno się nie przesłyszał. A więc w pomieszczeniu naprawdę ktoś był.

Kroki oddaliły się, zaraz potem zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy.

Viljar odczekał kilka minut, a potem zaryzykował i spróbował się poruszyć. Wyciągnął nogę, lecz wtedy stopę przeszył ostry ból. Powtórzył ruch i znów poczuł ból. Wydawało mu się, że dostrzega zarys gwoźdźcia wystającego ze ściany z tyłu.

Powoli, centymetr po centymetrze, obrócił całe ciało i zaczął przysuwać się do gwoźdźcia. Po chwili wymacał palcami ostry kawałek metalu. Odetchnął z ulgą. Teraz mógł tylko mieć nadzieję, że to, czym związane mu ręce i nogi, ulegnie po chwili precyzyjnego tarcia. Przez chwilę leżał i nasłuchiwał. Wiedział, że więzy nie ustąpią od razu.

W końcu zdołał pochwycić sznur między palec wskazujący i kciuk. Miał wrażenie, że niewiele różni się od tych, którymi obwiązuje się indyka przed smażeniem, ale przerwanie go za pomocą gwoźdźcia okazało się trudnym wyzwaniem. Za każdym razem, kiedy udało mu się rozerwać jedno z włókien, gwoździec wbijał się w skórę. Pot spływał mu po plecach, a długa grzywka kleiła mu się do twarzy. Kilkakrotnie już chciał się poddać, ale nie pozwalał sobie na chwile słabości i zmusił się do kolejnych prób. Piłował, pocił się i przeklinał. W chwili gdy poczuł, że sznur zaczyna powoli ustępować, usłyszał ponownie skrzypnięcie zawiasów. Zastygł niczym pajak i odsunął dłonie od siebie. Odgłos pospiesznych, zbliżających się kroków sprawił, że naparł ze wszystkich sił na więzy, ale te nie ustąpiły.

Viljar wrzasnął, gdy nieznajomy złapał go i posadził jednym szarpnięciem, zupełnie jakby ważył pięć kilo, a nie siedemdziesiąt pięć.

Dobrze mu znany dźwięk paska zaciąganego za plecami odebrał resztę nadziei. Potem nadeszła pora na nogi. Mężczyzna w czerni odetchnął i usiadł przy Viljarze, tak blisko, że dziennikarz poczuł ciepło jego ciała.

– Od dawna czekałem na sposobność, by porozmawiać z tobą w cztery oczy, Viljarze – rzekł. – Czas już odpokutować za stare grzechy, nie sądzisz?

Cztery lata wcześniej

Mieszkanie Viljara, Haugesund

Wtorek wieczór, 31 sierpnia 2010 roku

Viljar Ravn Gudmundsson nie mógł uwolnić się od myśli, że to właśnie sobotni wywiad zmusił Jonasa oraz jego przyjaciela do szaleńczej ucieczki w niedzielę, ale nie mógł zrozumieć, co w nich wstąpiło.

Był zaskoczony tym, co się wydarzyło w Torvastad, ale jeszcze bardziej zszokowało go to, że Jonas dodatkowo zdecydował się ujawnić pełne imię i nazwisko w prasie. Viljar nie miał pojęcia, dlaczego Jonas nalegał na anonimowość w sobotnim wydaniu gazety, a następnego dnia ujawnił swe personalia w wywiadzie dla „VG”. No i po co próbował uciekać, skoro i tak chciał ujawnić swoją orientację?

Minęły dwie doby i jak dotąd nikt nie zdołał wytropić chłopaków. Samochód odnaleziono przed centrum handlowym Amanda kilka godzin po wypadku, ale nie natrafiono na żadne ślady Jonasa i Fredrica, zupełnie jakby anioły porwały ich do nieba. Nie było żadnych tropów, żadnych relacji świadków, ani jednej zarejestrowanej rozmowy przez komórkę. Rozpłynęli się bez śladów.

Viljar, który przebywał w Londynie i śledził norweskie media w Internecie, miał chaos w głowie. Długi weekend z Alexandrem nie wyglądał tak, jak to sobie zaplanował. Rozwścieczony Johan Øveraas chciał, by Gudmundsson natychmiast wracał do domu i opisywał rozwój wypadków, ale z tym Viljar potrafił sobie poradzić. O wiele gorzej znosił świadomość, że młody chłopak, który powierzył mu własne życie, został zmuszony do dramatycznej ucieczki. Viljar wiedział, że przyczyną takiego zachowania wcale nie był jego błąd – skądże znowu! – ale mimo to miał wrażenie, że ponosi za wszystko odpowiedzialność. Na razie przebywał w Londynie i był tu bezsilny. Musiał się skupić na tym, by sprostać oczekiwaniom syna, który od dawna marzył o wspaniałym weekendzie.

Viljar robił, co mógł, ale nawet na trybunach Stamford Bridge, kiedy rozemocjonowany Alexander rzucił mu się na szyję, myśli Viljara nadal były w Norwegii i goniły zupełnie innego chłopaka, który w tym momencie miał głęboko w poważaniu dwa gole strzelone Stoke przez Chelsea. Błąkały się również wokół dziewięciolatki, która odeszła z tego świata. Której ostatnią decyzją, według rodziców, była próba powstrzymania brata przed ucieczką z domu.

Gdy we wtorkowe popołudnie Viljar wysiadł z samolotu na lotnisku w Haugesund, doskonale wiedział, co czeka go następnego dnia w pracy. Cała prasa norweska oraz imponujący rozmiarami oddział policji uganiały się po całym kraju w poszukiwaniu zbiegów, a szefowie wiadomości telewizyjnych robili wszystko, by skontaktować się z nim. Był wszak ekspertem mogącym opowiedzieć coś więcej o młodych ludziach, z którymi mieli do czynienia. W końcu ich spotkał. Rozmawiał z nimi w zaufaniu. Wysłuchał ich historii.

Viljar był tak zajęty planowaniem tego, co powie mediom następnego dnia, że niemalże zignorował dzwonek. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że ktoś stoi przed drzwiami. Włożył kaptur i począpał, by otworzyć. Był całkowicie nieprzygotowany na to, co nastąpiło, gdy uchylił drzwi. Na progu stał smukły, acz nieco niezgrabny chłopak z włosami mokrymi od deszczu. Podał Viljarowi list. Znowu minęła dłuższa chwila, zanim dziennikarz skojarzył fakty i uświadomił sobie, co się właśnie wydarzyło.

– Jonas! – zawołał, nadal trzymając list w dłoni, ale szczupły młodzieniec już zbiegał po schodach. Viljar chciał za nim pognać, ale uświadomił sobie, że jeśli zatrzaśnie drzwi, nie będzie w stanie ich później otworzyć. Wskoczył do środka, włożył buty, złapał klucze i pognał w dół, przesadzając trzy stopnie naraz. Pchnął drzwi wejściowe i wybiegł na zewnątrz. Miał wrażenie, że znalazł się w samym środku wodospadu. Szalała wściekła ulewa, która natychmiast przemoczyła go do suchej nitki. Rozglądał się na wszystkie strony, ale Jonasa nigdzie nie było.

Gdzie on się podział? – pomyślał. Przecież wzięcie kluczy i włożenie butów nie trwało dłużej niż trzydzieści sekund! Nie mógł zwać daleko!

Zawołał go kilkakrotnie, ale bez rezultatu. Zresztą ukrycie się w labiryncie bloków, samochodów, klatek schodowych i ścieżek nie stanowiło żadnej trudności, a na domiar złego za osiedlami zaczynał się las pocięty ścieżkami turystycznymi. Viljar zrozumiał, że Jonas znikł na dobre. Począpał z powrotem do mieszkania i zamknął za sobą drzwi z głośnym hukiem. List otrzymany od Jonasa nadal leżał na podłodze. Była to zwykła niezaklejona

koperta i na pierwszy rzut oka widać było, że list napisano ręcznie. Dziennikarz opadł na swój czarny fotel w salonie i wyjął kartkę z koperty. W głowie miał pustkę. Przypalił papierosa od niedopałka, który zostawił w popielniczce dziesięć minut temu, wtedy gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

Poczuł ukłucie wyrzutów sumienia na myśl o tym, że na widok Jonasa w zasadzie powinien zadzwonić na policję. Mimo to w spojrzeniu chłopaka było coś, co sprawiło, że porzucił ten pomysł. Wydawało mu się, że ma przed sobą nie człowieka, a zranione, uciekające zwierzę.

Przeczytał powoli list. Przerywał parokrotnie, aby sprawdzić, czy to, czego się właśnie dowiedział, naprawdę się zgadzało i czy prawidłowo odczytał koślawe pismo. Nie, nie mylił się. W kopercie znalazł również wycięte z gazety zdjęcie, które zrobił przed ogródkiem w Samson i które zatwierdził w pośpiechu, spiesząc się na samolot Ryanair do Londynu.

Przecież to na pewno się nie zgadza.

Przyglądał się zdjęciu, ale nie był w stanie sprawdzić, czy to, co utrzymywał Jonas, rzeczywiście było faktem. W końcu wyciągnął okulary do czytania, które wcisnął mu nadgorliwy pracownik Interoptik po gratisowym badaniu wzroku. Wykorzystał je jako szkło powiększające i nagle uświadomił sobie, że pogrąża się w szalejących płomieniach, otwierających przed nim drogę do samego piekła.

Widok dowodu oraz ostatnie słowa listu sprawiły, że dziennikarz chwycił się za pierś. Czuł, jak po ramionach rozlewa się ból. Krew odpłynęła mu z głowy, a ostry ból serca narastał z każdą sekundą. Nim obezwładniły go skurcze, pochwycił za słuchawkę i wybrał numer alarmowy, a potem osunął się na podłogę. Gdy leżał i czekał na karetkę, w jego głowie huczały ostatnie słowa Jonasa. Nie było nic innego do powiedzenia. Miał nadzieję, że ten zawał ześle na niego śmierć. Miał wręcz nadzieję, że pogotowie przybędzie za późno.

Obiecałeś, że mnie ochronisz, ale nie zrobiłeś tego. Moja siostra nie żyje. Wkrótce do niej dołączę.

Austmannavegen, Haugesund

Niedziela po południu, 19 października 2014 roku

W ciągu ostatnich sześciu dni zastępy policji, śledczych z Kripos, techników oraz zwykłych funkcjonariuszy w Haugesund potroiły się i Lotte Skeisvoll

musiała torować sobie drogę do bloku. Liczba wysłanników prasy również zwiększała się z każdym mijającym dniem i ku swemu zdziwieniu policjantka dostrzegła zespół BBC, który śledził kamerą jej drogę w kierunku mieszkania Viljara.

Unikała wszelkich kontaktów z prasą. Dziennikarze ścigali ją bez przerwy, ale im więcej ich było, tym mniej potrafili z niej wyciągnąć. Hans Indbjo przez cały tydzień był w swoim żywiole i z całą pewnością usiłował wypełnić swoich sześć godzin czasu antenowego relacjami z przebiegu śledztwa. Tym razem jednakże zamiast Indbjo mikrofon trzymała pryszczata nastolatka, która zapewne dopiero co ukończyła liceum w Vardafjell w klasie o profilu medialnym.

Lotte nie miała pojęcia, dlaczego Hans Indbjo pozwolił młodej dziewczynie przejąć inicjatywę w tak ważnej sprawie, ale niziutki dziennikarz radiowy dzięki wszystkim swoim „odkryciom” urósł do rangi celebryty i był zapewne zajęty pielęgnowaniem swego ego. Lotte nie byłaby szczególnie zdziwiona, gdyby jesienią pokazał się w jakimś telewizyjnym reality show.

Za drzwiami mieszkania Viljara panował nieco mniejszy chaos niż na zewnątrz. Policjantka szybko nawiązała kontakt wzrokowy z Hansenem, który skinął na nią.

– Sądźmy, że nie opuścił mieszkania z własnej woli. Wiele wskazuje na to, że został napadnięty przy wejściu i wyniesiony z bloku.

W oczach Lotte pojawił się znak zapytania.

– Wyniesiony?

– Tak. Mamy zeznania sąsiadki, która widziała tego wieczoru plecy mężczyzny niosącego coś ciężkiego.

Lotte poczuła ukłucie w piersi.

To oznacza, że Viljar był nieprzytomny lub martwy. W obu przypadkach mu nie zazdroścę.

– To, co zaobserwował nasz świadek, wydarzyło się około dziesiątej wieczorem. Musimy sprawdzić, czy ktoś jeszcze zauważył tego człowieka. To dość wczesna godzina, a więc ktoś mógł coś zobaczyć.

Scheldrup Hansen zerknął w notatki i dodał:

– Załóżmy, że był to nasz sprawca, który zaatakował po raz kolejny. Możemy więc przypisać mu zarówno wtargnięcie do Gudmundssona, jak i strzały w bloku oraz morderstwo przy stadionie. Pytanie brzmi, dlaczego tak bardzo się spieszył. Ciekawe też, dlaczego usunięcie z gry Gudmundssona było dla niego tak istotne.

Lotte się nie odezwała, ale dała mu znak, by kontynuował.

– W wejściu doszło do wymiany ciosów. Na podłodze leżały przewrócony wieszak i ciężki wazon, a na panelach odkryliśmy nieco krwi.

Hansen westchnął lekko i pokręcił głową.

– To wszystko? – spytała Lotte.

– Mmm...

Policjantka spojrzała uważnie na kolegę z Kripos, a ten wskazał pozostałe pomieszczenia w mieszkaniu.

– Mamy tu na przykład komputer. Gudmundsson był zalogowany. W jednym z folderów znajdowało się mnóstwo notatek dotyczących naszej sprawy. Wygląda na to, że sporo przed nami ukrywał. Co więcej, miał teorię, dlaczego został wmieszany w to wszystko.

– Coś podobnego... – Lotte podeszła do komputera, który stał na stole przy oknie.

– Spójrz – rzekł Hansen i kliknął dwa razy jeden z folderów. Na ekranie pokazała się seria zdjęć i dokumentów w Wordzie.

– Zdjęcia?

– Daj spokój, nie są aż tak ciekawe. To głównie screenshoty otrzymanych maili, a oprócz tego zdjęcia jego oraz Rity Lothe z knajpy. Moją uwagę przyciągnęła treść dokumentów. To głównie jego przemyślenia o tym, co się działo wokół niego. O, na przykład tu pisze, jak doszedł do tego, gdzie i kiedy zdjęcie zostało zrobione. Odkrył również, kto mu wówczas towarzyszył.

– Żartujesz? – spytała Lotte i pochyliła się nad ekranem. Viljar nie powiedział im o tym ani słowa!

– Twierdzi, że zdjęcie zostało zrobione w nocnym klubie Bestastuå na Strandgata we wrześniu. Wraz z jakimś kumplem zostali tam zaciągnięci przez człowieka o nazwisku Henrik Thomsen. Jeśli dobrze pamiętam, to jedno z nazwisk, którymi zaczęliśmy się interesować, nieprawdaż? To ten wysoki dziennikarz?

– Tak, do cholery. Pewnie, że to on. Pracuje w dziale kulturalnym.

– Gudmundsson napisał, że niczego nie pamięta, a później dodał: *Kim były te kobiety, z którymi się spiknęliśmy?* Myślę, że trzeba pogadać z tym Thomsenem, bo niewykluczone, że mógł mieć okazję do zrobienia zdjęcia, które znaleźliśmy na fałszywym profilu facebookowym Rity Lothe.

– Jest coś jeszcze?

Olav wskazał inny dokument w folderze.

– Spójrz – powiedział i otworzył go.

Lotte zerknęła na ekran. Plik nosił nazwę *Jonas*, ale policjantka nie umiała tego imienia z niczym połączyć. Uświadomiła sobie wszystko dopiero, gdy ujrzała zawartość pliku. Przecież dotyczył sprawy Jonasa Ferkingstada!

Poprawiła kołnierzyk Olava.

– Oto ostatni element układanki, Olav. To być może nam wyjaśni, dlaczego Gudmundsson był tak mocno związany z tymi morderstwami. Musimy porozmawiać z ojcem Jonasa, Andrém Ferkingstadem, i to szybko. Przecież on ma powód, żeby się zemścić na Viljarze.

– Z Ferkingstadem? Tym człowiekiem, z którym rozmawiałaś w sądzie?

– Tak, jest tam naczelnikiem. Pracuje w sądzie, a w dniu, w którym jego dom w Torsvad stał w płomieniach, zachowywał się, łagodnie mówiąc, dziwnie. Podczas naszej wczorajszej rozmowy również wydawał się zdenerwowany.

– Wybacz, Lotte, ale dlaczego nikt mi wcześniej nie opowiedział o tej sprawie? Przecież tego człowieka należało sprawdzić na samym początku!

Lotte Skeisvoll zacisnęła mocno usta i odciągnęła Olava na bok, aby nikt ich nie usłyszał.

– Poczekaj no, Hansen. Od samego początku nalegałeś na to, żeby zbadać trop Eliassena. Teraz chcesz mi powiedzieć, że tego nie zrobiłeś?

Scheldrup Hansen spojrzał ze zdziwieniem na Lotte Skeisvoll. Pokręcił głową i przez chwilę wyglądało, jakby miał problem z rozpoczęciem zdania.

– Co? O co ci chodzi? Przecież sprawdziłem Eliassena. Siedzi nadal w więzieniu za gwałty. Co niby jego sprawa ma wspólnego z tym Ferkingstadem?

Lotte miała ochotę opaść na fotel, przy którym stała. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Znowu nawaliła. Uznała za oczywistość, że Hansen znał związek między sprawą Eliassena i Jonasem Ferkingstadem. To, o czym wiedzieli wszyscy w Haugesund, niekoniecznie było jasne dla śledczego z Kripas, który mało się interesował tym, co się działo za obwodnicą Oslo.

Poklepała go po ramieniu i w milczeniu pokiwała głową. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko pogratulować mu osiągnięć.

– Super, Olav. Świetna robota.

Lotte wysłała patrol po Ferkingstada, a sama zajęła się przeglądaniem zawartości folderu w komputerze Gudmundssona.

Nie było żadnych wątpliwości. Wszystko się zgadzało.

– Niech cię szlag, Viljar! – oznajmiła głośno i zatrzasnęła laptopa.

Requiem – Sanctus

Uwielbiam niedziele. Są tak czyste i niewinne, tak białe, tak oczyszczająco naiwne. Ale... Wiem, że jestem coraz bliżej. Cała partytura niedługo zostanie ukończona. Robiłem wszystko, co w mojej mocy, by naprowadzić ich na właściwy ślad, i dałem się trochę ponieść. Pora zwolnić. To, co do tej pory uważałem za drobne poprawki, stało się poważniejszym i bardziej czasochłonnym wyzwaniem. W moim requiem pojawiły się fałszywe tony, które należy usunąć, całkiem się ich pozbyć. Orkiestra zaś musi się pogodzić z brakiem niektórych elementów.

Pot gromadzi mi się pod pachami i spływa po plecach. Od czasu do czasu ogarnia mnie na moment wątpliwość bądź lęk, a wówczas moje ciało reaguje irracjonalnie. Poprawki zajmują sporo czasu, a to sprawia, że nie mogę w pełni poświęcić się przygotowaniom, co w kolejnej fazie mego planu oznacza większe ryzyko. Nie chcę nawet myśleć o tym, że mógłbym ponieść porażkę właśnie teraz, kiedy jestem już tak bliski celu. Jestem niecierpliwy i pełen niepokoju. Obiecałem sobie, że nie dopuszczę do dwóch rzeczy. Po pierwsze, zegar ma być moim najlepszym przyjacielem, a nie wrogiem. Potrzebuję idealnego *glissando* podczas zmiany taktu. Muszę przyspieszyć, jeśli chcę wywołać chaos i desperację, ale nie przyszło mi do głowy, że kolejne wydarzenia staną się wówczas mniej przewidywalne i będą wymagały większych poprawek. Przecież cała orkiestra musi grać *crescendo*, co zwiększa ryzyko, że ktoś zacznie fałszować.

Przyglądam się ostatnim zmianom w moim dziele sztuki i dochodzę do wniosku, że jestem zadowolony, choć świadomość, że będę musiał nanosić kolejne poprawki, irytuje mnie ponad miarę. To, co z początku było sensem działania, teraz tylko przeszkadza. Powinienem chyba cieszyć się za każdym razem, kiedy uda się unieść batutę. Powinienem się cieszyć, że wszyscy robią dokładnie to, co im kazałem. Tak powinno być. Teraz zajmuje mnie co innego. Zmierzam w stronę finału, w którym wszystkie instrumenty uderzą wspólnie, by stworzyć cudną, niebiańską tonację. Tak, jego wykonanie będzie wspaniałym ukoronowaniem przygotowań. Elektryczne impulsy, które przesywają moje ciało, gdy wybrany przeze mnie człowiek wyda swe ostatnie tchnienie, przypominają wręcz erotyczną ekstazę, o wiele bardziej oszałamiającą niż wszystko, co do tej pory przeżyłem. Na samą myśl o tym rośnie we mnie niepokój.

Dam sobie radę. Jestem gotów. Wszystko, czego potrzebuję, leży przede mną na stole. Wybrany jest pod moją kontrolą. Znajduje się w tym samym

pomieszczeniu. Gdyby nie to, że moje dzieło ma być perfekcyjne w każdym calu, a ja nadal mam w sobie odrobinę samokontroli, już dawno bym to zrobił. Przewyciężyłbym wszelkie ograniczenia i oddałbym się ekstazie i radości wywołanym przez owo ostatnie tchnienie.

Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że to wszystko jest szaleństwem, ale nie ulegam mu. Sztuka zmusza mnie do racjonalnego zachowania i wymaga, bym robił to, co należy, ale nie ulegał emocjom i żądom. Ujarzmiam myśli i wskazuję im ich miejsce. Koncentracja. Muszę przestrzegać harmonogramu, choć czuję, że moje zmysły słabną. Wszystko staje się wolniejsze, bardziej ociężałe, zarówno działania, jak i wnioski czy wspomnienia, niczym takt za takt w całych tonach. Przymuszczenie powodem jest brak snu – długo chodziłem w nocy, ale przecież sen może poczekać. Teraz pora na wysłanie maila. Nie mogę już zwlekać.

Wkładam mój prymitywny komputer wraz z innymi niezbędnymi rzeczami do plecaka. Raz jeszcze myślę o tym, co należy zrobić przed wyjściem z tego pokoju. Wszystko jest na swoim miejscu. Wybrałem zarówno nowego nadawcę, jak i nowego odbiorcę. Tym razem policji nic nie da to, że obdzwonią potencjalnych wybranych, ponieważ ten, którego mam na myśli, już wpadł w moje sidła. Mój chwyt jest lekki, ale chytry i podstępny. Na pewno ich to zaskoczy. Nie było to częścią mojego pierwotnego planu, ale teraz już jest. Brakowało trylu, lecz już go mam. Nie mogę pozwolić na to, by ktoś miał wpływ na moje wybory, a więc dobrze jest mieć przewagę. Nikt nawet się nie zorientuje, skąd padł cios, aż będzie za późno.

Podłoga poskrzypuje pod moimi nogami, gdy zmierzam ku drzwiom. Wychodzę i kieruję się ku Smedasundet, wdychając świeże morskie powietrze. Czuję się pewny siebie, czuję się bezpieczny. Wybrani wiedzą, co ich czeka. Mam wrażenie, że czuję posmak czystego przerażenia. Cóż za wspaniałe, wyzwalające doznanie.

Teraz, kilka godzin później, zapachu już nie ma. W pomieszczeniu czuję natomiast inną woń, bardziej natarczywą. Najwyraźniej popuścił w spodnie. Przynęta jest wyłożona, a na zewnątrz powietrze jest czyste i świeże, zupełnie jakby zostało oczyszczone w oczekiwaniu na nowy dzień i nowe grzechy. Kieruję się w stronę nabrzeża. Mam przed sobą cały rząd zalanych słońcem knajpek z niezabezpieczonymi sieciami Wi-Fi.

Uwielbiam niedziele. Są tak czyste i niewinne, tak białe, tak oczyszczająco naiwne.

Gjøvik

Niedziela, 19 października 2014 roku

Dyrektor wydawnictwa Harald Madsen rozciągnął się na sofie i uznał, że kawa w kuchni już jest gotowa. Minęła dobra minuta, odkąd ucichły ostatnie prychnięcia ekspresu Moccamaster. Harald miał wielkie plany w związku z ostatnim dniem jesiennego urlopu i chciał wykorzystać go do maksimum. Nadal czuł w całym ciele trudy wyprawy po deszczowej Szkocji, ale kilka godzin snu we własnym łóżku dobrze mu zrobiło.

Tak naprawdę planował wybrać się gdzieś na południe, ale nie zebrał się, by na czas zamówić bilety. Przez jakiś czas próbował wykupić pobyt w jakimś słonecznym miejscu, ale skapitulował i zamiast tego wybrał tematyczną wycieczkę po Szkocji. *Whisky tour...*

Padło co niemiara. Jego ciuchy wymagały gruntownego prania, on sam zresztą również. Miał nadzieję, że przekrwione oczy odzyskają swój blask do jutra, nim stawi się w pracy. Miał tylko jeden dzień, żeby doprowadzić się do porządku, a jego ciało domagało się teraz mocnej kawy oraz porządnej dawki paracetamolu.

Białe słońce usiłowało się przebić przez chmury, ale na temperaturę nie mógł narzekać. Było szesnaście stopni, o wiele więcej niż w przeklętej, smaganej wiatrami północnej Szkocji, gdzie tułał się przez tydzień. Wyjrzał przez okno na okoliczne domy. Gdyby był właścicielem któregoś z nich, zarabiałby o wiele więcej niż teraz w wydawnictwie, założonym przed dziesięcioma laty w Gjøvik. Marzył o wielkich pieniądzach. Ech, żeby tak znaleźć nowego *Harry'ego Pottera* czy Dana Browna, coś, co wzięłoby rynek szturmem i ustabilizowało jego sytuację finansową na resztę życia. Rzeczywistość jednak była żałosna. Za każdym razem, gdy trafiał na coś, co miało potencjał, ubiegało go Aschehoug, Gyldendal czy Cappelen Damm. Dla niego i trzech pracowników w wydawnictwie Alfa Madsen w Gjøvik pozostawały nędzne resztki.

Jakoś się utrzymywali i firma istniała, choć przydałoby się nieco wiatru w żagle. Ważnym momentem dla wydawnictwa było podpisanie pewnej umowy w drugim roku istnienia. Otrzymali wówczas manuskrypt od debiutanta, który posłuchał czyjejs rady i wysyłał swoją książkę do jednego wydawnictwa naraz. Rada wydawała się dość śmieszna, ale doprowadziła wydawnictwo Alfa Madsen do żyły złota. Znajdowali się przecież na pierwszym miejscu na każdej alfabetycznej liście. Kolejne

powieści pisarz wydał już w Aschehoug, ale jego debiut nadal świetnie się sprzedawał i docierał na nowe rynki za granicą. Dzięki tym wpływom nadal mieli płynność finansową, ale nie było ich stać na nowe inwestycje. Zarówno sam pisarz, jak i Aschehoug dwukrotnie próbowali odkupić prawa do debiutu, ale Harald Madsen nie dał się przekonać. Sprzedając te prawa, zachowałby się jak człowiek, który sika w spodnie, żeby się ogrzać. Przez jakiś czas pieniędzy starczałoby na wszystko, a potem? Musieliby pewnie zamknąć interes, chyba że w skrzynce na listy pojawiłby się jakiś kolejny złoty manuskrypt.

Harald Madsen wrócił na sofę. Podłożył odpowiednio poduszki pod plecy, a potem postawił kawę, paczkę papierosów i popielniczkę w zasięgu ręki. W dłoni trzymał iPada, którego kupił na firmę, ale rzadko używał do czegoś poza surfowaniem w Internecie w czasie wolnym. Przez cały tydzień przebywał w krainie mgieł. Każdy dzień rozpoczynał od czterech szklanek whisky w jakiejś zapomnianej przez świat dziurze, przez co resztę dnia przesłaniały opary, z których niewiele pamiętał. Rejestrował tylko to, że codziennie budzi się w innym hotelu i rusza w kierunku kolejnych destylarni.

W pierwszej kolejności jak zwykle otworzył strony popularnych gazet i szybko doszedł do wniosku, że kiedy on raczył się whisky za wielką wodą, cała Norwegia stanęła na głowie. Sensacyjne nagłówki krzyczały do niego z każdej strony. Popijając kawę, otworzył pierwszy artykuł, a kiedy skończył lekturę, zapalił papierosa. Miał wrażenie, że w tym zamieszaniu kryje się coś znajomego, coś, co go zaintrygowało, ale nie był w stanie ustalić, co to było.

Cztery morderstwa w ciągu jednego tygodnia, przypuszczalnie popełnione przez tego samego człowieka. Harald przejrzał pobieżnie kolejne artykuły z gazet państwowych, po czym zaczął czytać uważnie.

O co tu chodzi?

Coś mu się kojarzyło. Jakaś sprawa z przeszłości, wciąż niewyraźna, niejasna. Harald Madsen podniósł się i uświadomił sobie, że małe ludziki w jego głowie nadal pracowicie wznoszą kilofy. Przełknął tabletkę paracetamolu i znów pochylił się nad ekranem. Sprawa, o której czytał, została dopasowana do formatu prasy brukowej, której głównym celem było sianie niepokoju oraz nerwowości, przez co Haraldowi trudno było dotrzeć do jej sedna. Porzucił więc strony gazet z Oslo i skupił się na lokalnych mediach. „Haugesunds Avis”.

Skąd wiedziałem, że miejscowa gazeta tak się nazywa? – uświadomił

sobie.

Zaczął czytać artykuły, ale szybko przeskoczył do miejsca, gdzie wymieniono wszystkie morderstwa jedno po drugim. Podano tam również personalia ofiary oraz miejsce, datę i metodę zabójstwa.

Harald Madsen przerwał czytanie w połowie, a na jego ciele pojawiła się gęsia skórka. Prawda uderzyła w niego z całą mocą. Próbował przekonać sam siebie, że takie zbieżności są niemożliwe, ale w tej samej chwili w jego umyśle pojawiły się kolejne obrazy.

Każdy przeczytany artykuł potwierdzał jego podejrzenia. Miał rację. Co więcej, uświadomił sobie, że wie, o czym przeczyta w nieotwartych jeszcze tekstach. Nie rozumiał tylko tego, dlaczego jak dotąd nikt nie udał się z tym na policję. Przecież to było tak oczywiste, że od razu nasunęło się nawet otumanionemu, skacowanemu amatorowi whisky z mgiełką przed oczami!

Czym się, do cholery, zajmuje policja, że nikt na to jeszcze nie wpadł? – pomyślał, siadając na sofie.

Drżącymi rękami wyłowił papierosa z paczki.

Nie musiał dalej czytać. Dobrze wiedział, o czym mówią kolejne teksty. Wiedział też, co się pojawi w porannych gazetach, zarówno jutro, jak i następnego dnia. Wziął ponownie iPada i wszedł na serwer wydawnictwa. Po krótkich poszukiwaniach natrafił na odpowiedź, która zgodnie z jego oczekiwaniami znajdowała się w roboczej bazie danych jego firmy.

Harald Madsen wyjął komórkę i odnalazł telefon do komendy policji w Haugesund. Po trzech sygnałach po drugiej stronie odezwał się głos, który zapytał, w czym może pomóc.

– Czy możecie mnie połączyć z panią Skeisvoll? Mam informację, która może pomóc w śledztwie.

– Wie pan, ludzie bez przerwy dzwonią z kolejnymi cynkami i wskazówkami. Pani Skeisvoll kieruje śledztwem i nie może sama odbierać wszystkich telefonów. Czy mógłby pan się przedstawić i powiedzieć, z czym pan dzwoni?

Madsen milczał przez chwilę. Zastanawiał się, czy po tym, co powie, nie zostanie uznany za jakiegoś idiotę, ale przełamał się i oświadczył:

– Nazywam się Harald Madsen i myślę, że znam nazwisko człowieka, którego szukacie.

Haugesund

Niedziela po południu, 19 października 2014 roku

Viljar czuł kolejne, coraz silniejsze fale nudności, aż nie mógł ich dłużej powstrzymać. Smak żółci, która napływała przez przełyk i rozlewała się w ustach niczym zgniła woda, był nie do zniesienia. Miał wrażenie, że cała zawartość żołądka buchnęła w jednej chwili i nie zdołał nawet odwrócić głowy. Nadal siedział w tym samym pokoju. Opierał się o belkę, za którą miał związane ramiona. Pod podbródkiem przechodził mu kolejny plastikowy pasek, który utrzymywał głowę na stałej wysokości, nie pozwalając jej opaść. Nogi miał związane na wysokości kostek. Fala wymiocin chlusnęła więc prosto na jego pierś i kolana.

Sekundę później w jego nozdrza wgrzył się kwaśny zapach, który wywołał kolejne, jeszcze silniejsze torsje. Pasek pod podbródkiem przesunął się nieco w kierunku jabłka Adama. Kurcze powtarzały się dopóty, dopóki Viljar nie pozbył się reszty treści żołądka oraz żółci. Skąpany we własnych wymiocinach, oczekujący na sąd ostateczny, czuł się bezbronny i bezradny. Próbował przywołać resztki własnej godności, wyobrażając sobie, jak właśnie wygląda, skąpany w żółtawych rzygowinach. Nie był gotowy na tak raptowny koniec. Pomimo swych stanów lękowych zawsze wierzył w to, że uda mu się uniknąć żalosnej śmierci.

Już wiedział, kto przebywa w tym samym pokoju co on. Ostatnie elementy układanki znalazły się na miejscu. Przynajmniej trzy, a być może cztery osoby musiały zginąć, by przestępca mógł zafundować Viljarowi wielki, wspaniały koniec. Przecież mógł wszystko uprościć. Mógł oszczędzić niewinnych ludzi, ale miał inny zamysł. Najprawdopodobniej chciał, żeby na rękach Viljara znalazło się jeszcze więcej krwi. Żeby Viljar poczuł rozpacz. Żeby zrozumiał, czego tak naprawdę dopuścił się w dniu, w którym zdradził zaufanie Jonasa.

Dlaczego nie potrafił przyznać się do wszystkiego i wziąć winy na siebie? Szczerze żałował, że zataił swój błąd, ale zależało mu na utrzymaniu pracy w gazecie. Gdyby wówczas przyznał się do winy, nie doszłoby do tych tragedii, a Ranveig nadal by żyła.

Viljar próbował odepchnąć od siebie negatywne myśli. Nigdy dotąd nie był w tak beznadziejnym położeniu, ale musiał znaleźć w sobie odwagę. Wiedział, że nie zdołał się uwolnić, ale przynajmniej był sam. Porywacz

wyszedł. Dookoła panowała cisza. Viljar wielokrotnie próbował krzyknąć, ale tylko trzy razy usłyszał dźwięki, które mogły oznaczać ludzką obecność w pobliżu. Wrzeszczał, aż ochrypł, ale bez skutku.

Czuł, że lada moment będzie już za późno, by wołać o pomoc. Nie mógł stracić głosu całkowicie, ponieważ mimo wszystko ktoś mógł jeszcze pojawić się na zewnątrz. Musiał więc znaleźć inny sposób na robienie hałasu, coś, co nie pozbawi go resztek sił. Spojrzał na swoje nogi i nagle naszedł go nowy pomysł. Trzy krótkie uderzenia. Trzy dłuższe. Znowu trzy krótkie. Po przerwie raz jeszcze. I jeszcze raz.

Viljar skupił się całkowicie na nadawaniu sygnału alarmowego. Pomysł wydawał się całkiem idiotyczny, ale dał mu nową nadzieję i pokrzepił go na duchu. Jeśli ktoś będzie przechodził w pobliżu, usłyszy hałas na pewno, a przecież wszyscy znają ten sygnał. Nawet dzieci! Tłukł w podłogę, choć nogi męczyły się coraz bardziej. Wybijany piętami sygnał dodawał mu otuchy i angażował jego myśli, przez co Viljar mógł choć na chwilę zapomnieć o tym, co go czeka. Może jego koniec nadejdzie za kilka minut, może za kilka godzin. Może wieczorem. Nie miał pojęcia i cieszył się z tego. Wolał takich rzeczy nie wiedzieć. Na razie miał jeszcze odrobinę czasu i wybijaną rytmicznie melodię, swój własny sposób komunikacji ze światem.

Viljar pogrążył się w autohipnozie. Serie uderzeń oddalały się od niego coraz bardziej, przypominając echo dobiegające z równoległego, obojętnego mu świata. Dlatego z początku nie zwrócił uwagi na pierwszy dźwięk na zewnątrz. Ktoś szedł spacerowym krokiem po gruzie i się zatrzymał.

Gdy kroki rozbrzmiały ponownie, Viljar ocknął się z transu. Wszystkie nerwy w jego ciele zareagowały w tej samej chwili. Napiął mięśnie i wrzasnął, najgłośniej jak umiał. Kroki znowu się rozległy. Człowiek na zewnątrz na pewno go usłyszał, ale wydawało się, że kroki się oddalają. Viljar krzyczał raz za razem, aż opadł z sił. Wytężył słuch, na zewnątrz jednak panowała absolutna cisza.

Gardło miał obolałe i podrażnione, ale nie potrafił powstrzymać płaczu. Mimo to kilka minut później z dołu dobiegł jakiś odgłos, który mógł być szczęknięciem zamka. Serce zabiło Viljarowi jak szalone. Nabrał sił i znowu zaczął wrzeszczeć. Ktoś wchodził po schodach, każdy stopień trzeszczał. Viljar chciał się odwrócić, ale przeszkadzał mu pasek przechodzący pod podbródkiem.

Kroki zatrzymały się na progu. Viljar nie krzyczał, ale wył i szlochał. Dlaczego nieznajomy do niego nie podchodził? Dlaczego się nie zbliżał?

Odpowiedź nadeszła kilka sekund później. Człowiek stojący na progu parsknął głośnym śmiechem.

Viljar zwiśł bezsilnie. Ku swemu zdumieniu poczuł ulgę. A więc wszystko dobiegło końca. Czekąło go jeszcze tylko wymierzenie kary, a potem jego dusza miała odzyskać wolność. Taką, której nikt mu nie odbierze...

Redakcja „Haugesunds Avis”

Niedziela po południu, 19 października 2014 roku

Olav Scheldrup Hansen otarł dłonią pot z czoła. Nowa siedziba gazety była wyposażona w klimatyzację, ale na miejsce, w którym zasiadał, padały promienie słońca. Śledczy pobierał próbki śliny od pracowników. Po wczorajszej nieudanej akcji dało się wyczuć niecierpliwość i zdenerwowanie ze strony prokuratora. Ze stron internetowych i kiosków z gazetami krzyczały nagłówki i zdobycie pozwolenia na pobranie próbek DNA od ludzi, którzy znajdowali się w redakcji w czwartek, nagle stało się błahostką. Aplikatory z wata stały przed nim niczym żołnierze w szeregu, a obok nich dwa pojemniki, jeden na zużyte patyczki, drugi na niewykorzystane. Scheldrup Hansen był skupiony na zadaniu. Rejestrował wchodzących pracowników i zbierał patyczkiem ślinę z ich ust. Z każdym zamieniał kilka słów – chciał się dowiedzieć, gdzie przebywali w danym momencie i czy widzieli bądź słyszeli coś podejrzanego. Jak dotąd nie natrafił na nic, co mogłoby rozświetlić mrok tunelu, w którym się znaleźli.

Gdy zostało tylko dwóch ludzi, na progu stanął Johan Øveraas, który sprawiał wrażenie, jakby chciał zamienić słowo ze śledczym. Wydawał się zdenerwowany i nieszczęśliwy, ale Scheldrup Hansen postanowił najpierw zakończyć pobieranie próbek. Dał znać naczelnemu, by ten zaczekał na zewnątrz. Øveraas opadł na krzesło i zaczął coś przeglądać na telefonie.

Dziesięć minut później, gdy praca dobiegła końca, Hansen udał się za Øveraasem do jego biura. Naczelnny wskazał mu własny fotel, a sam stanął za jego oparciem. Na biurku wznosił się ogromny monitor, na którym przesuwwały się figury wygaszacza ekranu, układające się w psychodeliczny obraz. Øveraas ujął myszkę i uruchomił Outlooka.

Z wprawą odnalazł maila z dobrze znanym nagłówkiem. Morderca powrócił i na oczach Olava Scheldrupa Hansena oraz Johana Øveraasa ogłaszał nowy wyrok.

Śledczy znał treść maila tak dobrze, że interesowało go tylko, który „grzech” tym razem będzie karany oraz kod składający się z liczb i liter, który krył metodę. Przesunął ekran w dół.

Kod brzmiał HM5-1, co Hansen zapisał w telefonie. Grzech zasługujący na karę śmierci tym razem zakrawał na kpinę. Śledczy pokręcił głową i spojrzał na naczelnego.

– Jaja sobie robi? Kłamstwo? On chce szukać kłamcy? Przecież nie może skazać kogoś na śmierć tylko dlatego, że kiedyś tam kogoś okłamał!

– To jakieś szaleństwo! – odchrząknął Øveraas, ale zastanowił się i rzekł: – Nie wiem, czy już o tym pomyśleliście, ale to wszystko wydaje się grubymi nićmi szyte. Mam wrażenie, że on dobiera te argumenty od czapy. Ba, mam wrażenie, że nudzi go nawet pisanie tych maili.

– Trudno się nie zgodzić – odparł Scheldrup Hansen. – Nikt z nas się nie łudzi, że w tym człowieku została choć odrobina moralności. Te rzekome kary to tylko pretekst... Ja...

Olav Scheldrup Hansen ugryzł się w język w chwili, gdy ujrzął podstępny uśmiech naczelnego.

– Ani się, kurwa, waż zacytować moje słowa w gazecie! Nie ma mowy! – huknął i poderwał się, wywracając fotel, a potem wymaszerował z gabinetu, kipiąc ze złości. W chwili gdy znalazł się w korytarzu, natychmiast zadzwonił do Lotte.

– Tu Olav. Czy patrol ma już Ferkingstada? Jeśli tak, to niech sprawdzą, czy ma przy sobie komórkę albo komputer. Dostaliśmy nowego maila. Tym razem przyszedł na skrynkę Øveraasa.

– Tak? Zapomnij o Ferkingstadzie. Mam coś lepszego. Mam nazwisko.

– Nazwisko?

– Tak, wiem, kogo szukamy. Nazwisko leży przede mną.

Komenda policji w Haugesund

Niedziela po południu, 19 października 2014 roku

Telefon od szefa wydawnictwa Haralda Madsena przeciął węzeł gordyjski. Każdy śledczy marzy o tym, aby kiedyś taki telefon odebrać, ale niestety do czegoś takiego dochodzi raz na wieczność. Nie zdarza się natrafić na osobę postronną, która ma odpowiedź na najważniejsze pytanie, która zna jeden drobny szczegół prowadzący do rozwiązania. Lotte przez cały czas wierzyła, że uda im się dotrzeć do mordercy, ale nie w ten sposób. Nigdy

nie przyszłoby jej do głowy, że niespodziewanie zadzwoni do niej człowiek z drugiego końca kraju i poda jej nazwisko. Było to niewiarygodne, ale też wspaniałe. Policjantka powoli wypuściła powietrze z płuc. Dość już niepowodzeń. Kilkakrotnie nie docenili sprawcy, ale teraz wreszcie wiedzieli, kto zasiadał po drugiej stronie stołu.

Odezwał się jej telefon. Był to znów Madsen, który jechał taksówką z Helganes do Haugesund. Gdy podzielił się z nią swym sekretem, Lotte natychmiast uprosiła go, aby złapał pierwszy samolot z lotniska Gardermoen. Miała nadzieję, że zabrał ze sobą to, co miało im dać odpowiedź na wszystko – rękopis. Oczywiście o wiele prościej byłoby przesłać go mailem, ale wydawnictwo otrzymało go w formie papierowej. W rejestrze komputerowym widniały jedynie numer, tytuł oraz autor.

Tajemnica, którą ze wszystkich sił usiłowali rozwikłać, została opisana trzy lata temu, a Harald Madsen rozpoznał przebieg wydarzeń w trakcie lektury artykułów prasowych. Wszystko się zgadzało. Morderstwa były popełniane w tej samej kolejności i w ten sam sposób, co w manuskrypcie otrzymanym przez wydawnictwo. Nie było to zresztą dzieło wybitne. Madsen nie miał żadnych skrupułów, by je odrzucić, nazwał je zresztą gniotem. Przedstawiona w nim historia była mało realistyczna, a warsztat kiepski.

– Jeden oklepany wątek za drugim – opowiadał Madsen. – Literacki odpowiednik pejzażu z łosiami o zachodzie słońca, na jaki natrafiasz na pchlim targu.

Lotte nie wydawało się jednak, by cokolwiek, co działo się w mieście przez ostatni tydzień, zasługiwało na miano banału. Zdarzenia były krwawe, przerażające i prawdziwe. Próbowwała odnaleźć książkę, o której mówił Madsen, ale w Internecie nie było jej śladu – ani autora, ani tytułu. Wyglądało więc na to, że Madsen nie był jedynym, który odrzucił rękopis, a morderca postanowił pokazać światu, że jego kryminalna historia trzyma się kupy. Był naśladowcą siebie samego i działał wedle nieznanego nikomu planu. Cóż, tak przynajmniej było do tej pory, bo dzięki skrupulatności wydawnictwa Alfa Madsen ów plan miał już wkrótce wpaść w ich ręce. Tego się morderca nie spodziewał.

To nam da przewagę – pomyślała Lotte.

Z tego, co Madsen pamiętał, fakty przedstawione w rękopisie były niemal identyczne z tymi, które wydarzyły się w Haugesund. Zgadzały się zarówno odstępy czasowe, jak i dramaturgia. Można by rzec, że mieli do czynienia z kopią.

Pół godziny później Harald Madsen stał w gabinecie Lotte i opowiadał o tym, jak trudno było zabukować bilet na Norwegian i jeszcze dotrzeć na czas na lotnisko Gardermoen, ale policjantka słuchała jednym uchem. To, co miało dla niej największe znaczenie, znajdowało się w torbie wydawcy. Co prawda znała już nazwisko, ale tak naprawdę potrzebowała szczegółów z rękopisu.

Oprócz redaktora z Gjøvik ściągnęła również Olava, Knuta, Larsa oraz naczelnika, co na razie musiało wystarczyć. Zebranie całego zespołu, który teraz liczył siedemnaście osób, było sporym wyzwaniem logistycznym, a poza tym należało utrzymać nowe odkrycie w tajemnicy. Prasa nie miała prawa się dowiedzieć, z czym przybył Madsen, a przede wszystkim należało to ukryć przed samym mordercą.

Ten nie został aresztowany tylko dlatego, że nadal przetrzymywał Viljara w nieznanym miejscu. Policja nie spuszczała go jednak z oczu. Przez cały czas przebywał przy nim któryś z funkcjonariuszy w cywilu, który nie oddalał się bardziej niż o pięćdziesiąt metrów. Z zachowaniem tajemnicy przeszukano również jego dom – Lotte miała nadzieję, że może przetrzymuje w nim Viljara – ale nie natrafiono na żadne ślady. Morderca musiał więc mieć dostęp do innego miejsca, z którego działał.

Madsen został posadzony na krześle. Wręczono mu kubek kawy, a on nachylił się, aby wyciągnąć manuskrypt z torby, gdy do pomieszczenia wsunął głowę jeden z funkcjonariuszy.

Ten sam, który jechał wraz ze mną na Fjellvegen zaledwie tydzień temu – pomyślała śledcza.

– Lotte, mogę prosić na słowo? – spytał.

Lotte westchnęła i uśmiechnęła się sztucznie.

– Jak zapewne widzisz, jesteśmy tu trochę zajęci. To nie może chwilę zaczekać? – odpowiedziała, nawet nie próbując ukryć sarkazmu.

Policjant spojrział z zaskoczeniem na ludzi, którzy z trudem znajdowali dla siebie miejsce w ciasnym gabinecie, pokiwał głową i rzekł:

– Myślę, że sala konferencyjna jest wolna, jakbyście potrzebowali...

W porę zauważył, że w spojrzeniu zarówno Lotte, jak i samego naczelnika pojawia się ostrzeżenie.

– No, tak czy owak, to nie może czekać. Wydaje nam się, że rozgryźliśmy kod z maila Øveraasa i wiemy, jak...

Lotte nieco zmiękła. Przecież to były dobre wieści. Skinęła głową, dając koledze znak, by dokończył. Policjant chrząknął.

Był widocznie spięty.

– No... zabrało to trochę czasu, ale doszliśmy do tego, że nie ma norweskich autorów kryminałów o inicjałach HM. Niewykluczone jednak, że ten facet nie ogranicza się do naszych pisarzy. Uważamy, że HM to Henning Mankell.

Raz jeszcze obrzucił wzrokiem niewielkie zgromadzenie, jakby się spodziewał, że ktoś potwierdzi, że jest na właściwym tropie. Wszyscy z wyjątkiem znużonego człowieka z torbą pokiwali głowami.

– Kod wskazuje na pierwsze zabójstwo w piątej powieści Mankella, przy czym braliśmy pod uwagę tylko kryminały, podobnie jak przy pozostałych. Piąta książka nazywa się *Fałszywy trop*, a scena dzieje się podczas...

– Pożaru na polu rzepaku – wtrącił mężczyzna z torbą.

– Zgadza się. W ogniu ginie pewna dziewczyna.

Lotte miała wrażenie, że jej serce zamienia się w bryłę lodu. Ze wszystkich okrutnych sposobów uśmiercenia kogoś ten należał do najgorszych.

– Ten człowiek na serio to planuje? Chce kogoś podpalić? – wykrzyknął Knut Veldetun. Jego słowa idealnie oddały myśli pozostałych zgromadzonych. Jedynym, który wydawał się nieporuszony, był Harald Madsen.

– Obawiam się, że dokładnie to sobie zaplanował. Wszystko tu opisał – rzekł Madsen i wyjął ze swojej torby plik kartek spiętych gumką. Położył go na stole. Pierwsza strona z wypisanym dużymi literami tytułem przyciągnęła spojrzenia całej grupy niczym magnes.

MAESTRO autorstwa GEIRA TANGENA

Komenda policji w Haugesund

Niedziela wieczór, 19 października 2014 roku

Teraz, gdy poznali imię i nazwisko sprawcy, wszystko nagle wydało się zwyczajne i nieskomplikowane. Zwyczajne nazwisko. Zwyczajny człowiek z całkiem zwykłą pracą. Nauczyciel w podstawówce, niemający nic wspólnego z profilem stworzonym przez Hansena. Mężczyzna mający żonę i dziecko. Znana, pogodna twarz w lokalnej społeczności. Zagorzały fan piłki nożnej, niegdyś zaangażowany w politykę, czasami widywany w miejscowej telewizji.

– Odbiło mu. – Lars Stople przerwał ciszę, która trwała do chwili, gdy Harald Madsen położył rękopis na stole. Dwie osoby spojrzały na niego

pytającym wzrokiem. Olav Scheldrup Hansen i Harald Madsen najwidoczniej nie mieli pojęcia, kim był Tangen. Oni widzieli jedynie nazwisko na papierze.

– Czy to oznacza, że już wiecie, kim on jest? – Harald Madsen wpatrywał się z zaskoczeniem w Lotte. Nie mógł wiedzieć, że wielu ludzi w Haugesund znało to nazwisko.

– Tak, Tangen cieszy się tu sporą popularnością – odparła Lotte.

– Nie spuszcza go z oczu od chwili, gdy zdradziłeś nam to nazwisko. Mamy nadzieję, że doprowadzi nas do miejsca, w którym przetrzymuje dziennikarza – dodał Knut Veldetun.

Na twarzy Haralda Madsena na moment pojawiło się zmieszanie. Odkasznął kilkakrotnie, aby oczyścić gardło, a potem rzekł:

– Myślę, że możecie sobie to podarować. Nie słyszałaś tego, co powiedziałem ci przez telefon, Skeisvoll?

– O co ci chodzi?

– Powiedziałem, że wasz morderca przysłał mi manuskrypt pod pseudonimem Geir Tangen.

– Czyli?

– Pseudonim to nieprawdziwe nazwisko, który przybierają niektórzy pisarze przed wydaniem książki, żeby ukryć swą prawdziwą tożsamość. Przed paroma laty głośno było o Marii Amelie, która nie nazywała się tak naprawdę. W literaturze klasycznej mamy na przykład George'a Orwella, który w rzeczywistości nazywał się Eric Arthur Blair.

Lotte poczuła, że czerwienieje. To nie było niedopatrzenie, ale totalna katastrofa.

– Czyli próbujesz mi powiedzieć, że tak naprawdę nie znamy nazwiska mordercy? Że śledzimy niewinnego człowieka, podczas gdy ten, którego powinniśmy śledzić, szykuje się do spalenia kogoś żywcem gdzieś na polu?

Harald Madsen długo wytrzymał jej spojrzenie, ale w końcu się poddał, choć to nie on właśnie przegrał bitwę. Bez żadnych wątpliwości przegraną była Lotte.

– Cóż... Tak.

– Kurwa mać! Czy ty jesteś idiotą? Chyba zrozumiałeś, że interesuje mnie tylko i wyłącznie prawdziwe nazwisko mordercy, a nie jakiś pieprzony pseudonim artystyczny! – wrzasnęła Lotte, aż wszyscy się skulili. Sekundy mijały w absolutnej ciszy. Lotte wpatrywała się przez moment w blat stołu, aż poprawiła fałdkę na obrusie, wzięła głęboki wdech i wstała.

– Wybaczcie – oznajmiła.

Kilka chwil później pokój był już prawie pusty. Naczelnik również wyszedł, upewniwszy się wpierw, czy Lotte nadal nad sobą panuje. W środku pozostali jedynie oszołomiony nieco Madsen i wyczerpana, znużona Skeisvoll.

– Przepraszam, ale myślałem, że wiecie... – odezwał się Harald i zamilkł na moment, aż znów odkaszlnął. Widział, że policjantka nadal usiłuje stłumić własną frustrację, i doszedł do wniosku, że nie ma co się bawić w piękne słówka. Zdecydował się na inną strategię: – Możemy ustalić, kto się kryje za pseudonimem. Muszę tylko przejrzeć stare maile. Jutro jest poniedziałek i od rana w biurze będzie pracownica, więc...

Lotte rzuciła się do telefonu. Czekanie do jutra mijało się z celem. Funkcjonariusze z Gjøvik musieli jak najszybciej odnaleźć kobietę i na sygnale zawieźć ją do wydawnictwa.

– Super, Madsen – burknęła. – Ale, jak sam wiesz, nie możemy czekać do jutra z uratowaniem kolejnej osoby. Wyślę patrol po twoją pracownicę.

– Do Hiszpanii?

– Do Hisz... Co?

– Wybrała się z wnukami na jesienny urlop do Albiru. Wraca jutro rano.

Lotte spojrzała na wydawcę zmęczonym wzrokiem. Wrócili do punktu wyjścia, a morderca pozostawał upiorem czającym się wśród cieni.

Może zdobędziemy jego nazwisko jutro...

Lotte usiłowała znaleźć w sobie energię do działania. Musiała zacząć myśleć inaczej. Wkrótce go dopadną. Przecież w śledztwie nastąpił przełom, nie było dwóch zdań.

– Myślę, że powinniśmy rzucić okiem na manuskrypt tego faceta. Czy opisał morderstwo na polu tak, abyśmy mogli wysledzić i uratować tę kobietę?

– Nie kobietę, a mężczyznę. Autor rękopisu skopiował scenę z książki Mankella, ale u niego nie jest to kobieta, która popełnia samobójstwo, lecz mężczyzna, który jest mordowany. Jeśli mnie pamięć nie myli, to dziennikarz, który za pośrednictwem swej gazety rozpowszechniał kłamstwa i półprawdy.

W chwili gdy Lotte dowiedziała się, że ofiarą morderstwa w piątej książce Henninga Mankella była kobieta, zaczęła się łudzić, że być może Viljarowi nie grozi jeszcze niebezpieczeństwo, ale słowa wydawcy sprawiły, że nadzieja zgasła niczym świeczka na wietrze. Tym razem nadchodziła kolej Viljara i nie było co do tego wątpliwości.

Harald Madsen zdawał się czytać w jej myślach.

– Przeczytaj ten rozdział. Jak do tej pory zabójca bardzo dokładnie opisywał miejsce zbrodni. Choć z tym poprzednim morderstwem, tym przy użyciu pistoletu, poszło coś nie tak. Miało do niego dojść w pobliżu miejsca, które nazywał Karmsundet, ale w Internecie wyczytałem, że było inaczej, tak?

– Co takiego? Chcesz powiedzieć, że opisuje wszystko aż tak szczegółowo? Że da się rozpoznać miejsce i tak dalej?

– Wszystko na to wskazuje – odparł Madsen. – Siedziałem z manuskryptem i iPadem z wiadomościami prasowymi przez całą drogę do Haugesund. Prawie wszystko się zgadza. Miejsca zbrodni, ofiary, nazwiska, metody...

– Nazwiska? Kpisz sobie? Ten człowiek wykorzystał nazwiska istniejących osób?

– To z tego powodu pisze pod pseudonimem – uśmiechnął się Harald Madsen. – Zna was lub przynajmniej wie, kim jesteście. Gdyby pisał pod własnym nazwiskiem i zdołał to wydać, od razu byście się zorientowali, a tymczasem schował się za nazwiskiem człowieka, którego wszyscy znają, lecz nikt nie może go zaatakować.

Lotte pokręciła głową. Była przekonana, że dopadli sprawcę, ale on tymczasem znów wyślizgnął im się z rąk.

– Czy to w ogóle legalne? Czy pisarze mogą opisywać, kogo chcą, pod fałszywymi nazwiskami?

– Nie zapominaj, że jeśli chodzi o sztukę pisania, ten człowiek to amator. Nie masz pojęcia, Skeisvoll, jak często w otrzymanywanych przez nas rękopisach pojawiają się realnie istniejący ludzie. Pisarzowi łatwiej jest stworzyć, gdy zna osobiście postacie z własnej powieści, ale my na starcie odrzucamy takie propozycje.

Harald sięgnął po manuskrypt i pokazał Lotte początek.

– Spójrz – rzekł.

Lotte uświadomiła sobie, że robi jej się zimno. Słowa rozmazały jej się przed oczami. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi:

Tego poranka, cztery dni przed tym, jak jego życie legło w gruzach, dziennikarz Viljar Ravn Gudmundsson stał na szeroko rozstawionych nogach, rozkoszując się atmosferą w pokoju konferencyjnym. Wszędzie dookoła widział szerokie uśmiechy, ale i zazdrosne spojrzenia, a w powietrzu unosiły się lekceważące chichoty. Było tak, jak być powinno.

– Na Boga! Przecież to jakieś szaleństwo! Jest tego więcej?

Harald Madsen przełożył kilka kartek i podał policjantce te, na których

opisano pierwsze morderstwo. Lotte ujrzała zarówno własne nazwisko, jak i nazwisko Rity Lothe. Zakryła usta dłonią. Miała wrażenie, że ktoś wbija drut do robótek ręcznych w jej głowę.

To niemożliwe...

– Jak to się odbywa? Czy to jakiś jasnowidz? Zaplanował wszystko do najmniejszego szczegółu? Przecież to obłąd, Madsen!

Manuskrypt opisywał inną pogodę, nie przewidywał tego, że Lars Stople czekał na miejscu zdarzenia, a jej za towarzysza przydał starszego, bardziej doświadczonego policjanta, ale poza tym opisane sceny były niemalże wierną kopią wydarzeń z tego poranka.

Harald Madsen ułożył stronę tytułową na miejscu i obrócił arkusz ku niej.

– Spójrz. A niby skąd wziął się tytuł *Maestro*?

Komenda policji w Haugesund

Niedziela wieczór, 19 października 2014 roku

Po zebraniu w ciasnym gabinecie wszyscy zabrali się do obdzwaniania wydawnictw w całym kraju. Skoro morderca wysłał swój manuskrypt do niewielkiego wydawnictwa w Toten, z pewnością wysłał go również do wielu innych. Żadne wydawnictwo nie uznawało pseudonimu, jeśli w informacjach kontaktowych nie pojawiło się również prawdziwe nazwisko wraz z adresem.

Miejmy nadzieję, że nie wszyscy pracownicy wydawnictw bawią w Hiszpanii – pomyślała Lotte.

Według Harald Madsena istniała spora szansa, że inne wydawnictwa również zachowały zarówno rękopis, jak i dane kontaktowe. Wraz z Larsem Stoplem zabrał się do sporządzania listy ludzi związanych z branżą wydawniczą, których znał i z którymi mógł się skontaktować prywatnie w niedzielny wieczór.

Sama rozsiadła się w gabinecie. Jej priorytetem było teraz dokładne przeczytanie rękopisu – musiała się przekonać, czy pomoże im ustalić tożsamość kolejnej ofiary i miejsce egzekucji. Znali już sposób, w jaki ofiara miała zostać zgładzona. Lotte wiedziała, że nie mają dużo czasu, i dlatego skupiła się na stronach opisujących piąte zabójstwo.

Lotte zadrżała, przeglądając manuskrypt. Rozpoznawała kolejne nazwiska i miejsca. Wiedziała, że nie powinna, ale zatrzymała się w miejscu,

w którym autor opisywał śmierć Ranveig Børve. Nie potrafiła pojąć rozmiaru wyrachowania i drobiazgowości mordercy. Wszystko zostało precyzyjnie opisane, dzięki czemu Lotte poznała odpowiedzi na wiele pytań, które stawiali sobie podczas śledztwa. Ona sama była główną bohaterką powieści, a kryjący się pod pseudonimem autor musiał mieć przerażająco dobry wgląd w jej osobowość, gdyż przedstawione przez niego ciągi myślowe zgadzały się mniej więcej z rozważaniami, które snuła na miejscu zbrodni. Opisał na przykład bardzo dokładnie moment, w którym uznała, że należy porzucić szczegóły i zamiast tego skupić się na wszystkim, czego zabójca nie zaplanował świadomie. Jej tok myślenia nie został oddany idealnie, to oczywiste, ale wystarczająco dobrze, by kobietę przeszył strach. Naraz uderzyła ją nowa myśl: czy ona sama również padała ofiarą morderstwa? Nie miała odwagi tego sprawdzić.

Nagle poczuła się, jakby była obserwowana, i wstrząsnął nią dreszcz. Czytała o kolejnych szczegółach, a nawet o własnych myślach i działaniach. Nie była w stanie pojąć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Czy on mnie obserwował przez cały ten czas? Przez trzy lata? A może nadal to robi?

Lotte odepchnęła od siebie rodzącą się paranoję. Nie, autor *Maestra* po prostu popisał się wnikliwą, niemalże autystyczną analizą pracy i sposobu myślenia policji.

A może każdy szczegół został celowo zaplanowany tak, aby zmusić ją do myślenia w określony sposób? Aby robiła to, czego on sobie zażyczył? Aby podejmowała te decyzje, które już opisał?

W jej głowie rozbrzmiały słowa Madsena:

„Spójrz. A niby skąd wziął się tytuł *Maestro*?”

Maestro. Najważniejsza osoba w orkiestrze. Ten, który dyryguje wszystkimi członkami orkiestry, by podążali za jego instrukcjami i doskonalili swój kunszt.

On robi wszystko, co może, żeby spełnić nakreślony z góry plan. Każda zmiana czy przeszkoda tylko go wzburzy i będzie dokonywał rozmaitych korekt, żebyśmy znów za nim ruszyli. Innymi słowy, jeśli tylko będzie miał ku temu okazję, robi wszystko, by jego działania nie odbiegały od manuskryptu. Oto nasza szansa – pomyślała.

Szybko przeczuciła kartki do rozdziału opisującego kolejne wydarzenia.

Do następnego zabójstwa miało dojść późnym popołudniem albo wczesnym wieczorem – pisarz nie precyzował dokładnie pory, nie podał też nazwiska ofiary.

– Cholera!

Lotte ujrzała Madsena na korytarzu i zawołała go:

– Pamiętasz, kto został zabity na tym polu? Może Viljar? Czy nazwisko ofiary pada gdzieś w książce? – zapytała, machając wydrukiem przed oczami szefa wydawnictwa.

– Nie, nigdzie się nie pojawia. Wiesz, to nie jest wcale wybitna książka. W przeciwnym razie już dawno byśmy ją wydali. Pod koniec aż się roi od luźnych, niedokończonych wątków. Nazwisko może się gdzieś pojawia, ale, o ile mnie pamięć nie myli, jednym z największych logicznych niedociągnięć było właśnie to, że nie wiadomo, kto ma zostać podpalony na tej wyspie. Beznadziejnie słabo jak na autora kryminałów, ale gość nie miał talentu za grosz, więc...

Lotte westchnęła. Nie była w stanie dłużej znosić gadulstwa wydawcy.

– Tak, to już rozumiałam, ale teraz musimy coś zrobić. Czas działa na naszą niekorzyść i twoje literackie wywody muszą zaczekać.

Słyszała, jak to brzmi, ale nie przejmowała się tym.

– Pojawia się gdzieś Viljar czy nie?

– Posłuchaj, czytałem tego gniota przed trzema laty! – Madsen zrobił obrażoną minę. – Nie pamiętam wszystkich szczegółów!

Lotte podniosła się i wyprosiła go machnięciem dłoni, jakby był kotem, który zabłąkał się do środka. Zamknęła za nim drzwi i znów usiadła przy manuskrypcie. Stres oddziaływał na nią coraz bardziej. Miała wrażenie, że uwięzła w koszmarze, z którego nie może się wyzwolić.

– Skup się, Lotte – napomniała się surowo.

Przeczytała o tym, jak oprawca wyciągnął ofiarę z domu stojącego za miastem, blisko morza, i zawłókł ją na łódź. Następnie przywiózł swego więźnia na płaskie pole niedaleko przystani dla małych łodzi na Lindøy. Tam, według manuskryptu, przywiązał go do słupa i oblał benzyną zarówno jego, jak i teren dookoła. Zależało mu na tym, by pożar przyciągnął uwagę ludzi przebywających w okolicy. Zanim iskra wędrująca po loncie domowej roboty dotrze do kałuży benzyny i uwolni piekło, morderca chciał pokonać cieśninę Røyksundet i skierować łódź ku miastu.

Istniał tylko jeden sposób na uratowanie Viljara. Należało pokrzyżować plany pisarza amatora i rozstawić kilka min, które przeszkodzą mu w realizacji scenariusza z książki, a nie zdradzą, że policja zna jego sekret. Problem w tym, że mogło być już za późno. Niewykluczone, że Viljar już stał przywiązany do jakiegoś słupa na Lindøy. Jeśli nie uda im się go uratować, zdołają przynajmniej pochwycić mordercę. Łódź zostanie

zatrzymana w chwili, gdy przybije do nabrzeża w Haugesund.

Lotte chwyciła za interkom i nakazała całej grupie dochodzeniowej natychmiastowy powrót. Tym razem postanowiła skorzystać z życzliwej rady kolegi i zajęła salę konferencyjną, która miała stać się centrum operacyjnym na czas ostatniego pościgu.

Requiem – Benedictus

Czuję jego drżący oddech na mojej szyi. Jest ciężki i wierci się bez przerwy, przez co trudno mi go nieść, ale nie przejmuję się tym. Założyłem żelazny chwyt wokół jego talii i wiem, że na pewno mi się nie wyrwie. Poza tym jest związany jak świnia i jak do tej pory nie zdołał wymyślić skutecznego sposobu ucieczki. Widzę w nim panikę, dostrzegam lęk i rozpacz. Doskonale wiem, jakie piętno na człowieku odciskają te uczucia, ale najgorsza spośród nich jest nadzieja, owa iskierka wiary w to, że wszystko jakoś się poukłada. Że ktoś go uratuje. Że zdoła się uwolnić. Że to nie śmierć czeka na niego na końcu drogi. Nadzieja rodzi panikę, a dzięki adrenalinie serce pompuje krew z wielką siłą. Na szczęście dla niego mam wszystko, czego trzeba, by przegnać panikę raz na zawsze. Wszystko, co potrzebne, by wrzeszcząca nadzieja ustąpiła o wiele przyjemniejszej rezygnacji.

Dopiero w chwilach, gdy umiera ostatnia nadzieja, widzę, jak moje ofiary ogarnia pokój. W ich sercach pojawia się spokój, który przywodzi na myśl śnieg padający w wigilijny wieczór, miękki i cichy. Tak się godzą z tym, co ma nadejść. Są milczące i bezbronne. Czuję słabnący puls, widzę matowiejące powoli spojrzenie. Widzę rezygnację.

Po kilku minutach jesteśmy na miejscu. Wtedy dociera do niego, że pomoc nie nadejdzie, że nie zdoła się uwolnić. Wreszcie rozumie, że to wszystko dzieje się naprawdę, a ja nie mam zamiaru okazać mu łaski. Wówczas nadchodzi rezygnacja.

Nie krzyczy już, ale szlocha. Jego mięśnie wiotczeją. Prawidłowo odczytuję znaki, ponieważ już to widziałem. Ranveig też się tak zachowywała. Przez jakiś czas opierała się zaciekle, aż wreszcie poddała się i popadła w stan apatycznej rezygnacji. Kapitulacja. Smakuję to słowo. Szepczę mu je do ucha, niosąc go nadal w stronę celu. Kapitulacja...

Jeszcze nie poddał się całkiem, ale niewiele mu brakuje.

Na moment moje myśli rozprasza plusk fali, która omywa kamienie plaży. Jakże tu spokojnie. Jak tu cicho. Nie wyczuwam żadnego niepokoju

czy zamieszania, które zakłóciłyby obraz. Jestem tu tylko ja i woda. On zaś jest związany, a jego szloch już do mnie nie dociera. Nie słyszę protestów, nie czuję jego jadu ani jego złości. Pewnie przez to, że wcisnąłem mu knebel, ale tak czy owak...

Myślę, że nie usłyszałbym go nawet, gdyby krzyknął, wrzasnął lub zadał we wszystkie rogi świata. On nie jest już w stanie do mnie dotrzeć. Jestem poza jego zasięgiem. Jestem tu sam, nie licząc plusku wody. Nie licząc chlupotu benzyny w niesionym przeze mnie kanistrze. Ja jestem, a on nie. Jakie to proste.

– Tak stoi w Piśmie – szepczę do niego, gdy wracam do słupa. Dostrzega mój czerwony kanister i widzę w jego spojrzeniu, że wie, co go czeka. Nie będzie to spokojna śmierć. Nie, nie tym razem. Nie będzie upadku z siódmego piętra pod narkozą, nie będzie eksplodującego pocisku, który zsyła ciemność w ułamku sekundy, nie będzie utraty przytomności, wywołanej brakiem tlenu w mózgu... Nie, tym razem nadejdzie ból. Skóra będzie rozpuszczać się powoli wśród płomieni, a ciało imploduje w koszmarnym cierpieniu. Krew zacznie wrzeć i poniesie się zapach smażonego mięsa, aż mózg zostanie rozsadzony jednoczesnym wrzaskiem bólu wszystkich nerwów. Chwilę później nadejdzie śmierć, gdy płomienie przeżrą się przez skórę, a naczynia krwionośne przestaną działać. Po upływie kilku minut z ciała pozostaną jedynie węgielki i popiół. Ciało, w którym kiedyś mieszkali myśli, uczucia i popędy, które rozpoznawało smaki i zapachy, stanie się tym, z czego powstało. Popiołem i węgielkami.

Nie mogę się doczekać chwili, gdy stanę się świadkiem ostatniego kroku do wieczności, gdy ujrzę, jak człowiek opuszcza ciało w ostatniej sekundzie życia. Szkoda, że nie mogę stać tuż obok niego. Żałuję, że tak opisałem tę scenę. Wiem, że wystarczy mi czasu i zdążę obejrzeć cały seans, nim zawrócę łódź, ale trzymam się planu. Moje requiem ma być idealnie zgodne z oryginałem. Wylewam benzynę, zarówno na niego, jak i dookoła słupa. Cieszę się, że trawa pod moimi stopami jest sucha. Czeka mnie wspaniałe widowisko, choć przyglądać mu się będę z morza.

Czekam na jego rezygnację, ale najwyraźniej skryła się gdzieś za przerażeniem. Może nie jest tak łatwo się poddać, gdy człowieka czeka tyle bólu? Myślę o własnym cierpieniu. Pod koniec czeka mnie straszliwy ból i dobrze o tym wiem, ale i tak będzie warto. Wszyscy mnie zobaczą. Wszyscy ujrzą mój talent. Odejdę ze świadomością, że nie zostaną zapomniani. Ten moment się przybliży, ale jak dotąd nikt jeszcze o tym nie wie. Nikt nie rozumie. Nikt nie widzi obrazu w takim kształcie, w jakim go

namalowałem. Zrozumienie pojawi się, gdy spłonie ostatni most, a obój wyda z siebie ostatni, melancholijny dźwięk w kompozycji. *Piano pianissimo...* Ostatnie machnięcie batutą i wszystko, co jest lub będzie, przestanie istnieć.

Na samym końcu wybuchową moc dziewięćdziesięciopięciooktanowej benzyny wchłania biały lont domowej roboty. Właściwie nie jest to konieczne, bo nie będzie przez to wcale płonął szybciej, ale przynajmniej mam pewność, że nie zgaśnie po drodze. Tak czy owak, wszystko ma być tak, jak zostało opisane. Unoszę go, by ujrzał lont, a on gorączkowo kręci głową i próbuje wrzeszczeć. Przypomina to stłumione porykiwania łosia. Gniew. Rozpacz. Przeważenie. Wciąż nie widzę rezygnacji, co zaczyna mnie irytować. Czyżby dziennikarze byli twardsi od pozostałych? Czyżby pozostawili za sobą więcej niedokończonych spraw? Czyżby mieli niezachwianą wiarę w to, że wszystko da się zmienić w ostatniej sekundzie? Że *deadline* można przesunąć? Uśmiecham się, rozbawiony własną myślą.

– *Deadline...* Idealnie dobrane słowo – mrużę pod nosem. Martwa linia. Unoszę lont w powietrze raz jeszcze i wołam do niego: – Oto twój *deadline*!

Widzę, jak sztywnieje, i puchnę z dumy. Pochyla głowę. Ramiona mu drżą, gdy zaczyna płakać.

Wreszcie – myślę. Wreszcie ogarnia go spokój.

Pstrykam zapalniczką i przytykam płomyk do końca lontu. Mój więzień nie reaguje. Pochyla się i osuwa na kolana. Lont strzela iskrami i zaczyna skwierczeć, po czym bucha jasnym białym światłem. Odrzucam go na ziemię i odwracam się plecami do sceny. Idę w stronę łodzi. Wiem, że mam około dwóch minut, by wejść do niej i wypłynąć z przesmyku. Wielka szkoda, że nie ujrzę punktu kulminacyjnego, ale mam nadzieję, że go usłyszę.

Wchodzę już na moją małą jolkę i wtedy odwracam się po raz ostatni. Ku swemu zdumieniu dostrzegam, że na wyspie coś zaczyna się dziać. Nie mam pojęcia, jak to możliwe!

Dwa radiowozy wjeżdżają do portu żaglowego. Gdy moja łódka zbliża się do wąskiego przesmyku między północnym brzegiem Lindøy i Røyksund, widzę ludzi, którzy pędzą w stronę słupa. Nie ma mowy, by zdążyli na czas. Jestem przekonany, że go nie uratują. Tak czy owak, muszę nieco zwolnić. Chcę ujrzeć jego ostatnie chwile, zanim okrąży cypel.

Policjantów od celu dzieli jakieś pięćdziesiąt metrów, gdy lont się dopala i pojawiają się płomienie. Po upływie pięciu sekund jest już po wszystkim.

Ciało zajmuje się ogniem, który strzela wiele metrów w górę. Na wyspie

rozpętuje się piekło, które powstrzymuje pędzących policjantów. Mało brakowało, a udałoby im się. Terkot silnika zostaje zakłócony przez przeraźliwy wrzask. Czysty i piękny ból przesywa powietrze.

Port jachtowy, Lindøy

Niedziela wieczór, 19 października 2014 roku

Płomienie strzelały na wysokość niemal pięciu metrów. Lotte usłyszała obłąkańczy wrzask bólu jeszcze w samochodzie, którym przyjechała na miejsce. Nie byli w stanie zrobić niczego, by go uratować. Wrzask po chwili przeszedł w potępieńcze wycie, a potem ucichł. Rozlegał się zaledwie kilka sekund, ale Lotte miała wrażenie, że trwał nieskończenie dłużej. Świadomość, że stoi przy samochodzie i bezsilnie patrzy na człowieka pożeranego przez płomienie, była dla policjantki skrajną porażką.

Przegraliśmy bez względu na to, jak to wszystko się skończy – pomyślała i kucnęła, kryjąc twarz w dłoniach. Tkwiła w tej pozycji, poddając się rozpacz i wątpieniu, podczas gdy wszędzie dookoła ludzie wrzeszczeli i krzyczeli. Gdy w końcu podniosła wzrok, ujrzała, że kilku spośród nich udało się przewrócić słup, do którego przywiązano mężczyznę, a teraz polewali go wodą z morza. Próby były daremne. Lotte odwróciła się w stronę samochodu. Nie chciała już na to patrzeć, nie chciała tego słuchać. Drżącymi rękami ujęła mikrofon i złożyła meldunek. Poprosiła o przysłanie karetki, zespołu technicznego oraz straży pożarnej. Mówiła mechanicznym głosem, nie poświęcając swoim działaniom żadnej myśli.

Stała i przyglądała się trzem policjantom, którzy nadal uwijali się niczym spłoszone owady.

Czym oni się przejmują? Przecież jest za późno.

Po chwili uświadomiła sobie jednak, że na wyspie dzieje się coś dziwnego. Z portu jachtowego biegł jakiś człowiek, który wymachiwał gwałtownie rękami i coś pokazywał dwóm funkcjonariuszom. Lotte odsunęła od siebie apatię i ruszyła wolno w ich kierunku.

– On był tam, gdy zaczął się pożar! – wołał nowo przybyły i wskazywał przerwę w falochronie.

Lotte pokonała ostatnie metry biegiem i zrównała się z trzema mężczyznami.

– Jaki on? Widział pan tu kogoś? – Ostry głos Lotte przeciął gwar. Mężczyźni aż się skulili.

Właściciel łodzi odwrócił się do niej i powtórzył to, co już opowiedział dwóm policjantom. Widział mężczyznę, który wsiadł na jolkę i opłynął

cypel mniej więcej w tym samym czasie, gdy rozpoczął się pożar.

– Ruszył przez Røyksundet – sprecyzował.

– Jakies pięć minut temu, tak? – Lotte opanowała się nieco, aby nie wystraszyć nieboraka.

Pokiwał głową.

– Nawet mniej. Może trzy? Na pewno przyszedł z plaży, bo w przeciwnym razie dostrzegłbym go z mojej łodzi.

Lotte przywołała resztę. Musieli wziąć się w garść. Wciąż mieli szansę powstrzymać tego potwora, pod warunkiem że morderca nadal zmierzał do miasta na łodzi.

– Knut, pojedziesz ze mną. Wy dwaj zostańcie tutaj i pilnujcie miejsca zdarzenia. Niech nikt tu nie łązi przed przyjazdem technicznych, okej? Jeśli da radę, zatrzymaj również personel karetki. Viljar nie żyje i nikt już mu nie pomoże, a nie chcę, żeby tłum ludzi zdeptał miejsce zbrodni.

Podbiegła do samochodu. Na myśl o tym, że może uda im się złapać mordercę, poczuła przypływ energii. Wskoczyła za kierownicę i ruszyła ostro, nim Knut zdołał wygodnie ułożyć swe długie nogi. Spod opon strzelił żwir.

Miska olejowa zgrzytnęła, gdy samochód przemknął nad pierwszym wzgórkim. Lotte kazała Knutowi przekazać centrali, by szukali białej jolki z jednym człowiekiem, kierującym się na północ w Karmsundet.

– Cholera, że też nie mamy tu policyjnej łodzi! Odciełaby mu drogę, zanim zszedłby na ląd!

Mogli tylko mieć nadzieję, że trzyma się swego manuskryptu, gdyż w tej sytuacji będzie na niego oczekiwał komitet powitalny. Lotte zadzwoniła do komendy i poprosiła o przełączenie do Haralda Madsena, który otrzymał do dyspozycji jej gabinet i szybko się w nim zadomowił.

– Harald? Tu Lotte! Sprawdź jeszcze raz drogę ucieczki mordercy z Lindøy. Zobacz, co robi i gdzie chce przybić do brzegu. Wiemy, że chodziło o Haugesund, ale przypatrz się szczegółom.

Harald odchrząknął. W telefonie słyhać było szelest przierzucanych kartek.

Minęła wieczność, nim w słuchawce ponownie rozległo się chrząknięcie Haralda. Coś znalazł.

– W powieści porzuca ofiarę, nim ta zaczyna płonąć, i kieruje łódź w stronę nabrzeża w Haugesund. Chce przybić do miejsca, które się nazywa... Poczekaj... O, mam. Bakarøymoloen.

Lotte wiedziała, że postawienie wszystkiego na jedną kartę to spore

ryzyko, ale nie miała innego wyboru. Gdyby morderca nadal trzymał się scenariusza opisanego w książce, śledcza mogła wysłać oddział z rozkazem zatrzymania go.

Taka mała łódka wcale nie jest szybka – myślała. Mamy jakieś trzydzieści minut, nim dotrze na miejsce, ale zgubimy go, jeśli postanowi zerwać ze scenariuszem. Znów zostaniemy wyprowadzeni w pole!

Wcisnęła gaz do dechy. Prowadziła ostro, zawadzając o krzaki rosnące na skraju drogi, aż wyjechała na drogę główną przy wjeździe na węzeł komunikacyjny zwany T-forbindelsen. Knut zerknął na nią ze strachem. Był prawidłowo zapięty i nie puszczał uchwytu przy drzwiach. Samochody umykały przed nimi na wszystkie strony, a Lotte wykorzystywała każdą lukę w ruchu ulicznym. Nie zwolniła nawet na rondzie w Raglamyr i sekundę później, gdy autem zarzuciło na łuku, dotarło do niej, że wypada panować nad sobą nawet podczas wezwań alarmowych. Siedziała w końcu za kierownicą standardowego radiowozu, a nie bmw m3. Mimo to nadal nie zwalniała, gdy przebijali się przez liczne ronda prowadzące do centrum. Jej stylu jazdy na pewno nie dało się nazwać bezpiecznym, ale tym razem nic nie mogło jej powstrzymać. Wyprzedzili mordercę po raz pierwszy od rozpoczęcia całego zamieszania. Po raz pierwszy to ona była myśliwym, a on zdobyczą.

Przez radio rozkazała obstawić Bakarøymoloen, ale zaleciła dyskrecję. Nie mogła dopuścić do tego, że zabójca usłyszy syreny czy ujrzy z wody światła. Radiowozy miały zaparkować poza zasięgiem wzroku, a policjanci – trzymać się w ukryciu. Zaleciła też, by byli uzbrojeni i obezwładnili mordercę, gdy ten znajdzie się na łodzi. Zdaniem Lotte w tym leżała ich jedyna szansa, bo jeśli sprawca zorientuje się zawczasu, że wpływa w pułapkę, natychmiast zmieni plany. Atut, jakim był nieopublikowany manuskrypt, natychmiast przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Na rondzie w Flotmyr skręciła ostro w kierunku centrum i wyłączyła światła. Syrena milczała od chwili, gdy przekroczyli granice miasta. Dwie minuty później Lotte zaparkowała samochód przy Galerii Sztuki i wyjęła broń, a potem włożyła kamizelkę kuloodporną i hełm. Upewniła się, że ze sprzętem Knuta wszystko w porządku, a on sprawdził jej sprzęt. Następnie oboje udali się w kierunku mostu, który prowadził na Hasseløy. Przebiegli przez most schyleni, tak aby nikt ich nie zauważył od strony wody. Sami na razie nie widzieli żadnej łodzi, ale nie mieli czasu na obserwację, gdyż członkowie grupy uderzeniowej dawali im znaki, by usunęli się na bok. Jeśli sprawca w istocie planował przybić do brzegu

w tym miejscu, nie miał żadnych szans.

Hasseløy, Haugesund

Niedziela wieczór, 19 października 2014 roku

Niewielka jolka poruszała się powoli. Ludzie, którzy czekali na lądzie, mieli wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim pojawił się pierwszy meldunek o łodzi, która ze stałą prędkością zmierzała w stronę lądu. Niestety, choć trwała jesień i wielu amatorów żeglarstwa ułożyło już swoje łodzie do snu zimowego, ciepła aura wywabiła pozostałych na morze. Była niedziela i ludzie mieli wolne. Ci, którzy wybrali się na krótki niedzielny rejs, powoli wracali w stronę nabrzeża. Na wodach panował spory tłok.

Lotte wyrobiła sobie mylne przekonanie, że zadanie będzie łatwe, ale okazało się, że czeka ich surowy test cierpliwości i wytrzymałości. Z wstępnych szacunków wynikało, że jolka powinna dotrzeć na miejsce przynajmniej dziesięć minut temu, ale nadal jej nie było. Do nabrzeża przybijały dziesiątki innych, żadna nie przypominała jednak z wyglądu tej, którą widziano na Lindøy. Przynajmniej jak dotąd. Lotte czuła, że jej frustracja przybiera na sile. Zadzwoiła do policjantów pozostawionych na wyspie, chcąc uzyskać dokładniejszy opis łodzi, na którą się czaili. Informator utrzymywał, że była biała, a wzdłuż burty ciągnął się ciemnoszary pas. Była też wyposażona w silnik, a na pokładzie zmieściłyby się zaledwie trzy – cztery osoby. Nie pamiętał żadnych innych szczegółów. Opis pasował mniej więcej do pół tuzina łodzi, które w ciągu ostatnich trzydziestu minut przepłynęły w pobliżu Karmsundet, ale żadna z nich nie kierowała się ku Bakarøymoloen.

Z wyjątkiem tej, którą przed chwilą zauważono.

Nagle odezwała się słuchawka w uchu Lotte. Wzywał ją obserwator przy moście.

– Sierra jeden, zauważyliśmy dwie osoby na łodzi. Powtarzam, na obserwowanej łodzi znajdują się dwie osoby!

Lotte chciała się poderwać, ale opanowała się w ostatniej chwili. Przecież w miejscu, gdzie się kryła, i tak nie byłaby w stanie tego sprawdzić. Poprosiła obserwatora o potwierdzenie, co ten zrobił niemal natychmiast:

– Nie ma wątpliwości, Sierra jeden. Na pokładzie znajdują się dwie osoby. Jeden człowiek steruje łodzią, a drugi siedzi na dziobie.

Lotte zakłęta z pasją, co przyciągnęło zdziwione spojrzenie leżącego obok

niej Knuta. Niczego nie rozumiała. Czyżby czekali na niewłaściwą łódź? A może łódź była właściwa, a oprawca już pochwycił kolejną ofiarę? A może znów zawalili sprawę? Pytania kłębiły się w jej głowie, ale nic na to nie mogła poradzić. Musieli czekać i przekonać się sami. Problem leżał w tym, że o wiele trudniej było aresztować człowieka, który miał zakładnika. Gdyby przeprowadzili akcję obezwładnienia zgodnie z pierwotnym planem, narażali niewinnego człowieka na niebezpieczeństwo.

Wtedy w jej głowie pojawił się nowy scenariusz.

A jeśli morderców jest dwóch? – pomyślała.

Odrzuciła pomysł równie szybko, jak się pojawił. Po pierwsze, trudno było uwierzyć w to, że w jednym mieście pojawi się dwóch takich szaleńców, którzy na dodatek podejmą się współpracy. Po drugie, nic w książce nie wskazywało na obecność drugiego przestępcy. Maestro pracował sam i nie było co do tego wątpliwości. To zaś oznaczało, że druga osoba w łodzi była jeńcem lub nie miała pojęcia, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła.

Lotte odwróciła się i wybrała numer posterunku policji. Nie przeczytała fragmentu, w którym morderca przybija do nabrzeża. Zrobił to tylko Harald Madsen. Przecież nie zapomniaby chyba wspomnieć o tym, że w łodzi przebywały dwie osoby?

– Nie, Lotte, w manuskrypcie nic o tym nie ma – odpowiedział wydawca.

– Morderca schodzi na ląd samotnie, ale pamiętaj, że nie wszystko się zgadza w stu procentach. W kilku miejscach oszedł od pierwotnego scenariusza. Przecież to nie jasnovidz.

Lotte poczuła narastający ból głowy. Musiała rozwikłać swoje dylematy, przecież reszta zespołu czekała na jej rozkazy!

– Jest tam Hansen?

Harald Madsen przytaknął i przekazał telefon śledczemu z Kripos.

– Olav, potrzebuję szybko dowiedzieć się jednej rzeczy. Zważywszy na osobowość mordercy, czy możliwe jest, że wziął ze sobą zakładnika?

Olav zastanawiał się przez kilka sekund, po czym rzekł:

– Jeśli weźmiesz pod uwagę jego profil, to prawie niemożliwe. Nie dziwię się więc wcale, że nie umieścił niczego takiego w manuskrypcie. Ten człowiek jest obłąkany na tym punkcie i robi wszystko, by jego czyny dokładnie odzwierciedlały treść dzieła. Wszystko wskazuje na to, że chce odegrać własną książkę i jeśli się nie mylę, zrobi wszystko, by nie wprowadzić dużych zmian. W tej sytuacji umieszczenie drugiej osoby

na łodzi wydaje się prawie niemożliwe. A skoro już o tym mówimy, morderca niemal na pewno zwrócił uwagę na to, że prawie go pojмалиśmy na Lindøy, a więc pewnie się zorientował, że znamy treść książki. Wiązanie z nim dalszych nadziei to tak czy owak szaleństwo.

– Szaleństwo? To ten facet jest szalony, kurwa mać!

– Tak, jasne, ale nie w dosłownym sensie. On doskonale wie, co robi. Działa w sposób racjonalny i wyrachowany. W pełni kontroluje sytuację i dlatego na pewno nie ma zamiaru brać zakładnika i w ten sposób niszczyć reszty fabuły. Jesteście pewni, że to na pewno on zbliża się do nabrzeża? A może to ktoś, kto skorzystał z ładnej pogody i wybrał się na rejs dla przyjemności?

Lotte się rozłączyła. Nie miała ochoty wysłuchiwać wygłaszanych pobłażliwym tonem oczywistości. Nie zwlekając, wezwała po kolei wszystkie trzy grupy operacyjne i oznajmiła, że odwołuje pierwotny plan, zgodnie z którym mieli aresztować ściganego, gdy tylko zejdzie na ląd. Teraz funkcjonariusze mieli czekać do chwili ustalenia tożsamości drugiej osoby w łodzi i stwierdzenia, czy człowiek ten nie znajduje się w niebezpieczeństwie.

Jolka sunęła po wodach Karmsundet i zbliżała się do falochronu. Wszystko wydawało się jak najbardziej normalne. Nic nie wskazywało na to, że łódkę prowadzi szaleniec, a życie pasażera jest w jakimkolwiek stopniu zagrożone.

– Sierra jeden, w łodzi są dwie osoby. Nie widać żadnej broni. Nie ma żadnych dowodów na to, że jedna z nich jest zagrożona przez drugą.

Lotte widziała już łódź zbliżającą się do brzegu. Podniosła lornetkę i wyregulowała ostrość, a wtedy nie zdołała powstrzymać krótkiego okrzyku zaskoczenia. Człowiek przy sterze naciągnął na głowę niedźwiedzią czapę, przez co nie dało się go zidentyfikować. Lotte stawiała na starszego mężczyznę w okolicach sześćdziesiątki, niemniej to nie on sprawił, że zapomniała o konieczności zachowania ciszy. Sprawił to widok nieco znużonego pasażera. Był to wymęczony, chudy, zgarbiony mężczyzna. Lotte wstrzymała oddech. Wpatrywała się bez mrugnięcia.

Nie ulegało wątpliwości. Pasażerem łodzi był Viljar Ravn Gudmundsson.

Cztery lata wcześniej

Stemmen, Haugesund

Wtorek wieczór, 31 sierpnia 2010 roku

Fredric Karjoli odwrócił się i wpełzł głębiej między drzewa. To, co właśnie ujrzał, nie było prawdą. Nie, to nie mogła być prawda. Krzyk z mostu nadal rozbrzmiewał w jego uszach.

To nieprawda. To się nie dzieje naprawdę!

Przerażające wydarzenie na moście, którego właśnie był świadkiem, przegnało resztki nadziei. Nie było już drogi odwrotu.

Fredric próbował się podnieść. Musiał stąd uciekać. Poprzysiągł na wszystkie świętości, że będzie się trzymał z dala od Eivindsvatnet, ale nie mógł się powstrzymać. Po prostu musiał się tu zakraść. Musiał się przekonać, czy nie wydarzy się nic złego, i ostrzec Jonasa, gdyby czekała tu na niego policja. Szybko uświadomił sobie jednak, że był strasznym naiwniakiem. Jonas na pewno wiedział, do czego tu dojdzie. W przeciwnym razie nie sprzeciwiałby się, ale pozwolił Fredricowi pójść ze sobą. Przecież cała Norwegia wiedziała, że uciekli we dwójkę. Nie musiał tego ukrywać, a już na pewno nie przed własną rodziną.

– Nie mogę wyjechać, dopóki nie poproszę matki o wybaczenie – powiedział mu.

Wyjechać... Mówił o tym, jakby się wybierali na wakacje. Jakby to, do czego doszło, nie miało ściągnąć na nich uwagi policji na całym świecie.

– Ale ona nie przyjdzie sama, Jonas. Na Boga, przecież zabiliśmy twoją siostrę! Myślisz, że ona przyjdzie bez policji?

– Nie wiem, Fredric. Dlatego nie pójdziesz ze mną. Jeśli mama uzna za stosowne oddać mnie w ręce policji, w porządku. I tak nie będę w stanie żyć dłużej, jeśli z nią nie porozmawiam.

No i wykrakał – pomyślał Fredric.

Jonas nie powiedział mu nic więcej. Opuścił go w lesie przy Haraldsvang i ruszył ku Stemmen, gdzie umówił się z matką. Protesty Fredrica nic nie dały, a wówczas mimo obietnicy zdecydował się na to, czego miał nie robić. Podążał w ślad za przyjacielem w gęstniejącym deszczu, trzymając się w odpowiedniej odległości, by nie zostać zauważonym. Ukrył się przy szopie na łodzie, skąd widział most.

A także ów niewyobrażalny czyn, który nie był przeznaczony dla jego oczu.

Wszystko odbyło się tak szybko, że Fredric nie zdołał zareagować. Matka i syn obejmowali się mocno, a sekundę później widział już, jak nogi Jonasa znikają za balustradą. Potem rozległ się straszliwy krzyk kobiety, która

najpierw dała mu życie, a potem mu je odebrała.

Pięć minut później Fredric odważył się opuścić na drżących nogach swoją kryjówkę. Most był już pusty, a w pobliżu nie widział nikogo. Trzęsąc się jak osika, przypadł do balustrady i spojrzał w dół. Szukał ukochanego, ale na dole było ciemno i niczego nie dostrzegł. Wołał i krzyczał, aż ochrypł, a wówczas osunął się na ziemię i wybuchnął płaczem. Uświadomił sobie, że ktoś stanął za jego plecami. Wiedział, że to może być matka Jonasa, ale mimo to nawet się nie odwrócił. Zobojętniał na wszystko. Dopiero gdy usłyszał głos, uświadomił sobie, że ktoś jeszcze odważył się wyjść w taki deszcz.

– Potrzebujesz pomocy?

Fredric pokiwał głową. Wykrztusił kilka słów, lecz okazały się tak niewyraźne, że musiał je powtórzyć.

– Zadzwoń na policję. Nazywam się Fredric Karjoli. Myślę, że jestem poszukiwany.

Mężczyzna, który go zagadnął, podniósł się płynnym ruchem i oddalił się błyskawicznie, ale Fredric usłyszał, jak mówi coś przez telefon. Kilka minut później chłopak odniósł wrażenie, że dostrzega migotanie świateł samochodu policyjnego. Żadnych syren, tylko światła. Zimne niebieskie rozbłyski ukazywały mu na mgnienie oka to, co znajdowało się u stóp tamy. Widział wówczas czerwony T-shirt Jonasa. Widział, gdzie upadł jego przyjaciel.

Hasseløy, Haugesund

Niedziela wieczór, 19 października 2014 roku

Gdy łódź zmierzała w stronę nabrzeża, Viljara ogarnęło osobliwe wrażenie, że obserwują go tysiące oczu. Odrzucił to uczucie i wbił wzrok w Andrégo Ferkingstada, który siedział na rufie i sterował. Stary działacz wspólnoty religijnej o mały włos złamałby piąte przykazanie. Gdyby wszystko przebiegło zgodnie z planem, Viljar runąłby do wody przy Røvær, przywiązany do cementowego bloku, ale zgorzkniały starzec poszedł po rozum do głowy i go posłuchał. Wysłuchał jego modlitw.

W chwili gdy stał na progu domku nad morzem, nic nie wskazywało na to, że zrezygnuje ze swoich planów. Wysoki i barczysty, stał nieruchomy niczym góra i wpatrywał się w Viljara. Wszystkie Biblie na świecie nie zdołałyby wpłynąć na jego decyzję, a mimo to tak się stało. Viljar nie miał

zielonego pojęcia, co sprawiło, że Ferkingstad zmienił zdanie, ale doszedł do wniosku, że to zasługa jego pokory i szczerości. Wszak ojciec Jonasa miał przed sobą grzesznika żałującego za swoje grzechy.

Viljar widział nienawiść w oczach starca. Widział desperację, żal i rozpacz. Widział wszelkie zło. Nadszedł czas rozprawy i choć Viljar wiedział, że przypuszczalnie skończy się to jego śmiercią, nie miał tego za złe. Powinien był dawno zostać rozliczony za swą przeszłość. Może wówczas obaj pogodziliby się już z losem.

André Ferkingstad usiadł na beczce śledzi naprzeciwko Viljara. Domagał się odpowiedzi. Jego żądanie sprawiło, że w sercu Viljara pękła tama. Opowiadał bez końca, nie kryjąc żadnego szczegółu. Opisywał to, o czym myślał, i to, co zrobił. Tłumaczył się z podjętych wyborów. Przez cały czas wiedział, że to przypuszczalnie jest dla niego ostatnia szansa, by opowiedzieć wszystko tak, jak było naprawdę.

W miarę jak jego opowieść się rozwijała, spojrzenie starca łagodniało. Znikły z niego nienawiść i zaciętość, a na jego twarzy pozostał jedynie smutek. Być może zrozumiał, że wydarzenia, o których opowiadał dziennikarz, naznaczyły na całe życie również jego. Popełnił jeden fatalny błąd, który zniszczył życie tylu ludziom. Viljar pamiętał wszystko, co się wydarzyło. Nadal czuł zapachy i słyszał dźwięki, które mu wówczas towarzyszyły. Pamiętał nawet upajającą satysfakcję, którą odczuwał, zanim wszystko legło w gruzach. Zanim zawalił się świat.

Konsekwencją jego nieuwagi była śmierć dwójki młodych ludzi, a dwie inne osoby wylądowały w więzieniu. Viljar miał wrażenie, że wykpił się za tanio, ale najbardziej dokuczała mu świadomość, że pośrednio odebrał życie dziewięcioletniej dziewczynce. To jej krew czuł na swoich dłoniach.

Po wydarzeniach związanych z Jonasem Viljar nie miał już ochoty, by pisać, szukać czy ujawniać kolejne afery. Stany lękowe rozdzierały go na strzępy i dziennikarz – specjalista od sensacji – stał się cieniem samego siebie. Zachował pracę dzięki łasce naczelnego oraz swym dawnym zasługom, ale stawiał się w niej jako człowiek wypalony, znużony i niezainteresowany kontaktem z innymi ludźmi. Przez cały czas liczył się z tym, że ktoś ujawni jego brzemienne w skutki błęd podczas szalejącej burzy medialnej, a on sam zostanie postawiony pod ścianą. Z początku obawiał się kolegów z mediów stołecznych, ale ci akurat stanęli w jego obronie. Potem nabrał przekonania, że rozniosą się plotki na jego temat, a Johan Øveraas prędzej czy później wezwie go na dywanik. Tymczasem, choć było to całkiem niewytłumaczalne, nic takiego nigdy nie nastąpiło.

Jego udział w sprawie nie pojawił się nawet podczas procesu matki Jonasa.

Kobieta składała zeznania wielokrotnie, ale nigdy nie ujawniła przyczyn, które pchnęły Jonasa do tak desperackich czynów.

Viljar wmówił więc sobie, że nikt poza nim nie wiedział, że to on był powodem tych tragicznych zdarzeń. Nawet ojciec Jonasa nie miał o tym pojęcia. Cóż, przynajmniej tak mu się do tej pory wydawało, a tymczasem historia ożyła po latach i przerodziła się w piekło śmierci i cierpienia.

– Przecież to jakiś koszmar – wyrzucił z siebie dziennikarz. – Po co zabijał pan tych wszystkich ludzi? Po to, by w końcu mnie dopaść? Po co ta cała przemoc? Jaki w tym sens?

A wtedy, ku jego zdumieniu, Ferkingstad spojrział na niego łagodnie i powiedział kilka słów, które sprawiły, że wszystkie logiczne wnioski Viljara rozsypały się jak domek z kart:

– To nie byłem ja. Nie jestem mordercą, nie rozumiesz? Chciałem zabić jednego jedynego człowieka, którego nienawidziłem przez ostatnie cztery lata, ale nie zdołałem. Ujrzałem w sobie światło Boga, Gudmundsson. Nie potrafię zabijać.

– A więc kto... Kto to jest? Przecież on musi mieć jakiś związek ze mną i z Jonasem!

Ferkingstad raz jeszcze spokojnie popatrzył na Viljara.

– Nie, Viljarze – odparł po chwili ciszy. – Z tego, co wiem, nikt z zabitych nie miał żadnego związku z Jonasem. Dajesz się zaślepić wyrzutom sumienia. Może czas już zwrócić twarz ku Bogu i błagać o wybaczenie? Być może uwolnisz się od swoich demonów.

Viljar opadł z sił i wybuchnął płaczem. Był wyczerpany, a w sercu czuł jednocześnie ulgę i żal.

* * *

Z czasem André Ferkingstad nauczył się żyć z tęsknotą, smutkiem i ze wstydem. Pogodził się z tym, że Viljar popełnił zawodowy błąd, za co nie można było go obwiniać. Doszedł do wniosku, że pamięć o tym, co się wydarzyło, oraz gorzki żal były dla dziennikarza wystarczającą karą, a wstyd okazał się nauką na przyszłość. Ojciec Jonasa był z tym pogodzony przez cztery lata, aż w piątek wszystko nagle się zmieniło. Z narastającym przerażeniem przeczytał wówczas kiepski reportaż Viljara, w którym dziennikarz jak ostatni idiota opisywał swoje kontakty z mordercą. Nie było żadnych wątpliwości, że tragiczny los Jonasa i Ine

niczego dziennikarza nie nauczył.

W tej samej chwili André Ferkingstad postanowił, że pokaże Gudmundssonowi, jak się czuje ofiara. Będzie patrzył na jego cierpienie. Będzie oglądał jego żal i rozpacz. Ogłuszył go i zamknął w swojej chacie w Røvær, gdzie w pierwszej chwili naprawdę miał zamiar odebrać mu życie.

Odzyskał panowanie nad sobą dopiero w chwili, gdy ujrzał pełnię rozpaczony Viljara. W porównaniu z nim dziennikarz był w szczęśliwym położeniu, gdyż nie stracił wszystkiego tak jak on. Nie żyły dzieci Ferkingstada, żona siedziała w więzieniu, a jedynym, co mu pozostało, była wspólnota religijna, która najwyraźniej zdystansowała się wobec wszystkiego, co zaszło. Był zranionym zwierzęciem, ale nie mordercą.

Bez słowa usiedli w łodzi i skierowali się ku miastu w nadziei, że to, co się między nimi wydarzyło, nie zostało przez nikogo zauważone.

Requiem – Agnus Dei

Widzę ich wszystkich, jak tam stoją. Wszystkie moje postacie w jednym miejscu. Nie mam pojęcia, na co czekają przy tym nabrzeżu, ale nie ma wątpliwości, że czegoś się dowiedzieli. Nie wiem, jak do tego doszli, ale w jakiś sposób dowiedzieli się, co się dzieje. Przecież nikt poza mną nie ma dostępu do szczegółów. Istnieje tylko jedno możliwe rozwiązanie – zauważyli mnie i poznali moją tożsamość. To zaś oznacza, że ktoś śledzi każdy mój ruch. Ale w takim razie dlaczego mnie nie zatrzymają? Dlaczego pozwolili mi dokonać tylu zabójstw? Przecież to szaleństwo!

To niemożliwe. Nie zdziwiłbym się, gdyby śledczy mieli jakieś podejrzenia, ale na pewno nie poznali prawdy! Przecież nuty nie mówiły, że policja dotrze na Lindøy, a mimo to tam się znalazła. Tylko minuty dzieliły mnie od schwytania. Może zauważyli łódź i śledzili ją, gdy zmierzała w stronę lądu? Ale w takiej sytuacji powinni czekać na mnie w ukryciu tutaj, a nie szwendać się i gadać ze sobą, jakby byli na wycieczce! Czyżby mój krótki postój przy kei na Litlasund pomieszał im szyki? A może czekali na mnie, ale przerwali operację, bo gdybym zmierzał w stronę Bakarøy, powinienem już być na lądzie dawno temu? Może i tak było.

Cieszę się, że przyszło mi do głowy spojrzeć przez lornetkę przed rozpoczęciem ostatniej części podróży. Cóż za pomyślny traf, doprawdy. Całe szczęście, że nie przerwano mi teraz. Moje dzieło sztuki nie zostałoby

dopracowane.

Czuję zimny dreszcz na plecach. Nie mogę do tego dopuścić! Pod żadnym pozorem! Na szczęście nie mają pojęcia o tym, co dopiero ma nadejść – o *Requiem Communion*, ostatniej części. Teraz muszę skupić się na tym, aby nikt mnie nie zauważył. Oni najwyraźniej wiedzą, kim jestem, ale nie mają pojęcia, co robię.

Policja znika, ale nie wolno mi zaniechać ostrożności. Nie stać mnie teraz na najmniejsze ryzyko. Są zbyt blisko mnie. Muszę odnaleźć drogę w inne miejsce. Z narastającą ciekawością odwracam spojrzenie w przeciwnym kierunku. Patrzę na grupę wysepek na północnym zachodzie. Espevær.

Łódź wypływająca z portu nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Stamtąd będę mógł działać w spokoju. Żaden policjant nawet nie popatrzy w tę stronę. Tam w spokoju będę mógł przygotowywać finał. Jedynym problemem jest manuskrypt. Zaglądam do czerwonej torby. Wszystko, czego potrzebuję, znajduje się na moim prymitywnym laptopie. Przepisanie całego fragmentu zajmie noc, ale warto podjąć ten wysiłek. Jak dotąd wszystko się zgadza, a poprawek jest mniej, niż zakładałem. Potrzebuję pokoju z łóżkiem i gniazdkiem elektrycznym. Tam, na tych malutkich wysepkach, znajdę jedno i drugie. Wiem dokładnie, jak odnaleźć spokój, którego potrzebuję, by móc doprowadzić do końca to, co czeka na mnie rano.

Wyruszam więc w drogę, kryjąc się za wysepkami, i kieruję łódź ku Espevær. Nocne niebo jest czarne niczym węgiel, a morze jest spokojne.

Trwa cisza przed burzą.

Komenda policji w Haugesund

Noc z niedzieli na poniedziałek, 20 października 2014 roku

Olav Scheldrup Hansen spojrzął na Lotte Skeisvoll, która siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Kpisz ze mnie? Gudmundsson twierdzi, że nie został porwany?

– Taaa – wymamrotała Lotte Steinsvoll do swojej filiżanki kawy. Nie podniosła wzroku.

Śledczy z Kripos milczał, więc westchnęła i opowiedziała mu:

– Nasz drogi przyjaciel Viljar Ravn Gudmundsson najwyraźniej wybrał się na wycieczkę rybacką w okolicach Røvær wraz ze swoim „nowym

przyjacielem” Andrém Ferkingstadem. Został przez niego odebrany w sobotni wieczór, a ich wyprawa na wyspę przebiegła w spokoju. Nie doszło do żadnych niebezpiecznych wydarzeń, a to, że Viljar jest poraniony i zakrwawiony, ma rzekomo związek z paskudnym upadkiem na śliskiej skale.

Hansen pokręcił głową. Chętniej uwierzyłby w rosyjskiego kolarza zawodowego, który unika dopingu, niż w tak mało wiarygodne wyjaśnienia, ale postanowił odłożyć tę sprawę na później. Morderca musiał więc znajdować się w innej łodzi, która najwidoczniej prześlizgnęła się niepostrzeżenie. Bóg raczy wiedzieć, jak do tego doszło. Na razie mieli ważniejsze sprawy na głowie niż brednie opowiadane przez Gudmundssona.

Lotte odzyskała nieco energii i wstała.

– Skoro Gudmundsson żyje, musimy się dowiedzieć, do kogo należą te zwęglone zwłoki na Lindøy.

Wygłaszała podobne oczywistości i bezproduktywne stwierdzenia od dwóch godzin. Poprosiła Haralda Madsena o skserowanie ostatnich czterdziestu pięciu stron rękopisu dla reszty zespołu i wszyscy je przeczytali. Nie było wątpliwości, na co się zanoszą, ale jeśli morderca nadal miał zamiar trzymać się własnego scenariusza, pozostawała im jeszcze cała noc na przygotowania. Nic nie powinno się wydarzyć aż do poranka, ale wówczas wydarzenia miały się rozegrać wyjątkowo szybko.

Hansen spojrzał na pozostałych członków zespołu. Widział znużone, puste twarze ludzi, którzy zaczynali zarażać się zniechęceniem od szefowej. Postanowił przejąć inicjatywę i podniósł się gwałtownym ruchem. Nogi odsuniętego krzesła zgrzytnęły, aż wszystkich ciarki przeszły. Zebrani unieśli głowy i spojrzeli na niego, więc Hansen nie musiał nic robić, by przyciągnąć ich uwagę. Nikt nie skinął głową, nikt się nie uśmiechnął. Zewsząd widać było jedynie bezmyślne bądź sceptyczne spojrzenia.

– Posłuchajcie! Siedzenie tu i gapienie się w blat stołu do niczego nas nie doprowadzi. Morderca najwidoczniej postanowił odbiec od scenariusza i nie przybił do nabrzeża, co wcale nie oznacza, że rozgryzł nas i wie, że znamy jego plany. Mógł po prostu zmienić to i owo. Nie zapomnijmy też o tym, że spisał to wszystko przed wieloma laty, a mimo to przez cały czas próbował trzymać się wiernie oryginału. Ten człowiek ma niezwykle dobrą intuicję albo doskonale zna sposób myślenia policji. Mamy wielką nadzieję, że nie zmienił swych planów za bardzo.

Scheldrup Hansen przerwał na moment. Upił łyk kawy i rozejrzał się

po zgromadzeniu. Miał wrażenie, że kilka osób ocknęło się z marazmu i wpatrywało się w niego z zaintrygowaniem. Lotte, która również się ożywiła, spojrzała na niego z wdzięcznością zza stołu. Lars Stople podniósł palec, sygnalizując, że chce coś powiedzieć.

– W takim wypadku manuskrypt pokazuje nam, kogo musimy chronić. Otrzymaliśmy ostatniego maila i wszyscy przeczytaliśmy odpowiedni fragment. Mam nadzieję, że pamiętacie tę okropną scenę, w której głowa Lotte zostaje zatknięta na słupie przy kafejce na Haraldsvang. Rozumiem, że będziemy pilnować Lotte, aby morderca jej nie dopadł?

Olav pokiwał głową, ale spojrzał z zadumą na kolegę.

– Jasne, nie ma wątpliwości, że musimy ochronić Lotte, ale nie zapominajmy, że pisarz w jednym miejscu popełnił poważny błąd w swoich proroctwach.

Rozejrzał się i po raz pierwszy zauważył uśmiechy i usłyszał chichoty dookoła. Lotte przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków. Choć sytuacja była napięta, ludzie nie mogli opanować rozbawienia, ponieważ książka zawierała opis pełnego pasji aktu miłosnego między Lotte i Viljarem tuż przed jego zniknięciem. Scena zawierała kilka pikantnych szczegółów, które tylko pogłębiły zażenowanie Lotte, i Hansen widział, że chętnie zapadłaby się teraz pod ziemię. Czym prędzej znów zabrał głos, by uprzedzić ewentualne komentarze.

– W tej sytuacji sama scena nie jest w niczym pomocna, ale pokazuje, że mamy do czynienia z człowiekiem, który popełnia błędy. To zwykły człowiek, a nie wszytkowiedzący jasnowidz, do tego wiemy, co ma zamiar zrobić. To nasza jedyna przewaga. Gdy zacznie improwizować, będziemy gotowi, ale problemy się zaczną, gdy nie zdoła jutro odnaleźć Lotte. Bez wątpienia ulegnie wówczas frustracji i stanie się nieprzewidywalny, a my automatycznie utracimy nasz drobny atut.

Uwaga wszystkich była skupiona na Scheldrupie Hansenie. To, co mówił, miało sens, ale z drugiej strony było tak niesłychane, że graniczyło z czystym szaleństwem. Lotte podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Poczekaj. Czy właśnie dałeś do zrozumienia, że nie powinnam otrzymać ochrony? Chcesz mnie wykorzystać w charakterze wabika? Narazić mnie na niebezpieczeństwo? Nie dość, że jest to zakazane przez wszystkie paragrafy regulaminu, to jeszcze bardzo nieodpowiedzialne!

Śledczy z Kripos westchnął. Wiedział, że stąpa po niezwykle kruchym lodzie, ale postanowił, że wyłuszczy swój plan.

– Odpowiedź brzmi i tak, i nie. Mój pomysł polega na tym, by morderca uznał, że jesteś pozbawiona ochrony. Wiemy dokładnie, gdzie i w jaki sposób ten człowiek chce się do ciebie dostać. Nasi ludzie ukryją się we wszystkich możliwych miejscach, żeby mogli zareagować błyskawicznie. Zanim morderca się spostrzeże, będzie miał założone kajdanki. Nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić mu na odegranie tragicznej sceny na Haralduvang godzinę później.

Spojrzenia wszystkich odwróciły się ku Lotte. Wszyscy wiedzieli, że ostateczna decyzja zależy tylko i wyłącznie od niej. Policjantka uniosła obie dłonie.

– Posłuchajcie, pomysł Hansena to czyste szaleństwo, któremu nadano ramy operacji policyjnej. Zapytajmy o zdanie naczelnika. Jeśli się z tobą zgodzi, Olav, nie będę protestować. Mam tylko nadzieję, że tym razem dobrze sobie przemyślałeś konsekwencje. Jeśli chodzi o sposób myślenia i kolejne kroki naszego sprawcy, parokrotnie popełniłeś błąd.

Austmannavegen, Haugesund

Poniedziałek rano, 20 października 2014 roku

Lotte Skeisvoll nie była tchórzem, ale teraz czuła lęk. W trakcie trwającego tygodnia dochodzenia dowiedziała się wielu rzeczy, ale najważniejszym wnioskiem było to, że morderca był w stanie zaskoczyć jej zespół nawet wtedy, gdy uważali, że zapędzili go w kozi róg. Próbowwała więc protestować, gdy naczelnik niechętnie zgodził się na plan Hansena.

Dopiero gdy porozmawiała z naczelnikiem w cztery oczy, a on wyjaśnił jej, z jakich powodów wyraził zgodę, Lotte zrozumiała, że nie może odmówić. Po pierwsze, wszystko wskazywało na to, że poszukiwany przez nich człowiek zawsze miał w zanadrzu plan B. Oznaczało to, że jeśli nie uda mu się dorwać Lotte, znajdzie jakąś inną dziewczynę, która zajmie jej miejsce. Dziewczynę, której nie znali, ale morderca na pewno miał już ją na celowniku. Dziewczynę, której nie byli w stanie ochronić. Po drugie, z taktycznego punktu widzenia w istocie była to ostatnia szansa, by osaczyć i pojmać zabójcę. Po tej scenie rękopis stawał się praktycznie bezużyteczny, ponieważ nie dawał czytelnikowi już żadnych wskazówek co do dalszych planów przestępcy.

Lotte robiła wrażenie o wiele bardziej opanowanej, niż się czuła. Choć pogoda tego jesiennego poranka była łagodna, w sercu Lotte miała lodowaty chłód. Biegła po swojej codziennej trasie jak co rano między szóstą a siódmą. Na godzinę przed przebudzeniem całego miasta była w stanie zbliżyć się do niezależności, o której opowiadała jej Anne. Do miejsca, które pisarz wyznaczył w swoim manuskrypcie, pozostał jej jeszcze kawałek. Miała się spotkać z mordercą przy przejściu podziemnym niedaleko siedziby Opla, na zachód od bloku, w którym mieszkał Viljar.

Lotte zrobiła to, o co została poproszona, i jak zwykle opuściła swe mieszkanie w Ramsdalen o szóstej. Jej poranne przebieżki były najwidoczniej powszechnie znanym zwyczajem, skoro morderca opisał je w swoim manuskrypcie przed wieloma laty, a policjantka musiała przyznać, że przez cały ten czas jej rytuał niewiele się zmienił. Miała wrażenie, że ludzie mogli według niej regulować zegarki, co dziś w istocie się zdarzyło.

Wiedziała, że o tej godzinie okolica przejścia podziemnego na ogół jest pusta, ale tego dnia było inaczej. Wokół tunelu czuwało dziesięciu

policjantów, którzy byli w stanie zlokalizować i zatrzymać mordercę jeszcze przed jej przybyciem. Gdyby im się nie udało, mieli zainterweniować w chwili, gdy zabójca się pojawi i spróbuje ją porwać. Zgodnie z książką do próby dojdzie przed wejściem do tunelu, a napastnik posłuży się taserem. Następnie zawlecze nieprzytomną Lotte do samochodu zaparkowanego dziesięć metrów dalej, przed budynkiem Opla. Olav utrzymywał, że skoro to wszystko wiedzieli, sama napaść nie wiązała się z wielkim ryzykiem. Choć ścigany miał się posłużyć paralizatorem elektrycznym, najgorszym, co mogło spotkać Lotte, było kilka siniaków.

Wszystko to brzmiało dobrze i Lotte wiedziała, że to logiczne rozumowanie. Problem w tym, że ten człowiek wyprowadził ich w pole tyle razy, że podczas porannego treningu w ogóle nie czuła się bezpiecznie. Na wszelki wypadek otrzymała więc pojemnik z silnym gazem pieprzowym, który trzymała w kieszeni. Miał zwiększyć bezpieczeństwo policjantki, ale w rzeczywistości efekt był inny. Oznaczało to bowiem, że teoria naczelnika wcale nie jest szczelna i cały plan policji może wziąć w łeb. Myśl była niepokojąca, ale świadomość, że dziesięć par oczu będzie śledzić każdy jej krok przed wejściem do tunelu, pokrzepiała ją na duchu i w sumie tylko dlatego zgodziła się wziąć udział w planie Olava. Niejednokrotnie była bowiem świadkiem imponującego wyszkolenia policyjnej grupy uderzeniowej.

Serce biło jej coraz szybciej, gdy przebiegła przez ulicę niedaleko pierwszego z bloków. Wejście do tunelu znajdowało się pięćdziesiąt metrów dalej. Za kilka sekund miała być na miejscu. Lotte zmobilizowała wszystkie siły. Być może napastnik właśnie ją obserwuje – nie może odnieść wrażenia, że policjantka się waha. Biegła lekkim krokiem w stronę wejścia, rozglądając się uważnie. Naraz dostrzegła jakiegoś człowieka, który stał i czekał. Adrenalina zaczęła żywiej krążyć w jej żyłach, a kolana nagle osłabły, grożąc upadkiem. Obcy był coraz bliżej i widziała go coraz wyraźniej. Co więcej, była w stanie go rozpoznać. Wiedziała, kim on jest, ale nie potrafiła w to uwierzyć. Podczas dochodzenia właściwie nie brano go pod uwagę.

Zaskoczona biegła nadal w stronę mężczyzny, ale niepostrzeżenie wsunęła dłoń do kieszeni, by wyciągnąć gaz. Przez twarz mężczyzny przemknął uśmiech zadowolenia. Gdy Lotte znalazła się tuż-tuż, rozpętało się piekło.

Nagły rozbłysk i ogłuszający huk odrzucił ich do tyłu. Lotte była odurzona i oszołomiona, a w jej uszach rozlegał się wściekły pisk. Szyja eksplodowała płonącym bólem, który błyskawicznie przeniósł się na klatkę

piersiową. Nie mogła złapać tchu. Miała świadomość, że eksplozja cisnęła nią o cementową ścianę, ale nie była w stanie poruszyć ręką ani nogą. Usłyszała czyjeś krzyki i echo kroków odbijające się od ścian tunelu, a potem dojrzała biegnące ku niej postacie. Gdzieś dalej leżała na wznak jakaś kobieta, krzycząc histerycznie. Lotte usiłowała zakryć dłońmi uszy, ale ręce jej nie słuchały. Spróbowała więc stanąć na nogi, ale wtedy czyjś but kopnął ją z całej siły w skroń i cały świat znikł.

Komenda policji w Haugesund

Poniedziałek rano, 20 października 2014 roku

Aparaty fotograficzne strzelały niczym karabiny maszynowe, gdy Lotte Skeisvoll i Olav Scheldrup Hansen mijali tłum dziennikarzy zgromadzonych przy komendzie. Na szczęście udało im się wjechać na parking pod budynkiem, gdzie żaden z wysłanników prasy nie miał wstępu. Lotte po drodze mignęła kamera z logo CNN.

Przerażające – pomyślała.

Nie dość, że norweskie media śledziły każdy ich krok, to jeszcze teraz do zamieszania wkroczyły najważniejsze kanały informacyjne świata, bezlitosne i miażdżące. Lotte wiedziała, że cokolwiek zrobi bądź powie, po wsze czasy będzie to już oznaczone jej nazwiskiem.

W komendzie roiło się od ludzi, choć minęła dopiero siódma trzydzieści. Kripos wysłała w sobotę i niedzielę dwa pełne zespoły, a teraz dotarły posiłki ze wszystkich możliwych części dystryktu. Jak dotąd dokonano tu pięciu morderstw w ciągu siedmiu dni, a dziś miało dojść do szóstego. Prasa dowiedziała się jednak tylko tyle, że policja zdołała zapobiec zabójstwu i udało jej się schwycić sprawcę. Sam przestępca został umieszczony w szpitalu, gdzie otoczono go ścisłym nadzorem. Lotte osobiście prosiła chłopaków z oddziału interwencyjnego, by obeszlili się z nim łagodnie podczas aresztowania, ale chyba jej nie posłuchali. Jeśli tak miało wyglądać łagodne traktowanie, nie chciała wiedzieć, jak wyglądałoby ostre. Oberwał od nich solidnie, choć z całą pewnością stracił przytomność w chwili upadku na ziemię, o czym świadczyła choćby głęboka rana głowy. Sama Lotte również nie wyszła z akcji bez szwanku. Jeden z policjantów, którzy wdarli się do tunelu od zachodu, pomylił leżących i wymierzył jej solidnego kopniaka w głowę, gdy ujrzał, że próbuje się podnieść. Na szczęście nie odniosła takich obrażeń, jakim nie można byłoby zaradzić

workiem z lodem. Była wstrząśnięta i poobijana, ale żywa. Gdyby nie udało im się zatrzymać mordercy, nie miałyby aż tyle szczęścia.

Nadal zamroczona i oszołomiona, nie była w stanie wejść po schodach bez pomocy. Wiedziała, że sama również powinna znaleźć się w szpitalu.

To chyba wstrząs mózgu – pomyślała po pokonaniu pierwszych stopni. Zaczekała na Scheldrupa Hansena, który wziął ją pod rękę i pomógł utrzymać równowagę. Lotte nie wiedziała, czy jej paskudne samopoczucie było efektem wybuchu granatu ogłuszającego, czy może celnego kopnięcia, ale poszarzała na twarzy, jakby lada moment miała zwymiotować.

– Dasz sobie radę? Trzymasz się jakoś?

Lotte nie odpowiedziała, ale pokiwała głową. Weszli do jej pokoju i usiedli na swoich krzesłach. Po chwili dołączyli do nich Lars oraz Knut i oparli się o ścianę, a tuż po nich wszedł naczelnik, który przyniósł sobie krzesło z korytarza. Kilku ciekawskich zajrzało do środka i Olav wstał, by zamknąć drzwi na klucz.

Naczelnik przeszedł od razu do rzeczy:

– Znamy go? Tego człowieka z tunelu?

Lotte pokiwała głową i odkaszlnęła, żeby odzyskać głos.

– Znamy, i to dobrze. To jeden z ludzi, których mieliśmy na celowniku w redakcji. Pobraliśmy od niego próbkę DNA, ale wyniki przyjdą dopiero jutro rano.

Pozostali obecni wymienili spojrzenia. Każdy z nich miał nadzieję, że natrafią na niebudzący wątpliwości związek między człowiekiem aresztowanym w tunelu a zbrodniami, które usiłowali powstrzymać. Olav Scheldrup Hansen zadał pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta.

– Kto to jest?

Lotte spojrzała na twarze, na których po raz pierwszy od siedmiu dni pojawiły się ślady radości i entuzjazmu. A więc to tak czuje się człowiek, kiedy w końcu dorwie ściganego mordercę. Wyglądali jak myśliwi, którym po długiej pogoni udało się ustrzelić jelenia.

– To Henrik Thomsen. Dziennikarz kulturalny.

Lotte rozpoznała go od razu – nie dość, że wielokrotnie się na niego natykała, to jeszcze mało kto dorównywał mu wzrostem.

Po ujawnieniu nazwiska sprawcy w pokoju zapadła cisza.

– Czy ten Thomsen miał już okazję coś powiedzieć? – zapytał Hansen. – Czy zrobił coś po wejściu do tunelu?

Lotte westchnęła i pokręciła głową.

– Nie. Rozległ się wybuch, a potem rozpętało się piekło.

W pomieszczeniu nadal panowała cisza, a obecni sprawiali wrażenie, jakby nagle mieli już wszystkiego dosyć. Adrenalina, która huczała im w żyłach przez ostatnich kilka godzin, utrzymywała ich w gotowości do działania, ale teraz powoli ogarniało ich zmęczenie. Wreszcie znali tożsamość sprawcy, a co więcej, mieli go pod kluczem. Thomsen musiałby pokonać dziesięciu policjantów, gdyby zapragnął wyrwać się ze szpitala na wolność. Bez względu na liczbę szalonych planów, które wdrożył w życie, tym razem nie miał zapasowego scenariusza.

Z letargu wyrwało ich stukanie do okienka w drzwiach. W progu stał Harald Madsen, wypoczęty i świeży jak szczypiorek, uśmiechnięty od ucha do ucha. Wpuszczono go do środka.

– Rozmawiałem z kilkoma innymi wydawcami i właśnie miałem telefon od Arno Vigmostada z Vigmostad & Bjørke. Ma nazwisko i adres człowieka, który kryje się pod pseudonimem Geir Tangen.

Z tymi słowami rzucił trzymaną w rękach kartkę na stół. Reszta zebranych uśmiechnęła się do niego – na swój sposób również doszli do personaliów mordercy. Naczelnik klepnął Madsena w ramię.

– Dobra robota. Na szczęście mamy już tego człowieka. Pojmaliśmy go podczas porannej akcji. Henrik Thomsen jest już w szpitalu pod ścisłym nadzorem. To koniec.

Harald Madsen uśmiechnął się do niego i pokiwał głową, ale widać było, że zmagają się z jakimś dylematem. Obrzucił spojrzeniem pozostałych obecnych.

– Czy jest coś, co cię nadal intryguje?

– Co? Nie... Nie jestem ze wszystkim na bieżąco, ale... Ale kto to jest Henrik Thomsen?

Requiem – Communio

Radiowozy wyją na Kirkegata. Cieszy mnie to. Znów było blisko. Za blisko, szczerze mówiąc. Już rozumiem, co mnie dręczyło przez cały wczorajszy wieczór. Skąd oni to wszystko wiedzieli? Jak doszło do tego, że dwa razy z rzędu znaleźli się w pobliżu? Chyba jednak rozgryźli moją tajemnicę i dotarli do manuskryptu.

W takim razie to jedynie kwestia czasu, nim dojdą do tego, kim naprawdę jestem. Liczę na to, że nadal mam czas, a potrzebuję zaledwie trzydziestu minut, by ukończyć ostatnią fazę. Niemniej przyznam, że czuję

się niekomfortowo ze świadomością, że policja jest tak blisko mnie w chwili, gdy widzę już linię mety. Pozostał mi tylko jeden plan B, a muszę się liczyć z tym, że okażą się szybsi ode mnie.

Z tego względu usiadłem przy oknie, żeby wszystko widzieć. Chcę wiedzieć, czy nie pojawi się nagle ktoś, kto będzie chciał mnie aresztować. W tej sytuacji pozostałaby mi jedynie pospieszna ucieczka przez wyjście ewakuacyjne w piwnicy.

Czuję narastającą niecierpliwość. Mój komputer nigdy nie należał do szybkich, ale dziś działa wyjątkowo ociężale. Zmęczenie bierze nade mną górę. Wczoraj w domu nad wodą nie zmrużyłem nawet oka. Zadzwoił natomiast do mnie André, który musiał wypowiadać się ze swoich grzechów. Musiał mi opowiedzieć o tym, co się wydarzyło owego dnia na Røvær. Opowiedział, że prawie odebrał życie Viljarowi, ale odzyskał panowanie nad sobą. Bawi mnie to, że on nie ma najmniejszego pojęcia o tym, czym zajmowałem się przez ostatni tydzień.

Nieoczekiwane pojawienie się Andrégo w mojej historii o Jonasie to doprawdy komiczny zwrot akcji. Muszę go umieścić w manuskrypcie! Wiem też, że mojemu dziełu do osiągnięcia doskonałości brakowało jeszcze wzmocnienia przed momentem kulminacyjnym. Opowieść o Jonasie niniejszym jest ukończona.

Komputer powoli uruchamia system operacyjny, a ja zerkam na ulicę pod sobą. Wszystko wydaje się takie normalne. Ludzie spieszą to tu, to tam, a samochody przedzierają się między nieprawidłowo zaparkowanymi pojazdami na ulicach wokół domu wspólnoty. Zastanawiam się, jak oni wciąż mogą wieść normalne życie, zupełnie nieporuszeni tym, co się działo przez ostatni tydzień. Nie mam pojęcia, co się wydarzy, gdy przeczytają o tym, że to Hans Indbjo spłonął wczoraj wieczorem na Lindøy, ale cyrk medialny, który już działa pełną parą, z pewnością to podchwyci. Zdobynam się na uśmiech. Nadal pamiętam jego przedśmiertne wrzaski, rozlegające się między wysepkami. Wspaniałe wspomnienie.

Pół godziny temu byłem świadkiem dramatu niedaleko budynku Opla. Prześladował mnie niepokój, czułem wręcz w kościach, że zanoszą się na coś niedobrego. Miałem przeczucie, że zaraz dojdzie do jakiegoś nieprzewidzianego wydarzenia. Oddychałem coraz szybciej, a w piersi czułem narastający lęk. Dziesięć minut przed ustaloną chwilą stałem na skrzyżowaniu przed starą elektrownią i odliczałem czas. Manuskrypt, który przeredagowałem w niewielkim domku letniskowym na Espevær, mówił mi, co powinienem zrobić, ale teraz, gdy znalazłem się w mieście,

miałem wrażenie, że wszystko jest błędem. Nie mogłem uwolnić się od podejrzenia, że policja wie więcej, niż mi się wydaje. Nie mogłem wyjść na spotkanie Lotte w tunelu.

Niespodziewanie moim oczom ukazała się znana mi osoba i wtedy zrozumiałem, że los przygotował dla mnie inny scenariusz. Miałem przed sobą ważące sto trzydzieści kilogramów uosobienie negatywności, człowieka, który idealnie się nadawał do moich celów. Henrik Thomsen skinął głową na powitanie i uściśnął mi dłoń. Wymieniliśmy kilka zwykłych uprzejmości, a potem spytałem go, czy mógłby mi wyświadczyć przysługę.

– Za pięć minut pojawi się tu Lotte Skeisvoll. Miałem na nią zaczekać przy tunelu w drodze do pracy i wręczyć tego pendrive'a, ale coś mi wyskoczyło i muszę się spieszyć. Czy mógłbyś tu na nią zaczekać? To naprawdę ważne!

– Gdzie konkretnie? – spytał Thomsen niechętnie. Najwyraźniej nie podobało mu się, że ktoś zavraca mu głowę.

– Tu, niedaleko. Ona biega tędy co rano, a ja przechodzę tu w drodze do pracy.

Henrik Thomsen wziął ode mnie pendrive'a.

– Tylko żeby nie było później niedomówień: nie mam zamiaru długo czekać. Maks pięć minut.

Pokiwałem głową i udałem się w dalszą drogę.

Wsiadłem do samochodu przy osiedlu Austmanna, uruchomiłem silnik i odjechałem kilka metrów od tunelu, po czym odwróciłem głowę. Jednocześnie zauważyłem biegnącą Lotte. Miałem więc okazję obejrzeć cały seans. Jakies trzydzieści sekund po tym, jak mnie minęła, rozległ się huk, a wokół zaroilo się od policji. Zrozumiałem, że moje przecucia i podejrzenia nie były nieuzasadnione. Wyskoczyłem z auta i popędziłem w stronę zamieszania, by przyjrzeć się dokładniej. Gdy grupa policjantów wyniosła z tunelu nieprzytomnego, zakrwawionego Henrika Thomsena, zrozumiałem, że zostało mi jeszcze trochę czasu. Niewiele, bo nie ma wątpliwości, że Thomsen zacznie paplać, gdy tylko usłyszy pierwsze pytanie. Na to jednak trzeba będzie chwilę zaczekać. Na razie ten człowiek potrzebuje pomocy lekarskiej i nadal pozostaje nieprzytomny.

Zmieniam więc nazwisko oraz scenę przy tunelu. Śmieję się do siebie, gdy przypomina mi się coś, co Hans Olav Lahlum powiedział na pewnym festiwalu prozy kryminalnej: „Jestem bardzo sfrustrowany, gdy moje postacie nagle zaczynają żyć własnym życiem. Pewnego razu jeden z moich głównych bohaterów postanowił, że w połowie książki ujawni, że jest

odmiennej orientacji. Tak, to było niezwykle irytujące. Miałem potem urwanie głowy!”.

W mojej książce wszystko wygląda inaczej. Postacie dysponują wolną wolą również w rzeczywistości i to ja muszę zmieniać opowieść, aby wszystko się zgadzało. Rzeczywistości wszak nie zmienię.

Zbliżam się do zakończenia. Niebawem będzie już po wszystkim. Zanim napiszę moje: *di me – manu propria*, moje ostatnie słowa, odnajduję listę adresów mailowych wszystkich norweskich wydawnictw zajmujących się literaturą piękną. Wklejam je do maila, który tylko czeka na wysłanie. Gdy pojawi się policja, wystarczy, że kliknę Wyślij, a potem rzucę się do ucieczki. Tym razem na pewno nikt nie odrzuci mego manuskryptu. Siedemnaście wydawnictw będzie się kłócić o prawa do wydania, aż iskry pójdą. Tymczasem odpowiedź, gdybym nie dożył tej chwili, znajduje się w moim testamencie. Guz mózgu coraz głośniejsz wali do drzwi i upomina się o swoje. Szkoda, że nigdy nie ujrzę sukcesu mojej książki. Nad tym ubolewam najbardziej, choć wystarczy mi świadomość, że zapewniłem dziełu długie życie. Przecież Mozart nie usłyszał swego requiem, a Wergeland nie ujrzał nigdy swego *Til min Gyldenlak* w druku. Tak to już często bywa z arcydziełami.

Wzdycham lekko. Wiem, że muszę się zbierać. Za moment będę musiał zająć się ostatnią ofiarą, która siedzi w recepcji i nie ma pojęcia, co ją czeka. Pół godziny temu miała przed sobą całe życie, ale w moim manuskrypcie skazałem ją na śmierć. Trudno o lepsze zastępstwo dla Lotte. To ona tak naprawdę powinna się znaleźć w planie A, ale trzy lata temu, gdy opracowałem pierwszą wersję, nie wiedziałem jeszcze o jej istnieniu. Była nieistotną postacią, ale oddaję jej miejsce, na jakie sobie zasłużyła. Wykorzystuję również chwilę, by spisać postowie. Przecież bez niego nikt się nie zorientuje, co tak naprawdę się tu stało.

Wszystko zostało napisane. Wszystko jest na właściwym miejscu. Przeglądam szczegóły po raz ostatni i macham batutą. Kurtyna idzie w górę. Cieszę się świadomością, że wreszcie wszyscy na mnie patrzą. To ja jestem arcydziełem.

Jestem Maestrem!

Komenda policji w Haugesund

Poniedziałek przed południem, 20 października 2014 roku

Lotte rzuciła kartkę z nazwiskiem na stół. Sprawa, która jeszcze przed chwilą cieszyła się etykietką *case closed*, nagle odżyła i stanęła na głowie. Nazwisko, wypisane przez Madsena czerwonym pisakiem na kartce A4, przyciągnęło uwagę wszystkich obecnych.

– Co tu się, kurwa, dzieje?

Lotte Skeisvoll opadła bez sił na krzesło. Spoglądała z rozpaczą na wydawcę w nadziei, że Madsen lada moment parsknie śmiechem i poinformuje, że właśnie padli ofiarą najbardziej subtelnego i najgorszego kawału świata, ale ten wpatrywał się w policjantów, niczego nie rozumiejąc.

– Słuchajcie, coś takiego podał mi Vigmostad. Prowadzą cyfrowy rejestr wszystkich nadesłanych rękopisów od chwili powstania wydawnictwa i odnalezienie danych kontaktowych człowieka, który podał ten pseudonim, to dla nich pestka!

– Øystein Vindheim... Czy to nie ten bibliotekarz, z którym Ranveig przeprowadziła wywiad na dzień przed śmiercią? – Hansen wstał, wziął kartkę i spojrzał znad okularów na resztę.

Lotte skinęła niemrawo głową.

– Jasna cholera! Wiedziałem, że ten człowiek na rowerze w Djupaskar z kimś mi się kojarzył. Przecież tego samego dnia rozmawiałem z nim o kodach w mailach.

Naczelnik oprzytomniał i przejął inicjatywę.

– Dobra. A więc tak się sprawy mają. Nie wiemy, co Henrik Thomsen robił w tunelu, ale niebawem się tego dowiemy. Teraz musimy dorwać tego bibliotekarza, zanim wybierze sobie jakąś inną przypadkową ofiarę.

Wszyscy podnieśli się z miejsc – z wyjątkiem Lotte, która stała przy biurku i nagle osunęła się na krzesło. Członkowie zespołu zatrzymali się i spojrzeli na nią badawczo. Lotte była wykończona i wyglądała, jakby opuściła ją cała energia. Powoli, jak w zwolnionym tempie, odwróciła głowę ku twarzom zaintrygowanych kolegów, ale słowa uwięzły jej w gardle. Nie umiała wypowiedzieć tego, co właśnie sobie uświadomiła. Od ostatnich słów naczelnika minęła już dłuższa chwila, nim zdołała wreszcie wyszeptać to, co leżało jej na sercu:

– To nie będzie przypadkowa ofiara.

Pozostali milczeli i wpatrywali się w Lotte z coraz większym zdumieniem. Cisza była niezgłębiona, jakby właśnie znaleźli się w próżni.

– Chodzi o Anne. O moją siostrę – dodała. – Dostała od NAV^[7] propozycję pracy w bibliotece w zamian za zasiłek. To nowe rozporządzenia gminne,

które mają na celu zapewnienie zasiłków osobom uzależnionym. Øystein wyszedł z taką propozycją, a Anne opowiedziała mi o wszystkim, gdy obudziła się w sobotę w szpitalu. Nie miała pojęcia, na co bibliotecze wymęczona życiem narkomanka, nawet jej o to nie spytałam. Ponoć ma zacząć dzisiaj.

– Jasna cholera! Czy istnieje coś, czego ten człowiek nie zaplanował? – Rozwścieczony Hansen rąbnął pięścią w ścianę.

Lotte nie reagowała. Siedziała jak sparaliżowana i wpatrywała się w blat stołu, jakby nie pozostało w niej nic z życia. Biernie przyglądała się naczelnikowi i Olavowi, którzy przejęli dowodzenie. Wszystko działo się teraz poza nią. Patrzyła pustym wzrokiem na kolegów, którzy wybiegli z pokoju i zostawili ją wraz z osłupiałym wydawcą. Przebudziła się do życia w chwili, gdy usłyszała pierwsze syreny.

– Mogę zadzwonić... – bąknęła i zaczęła szukać po kieszeniach, próbując znaleźć telefon, ale palce nie chciały jej słuchać. Przeszukała cały swój strój trzykrotnie, aż znalazła aparat tam, gdzie być powinien – w futerale przy pasie.

– Nie ma odpowiedzi! – krzyknęła. – Odbierz telefon, do cholery!

Harald Madsen wstał ostrożnie i opuścił pokój.

Chwilę później do środka wszedł Lars Stople, który podszedł do Lotte i otoczył ją ramionami. Kobieta usiłowała się wyswobodzić i wyrzucała z siebie kolejne przekleństwa. Lars nadal próbował ją uspokoić, aż Lotte wreszcie poddała się i oparła głowę o ramię starego policjanta. Mogła już tylko mieć nadzieję, że morderca wcale nie był krok przed nimi, jak to było dotąd. Modliła się, aby dorwali go tam, gdzie musiał teraz przebywać – w bibliotece. Mimo to, gdy Lotte i Lars stali objęci i wtuleni w siebie, żadne z nich nie mogło przestać myśleć o jednym: przez cały miniony tydzień Øystein Vindheim zawsze był o krok przed nimi.

Ich obawy potwierdziły się dwie minuty później.

– Nie ma jej tu! – zaskrzeczał interkom głosem zdyszanego Knuta Veldetuna. – Dowiedziałem się, że wyszła dziesięć minut temu! Miała kupić jakieś materiały biurowe i wzięła ze sobą tego nowego asystenta z NAV, ale nie sądzę, żeby byli w Staples na zakupach.

Lotte poprawiła słuchawkę w uchu i mikrofon. Chrząknęła, by nie zdradzić, że przed chwilą płakała.

– Nie, Knut. Są w drodze na Haraldsvang. Nie ma co się zastanawiać, trzeba działać! Nie mamy już nic do stracenia.

Knut przez moment milczał.

– I tu się mylisz. Mamy wszystko do stracenia, Lotte. Jeśli tym razem zawalimy sprawę, stracisz siostrę.

Lotte wyłączyła mikrofon.

– Straciłam ją już wielokrotnie – wyszeptała.

Haraldsvang Kafé, Haugesund

Poniedziałek przed południem, 20 października 2014 roku

Jedynym odgłosem, który zakłócał ciszę, był szelest trącanych wiatrem suchych liści brzózek rosnących przy placu zabaw na Haraldsvang. Nie było słyhać ani jednego krzyczącego dziecka. Żadnych głosów. Żadnych samochodów na parkingu. Jedynie cichy szum liści, którym dziś wyjątkowo nie zagrażały dziecięce rączki. W kawiarni przy jeziorze było ciemno, żaluzje nie zostały jeszcze podniesione. Nikt nie biegał po ścieżkach dookoła placu, nikt nie szedł na spacer z wózkiem dziecięcym. Nikt.

Zupełnie jak gdyby cały świat wstrzymał oddech. Latem roiło się tu od młodych ludzi, którzy kąpali się wokół wieży do skoków, i rodzin z małymi dziećmi, odpoczywających na trawie przed kafejką, ale tego dnia nie było tam widać nikogo.

To znaczy prawie nikogo. Na ławce w parku siedział sobie spokojnie, rozglądając się dookoła, jakiś mężczyzna. Sytuacja przywodziła na myśl początkową scenę z *Nattmannen* Jørna Liera Horsta – z wyjątkiem samego mężczyzny, ławki oraz tego, że rozsiadł się w cichym parku podczas pięknej pogody. Powieść rozpoczynała się na zatłoczonej ulicy w centrum miasta, wśród mgieł okrywających tajemnicę.

Wycie syren policyjnych stawało się coraz głośniejsze, a między żółtymi jesiennymi liśćmi migały niebieskie światła. Lotte Skeisvoll wskoczyła do jednego z pierwszych radiowozów. Musiała się tam znaleźć. Nie mogła dopuścić do tego, by Anne ujrzała same nieznajome twarze. Dobrze wiedziała, co się wydarzy, jeśli makabryczny scenariusz zostanie zrealizowany, ale nie chciała nawet myśleć o pozostawieniu siostry samej sobie.

Przeżona wyglądała przez okno rozpędzonego radiowozu, który hamował właśnie przed kawiarnią. Czas się zatrzymał w chwili, gdy podniosła spojrzenie i ujrzała to, co Øystein Vindheim zdołał przygotować w ciągu krótkich dziesięciu minut przewagi, jaką miał nad policją. Samochody zatrzymywały się w rzędzie za nimi. Syreny cichły, otwierały

się drzwi, policjanci wyskakiwali na zewnątrz, przez kilka sekund rozlegały się rozkazy, a potem wszyscy zastygli niczym na obrazie.

Gdyby nie wszechogarniająca cisza, scena wydałaby się stosunkowo normalna. Metalowe drabinki dla dzieci połyskiwały w blasku słońca. Huśtawki kołysały się powoli w przód i w tył, popychane podmuchami wiatru. Jeden z uchwytów był nieco zardzewiały i zgrzytał za każdym poruszeniem huśtawki. Woda cicho pluskała wśród kamieni na nabrzeżu. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak sobie tego życzył. Siedział samotnie na ławce. Przed nim trwał szereg policjantów gotowych do otwarcia ognia. Obok niego stała Anne.

Lotte otworzyła drzwi powolnym ruchem i wysiadła z auta. Uczepiła się krawędzi drzwi, by nie upaść. Członkowie oddziału uderzeniowego opuścili broń o kilka centymetrów.

Wszyscy spoglądali na nią wyczekująco. Lotte odrzuciła ciemną grzywkę na bok i zauważyła, że zaczęła się pocić. Jej dłonie drżały, a kolana groziły, że lada moment ugną się pod jej ciężarem.

– Anne... – szepnęła do siostry.

Ta jej nie usłyszała. Dzieliło je od siebie zaledwie dziesięć metrów, a mimo to słowa Lotte do niej nie docierały. Lotte nabrała tchu i zaczęła krzyczeć, coraz głośniej i głośniej:

– Anne!... Anne!

Siostra nie odpowiadała. Wpatrywała się pustym wzrokiem w coś za parkingiem.

Od strony drzew dobiegł słaby szelest resztek bujnego zielonego listowia sprzed miesiący. Od strony Skeisvannet nadleciał nad wzgórzami chłodny wiatr, owiewając ludzi tkwiących w nieruchomych pozach. Wszystko, co było normalne i codzienne, znikło bez śladu, przegnane przez koszmar, który przyszło im obejrzeć. Głowa Anne tkwiła bowiem nabita na dwumetrowy pał, a co się stało z resztą jej ciała, wiedział jedynie uszczęśliwiony mężczyzna siedzący na ławce.

Maestro.

Requiem – di me – manu propria

– Dlaczego?

Zadają mi to pytanie od tygodnia, a przecież nie ma na nie odpowiedzi. „Dlaczego” to bezsensowne słowo. „Co”, „kto”, „gdzie” i „jak” są dobrymi

słowami. Tak, do nich mogę się ustosunkować, ale „dlaczego”?

Odpowiadam im, że tak trzeba było. Pytają mnie, czy coś mnie do tego zmusiło. Nie. Mogłem sobie odpuścić. Mogłem w ciszy i spokoju przeczekać resztę danego mi czasu i odejść upamiętniony dwiema linijkami tekstu na sześćdziesiątej czwartej stronie lokalnej gazety. Mogłem prosić Boga, który nie istnieje, by ktoś odnalazł manuskrypt i tchnął w niego nowe życie. By ktoś dokonał rzeczy niemożliwej, ujrzał napisane przeze mnie słowa i upamiętnił moje nazwisko po śmierci. Tak, mogłem tak postąpić. Mogłem przeżyć ostatnie dni z nadzieją, że ktoś mnie odkryje i dostrzeże, ale podjąłem inną decyzję. Postanowiłem zamienić słowo w czyn. Dostroić się do muzyki. Zabawić się lustrem. Oto moja msza pogrzebowa. Moje requiem. Łabędzi śpiew nad zamrożonym jeziorem. Nie wydaje mi się, by aż tak trudno było to zrozumieć.

A oni kręcą głowami, mamroczą coś między sobą i znów się ku mnie odwracają. Zadają kolejne pytania, które zaczynają się od „dlaczego”. Wiercę się na krześle. Zupełnie nie rozumiem, po co ta zabawa ze słowami. Czy ktoś pytał Mozarta, dlaczego pisze symfonie?

– Chcę, żeby ludzie ujrzeli tę historię. Żeby nie umarła wraz ze mną.

Chwilę później zastanawiam się, czy powiedziałem to na głos, czy może jedynie pomyślałem te zdania. Nie słyszę reakcji żadnego z policjantów, więc nie wiem. Straciłem rachubę, ile razy odpowiadałem już na ich pytania. Jestem echem samego siebie. Echem wśród tych pomalowanych na białą ścian.

– Dlaczego napisałeś tę historię?

Bo miałem na to ochotę. Bo całe życie upłynęło mi na chodzeniu między półkami z książkami i nigdy nie znalazłem tam siebie. Bo wiedziałem, że jestem w stanie stworzyć coś lepszego od innych. Bo miałem opowieść, którą chciałem się podzielić.

– Dlaczego wykorzystałeś w powieści prawdziwe osoby?

Idiotyczne pytanie. Każdy, kto wie cokolwiek o książkach, zdaje sobie sprawę z tego, że bohaterowie muszą być prawdziwi, aby historia stała się wiarygodna. Prawdziwi bohaterowie, prawdziwe postacie, prawdziwe nazwy. Trudno bardziej się zbliżyć do rzeczywistości. To, jak mówią, zabawa z lustrem. Chciałem przedstawić moich przyjaciół i inne znane mi osoby dokładnie tak, jak ich widzę. Chciałem, by się odnaleźli w nowych rolach, by przeżyli swe życie w mojej opowieści albo... Albo w niej umarli. Przecież kilka osób zawsze musi umrzeć.

Ten człowiek z Oslo, Olav Scheldrup Hansen, ten, którego musiałem

po drodze wprowadzić do książki, odwraca się do mnie. Wpatruje się we mnie tymi smutnymi oczami, jakby chciał mnie zniszczyć samym tylko spojrzeniem, a potem zerka do notatek.

I znów zadaje to samo niekończące się pytanie:

– Dlaczego oni musieli umrzeć? Dlaczego wybrałeś akurat te ofiary, a nie kogoś innego?

To powinno być jasne. To nie ja wybrałem ich, ale oni mnie. Jako asystent sędziego uczestniczyłem w rozprawach, w których wielu ludzi zostało uniewinnionych wbrew mojej woli. Postanowiłem więc później wymierzyć im sprawiedliwą karę. W ten sposób krąg się zamyka. Widziałem, jak stoją w ławie oskarżonych, i słuchałem ich kłamstewek. To właśnie wtedy zostało we mnie zasiane ziarno. O co chodzi? O to, że kilku z nich otrzymało później karę? Przecież ja szukałem pomysłu na fabułę powieści kryminalnej. Tworzyłem historię o geniuszu, który w swoim szaleństwie mści się na tych, którzy zdołali uniknąć kary. Maestro zaś był moim cieniem, opisanym później w książce. Żył dzięki mnie i we mnie. Z chwilą gdy msza żałobna dobiegła końca, musieli umrzeć. Nie ja tego chciałem, tak po prostu było zapisane w notatkach. Można improwizować w wielkiej kompozycji, ale główny motyw musi pozostać niezmienny.

– A więc zabiłeś ich dlatego, że wcześniej napisałeś w tej książce, że do tego dojdzie?

Znowu Hansen. Monotonny głos. Zmęczony człowiek. Wreszcie pytanie, na które mogę odpowiedzieć, a odpowiedź będzie krótka i precyzyjna:

– Tak.

Śledczy z Kripos kręci głową. Spogląda na koleżankę i szepcze coś do niej, a ta kiwa głową. To nie Lotte Skeisvoll. Nie widziałem jej od czasu, gdy przed tygodniem na Haraldsvang wybrzmiał ostatni ton. Ona zresztą jest kolejnym pozbawionym sensu pytaniem. Czemu akurat ona pojawiła się w powieści? Powiedziałem im całą prawdę.

Bo dlaczego nie?

Skeisvoll była zbyt ciekawą postacią, by nie umieścić jej w powieści. Podobały mi się jej drobne dziwactwa, które często widziałem na sali rozpraw.

OCD, tak? Tak brzmi angielski skrót od zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych?

Tak, owe drobne, odruchowe czynności sprawiają, że postać staje się szczególna. Lotte była genialna, ale pozbawiona pewności siebie. Pewna siebie, ale pełna strachu. Silna, lecz niestabilna. Odkryłem to natychmiast

po rozpoczęciu pracy nad *Maestrem*. Wiedziałem, że muszę wykorzystać Lotte. Na moment wracam do wspomnień owych chwil, gdy uważnie obserwowałem jej jakże przewidywalne zachowania i zwyczaje. Czy jest jeszcze ktoś na tym świecie, kto codziennie kupuje mleko, chleb, szynkę i krojony ser dokładnie o siedemnastej pięć?

– A skąd ta nienawiść do Viljara Gudmundssona? Sądziłeś, że jesteście przyjaciółmi – pyta człowiek z Oslo. Najwyraźniej nadal nie przestał się dziwić temu wszystkiemu.

Ciężko im to idzie. Na serio jeszcze nie rozumieją? Jaka znowu nienawiść? Przecież Viljar jest moim bohaterem! Przecież to jemu przydzieliłem główną rolę. Gra u mnie pierwsze skrzypce. Jest moim solistą! Kocham Viljara i to dlatego pozwoliłem mu przeżyć. Wszyscy bohaterowie przeżywają problemy w drodze ku rozwiązaniu, w przeciwnym razie fabuła nie miałaby w sobie nic porywającego. Tak, skazałem go na cierpienia, bo w istocie spartaczył sprawę z Jonaszem, moim cudownym bratankiem, ale nie nienawidzę go z tego powodu. Uzyskałem w ten sposób wspaniałą okazję, by móc również opowiedzieć historię Jonasa. Jestem pierwszym, który to zrobił. Nikt przede mną nie spisał tej prawdziwej historii, tej, którą opowiedzieli mi Jonas i Fredric, gdy schronili się w moim domu po tragedii, jaka przytrafiła się Ine.

Lustro w lustrze. Tak to teraz wygląda.

Lub... Mam przynajmniej nadzieję, że tak będzie. Siedzę w bibliotece i nasłuchuję, ale nadal nie słyszę syren policyjnych. Fantazuję na temat nastroju ostatniej sceny. Już opisałem wydarzenia z Haraldsvang i wyobrażam sobie, że tak to wszystko musi się zakończyć. Wyobrażam sobie, że dopnę swego i cała historia zakończy się właśnie tam. Z drugiej strony nie mam pewności, co zostanie odbite w lustrze i w którym miejscu zakończy się rzeczywistość. Mimo to widzę siebie siedzącego od tygodnia na tym samym krześle. Słyszę, jak pytają mnie: „dlaczego”, a moją odpowiedzią są bezgłośnie myśli. Bo tak to będzie wyglądać, prawda?

Tak będzie, jeśli wszystko rozegra się według spisanego przeze mnie scenariusza. Wtedy dojdzie do owej sceny. Wtedy cały świat ujrzy moje mistrzostwo. Anne umrze. Ja też pójdę w jej ślady, ale *Maestro* otrzyma wieczne życie. Tu w bibliotece w Haugesund, w samym centrum nieskończonej magii książek, jako lustro odbite w lustrze trwać będzie przez całą wieczność.

29.10.2014
Øystein Vindheim

Posłowie i podziękowania

Powieść kryminalna to beletrystyka i proszę o wyrozumiałość, jeśli nie wszystkie opisane przeze mnie wydarzenia wyglądają tak jak w naszym codziennym życiu. Jako pisarz pozwoliłem sobie na wiele odstępstw od przyjętych reguł. Ofiary morderstw nie zostają usunięte z miejsca przestępstwa tuż po przybyciu policji, a śledczy nie wkraczają na scenę zbrodni dopóty, dopóki techniczni nie zakończą oględzin. Dziennikarze nie dzielą się informacjami z policją wedle własnego uznania i mam nadzieję, że nie piszą recenzji z koncertów, których nigdy nie widzieli. Mam poza tym nadzieję, że śledczy z Kripos są lepszymi profesjonalistami i bardziej przejmują się etyką pracy, niż opisałem to w *Maestrze*. Wiem również ponad wszelką wątpliwość, że odrzucony manuskrypt nie jest przechowywany przez wiele lat w wydawnictwie, ale szybko trafia na makulaturę. Nawet w Gjøvik. Mimo to bez tych odstępstw moja historia być może nie byłaby tak wciągająca.

Jeśli komuś przyjdzie do głowy sprawdzić pogodę w Haugesund w październiku 2014 roku, zauważy zapewne wiele błędów. Pojawią się również nieścistości w kolejności morderstw przedstawianych w powieściach. Tak to już bywa wśród autorów kryminałów – wszyscy blefujemy. Dobrym przykładem jest karabin Märklin z amunicją 15 mm z Singapuru, opisany przez Jo Nesbø w *Czerwonym gardle*. Taka broń nigdy nie istniała.

Żaden z bohaterów powieści nie istnieje w rzeczywistości – poza mną, pozwolę sobie zauważyć.

Zadedykowałem tę powieść moim rodzicom, którzy niestety nie doczekali końca mojej pracy. Oboje wiedzieliście, że piszę *Maestra*, a nawet zdążyłem przeczytać wam kilka fragmentów. Wierzę w to, że patrzycie na mnie teraz, tak jak zawsze to robiliście, i akceptujecie moje szalone wymysły i dziwaczne skojarzenia. Bardzo za wami tęsknię.

Nie jestem w stanie wyrazić swej wdzięczności wobec mojej żony, która jest jednocześnie moją przyjaciółką, sojuszniczką, pomocnicą, pocieszycielką, partnerką do dyskusji, redaktorką, krytykiem i najdroższą ukochaną.

Chciałem również podziękować trójce moich dzieci – Christine, Vebjørnowi i Danielowi. Wiem, że nie przepadacie za czytaniem, ale zawsze jesteście dla mnie dużym wsparciem.

Oprócz mojej rodziny wiele innych osób okazało mi życzliwość w trakcie pisania powieści. Chciałem podziękować w pierwszej kolejności mojej szwagierce Silje Elin Matre, która pracuje jako technik śledczy w Stavanger i służyła mi informacjami o pracy policji, a także Øysteinowi Eidemu, który kiedyś pracował jako dziennikarz w „Haugesunds Avis”. Bez waszej pomocy nigdy bym nie zrozumiał, jak działają komenda policji oraz redakcja gazety. Dziękuję również Bårdowi Øyvindowi Leitemu, który z benedyktyńską cierpliwością studiował manuskrypt w poszukiwaniu nieścisłości w opisie miejsc.

Dziękuję też moim przyjaciołom: Viljarowi Skibenesowi, Johnowi Olavowi Oldertrøenowi i autorowi kryminałów Frodemu Eiemu Larsenowi, za opinie, które wygłosiliście po przeczytaniu surowego manuskryptu latem 2014 roku. Dzięki nim nabrałem wiary w sens projektu. Jestem również wdzięczny autorom kryminałów: Frodemu Granhusowi, Ørjanowi N. Karlssonowi i Gardowi Sveenowi, za to, że mieli ochotę przeczytać manuskrypt przed ostatnią redakcją jesienią. Osobno podziękować pragnę Fredrikowi Schmidtowi Fotlandowi z Comino Forlag w Bergen, który we mnie uwierzył i zdecydował na mnie postawić. Jesienią 2015 podjęliśmy inną decyzję, ale zrobiliśmy to wspólnie, jak na przyjaciół przystało. Bynajmniej nie był to rezultat kłótni. Nigdy nie zapomnę twej życzliwości, wsparcia i chęci pomocy.

Ostatnie słowo winien jestem memu przyjacielowi Ivanowi Sandvenowi. Latem 2010 roku zapytałeś mnie, dlaczego nigdy nie zrealizowałem swego marzenia o karierze pisarskiej. Efektem twych słów jest *Maestro*. Wielkie dzięki!

Haugesund, 1 grudnia 2015 roku
Geir Tangen

Przypisy

[1] Skandynawska mila, jednostka popularna w Szwecji i Norwegii, 10 kilometrów [przyp. tłum.].

[2] Sildebyen (Miasto Śledzi) – popularna nazwa Haugesund [przyp. tłum.].

[3] Lensman – szef okręgu policyjnego [przyp. tłum.].

[4] Darmowa aplikacja działająca na terenie Norwegii, umożliwiająca odnalezienie numerów telefonicznych oraz adresów – zarówno domowych, jak i mailowych – firm i osób prywatnych [przyp. tłum.].

[5] Norweski polityk z Partii Pracy, pełniący kolejno funkcję szefa rozmaitych ministerstw, znany z zamiłowania do filmu, literatury oraz piłki nożnej [przyp. tłum.].

[6] Pierwszy List do Koryntian 6, 9-10, Biblia Tysiąclecia Pismo Święte Starego i nowego Testamentu, Poznań 2000 [przyp. tłum.].

[7] Arbeids-og velferdsforvaltningen – Norweski Urząd Pracy i Opieki Społecznej [przyp. tłum.].

ŚLADY



ZBRODNI

MAESTRO

Dziennikarz Viljar Gudmundsson odbiera niepokojącą wiadomość. Nadawca zapowiada wykonanie wyroku na osobie, której nie dosięgnął wymiar sprawiedliwości. Następnego dnia zostają znalezione zwłoki kobiety. Wkrótce Viljar otrzymuje kolejne maile, a każdy z nich kończy się tajemniczym kodem. Tropy zdają się prowadzić w świat literatury...

Doskonały kryminał. Autor bawi się gatunkowymi schematami. Duży plus za poczucie humoru, lokalny koloryt i wyraziste postaci.

„Stavanger Aftenblad”



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5666-0

EAN 9788327156660

U.WD.KRW067.1.01.01

Patronat medialny:

